OLGA TOKARCZUK

Dom dzienny, dom nocny

THE NOBEL PRIZE · 2018

OLGA TOKARCZUK

Dom dzienny, dom nocny

WYDAWNICTWO LITERACKIE

Spis treści

Karta redakcyjna
Motto

Sen
Marta
Taki-a-Taki
Radio Nowa Ruda
Marek Marek
Sny
Dzień samochodów
Amos
Groszek
Latimeria
Przewodniki o Pietnie
Flammulina
Grzybość
Ego dormio et cor meum vigilat

Żywot Kummernis z Schonau
Początek żywotu Kummernis
Dzieciństwo Kummernis
Pierwszy pobyt w klasztorze Benedyktynek
Zaczął się nowicjat
Kummernis ucieka na górzystą pustynię
Kummernis uzdrawia dzieci
Kummernis leczy chore dusze
Kummernis dociera do klasztoru, by przyjąć śluby
O Kummernis upomina się jej ojciec
Kummernis niegodnie porwana i uwięziona przez własnego ojca
Modlitwy Kummernis w zamknięciu
Cud Kummernis
Powtórne przyjście diabła
Męczeństwo i śmierć Kummernis
Zakończenie
Perukarka
Granica
Kometa
Kto napisał żywot świętej i skąd to wszystko wiedział
Kury, koguty

Sny
Sen z internetu
Zapomnienia
Niemcy
Peter Dieter
Rabarbar
Kosmogonie
Kto napisał żywot świętej i skąd to wszystko wiedział
Listy
Ciasto z trawy
Sen z internetu
Efemerydy
Ogień
Kto napisał żywot świętej i skąd to wszystko wiedział
Uczulenie na trawy
Franz Frost
Jego żona, jego dziecko
Muchomor wiosenny w śmietanie
Marta, rodzaje jej śmierci
Zapach
Wizja Kummernis z „Hilariów”
Boże Ciało

Sen
Monstrum
Deszcz
Powódź
Gwoździe
Jasnowidz
Mysmancja
Człowiek z drugiej ręki
Biel
Lipcowa pełnia
Słyszenie
Kto napisał żywot świętej i skąd to wszystko wiedział
Sen
Borowik ponury w śmietanie
Upały
Słowa
Ergo Sum
Smutek i to coś gorszego od smutku
Dwa małe sny z internetu
Strzyżenie włosów
Marta tworzy typologię
Pałac

Mój pałac
Dachy
Nożownicy
Las, który rozpada się z trzaskiem
Człowiek z piłą
Ergo Sum
Życie w połowie odbywa się w ciemności
Grzyby
Słodki deser z purchawek
Kto napisał historię świętej i skąd to wszystko wiedział
Koniec
Aloes
Ognisko
Panu Bogu — Polacy
Cynowy talerz
Niania
Psalm nożowników
Skarby
Dalie, georginie
Powtórzenia, odkrycia
Tort z muchomora

On i ona
Milczenie
Ona i on
I co się z nimi stało, zapytał R.
Zaćmienie
Przebudzenie Marty
Strychy, porządki
Nowa Ruda
Założyciel
Maszyna Zbawienia
Jedziemy, powiedziałam, jutro Wszystkich Świętych
Wróżenie z nieba

© Copyright by Olga Tokarczuk
© Copyright by Wydawnictwo Literackie, Kraków 2005

Opieka redakcyjna: WALDEMAR POPEK
Redaktor techniczny: BOŻENA KORBUT

Projekt okładki i stron tytułowych: manufaktura | manufaktu-ar.com
Na okładce wykorzystano ryciny z *Encyklopedii* pod redakcją Denisa Diderota

ISBN 978-83-08-04984-6

Wydawnictwo Literackie Sp. z o.o.
ul. Długa 1, 31-147 Kraków
tel. (+48 12) 430 00 96
e-mail: ksiegarnia@wydawnictwoliterackie.pl
Księgarnia internetowa: www.wydawnictwoliterackie.pl

Konwersja: eLitera s.c.

Twój dom jest twoim większym ciałem.
Rośnie w słońcu; śpi w ciszy nocy. Miewa sny.
Czyż twój dom nie śpi, a więc nie opuszcza miasta,
by znaleźć się w gaju lub na szczycie wzgórza?

Khalil Gibran

Sen

Pierwszej nocy miałam nieruchomy sen. Śniło mi się, że jestem czystym patrzeniem, czystym wzrokiem i nie mam ciała ani imienia. Tkwię wysoko nad doliną, w jakimś nieokreślonym punkcie, z którego widzę wszystko lub prawie wszystko. Poruszam się w tym patrzeniu, ale pozostaję w miejscu. To raczej widziany świat poddaje mi się, kiedy na niego patrzę, przysuwa się i odsuwa, tak że mogę zobaczyć wszystko naraz albo tylko najdrobniejsze szczegóły.

Widzę więc dolinę, w której stoi dom, w samym jej środku, ale to nie jest mój dom ani moja dolina, bo do mnie nic nie należy, bo ja samo do siebie nie należę, a nawet nie ma czegoś takiego jak ja. Widzę kolistą linię horyzontu, który zamyka dolinę ze wszystkich stron. Widzę wzburzony, mętny potok, który płynie między wzgórzami. Widzę drzewa potężnymi nogami wrośnięte w ziemię, jak jednonogie znieruchomiałe zwierzęta. Bezruch tego, co widzę, jest pozorny. Gdy tylko zechcę, mogę przenikać przez pozory. Wtedy pod korą drzew zobaczę ruchome strumyczki wody i soków, które krążą tam i z powrotem, w górę i w dół. Pod dachem widzę ciała śpiących ludzi i ich bezruch także jest pozorny – delikatnie pulsują w nich serca, szemrze krew, nawet ich sny nie są rzeczywiste, potrafię bowiem ujrzeć, czym one są: pulsującymi kawałkami obrazów. Żadne z tych śniących ciał nie jest mi bliższe, żadne dalsze. Po prostu na nie patrzę i w ich pogmatwanych sennych myślach widzę siebie – wtedy odkrywam tę dziwaczną prawdę. Że jestem patrzeniem, bez refleksji, bez żadnej oceny, bez uczuć. I zaraz odkrywam inną rzecz – że potrafię patrzeć także poprzez czas, że tak samo jak zmieniam punkt widzenia w przestrzeni, mogę go zmieniać także w czasie, jakbym było strzałką na ekranie komputera, która jednak porusza się sama z siebie albo po prostu nie wie nic o istnieniu poruszającej nią dłoni.

Tak śnię, wydaje mi się, nieskończenie długi czas. Nie ma przed i nie ma po, nie oczekuję też niczego nowego, bo nie mogę ani nic nabyć, ani nic

stracić. Noc się nigdy nie kończy. Nic się nie dzieje. Nawet czas nie zmienia tego, co widzę. Patrzę i ani nie poznaję nic nowego, ani nie zapominam tego, co raz zobaczone.

Marta

Cały pierwszy dzień obchodziliśmy swoją ziemię. Gumowce zapadały się w gliniasty grunt. Ziemia była czerwona, ręce brudziły się na czerwono, a gdy się je myło, płynęła czerwona woda. R. po raz kolejny oglądał drzewa w sadzie. Były stare, krzaczaste, rozrośnięte na wszystkie strony. Takie drzewa nic pewnie nie urodzą. Sad ciągnął się aż do lasu i zatrzymywał na ciemnej ścianie świerków. Stały jak wojsko. Po południu znowu zaczynał padać śnieg z deszczem. Woda zbierała się na gliniastej ziemi, tworzyła strużki i strumyki i płynęła z góry prosto na dom, wsiąkała w ściany i znikała gdzieś pod murem. Ze świeczką zeszliśmy do piwnicy, zaniepokojeni nieustannym szmerem. Po kamiennych schodach płynął cały potok, przemywał kamienną podłogę i wypływał niżej, od strony stawu. Zrozumieliśmy, że dom stoi na rzece, że zbudowano go nieopatrznie na płynącej podziemnej wodzie i teraz nic już się z tym nie da zrobić. Można się jedynie przyzwyczaić do ponurego, wiecznego szumu wody, do niespokojnych snów.

Druga rzeka była za oknem – to strumień pełen zmąconej czerwonej wody, która podmywa bezradnie nieruchome korzenie drzew i znika w lesie.

Z okna długiego pokoju widać dom Marty. Od trzech lat zastanawiałam się, kim jest Marta. O sobie zawsze mówiła co innego. Za każdym razem podawała inny rok urodzenia. Dla mnie i dla R. Marta istniała tylko latem, zimą znikała, jak wszystko tutaj. Była drobna, całkiem siwa, brakowało jej zębów. Jej skóra – pomarszczona, sucha i ciepła. Wiem to, bo pocałowałyśmy się na przywitanie, nawet niezdarnie przytuliłyśmy się do siebie i poczułam jej zapach – wysuszonej na siłę wilgoci. Taki zapach zawsze zostanie, nie da się zlikwidować. Ubrania, które zmokły na

deszczu, trzeba wyprać, tak mówiła moja mama, ale ona w ogóle prała wszystko niepotrzebnie. Otwierała szafy, wyciągała czyste, wykrochmalone prześcieradła i wrzucała je do pralki, jakby nieużywanie brudziło je tak samo jak używanie. Zapach wilgoci sam w sobie był nieprzyjemny, ale na ubraniu Marty, na jej skórze pachniał znajomo i miło. Jeżeli była tutaj Marta, wszystko znajdowało się na swoim miejscu, wszystko było w największym porządku.

Marta przyszła zaraz drugiego wieczoru. Najpierw piliśmy herbatę, potem to zeszłoroczne wino z dzikiej róży, ciemne i gęste, tak słodkie, że mąciło w głowie po pierwszym łyku. Wyciągałam z pudeł książki. Marta trzymała kieliszek w obu dłoniach i patrzyła bez zainteresowania. Pomyślałam, że Marta nie umie czytać. Tak mi się wydawało. To było możliwe, była wystarczająco stara, żeby ominęły ją publiczne szkoły. Litery nie zatrzymywały jej wzroku, ale nigdy jej o to nie pytałam.

Podniecone suki wchodziły i wychodziły. Przynosiły na sierści zapach zimna i wiatru; grzały się przy rozpalonej kuchni, a potem ciągnęło je w sad. Marta muskała ich grzbiety swoimi długimi, kościstymi palcami i powtarzała im, że są piękne. I tak cały wieczór mówiła tylko do suk. Patrzyłam na nią spod oka, układając książki na drewnianych półkach. Lampka na ścianie oświetlała czubek jej głowy z pióropuszem cienkich siwych włosów. Na karku robił się z nich warkoczyk.

Pamiętam tyle rzeczy, a nie pamiętam, jak zobaczyłam Martę po raz pierwszy. Pamiętam wszystkie pierwsze spotkania z osobami, które potem stały się dla mnie ważne; pamiętam, czy świeciło słońce, pamiętam szczegóły ubrania (śmieszne enerdowskie buty R.), pamiętam zapachy, smaki i coś jakby fakturę powietrza – czy było szorstkie i sztywne, czy gładkie i chłodne jak masło. Od tego zależy pierwsze wrażenie. Takie rzeczy zapisują się gdzieś w tych osobnych, może zwierzęcych częściach mózgu i nigdy nie dają się zapomnieć. Ale pierwszego spotkania z Martą nie pamiętam.

Musiało to być wczesną wiosną – tutaj to czas wszystkich początków. Musiało to być w tej nierównej przestrzeni doliny, bo Marta nigdy dalej sama nie wychodzi. Pewnie pachniało wodą, roztopionym śniegiem. Musiała mieć na sobie ten szary sweter z rozciągniętymi dziurkami.

Niewiele wiedziałam o Marcie. Wiedziałam tylko to, co ona odsłoniła mi sama. Wszystkiego musiałam się domyślać i zdawałam sobie sprawę, że fantazjuję na jej temat. Tworzę Martę z całą jej przeszłością i teraźniejszością. Bo kiedy tylko prosiłam, żeby opowiedziała mi coś o sobie, jak była młoda, jak wtedy wyglądało to, co teraz wydaje się takie oczywiste, ona zmieniała temat, odwracała głowę do okna albo po prostu milkła i w skupieniu kroiła kapustę czy plotła te swoje-cudze włosy. Nie czułam w tym niechęci do mówienia. Było tak, jakby Marta po prostu nie miała nic do powiedzenia o sobie. Jakby nie miała żadnej historii. Lubiła mówić tylko o innych ludziach, których ja widziałam może kilka razy przypadkiem albo wcale ich nie widziałam, bo widzieć już ich nie mogłam – żyli zbyt dawno. Także o tych, którzy najpewniej wcale nie istnieli – potem znalazłam dowody, że Marta lubiła zmyślać. I o miejscach, w których tych ludzi zasadzała jak rośliny. Mogła mówić godzinami, aż miałam dość i szukałam grzecznego pretekstu, żeby jej przerwać i wracać już przez trawy do domu. Czasem przerywała swoje wywody nagle, bez powodu i nie wracała do tego tematu przez tygodnie, żeby potem ni stąd, ni zowąd zacząć: „A pamiętasz, jak ci mówiłam…". „Pamiętam". „Więc to było dalej tak, że…" – i ciągnęła jakiś zasuszony wątek, a ja szukałam w pamięci, o kim mówi i na czym przerwała. I co dziwne, przypominała mi się raczej nie sama historia, ale właśnie opowiadająca Marta, jej drobna postać, jej okrągłe plecy w sweterku o porozciąganych dziurkach, jej kościste palce. Czy mówiła to w przednią szybę samochodu, gdy jechałyśmy do Wambierzyc zamówić deski, czy może rwałyśmy wtedy rumianek na polu Bobola. Nie potrafiłam nigdy odtworzyć całej tej historii, lecz zawsze samą scenę, okoliczności, świat, który ją we mnie zakorzenił, jakby te historie były jakieś nierealne, zmyślone, wyśnione, poodbijane w jej i mojej głowie, rozmyte przez słowa. Przerywała je tak samo nagle, jak zaczynała. Z powodu jakiegoś widelca, który upadł na podłogę i jego aluminiowy brzęk roztrzaskiwał ostatnie zdanie, zatrzymywał następne słowo w jej ustach tak, że musiała je przełknąć. Albo wchodził Taki-a-Taki, jak to on, zawsze bez pukania, tupiąc buciorami od progu i ciągnąc za sobą strużki wody, rosy, błota – cokolwiek tam było na zewnątrz – a przy nim w ogóle nie dało się już niczego powiedzieć, taki był hałaśliwy.

Wielu rzeczy opowiadanych przez Martę nie zapamiętałam. Zostawały mi po nich jakieś niewyraźne puenty, jak musztarda zostawiona na brzegu talerza, kiedy główny posiłek został już zjedzony. Jakieś scenki, straszne lub zabawne. Jakieś obrazy wyrwane z kontekstu – że dzieci łowiły pstrągi w strumieniu gołymi rękoma. Nie wiem, po co gromadziłam takie szczegóły, a zapominałam całą opowieść, która przecież musiała coś znaczyć, skoro była opowieścią z początkiem i końcem. Zapamiętywałam same pestki, które potem moja pamięć – i słusznie – musiała wypluć.

To nie było tak, że tylko słuchałam. Ja też do niej mówiłam. Kiedyś na początku powiedziałam jej, że boję się umierania, nie śmierci w ogóle, ale samego momentu, kiedy już nie będę mogła niczego przesunąć na potem. I że ten strach przychodzi zawsze wtedy, gdy jest ciemno, nigdy za dnia, i trwa kilka strasznych chwil, jak atak epileptyczny. Zaraz zawstydziłam się tego nagłego wyznania. Wtedy to ja starałam się zmienić temat.

Marta nie miała duszy terapeuty. Nie dopytywała, nie rzucała nagle mytych naczyń, żeby przy mnie usiąść i poklepać mnie po plecach. Nie próbowała, tak jak inni, wszystkiego co ważne umieścić w czasie i zapytać nagle: „Kiedy to się zaczęło?". Nawet Jezus nie uniknął tej bezsensownej pokusy i spytał o to samo opętanego, którego miał uzdrowić. „Kiedy to się zaczęło?" A przecież wydawałoby się, że najważniejsze jest tylko to, co trwa teraz, przed samymi oczami. Że pytanie o początek i koniec nie daje żadnej wartościowej wiedzy.

Czasem myślałam, że Marta nie słucha albo jest nieczuła jak ścięte, martwe drzewo, bo w takiej chwili brzęk naczyń, jak oczekiwałam, nie milkł, a jej ruchy nie traciły automatycznej płynności. Wydawała mi się nawet jakaś okrutna, nie raz i nie dwa, jak na przykład wtedy, gdy tuczyła te swoje koguty, a potem zabiła je i zżarła, wszystkie naraz, w ciągu dwóch jesiennych dni.

Nie rozumiałam Marty i teraz jej nie rozumiem, gdy o niej myślę. Ale po co mi rozumienie Marty? Co miałoby mi dać jasne odkrycie motywów jej zachowań, źródeł, z jakich płynęły jej wszystkie opowieści? Co dałaby mi jej biografia, jeżeli w ogóle Marta miała jakąś biografię? Może są ludzie bez biografii, bez przeszłości i bez przyszłości, którzy zjawiają się innym jako wieczne teraz?

Taki-a-Taki

W ciągu kilku następnych wieczorów, zaraz po Teleexpresie, przychodził Taki-a-Taki, nasz sąsiad. R. grzał wino, sypał do niego cynamonu i wrzucał goździki. Taki-a-Taki co wieczór opowiadał zimę, bo zima musi być opowiedziana, żeby mogło przyjść lato. Była to cały czas ta sama historia – o tym, jak powiesił się Marek Marek.

Słyszeliśmy tę opowieść od innych, a wczoraj i przedwczoraj od Takiego-a-Takiego. Ale on zapominał, że ją opowiadał, i zaczynał wszystko od początku. Początkiem było pytanie, dlaczego nie przyjechaliśmy na pogrzeb. Nie mogliśmy przyjechać, bo to było w styczniu. Nie mogliśmy się zebrać do kupy, żeby przyjechać na pogrzeb. Padał śnieg, samochody nie odpalały, rzęziły akumulatory. Droga za Jedliną była zasypana i autobusy stały w rozpaczliwych korkach.

Marek Marek mieszkał w domku z blaszanym dachem. Jego klacz zeszłej jesieni przychodziła do naszego sadu zjadać spadłe jabłka. Wygrzebywała owoce spod nadgniłych liści. Na nas patrzyła obojętnie. R. mówił nawet, że ironicznie.

Taki-a-Taki wracał z Rudy po południu, gdy już zaczęło się ściemniać. Zobaczył, że drzwi domu Marka Marka są przymknięte tak samo, jak były rano, oparł więc rower o ścianę i zajrzał przez okno do środka. Zobaczył go od razu. Ni to wisiał, ni to leżał przy drzwiach, powykręcany i niewątpliwie martwy. Taki-a-Taki przysłonił dłonią oczy, żeby zobaczyć lepiej. Marek Marek miał ciemną, posiniałą twarz i wywalony język. Jego oczy wpatrywały się gdzieś wysoko. „A to głupi ciul", powiedział Taki-a-Taki do siebie, „nawet powiesić się nie umiał".

Wziął rower i poszedł.

Czuł się trochę nieswojo w nocy. Zastanawiał się, czy dusza Marka Marka poszła do nieba, czy do piekła, czy gdzie się tam idzie, jeżeli się w ogóle gdzieś idzie.

Obudził się nagle, gdy było już szaro, i zobaczył go koło pieca. Marek Marek stał i patrzył na niego. Taki-a-Taki zdenerwował się. „Ja cię bardzo proszę, idź sobie stąd. To mój dom. Ty masz swój". Zjawa nie poruszyła się; jej wzrok przekłuwał go na wylot.

„Marek, ja cię proszę, idź stąd”, powtórzył Taki-a-Taki, ale Marek, czy ktokolwiek to teraz był, nie zareagował. Wtedy Taki-a-Taki, pokonując jakiś nagły wstręt do wszelkiego ruchu, wstał z łóżka i wziął do ręki gumowiec. Tak uzbrojony podszedł w stronę pieca. Na jego oczach zjawa znikła. Zamrugał powiekami i wrócił do ciepłej, wygrzanej pościeli.

Rano, gdy szedł po drzewo, znowu zajrzał przez okno do domu Marka. Nic się nie zmieniło, ciało leżało w tej samej pozycji, ale dzisiaj twarz wydawała się ciemniejsza. Cały dzień Taki-a-Taki ściągał z gór drzewo na łozach, które zrobił zeszłego lata. Zwoził pod dom drobne brzózki, które sam mógł ściąć, i grube pnie przewróconych świerków i buków. Składał je do szopy i przygotowywał do cięcia na mniejsze kawałki. Potem nahajcował w piecu, aż rozgrzał blachę do czerwoności. Ugotował szybko zupę kartoflaną sobie i psom, włączył czarno-biały telewizor i jedząc, przyglądał się migającym obrazkom. Nie słyszał ani słowa. Kiedy wchodził do łóżka, przeżegnał się pierwszy raz od kilkudziesięciu lat, może od bierzmowania, a może od ślubu. Ten dawno zapomniany gest nasunął mu myśl. Żeby iść z taką rzeczą do księdza.

Następnego dnia nieśmiało zakręcił się koło plebanii. Spotkał księdza, gdy ten szybkim krokiem, omijając plamy topniejącego śniegu, sunął do kościoła. Taki-a-Taki nie był głupi, nie powiedział nic wprost. „Co by ksiądz zrobił, gdyby księdza nawiedzał jakiś duch?” Tamten spojrzał na niego ze zdziwieniem i zaraz jego wzrok powędrował na dach kościoła – trwał tam nie kończący się remont. „Kazałbym mu odejść”. „A gdyby ten duch był uparty, nie chciałby odejść, to co ksiądz by zrobił?” „We wszystkim trzeba być stanowczym”, odpowiedział ksiądz refleksyjnie i zgrabnie wyminął Takiego-a-Takiego.

I znowu wszystko było jak poprzedniej nocy. Taki-a-Taki obudził się nagle, jakby go ktoś zawołał, usiadł na łóżku i zobaczył Marka Marka stojącego pod piecem. „Wynoś się stąd”, krzyknął. Zjawa nie poruszyła się i Takiemu-a-Takiemu nawet się wydało, że na jej nabrzmiałej, ciemnej twarzy widzi ironiczny uśmiech. „Niech cię szlag trafi, czemu nie dajesz mi spać? Idź sobie”, mówił Taki-a-Taki. Wziął ten gumowiec i nim uzbrojony ruszył w stronę pieca. „Proszę mi stąd iść!”, wrzasnął i duch zniknął.

Trzeciej nocy zjawa już nie przyszła, a czwartego dnia siostra Marka Marka znalazła ciało i narobiła krzyku. Od razu przyjechała policja, owinęła Marka czarną folią i zabrała go. Przepytywali Takiego-a-Takiego, gdzie był i co robił. Powiedział, że nie zauważył niczego dziwnego. Powiedział też, że jak ktoś pije jak Marek Marek, prędzej czy później to się tak skończy. Zgodzili się z nim i poszli.

Taki-a-Taki wziął rower i powlókł się do Rudy. W restauracji „Lido" postawił przed sobą kufel piwa i sączył go powoli łyczek po łyczku. Z tego wszystkiego, co czuł, najwyraźniejsza była ulga.

Radio Nowa Ruda

Lokalne Radio Nowa Ruda nadawało codziennie przez dwanaście godzin. Głównie muzykę. O pełnych godzinach były wiadomości krajowe, a o wpół do – lokalne. Poza tym codziennie przeprowadzano konkurs. Wygrywał go prawie zawsze ten sam człowiek o nazwisku Wadera. Musiał mieć ogromną wiedzę, wiedział rzeczy niemożliwe do odgadnięcia. Obiecywałam sobie, że w końcu dowiem się, kim jest pan Wadera, gdzie mieszka i skąd to wszystko wie. Przejdę górami do Nowej Rudy, żeby zapytać go o coś ważnego, sama nie wiem o co. Wyobrażałam sobie, jak od niechcenia podnosił codziennie słuchawkę i mówił: „Tak, znam odpowiedź, chodzi o canis lupus, największego przedstawiciela psowatych", albo: „ Szkliwo, którym pokrywa się dachówki ceramiczne przed wypaleniem, nazywa się angoba", albo: „Za nauczycieli Pitagorasa uważa się Ferekydesa, Hermodamasa oraz Archemanesa". I tak codziennie. Nagrodą były książki od miejscowego hurtownika. Pan Wadera musiał mieć potężną bibliotekę.

Kiedyś usłyszałam, jak przed zadaniem konkursowego pytania spiker powiedział łamiącym się głosem: „Panie Wadera, niech pan do nas dzisiaj nie dzwoni".

Między dwunastą a pierwszą miły kobiecy głos czytał powieść w odcinkach i nie dało się jej nie słuchać, wszyscy musieliśmy słuchać

każdej powieści, ponieważ była to pora przygotowań do obiadu i wtedy zwykle obieraliśmy ziemniaki albo kleili pierogi. W ten sposób miałam przez cały kwiecień „Annę Kareninę".

„– Kocha inną kobietę, nie ma żadnej wątpliwości – zdecydowała, wchodząc do swego pokoju. – Pragnę miłości, a tej miłości nie ma. A zatem wszystko skończone. Trzeba z tym zrobić koniec.

– Ale jak? – zadała sobie pytanie i osunęła się na fotel przed lustrem".

Czasem w południe przychodziła Marta i odruchowo brała się do jakiejś pomocy. Na przykład kroiła marchew w drobną kostkę.

Marta słuchała spokojnie, z powagą, ale nigdy nie powiedziała nic na temat „Anny Kareniny", ani żadnej innej czytanej powieści. Miałam nawet podejrzenie, że ona wcale nie rozumie takich opowieści złożonych z dialogów, a czytanych jednym głosem, że wsłuchuje się tylko w pojedyncze słowa, samą melodię języka.

Ludzie w wieku Marty chorują na miażdżycę i alzheimera. Kiedyś pieliłam w ogródku i z drugiej strony domu zawołał mnie R. Nie zdążyłam odpowiedzieć.

– Czy ona tam jest? – zapytał Martę, która stała tak, że widziała nas oboje. Spojrzała na mnie i odkrzyknęła mu:

– Nie ma jej tutaj.

Potem spokojnie odwróciła się i poszła do domu.

– Dlaczego Taki-a-Taki widzi duchy, a ja nie? – zapytałam kiedyś Martę. Marta powiedziała, że dlatego, bo jest w środku pusty. Zrozumiałam to wtedy jako bezmyślność i prostotę. Człowiek pełny w środku wydał mi się bardziej wartościowy niż pusty.

Potem myłam podłogę w kuchni i nagle pojęłam, co chciała mi powiedzieć Marta. Bo Taki-a-Taki jest jednym z tych ludzi, którzy wyobrażają sobie Boga tak, jakby on stał tam, a oni tu. Taki-a-Taki wszystko widzi na zewnątrz siebie, nawet siebie widzi na zewnątrz siebie, ogląda siebie, jakby oglądał fotografię. Z sobą obcuje tylko w lustrach. Kiedy jest zajęty, kiedy na przykład składa te swoje filigranowe sanie, to w ogóle przestaje dla siebie być, ponieważ myśli o saniach, a nie o sobie. Sam dla siebie nie jest ciekawą rzeczą do myślenia. Dopiero kiedy ubiera się, żeby ruszyć w swoją codzienną pielgrzymkę do Nowej Rudy po paczkę

papierosów i tabletki z krzyżykiem, gdy widzi siebie już gotowego w lusterku, wtedy myśli o sobie „on”. Nigdy „ja”. Widzi siebie tylko oczami innych, dlatego tak ważny staje się wygląd, nowa bistorowa kurtka, kremowa koszula, której jasny kołnierzyk stanowi kontrast dla ogorzałej twarzy. Dlatego nawet dla siebie Taki-a-Taki jest na zewnątrz. Nie ma w środku Takiego-a-Takiego nic, co by patrzyło od środka, więc nie ma refleksji. Wtedy widzi się duchy.

Marek Marek

Było coś pięknego w tym dziecku – tak wszyscy mówili. Marek Marek miał prawie białe włosy i anielską twarz. Starsze siostry go ukochały. Woziły go w poniemieckim wózku po górskich dróżkach i bawiły się nim jak lalką. Matka nie chciała go przestać karmić piersią; gdy ją ssał, niejasno marzyła, że dla niego cała mogłaby się zamienić w mleko i wypłynąć z siebie własnym sutkiem, to byłoby lepsze niż cała jej przyszłość jako Markowej. Ale Marek Marek urósł i przestał szukać jej piersi. Znalazł je za to stary Marek i zrobił jej jeszcze kilkoro dzieci.

A mały Marek Marek, mimo że taki śliczny, był niejadkiem, a w nocy płakał. Może dlatego nie lubił go własny ojciec. Gdy wracał pijany, to od Marka Marka zaczynał bicie. Gdy matka stawała w jego obronie, walił ją, gdzie popadło, aż w końcu wszyscy uciekali w góry i zostawiali ojcu cały dom, a ten potrafił go szczelnie wypełnić swoim chrapaniem. Starszym siostrom było żal brata, więc szybko nauczyły go chować się na umówiony sygnał i od piątego roku życia Marek Marek przesiedział większość wieczorów w piwnicy. Tam płakał sobie bezgłośnie, bezszelestnie, bez łez.

Tam też zrozumiał, że to, co go boli, nie pochodzi z zewnątrz, ale z wewnątrz i nie ma związku z pijanym ojcem czy piersią matki. Boli samo z siebie z tej samej przyczyny, dla której rano wschodzi słońce, a nocą gwiazdy. Boli. Nie wiedział jeszcze, co to jest, ale czasem wydawało mu się, że pamięta mgliście jakieś ciepłe, gorące światło, które topi i rozpuszcza cały świat. Skąd, nie wiedział. Z dzieciństwa zapamiętał mrok, wieczny

zmierzch. Pociemniałe niebo, świat zanurzony w rozmytej ciemności, smutek i chłód wieczorów bez początku i końca. Zapamiętał też dzień, kiedy do wsi doprowadzono elektryczność. Słupy, które maszerowały przez góry od sąsiedniej wioski, wydawały mu się filarami ogromnego kościoła.

Marek Marek był pierwszą i jedyną osobą z osady, która zapisała się do gromadzkiej biblioteki w Nowej Rudzie. Potem chował się przed ojcem z książką, miał przez to dużo czasu na czytanie.

Biblioteka w Nowej Rudzie mieściła się w budynku dawnego browaru i wciąż wszystko pachniało tu chmielem i piwem, ściany, podłogi i stropy były przesiąknięte tym kwaśnym zapachem. Nawet kartki książek cuchnęły, jakby rozlano na nie piwo. Marek Marek polubił ten zapach. Upił się pierwszy raz w życiu, gdy miał piętnaście lat. Było mu dobrze; zupełnie zapomniał o mroku, nie widział już różnicy między jasnym a ciemnym. Ciało stało się powolne i nie słuchało go – to też mu się podobało. Jakby mógł wyjść poza ciało i żyć sobie obok, nie myśląc, nie czując.

Starsze siostry powychodziły za mąż i znikły z domu. Jeden młodszy brat zabił się niewypałem. Inny był w szkole specjalnej w Kłodzku, więc stary Marek nadal miał do bicia Marka Marka. Że nie zamknął kur, że za wysoko skosił trawę, że urwał oskę od młocarni, ale gdy Marek Marek miał ze dwadzieścia lat, po raz pierwszy oddał ojcu i od tej pory bili się już regularnie. W tym samym czasie Marek Marek, gdy nie wiedział, co z sobą zrobić i nie miał za co pić, czytał Stachurę. Właściwie to specjalnie dla niego panie z biblioteki kupiły dzieła zebrane w niebieskich okładkach, które udawały dżins.

Wciąż był taki ładny. Miał jasne włosy do ramion i gładką dziecięcą twarz. I bardzo jasne oczy, nawet wyblakłe, jakby straciły kolor, wypatrując światła na ciemnych strychach, jakby zmęczyły się czytaniem tomów w niebieskich okładkach. Ale kobiety bały się go. Z jedną wyszedł przed remizę w czasie dyskoteki i nagle pociągnął ją w czarny bez i zdarł z niej bluzkę. Dobrze, że krzyczała, wyskoczyli inni i obili mu mordę. A on się jej podobał, tylko chyba nie wiedział, jak się rozmawia z kobietą. Albo kiedyś upił się i poharatał nożem znajomego swojej znajomej, jakby miał do niej absolutne prawo, jakby miał prawo nożem bronić własnych praw. Potem w domu płakał.

Pił i lubił ten stan, kiedy nogi same niosą drogą przez góry, a cały środek, a więc i cały ból w środku, jest wyłączony, jakby się pstryknęło wyłącznikiem i nagle zapadła ciemność. Lubił siedzieć w knajpie „Lido", w gwarze i dymie, a potem nagle znaleźć się, nie wiadomo jak, w polu kwitnącego lnu i leżeć tam do rana. Umierać. Albo pić w „Jubilatce", a potem nagle iść serpentynami szosy w stronę wsi, mieć zakrwawioną twarz i wybity ząb. Być tylko połowicznie, nieprzytomnie. Łagodnie nie być. Rano wstać i poczuć ból głowy, przynajmniej wiadomo, co boli. Poczuć pragnienie i móc je ugasić.

Marek Marek w końcu dopadł swego ojca. Tłukł nim tak długo o kamienną ławkę, że połamał mu żebra, a stary zemdlał. Przyjechała policja, zawiozła go na izbę wytrzeźwień, potem przetrzymała w areszcie i tam nie było co pić.

Wtedy Marek Marek, między falami bólu głowy, w kacowym półśnie przypomniał sobie, że kiedyś, na samym początku spadał. Że kiedyś był wysoko, a teraz jest nisko. Ruch w dół i przerażenie, nawet więcej niż przerażenie. Nie było na to słowa. Głupie ciało Marka Marka bezmyślnie przejęło ten lęk i teraz dygotało, a serce waliło, jakby się miało urwać. Ale ciało Marka Marka nie wiedziało, co bierze na siebie – taki lęk mogła znieść tylko nieśmiertelna dusza. Ciało udławiło się nim, skurczyło w sobie i trzepało się po ścianach małej celi, toczyło pianę. „Niech cię szlag, Marek", krzyczeli strażnicy. Przygnietli go do ziemi, związali i dali zastrzyk.

Trafił na odwyk. Snuł się razem z innymi wyblakłymi piżamami po szerokich korytarzach i krętych schodach szpitala. Karnie ustawiał się w kolejce po leki. Łykał anticol, jak komunię. Patrzył w okno i wtedy po raz pierwszy pomyślał, że jego celem jest umrzeć jak najszybciej, uwolnić się z tego rozmemłanego kraju, z tej rudoszarej ziemi, z tego przegrzanego szpitala, ze spranej piżamy, z zatrutego ciała. I odtąd już każda myśl służyła mu do tego – żeby wynajdywać wszystkie możliwe śmierci.

W nocy, pod prysznicem podciął sobie żyły. Biała skóra na przedramieniu rozstąpiła się i ukazało się wnętrze Marka Marka. Było czerwone, mięsiste, jak świeża wołowina. Zanim zemdlał, poczuł się zaskoczony, bo, nie wiadomo dlaczego, myślał, że zobaczy tam światło.

Oczywiście zamknęli go w izolatce, narobili szumu i pobyt w szpitalu przedłużył się. Spędził tam całą zimę, a kiedy wrócił do domu, okazało się, że jego rodzice przenieśli się do córki w mieście i teraz był sam. Zostawili mu konia i tym koniem ściągał z lasu drzewo, ciął je i sprzedawał innym. Zarabiał pieniądze, więc znowu mógł pić.

Miał w sobie ptaka – tak to czuł. Ale to jego ptaszysko było dziwne, niematerialne, nienazywalne i nie bardziej ptasie niż on sam. Ciągnęło go do rzeczy, których nie rozumiał i których się bał: do pytań, na które nie było odpowiedzi, do ludzi, przed którymi zawsze czuł się nie w porządku, do tego, żeby uklęknąć i nagle w rozpaczy zacząć się modlić, nawet nie prosić o cokolwiek, ale po prostu mówić, mówić, mówić w nadziei, że ktoś go słucha. Nienawidził tego stworzenia w sobie, bo przysparzało mu tylko bólu. Gdyby nie ono, piłby sobie spokojnie i siedział przed domem, i patrzył na górę, która rosła przed jego domem. A potem trzeźwiałby i leczył kaca klinem, potem upijałby się znowu bez żadnych myśli, bez winy, bez postanowień. To ptaszysko musiało mieć skrzydła. Czasem waliło nimi na oślep wewnątrz jego ciała, trzepotało na uwięzi, ale wiedział, że ma spętane nogi, może nawet przywiązane do czegoś ciężkiego, bo nigdy nie mogło odlecieć. Mój Boże, myślał, choć wcale w Boga nie wierzył, czemu tak się męczę z tym czymś w środku. Tego zwierzęcia nie imał się żaden alkohol, zawsze pozostawało boleśnie świadome, pamiętało wszystko, co Marek Marek robił, co stracił, co zaprzepaścił, co minął, czego nie dopatrzył, co przeszło mimo. „Kurwa – bełkotał po pijanemu Takiemu-a-Takiemu – czemu ono mnie tak męczy, czemu we mnie siedzi", ale Taki-a-Taki był głuchy i nic nie rozumiał. Mówił: „Ukradłeś mi nowe skarpetki. Suszyły się na sznurku".

To ptaszysko w Marku Marku miało skrzydła, spętane nogi i przerażone oczy. Marek Marek przypuszczał, że było w nim uwięzione. Ktoś je w nim uwięził, choć zupełnie nie rozumiał, jak to możliwe. Czasem, gdy się zamyślał, spotykał w sobie ten straszny wzrok i słyszał zwierzęcy, rozpaczliwy lament. Wtedy zrywał się i biegł przed siebie na oślep, w górę, w zagajniki brzóz, w leśne drogi. A biegnąc, przyglądał się gałęziom – która wytrzymałaby ciężar jego ciała. Ptaszysko krzyczało w nim: „Wypuść mnie, uwolnij z siebie, nie należę do ciebie, jestem skądinąd".

Najpierw Marek Marek myślał, że to gołąb, taki jakie hodował jego ojciec. Nienawidził gołębi, ich okrągłych, pustych oczek, ich uporczywego dreptania, ich płochliwego lotu o zmiennym kierunku. Kiedy już zupełnie nie było co jeść, ojciec kazał mu się wczołgiwać do gołębnika i wybierać ogłupiałe, spokojne ptaki. Podawał je ojcu pojedynczo, trzymając w obu rękach, a ojciec zgrabnym ruchem ukręcał im główki. Nienawidził tego ich umierania. Umierały jak rzeczy, jak przedmioty. Tak samo nienawidził ojca. Lecz kiedyś zobaczył przy stawie Frostów innego ptaka; wyskoczył mu spod nóg i ciężko wzbił się ponad krzaki, drzewa i całą dolinę. Był wielki i czarny. Tylko dziób miał czerwony i długie nogi. Ptak krzyknął przenikliwie i powietrze falowało przez chwilę od jego skrzydeł.

To ptaszysko w nim było więc czarnym bocianem, tyle że miało spętane czerwone nogi i poszarpane skrzydła. Krzyczało i trzepotało. Budził się w nocy, słysząc ten krzyk w sobie, krzyk straszny, piekielny. Siadał w łóżku i bał się. Było już jasne, że nie uśnie do rana. Poduszka śmierdziała wilgocią i rzygowinami. Wstawał, szukał czegoś do wypicia. Czasem zostało coś na dnie wczorajszej butelki, czasem nie. Było za wcześnie, żeby pójść do sklepu. Było za wcześnie, żeby żyć, więc tylko chodził od ściany do ściany i umierał.

Kiedy był trzeźwy, czuł ptaszysko w całym sobie. Tuż pod skórą. Chwilami nawet zdawało mu się, że to on jest tym ptakiem, i wtedy cierpieli razem. Każda myśl, która muskała przeszłość lub wątpliwą przyszłość – bolała. Z tego bólu Marek Marek nie mógł dokończyć żadnej myśli, musiał je zamazywać i rozpraszać, żeby przestały coś znaczyć. Kiedy myślał o sobie, jaki był – bolało. Kiedy myślał o sobie, jaki jest teraz – bolało jeszcze bardziej. Kiedy myślał, jaki będzie, co się z nim stanie – ból był nie do zniesienia. Kiedy myślał o domu, widział natychmiast spróchniałe belki, które runą lada dzień. Kiedy myślał o polu, pamiętał, że go nie obsiał. Kiedy myślał o ojcu, wiedział, że go zbił. Kiedy myślał o siostrze, pamiętał, że jej ukradł pieniądze. Kiedy myślał o ukochanej klaczy, przypominał sobie, jak ją po wytrzeźwieniu znalazł nieżywą z ledwie co urodzonym źrebakiem.

Ale kiedy pił, było lepiej. Nie dlatego, że razem z nim piło ptaszysko. Nie, ptaszysko nigdy się nie upijało, nigdy nie spało. Pijane ciało i pijane myśli Marka Marka nie zwracały uwagi na szamotania ptaka. Więc musiał pić.

Próbował sobie kiedyś narobić wina; ze złością rwał porzeczki, miał ich cały sad, i drżącymi rękami wrzucał je do butli. Odżałował pieniądze i kupił cukru, potem postawił bombonę na strychu w cieple. Cieszył się, że będzie miał swoje wino, że kiedy zacznie go suszyć, pójdzie sobie na strych, wsadzi rurkę i napije się wprost z butli. Ale sam nie wiedział kiedy wypił wszystko, zanim dobrze sfermentowało. Potem nawet przeżuł moszcz. Dawno sprzedał telewizor i radio, i magnetofon. I tak nie mógł niczego słuchać – w uszach miał zawsze trzepot skrzydeł. Sprzedał szafę z lustrem, dywanik, brony, rower, garnitur, lodówkę, święte obrazy z Chrystusem w koronie cierniowej i Matką Boską z sercem na wierzchu, konewkę do podlewania, taczki, snopowiązałkę, przewracarkę do siana, wóz na gumowych kołach, talerze, garnki, siano i nawet znalazł się kupiec na gnój. Potem Marek Marek chodził po ruinach poniemieckich domów i wynajdywał w trawie kamienne koryta. Sprzedawał je facetowi, który woził je do Niemiec. Sprzedałby ten walący się dom w cholerę, ale nie mógł. Wciąż należał do ojca.

Najpiękniejsze były te dni, gdy jakimś cudem udało mu się zachować do rana trochę alkoholu, tak że po przebudzeniu, nawet nie wstając z łóżka, mógł sobie od razu golnąć. Robiło mu się błogo, ale starał się nie zasnąć, żeby nie stracić tego stanu. Wstawał zakręcony i siadał na ławce przed domem. Zawsze prędzej czy później mijał go Taki-a-Taki, który szedł do Rudy, prowadząc swój rower. „Ty głupi stary włóczęgo", mówił do niego Marek Marek i podnosił chwiejną rękę na powitanie. Tamten obdarzał go bezzębnym uśmiechem. Te skarpetki znalazły się. Wiatr je zwiał i rzucił w trawę.

W listopadzie Taki-a-Taki przywiózł mu czarnego szczeniaka. „Masz – powiedział – niech ci się nie smuci po Dianie. To była piękna klacz". Marek Marek wziął psa najpierw do domu, ale wkurwił się, bo mu pies lał na podłogę. Wystawił więc na zewnątrz starą wannę, przewrócił ją do góry dnem i oparł na dwóch kamieniach. Do ziemi wbił zaczep i łańcuchem przywiązał do niego szczeniaka. Taką miał zmyślną budę. Pies najpierw skomlał i wył, ale w końcu się przyzwyczaił. Merdał na Marka Marka ogonem, kiedy ten mu wynosił żarcie. Z tym psem było mu jakby lepiej i ptaszysko się w nim trochę uspokoiło. Co z tego, kiedy w grudniu spadł śnieg i którejś nocy przyszedł taki mróz, że pies zamarzł. Znalazł go rano

przysypanego śniegiem. Wyglądał jak kupa wyrzuconych szmat. Marek Marek poruszył go nogą – był całkiem sztywny.

Na Wigilię zaprosiła go siostra, ale się z nią zaraz pokłócił, bo nie chciała dać wódki do kolacji. „Co to, kurwa, za Wigilia bez wódki", powiedział do szwagra. Ubrał się i wyszedł. Ludzie szli już na pasterkę, żeby zająć sobie dobre miejsca w kościele. Kręcił się koło kościoła, wypatrując w ciemnościach znajomych twarzy. Zaczepił Takiego-a-Takiego. Nawet on przytelepał się przez śnieg do wsi. „Ale zima", powiedział Taki-a-Taki, uśmiechnął się szeroko i klepnął Marka w plecy. „Odwal się, ty stary durniu", odpowiedział mu Marek Marek. „Tak, tak", pokiwał głową Taki-a-Taki i wszedł do kościoła. Ludzie mijali Marka Marka i odkłaniali mu się chłodno. Otrzepywali w sieni kościoła buty i szli dalej. Zapalił papierosa, słyszał trzepot dziurawych skrzydeł. W końcu rozdzwoniły się dzwonki, ludzie uciszyli się i rozległ się głos księdza, zniekształcony przez mikrofon. Marek wszedł do sieni i opuszkami palców dotknął zimnej powierzchni święconej wody, ale się nie przeżegnał. Za chwilę zrobiło mu się niedobrze od smrodu parujących futer i świątecznych płaszczy powyciąganych Bóg wie skąd. Przyszedł mu do głowy pomysł. Przecisnął się z powrotem przez sień i wyszedł na zewnątrz. Śnieg walił, jakby chciał zatrzeć wszystkie ślady. Marek Marek poszedł prosto do sklepu. Po drodze zajrzał do komórki siostry i wziął z niej kilof. Tym kilofem wyłamał drzwi i wszystkie kieszenie wypychał butelkami wódki. Wkładał je za pazuchę i w spodnie. Chciało mu się śmiać. „Gówno coś znajdą", powiedział do siebie i całą noc przelewał wódkę do zbiornika na wodę przy piecu. Butelki wrzucił do studni.

To były najpiękniejsze święta w jego życiu. Kiedy tylko trochę przetrzeźwiał, klękał przed zbiornikiem i odkręcał kurek. Otwierał usta i wódka lała mu się prosto z nieba.

Zaraz po świętach zaczęła się odwilż; śnieg zamienił się w niemiły deszcz i świat wokół przypominał nasiąknięty wodą szary grzyb. Skończyła się też wódka. Marek Marek nie podnosił się z łóżka, było mu zimno i wszystko go bolało. Cały czas myślał, gdzie mógłby znaleźć trochę alkoholu. W głowie urodziła mu się myśl, że pani Marta może mieć wino. Jej dom stoi zimą pusty, bo ona na zimę gdzieś wyjeżdża. W wyobraźni widział jej kuchnię i butelki z domowym winem stojące pod stołem, choć

przecież wiedział, że pani Marta nigdy nie robiła wina. A może robiła, może tego roku akurat zrobiła wino z porzeczek czy śliwek i schowała je pod stołem. A niech ją szlag trafi, pomyślał i wygramolił się z łóżka. Szedł chwiejnie, bo nie jadł od kilku dni, a głowa bolała go tak, jakby miała się rozpaść.

Drzwi były zamknięte. Otworzył je kopniakiem. Wilgotnie, nieprzyjemnie zaskrzypiały zawiasy. Markowi Markowi zrobiło się niedobrze. Kuchnia wyglądała tak, jakby ją pani Marta zostawiła wczoraj. Stół był przykryty kraciastą ceratą, która sięgała do podłogi. Leżał na nim duży nóż do chleba. Marek Marek zajrzał szybko pod stół i ze zdziwieniem zobaczył, że nic tam nie ma. Zaczął więc szperać po szafkach, zajrzał do pieca, do kosza na drzewo, do komody, gdzie w równych stosach leżała pościel. Wszystko cuchnęło zimową wilgocią – śniegiem, mokrym drzewem, metalem. Zaglądał teraz wszędzie, obmacał materac i pierzynę, włożył nawet rękę do starych gumowców. Miał wizję – widział, jak Marta jesienią, przed wyjazdem upycha butelki swojskiego wina. Tylko nie widział gdzie. „Głupia stara kurwa", powiedział i rozpłakał się. Usiadł przy stole i podparł głowę rękami, jego łzy spadały na ceratę i obmywały mysie bobki. Popatrzył na nóż.

Kiedy wychodził, podparł drzwi drewnianym kołkiem, bo lubił panią Martę. Nie chciał, żeby śnieg dostał się do jej kuchni. Tego samego dnia przyjechała do niego policja. „I tak wiemy, że to ty", powiedzieli. I dodali, że jeszcze tu wrócą.

Marek Marek położył się znowu. Było mu zimno, ale wiedział, że nie utrzymałby siekiery w ręku. Ptak trzepotał w nim i od tego trzepotania ciało Marka Marka drżało.

Zmierzch zapadł nagle, jakby na zewnątrz ktoś zgasił światło. Marznący w powietrzu deszcz uderzał o szyby równomiernymi falami. Gdybym chociaż miał telewizor, pomyślał Marek Marek, leżąc na wznak. Nie mógł spać; kilka razy wstawał w nocy i pił wodę z wiadra; była zimna, straszna. Jego ciało zamieniało ją w łzy, które same zaczęły płynąć wieczorem i płynęły do rana. Zalewały mu uszy i łaskotały w szyję. Nad ranem przysnął na chwilę, a kiedy się obudził, jego pierwszą myślą było, że nie ma już wódki w zbiorniku na wodę.

Wstał i odlał się do garnka. Zaczął szukać po szufladach sznurka, ale że nie znalazł, zerwał zasłonkę ze starego, wyblakłego kretonu i wyciągnął z niej kabel, na którym wisiała. Zobaczył za oknem Takiego-a-Takiego, jak pchał ten swój rower do Rudy. Markowi Markowi zrobiło się nagle błogo; deszcz na zewnątrz wreszcie ucichł i szare zimowe światło lało się wszystkimi oknami do wnętrza. Ptaszysko też ucichło, może już zdechło. Marek Marek zrobił pętlę z kabla i przywiązał ją do haka przy drzwiach, na którym kiedyś matka wieszała patelnie. Chciało mu się palić i jeszcze raz zaczął szukać papierosa. Słyszał szeleszczenie każdego papierka, trzeszczenie podłogi, drobne uderzenia o deski, gdy rozsypał jakieś tabletki. Nie znalazł. Podszedł więc prosto do haka, założył sobie pętlę na szyję i osunął się na podłogę. Poczuł ogromny, niesprawiedliwy ból w karku. Chwilę kabel prężył się, a potem zwiotczał i zsunął się z haka. Marek Marek upadł na ziemię. Nie rozumiał, co się stało. Ból promieniował po całym ciele, ptaszysko znowu zaczęło krzyczeć. „Żyłem jak świnia i umrę jak świnia", powiedział Marek Marek na głos i w pustym domu brzmiało to jak zaproszenie do rozmowy. Ręce mu drżały, gdy jeszcze raz przywiązywał kabel do haka – plótł go w węzły, motał i skręcał. Pętla była teraz dużo wyżej niż przedtem, nie tak wysoko, żeby potrzebował krzesła, i nie tak nisko, żeby mógł usiąść. Przełożył pętlę przez głowę, chwilę kołysał się na piętach w przód i w tył, a potem nagle rzucił się na ziemię. Tym razem ból był tak silny, że go zamroczył. Jego usta łapały powietrze, a nogi rozpaczliwie poszukiwały oparcia, choć wcale tego nie chciał. Szamotał się, zdziwiony tym, co się dzieje, aż nagle, w jednej chwili ogarnęło go tak wielkie przerażenie, że się zsikał. Patrzył na swoje stopy w podartych skarpetkach, jak wierzgały, ślizgając się w kałuży moczu. Zrobię to jutro, pomyślał jeszcze z nadzieją, ale nie mógł już znaleźć oparcia dla ciała. Rzucił się jeszcze w przód i próbował podeprzeć się rękami, ale w tym samym momencie usłyszał w głowie trzask; to był huk, wystrzał, wybuch. Chciał złapać się ściany, ale jego ręka zostawiła na niej tylko brudny, wilgotny ślad. Znieruchomiał, bo jeszcze miał nadzieję, że wszystko, co złe, przejdzie bokiem i nie zauważy go. Wlepił oczy w okno i jakaś niewyraźna, zanikająca myśl przyszła mu do głowy: że Taki-a-Taki wróci. Potem jasny prostokąt okna zniknął.

Sny

W zeszłym roku dałam ogłoszenie do „Giełdy Dolnośląskiej", że zbieram sny, ale szybko się rozczarowałam, bo ludzie próbowali mi je sprzedawać. „Umówmy się na cenę", pisali, „Proponuję 20 złotych za sen. To uczciwa cena". Więc zrezygnowałam; zbankrutowałabym na cudzych snach. Bałabym się, że zmyślaliby je dla pieniędzy. Sny ze swej natury nie mają nic wspólnego z pieniędzmi.

Znalazłam za to stronę w internecie, gdzie ludzie zapisują swoje sny sami z siebie, za darmo. Co rano pojawiają się tam nowe kawałki, w różnych językach. Zapisują swoje sny dla innych, dla różnojęzycznych obcych ludzi, z przyczyn, których właściwie nie rozumiem. Może chęć opowiadania własnych snów jest równie silna jak głód. Może nawet silniejsza dla tych, którzy jeszcze przed śniadaniem, zaraz po przebudzeniu włączają komputer i piszą: „Śniło mi się...". Potem odważyłam się i ja – dopisałam na początek mały sen, zupełnie znikomy. To był mój bilet, żeby mieć prawo czytać tamte, cudze. I weszło mi w nawyk to poranne otwieranie komputerowych światów, zimowe, gdy jest jeszcze ciemno i parzy się kawa w kuchni; i letnie, kiedy okna pełne są już słońca, drzwi z sieni otwarte na taras, a suki wróciły już z obchodu swojego terytorium.

Jeżeli robi się to regularnie, jeżeli czyta się uważnie dziesiątki, a nawet setki cudzych snów każdego ranka, zauważy się z łatwością, że zawsze jest między nimi jakieś podobieństwo. Zastanawiam się od dawna, czy inni też to dostrzegają. Są noce ucieczek, noce wojen, noce niemowląt, noce podejrzanych miłości. Noce błądzenia w labiryntach – hoteli, dworców, akademików, własnych mieszkań. Albo noce otwierania drzwi, pudełek, kufrów, szaf. Albo noce podróży, kiedy śniący ocierają się o dworce, lotniska, pociągi, autostrady, przydrożne motele, gubią walizki, czekają na bilet, martwią się, że nie zdążą na przesiadki. Co rano można by te sny nizać na sznurek jak paciorki i wyszedłby z tego sensowny układ, naszyjnik niepowtarzalny, ale sam w sobie pełny i piękny. Od tych powtarzających się najczęściej motywów można by się odważyć nadać nocom tytuły. „Noc karmienia tego, co słabsze i ułomne". „Noc rzeczy, które spadają z nieba". „Noc dziwnych zwierząt". „Noc dostawania listów". „Noc, w której gubi się

cenne przedmioty". Może to mało, może powinno się od snów w nocy nazywać dni. Albo całe miesiące, może nawet lata, epoki, w których ludziom śni się podobnie, w równym rytmie, który przestaje być wyczuwalny, gdy świeci słońce.

Gdyby ktoś potrafił zbadać to, co ja tylko oglądam, gdyby zliczył senne postaci, obrazy, emocje, wypreparował z tego motywy, włączył w to statystykę z tymi wszystkimi testami korelacji, które działają jak magiczny klej, łącząc ze sobą rzeczy, wydawałoby się, niemożliwe do połączenia, może znalazłby w tym jakiś sens podobny do wzoru, w jaki tutaj, w tym świecie, działa giełda czy funkcjonują wielkie lotniska – mapa subtelnych połączeń albo sztywnych rozkładów. Nieobliczalnych przeczuć i starannych algorytmów.

Często prosiłam Martę, żeby opowiedziała mi swój sen. Wzruszała ramionami. Myślę, że jej nie obchodziły. Myślę, że nawet kiedy sny przychodziły do niej w nocy, nie pozwalała sobie ich zapamiętać. Ścierała je jak rozlane mleko ze swojej ceraty w wielkie poziomki. Wyżymała ścierkę. Wietrzyła swoją niską kuchnię. Zatrzymywała wzrok na pelargoniach; rozcierała w palcach ich liście, a cierpki zapach na zawsze tłumił, cokolwiek tam działo się w nocy. Dałabym wiele, żeby poznać choć jeden sen Marty.

Marta opowiadała za to cudze sny. Nigdy jej nie zapytałam, skąd o nich wie. Może zmyślała je, tak samo jak te swoje opowieści. Robiła z cudzych snów użytek, tak samo jak z cudzych włosów preparowała peruki. Gdy jechałyśmy gdzieś razem, do Kłodzka czy do Nowej Rudy, i gdy czekała na mnie w samochodzie przed bankiem, patrzyła na ludzi przez okna. Potem, w samochodzie, grzebiąc w reklamówkach z zakupami, zawsze tak jakoś od niechcenia zaczynała coś opowiadać. Na przykład cudze sny.

Nigdy nie byłam pewna, czy istnieje granica między tym, co Marta mówi, a tym, co ja słyszę. Ponieważ nie potrafię tego oddzielić od niej, ode mnie, od tego, co obie wiemy, a czego nie, od tego, co mówiło rano radio Nowa Ruda, co pisały gazety w sobotnio-niedzielnych wydaniach z programem TV, od pory dnia i nawet od tego, jak słońce oświetla w dolinach mijane wsie.

Dzień samochodów

Znaleźliśmy w lesie samochód. Był do tego stopnia niewidoczny, że weszliśmy na jego długą, zasypaną świerkowymi igłami maskę. Na przednim siedzeniu rosła brzózka, kierownicę porastał wiecheć bluszczu. R. powiedział, że to jest dekawka: on zna się na samochodach. Karoseria była kompletnie skorodowana, a koła tkwiły do połowy w leśnej ściółce. Gdy próbowałam otworzyć drzwi od strony kierowcy, w ręku została mi klamka. Na skórzanej tapicerce rosły żółte grzyby i kaskadami spływały aż do dziurawej podłogi. Nie powiedzieliśmy o tym znalezisku nikomu.

Wieczorem z lasu od strony granicy wyjechał inny samochód – czerwona, elegancka toyota na szwajcarskiej rejestracji. W karminowym lakierze na chwilę odbiło się zachodzące słońce. Zjeżdżała w dolinę z wyłączonym silnikiem. W nocy podnieceni wopiści z latarkami podążyli jej śladem.

Rano w internecie pojawiły się sny o samochodach.

Amos

Krysia z Banku Spółdzielczego w Nowej Rudzie miała sen. To było wczesną wiosną sześćdziesiątego dziewiątego roku.

Śniło jej się, że słyszy głosy w swoim lewym uchu. Najpierw to był głos kobiecy, który mówił i mówił, ale Krysia nie wiedziała co. Zmartwiła się w tym śnie. „Jak będę mogła pracować, gdy wciąż ktoś mi będzie brzęczał w uchu?" Myślała w tym śnie, że taki głos można wyłączyć, tak jak wyłącza się radio albo odkłada słuchawkę telefonu. Ale nie można było. Źródło dźwięku tkwiło głęboko w uchu, gdzieś w tych pokrętnych korytarzykach, pełnych bębenków i spiral, w labiryntach podmokłych błon, ciemnych jaskiniach wnętrza. Nie tłumiło go grzebanie palcem ani zatykanie uszu dłońmi. Krysi wydawało się, że cały świat musi słyszeć ten hałas. Może zresztą tak było – cały świat wibrował od głosu. Powtarzały się wciąż jakieś

zdania, gramatycznie całkiem poprawne, pięknie brzmiące frazy, lecz nie miały sensu, udawały tylko ludzką mowę. Krysia bała się ich. A zaraz potem odezwał się w uchu Krysi inny głos, męski, przyjemny i czysty. Miło było z nim rozmawiać. „Mam na imię Amos", powiedział. Zapytał o jej pracę, o zdrowie rodziców, ale w gruncie rzeczy – takie miała wrażenie – wcale to nie było mu potrzebne; wiedział o niej wszystko. „Gdzie ty jesteś?", zapytała go niepewnie. „W Mariandzie", odpowiedział, a ona wiedziała, że jest taki region w centralnej Polsce. „Dlaczego słyszę cię w moim uchu?", chciała jeszcze wiedzieć. „Jesteś niezwykłą osobą i pokochałem cię. Kocham cię". To samo działo się jeszcze trzy, cztery razy. Ten sam sen.

Rano piła kawę wśród bankowych papierów. Na dworze padał mokry śnieg i zaraz topniał. Wilgoć przenikała nawet do ogrzewanych biur Banku, okupowała płaszcze na wieszakach, damskie torebki ze skaju, kozaczki i interesantów. I tego niezwykłego dnia Krysia Popłoch, szefowa działu kredytów, zrozumiała, że po raz pierwszy w życiu jest totalnie, wszechmocnie i bezwarunkowo kochana. Było to odkrycie potężne jak uderzenie w twarz. Zakręciło jej się w głowie. Widok sali banku zbladł, w jej uszach na chwilę zapanowała cisza. W tej miłości, która ją nagle zalała, Krysia poczuła się jak nie używany do tej pory czajnik, który po raz pierwszy napełniono krystaliczną wodą. Opuszczona kawa stygła.

Zrobiła tak: wyszła wcześniej z pracy i wybrała się na pocztę. Wzięła książki telefoniczne dużych miast centralnej Polski: Łódź, Sieradz, Konin, Kielce, Radom, oczywiście Częstochowę, w końcu chodziło o Mariand. Otwierała pod A i umalowanym paznokciem wiodła po kolumnach nazwisk. Nie było Amosa czy Amoza w Łodzi, Sieradzu, Koninie i tak dalej. Nie było go pośród nielicznych abonentów na wsiach. To, co teraz czuła, najlepiej byłoby nazwać oburzeniem. Wiedziała przecież, że gdzieś tam musiał być. Siedziała przez chwilę z pustką wgłowie, a potem zaczęła jeszcze raz. Wzięła też Radom, Tarnów, Lublin i Włocławek. Znalazła Lidię Amoszewicz i Amosińskich. Potem jej zdesperowana inteligencja zaczęła kombinować: Amos, Soma, Maso, Samo, Omas, aż dłonie o umalowanych paznokciach złamały ten senny szyfr – A. Mos, Sienkiewicza 54, Częstochowa.

Krysia mieszkała na wsi, z której do miasta woził ją niebieski, brudny autobus. Piął się po serpentynach i zakrętach jak przyszarzały żuk. Zimą,

gdy wcześnie robi się ciemno, jego rozpalone oczy omiatały kamieniste zbocza gór. Był błogosławiony. Pozwalał ludziom poznawać świat za górami. Od niego zaczynały się wszelkie podróże.

Codziennie dojeżdżała nim do pracy. Od momentu, w którym zabierał ją z przystanku aż do tego, gdy stawała przed masywnymi drzwiami Banku, mijało dwadzieścia minut. Przez tych dwadzieścia minut świat zmieniał się nie do poznania. Las stawał się domami, połoniny placami, łąki ulicami, a strumień – rzeczką, która codziennie była innego koloru, ponieważ miała nieszczęście płynąć koło hal włókienniczych Blachobytu. Krysia jeszcze w autobusie zmieniała gumowce (mówiła na nie wellingtony) i wkładała pantofle. Obcasy stukały na szerokich poniemieckich stopniach budynku.

Była najelegantszą osobą w Banku. Modna fryzura – starannie ułożona blond trwała, odrosty ufarbowane. Jarzeniowe światło wydobywało zwłosów lalkowo-brylantowe refleksy. Jej lepkie od tuszu rzęsy rzucały delikatne cienie na gładkie policzki. Perłowa szminka dyskretnie podkreślała kształt ust. Im była starsza, tym bardziej się malowała. Czasem już mówiła sobie „przestań, dość tego", ale potem miała wrażenie, że płynące lata odbierały jej twarzy wyrazistość, zamazywały rysy. Wydawało jej się nawet, że rzedną jej brwi i blakną niebieskie tęczówki, że linia warg robi się coraz bardziej niewyraźna, a cała twarz staje się nieokreślona, jakby chciała zaniknąć. Tego Krysia bała się najbardziej. Że zniknie, zanim się rozwinie i stanie naprawdę.

W wieku trzydziestu lat mieszkała z rodzicami na wsi pod Nową Rudą. Ich dom stał pełen nadziei przy skręconej w serpentyny lokalnej dziurawej szosie, jakby spodziewał się, że samo to położenie przyniesie mu udział w historii, w przemarszach wojsk, w przygodach poszukiwaczy skarbów, w pościgach straży granicznej za przemytnikami spirytusu z Czech. Ale i szosa, i dom nie miały szczęścia. Nic się nie działo. Las położony nad domem przerzedzał się tylko, jak brwi Krysi. Jej ojciec wycinał systematycznie młode brzózki na dyszle i drągi, świerki na bożonarodzeniowe choinki, ścieżki zamazywały się w wysokich trawach, zupełnie jak linia jej ust, blakły pomalowane na niebiesko ściany ich domu. Jak oczy Krysi.

W swoim domu Krysia była wystarczająco ważna, zarabiała przecież pieniądze, robiła zakupy, które dźwigała w uszytych przez matkę torbach.

Miała swój pokój na poddaszu, z wersalką i szafą na ubrania, ale dopiero w Banku stawała się kimś. Tu było jej biuro, oddzielone od sali interesantów przepierzeniem ze sklejki, tak cienkiej jak tektura. Siedząc przy swoim biurku, słyszała więc bankowy gwar – skrzypienie drzwi, szuranie ciężkich chłopskich butów po drewnianej podłodze, szmer przyciszonych, wiecznie plotkujących kobiecych głosów i stukanie dwóch ostatnich liczydeł, których kierownictwo nie zdążyło jeszcze wymienić na bardziej nowoczesne terkoczące maszyny z korbką.

Około dziesiątej zaczynał się codzienny rytuał picia kawy. Brzęczały aluminiowe łyżeczki i denka szklanek uderzały delikatnie o spodki, te biurowe dzwonki. Zmielona, cenna kawa, przynoszona z domu w słoikach po dżemach, obdzielała sprawiedliwie szklanki, wrzątek tworzył na jej powierzchni gruby brunatny kożuszek, który zatrzymywał na chwilę wodospady cukru. Zapach kawy wypełniał po sufit Bank Spółdzielczy w Nowej Rudzie, a chłopi, którzy akurat teraz stawali w kolejce, pluli sobie w brody, że trafili właśnie w ten kawowy święty czas.

Wtedy to Krysia przypominała sobie swój sen.

Jakie to bolesne być kochanym za nic, czyli za to, że się jest. Jaki niepokój niesie taka miłość. Jak z niedowierzania plączą się myśli i serce puchnie od przyśpieszonych uderzeń. Jak świat odsuwa się i traci dotykalność. Krysia nagle stała się samotna.

Po świętach wielkanocnych przyszło do Banku zawiadomienie o kursokonferencji w Częstochowie dla pracowników. Uznała to za najprawdziwszy znak i pojechała. Pakując swoje rzeczy do torby ze skaju, pomyślała o Bogu. Że pomimo tego, co o nim mówią, on zawsze zjawia się w najwłaściwszym momencie.

Wiozły ją zaspane pociągi, pełne wymiętych ludzi. Nie było wolnych miejsc w przedziałach, więc stała przyklejona do brudnej szyby w korytarzu i drzemała na stojąco. Potem ktoś wysiadł w noc i wreszcie mogła usiąść. Wciśnięta między rozgrzane suchym powietrzem ciała usnęła i spała ciężko, czarno, oleisto, zupełnie bez obrazów, nawet strzępków myśli. I dopiero gdy się obudziła, zrozumiała, że wyruszyła w podróż; przedtem to było tylko przesuwanie się w przestrzeni, zwyczajna, nieuważna zmiana miejsc. Tylko sen zamyka stare i otwiera nowe, umiera jeden człowiek i budzi się drugi. Ta czarna przestrzeń bez

właściwości między dniami jest prawdziwym podróżowaniem. Na szczęście wszystkie pociągi z Nowej Rudy w daleki świat kursują w nocy. Pomyślała, że po tej podróży nic już nie będzie takie samo jak przedtem.

Nad ranem znalazła się w Częstochowie. Było jeszcze za wcześnie, żeby dokądkolwiek pójść, więc w dworcowym barze zamówiła herbatę i grzała ręce, obejmując szklankę. Przy sąsiednich stolikach siedziały stare kobiety zakutane w kraciaste chusty, przepaleni tytoniem mężczyźni, sprasowani życiem mężowie i ojcowie o twarzach jak zniszczone portfele, dzieci zarumienione od snu, którym z kącików półotwartych ust sączył się cienki kłaczek śliny.

Czekanie na świt trwało dwie herbaty z cytryną i jedną kawę. Znalazła ulicę Sienkiewicza i szła nią w górę, samym środkiem, bo samochody jeszcze się nie obudziły. Patrzyła w okna i widziała gęste marszczone firanki i fikusy przytulone do szyb. W niektórych oknach świeciło się jeszcze światło, ale było blade, nieważne. W tym świetle ludzie w pośpiechu ubierali się, jedli, kobiety dosuszały nad gazem pończochy albo pakowały kanapki do szkoły, ścielone łóżka zatrzymywały do następnej nocy ciepło ciał, śmierdziało przypalone mleko, sznurówki wracały w bezpieczne dziurki butów, radio podawało wiadomości, których nikt nie słuchał. Potem natknęła się na pierwszą kolejkę po chleb. Wszyscy w kolejce milczeli.

Sienkiewicza 54 – to była duża, szara kamienica ze sklepem rybnym na parterze i przepastnym podwórkiem. Krysia stanęła przed nią i powoli przyglądała się oknom. Mój Boże, były takie zwyczajne.

Stała tam z pół godziny, aż w końcu przestała czuć zimno.

Szkolenie było nieskończenie nudne. W zeszycie, specjalnie kupionym do robienia notatek, Krystyna malowała długopisem esy-floresy. Zielone sukno prezydialnego stołu dodawało jej jakiejś otuchy. Gładziła je odruchowo. Pracownicy banków spółdzielczych wydawali się jej podobni. Kobiety miały tlenione włosy obcięte na simonę i cyklamenowe usta. Mężczyźni – w granatowych garniturach i z teczkami ze świńskiej skóry. Jakby się umówili. Dowcipkowali w przerwach na papierosa.

Na kolację był chleb z żółtym serem i herbata w fajansowych kubkach.

A po kolacji wszyscy przenieśli się do świetlicy, na stołach pojawiła się wódka i korniszony. Ktoś wyjął ze skórzanej teczki komplet blaszanych kieliszków. Ręka mężczyzny błądziła po obciągniętych nylonem kolanach kobiety.

Krysia poszła spać lekko wstawiona. Jej dwie współmieszkanki zjawiły się nad ranem i szeptem napominały się, żeby być cicho. Tak to trwało trzy dni.

Czwartego dnia stanęła przed pomalowanymi na brązowo drzwiami, na których wisiała porcelanowa tabliczka: „A. Mos". Zapukała.

Otworzył jej wysoki, szczupły mężczyzna w piżamie i z papierosem w ustach. Miał ciemne, przekrwione oczy, jakby nie spał od dawna. Zamrugały, gdy zapytała:

„A. Mos?"

„Tak", potwierdził. „A. Mos".

Uśmiechnęła się, bo wydało jej się, że rozpoznaje głos.

„To ja jestem Krysia".

Cofnął się zaskoczony i pozwolił jej wejść do przedpokoju. Mieszkanie było małe i ciasne. Zalewało je srebrne światło jarzeniówek, przez co wydawało się niechlujne, jak dworzec. Wszędzie stały kartony z książkami, leżały sterty gazet, na wpół spakowane walizki. Przez otwarte drzwi do łazienki buchała para.

„To ja", powtórzyła. „Przyjechałam".

Mężczyzna nagle okręcił się wokół i roześmiał.

„Ale kim pani jest? Czy ja panią znam?" Nagle uderzył się w czoło. „Jasne, pani jest, pani jest...", pstrykał palcami w powietrzu.

Krysia zrozumiała, że jej nie poznaje, ale nie było w tym nic dziwnego. Znał ją przecież inaczej, przez sen, od środka, nie tak normalnie, jak znają się wszyscy ludzie.

„Ja panu wszystko wytłumaczę. Mogę wejść dalej?"

Zawahał się. Popiół z papierosa upadł na podłogę i mężczyzna pokazał jej ręką pokój.

Zsunęła pantofle i weszła.

„Widzi pani, ja się pakuję”, mężczyzna tłumaczył bałagan. Wymiętą pościel z wersalki wyniósł do innego pokoju. Wrócił i usiadł naprzeciwko niej. Sprana piżama odsłoniła pasek ciała na jego piersiach; było chude i kanciaste.

„Panie A. Mos, czy czasem się panu coś śni?”, zapytała niepewnie i od razu wiedziała, że zrobiła błąd. Mężczyzna roześmiał się, uderzył otwartymi dłońmi w pasiaste uda i popatrzył na nią ironicznie, jak jej się zdawało.

„A to dopiero, przychodzi pani do nieznajomego faceta i pyta pani, czy mu się coś śni. To jak sen, jak sen…”

„Ja pana znam”.

„Tak? A skąd to pani mnie zna, a ja pani nie? Ach, może się znamy z imprezy u Jasia? U Jasia Latki”.

Pokręciła przecząco głową.

„Nie? No to skąd?”

„Panie A. Mos…”

„Mam na imię Andrzej. Andrzej Mos”.

„Krystyna Popłoch”, powiedziała.

Oboje wstali, podali sobie ręce i usiedli zakłopotani.

„No więc…”, odezwał się po chwili.

„Nazywam się Krystyna Popłoch…”

„To już wiem”.

„… mam trzydzieści lat, pracuję w banku i pełnię odpowiedzialną funkcję. Mieszkam w Nowej Rudzie, wie pan, gdzie to jest?”

„Gdzieś koło Katowic”.

„Wcale nie. To w województwie wrocławskim”.

„Aha”, powiedział nieuważnie. „Nie napije się pani piwa?”

„Nie, dziękuję”.

„No to ja się napiję”.

Wstał i poszedł do kuchni. Krysia zobaczyła na meblościance maszynę do pisania i wkręcony w nią papier. Nagle pomyślała, że tam jest napisane,

co ma teraz zrobić, jak to powiedzieć, i nawet podniosła się, ale Andrzej Mos wrócił z butelką piwa w ręku.

„Prawdę mówiąc, myślałem, że pani jest z Częstochowy. Nawet wydawało mi się przez chwilę, że panią znam".

„Tak?", ucieszyła się Krysia.

„Nawet myślałem, że...", jego oczy zabłysły. Pociągnął z butelki spory łyk.

„Że co?"

„Wie pani, jak to jest. Nie pamięta się wszystkiego. Nie zawsze. Może między nami coś było? Na imprezie u..."

„Nie", powiedziała szybko Krysia i poczuła, że robi się czerwona. „Nigdy pana przedtem nie widziałam".

„Jak to, mówiła pani, że mnie zna?"

„No tak, ale tylko pana głos".

„Mój głos? Boże, co pani kombinuje? Ja chyba śnię. Przychodzi do mnie lala, twierdzi, że mnie zna, ale widzi mnie pierwszy raz w życiu. Zna tylko mój głos..."

Nagle znieruchomiał z butelką przy ustach i wpił się w Krysię wzrokiem.

„Już wiem. Pani jest z UB. Znasz mój głos, bo podsłuchujesz moje telefony, tak?"

„Nie. Pracuję w banku..."

„Dobra, dobra, ale ja już dostałem paszport i wyjeżdżam. Wyjeżdżam, rozumiesz? Do wolnego świata. Pakuję się, jak widzisz. To już koniec, nic mi nie możecie zrobić".

„Niech pan nie..."

„Czego chcesz?"

„Pan mi się śnił. Znalazłam pana przez książkę telefoniczną".

Mężczyzna zapalił papierosa i wstał. Zaczął chodzić po zagraconym pokoju od okna do drzwi. Krysia wyciągnęła z torebki dowód osobisty i położyła otwarty na stole.

„Niech pan popatrzy, nie jestem z żadnego UB".

Nachylił się nad stołem i obejrzał dokument.

„To niczego nie wyjaśnia”, powiedział. „Przecież w dowodzie nie wpisuje się, że ubek”.

„Co mam zrobić, żeby mi pan uwierzył?”

Stanął nad nią i palił papierosa.

„Wie pani co? Robi się późno. Ja zaraz mam zamiar wyjść. Jestem umówiony. Poza tym pakuję się. Muszę pozałatwiać różne ważne sprawy”.

Krysia wzięła ze stołu swój dowód i włożyła go do torebki. Gardło jej się zacisnęło boleśnie.

„To ja już pójdę”.

Nie protestował. Odprowadził ją do drzwi.

„Więc śniłem się pani?”

„Tak”, powiedziała, wsuwając pantofle.

„I znalazła mnie pani przez książkę telefoniczną?”

Kiwnęła głową.

„Do widzenia. Przepraszam”, powiedziała.

„Do widzenia”.

Zbiegła po schodach i znalazła się na ulicy. Szła w dół do dworca i płakała. Tusz z rzęs rozpuszczał się i szczypał w oczy; to dlatego świat rozmazał się na świetliste, kolorowe plamy. W kasie powiedzieli jej, że ostatni pociąg do Wrocławia już odjechał. Następny był rano, więc poszła do dworcowego baru i zamówiła herbatę. Nic nie myślała, patrzyła tylko na pływający monotonnie plasterek cytryny. Z peronów do wnętrza dworca wpływała mglista wilgotna noc. To nie dowód, żeby nie wierzyć snom, pomyślała w końcu Krysia. One zawsze mają sens, nigdy się nie mylą, to świat realny nie dorasta do porządku snu. Książki telefoniczne kłamią, pociągi obierają niewłaściwe kierunki, ulice wyglądają zbyt podobnie, mylą się litery w nazwach miast, ludzie zapominają własne imiona. Tylko sen jest prawdziwy. Wydało jej się, że znowu słyszy ten ciepły, pełen miłości głos w lewym uchu.

„Zadzwoniłem na informację. Ostatni pociąg do tej pani Nowej Rudy już odszedł”, powiedział Andrzej Mos i usiadł przy jej stoliku. Na mokrej ceracie narysował palcem krzyżyk. „Rozmazała się pani”.

Wyciągnęła z torebki chusteczkę, pośliniła rożek i wytarła powieki.

„A więc śniłem się pani? To niezrozumiałe wyróżnienie tak śnić się komuś, kogo się nie zna, kto mieszka na drugim końcu kraju... No i co tam było w tym śnie?”

„Nic. Tylko pan do mnie mówił”.

„Co mówiłem?”

„Że jestem niezwykła i że mnie pan kocha”.

Pstryknął palcami i przeciągle spojrzał w sufit.

„Cóż to za dziwaczny sposób podrywania faceta. Jestem pełen podziwu”.

Nie odezwała się. Małymi łyczkami sączyła herbatę.

„Chciałabym być już w domu”, powiedziała po chwili.

„Chodźmy do mnie. Mam dwa pokoje”.

„Nie. Poczekam tutaj”.

„Jak pani chce”.

Poszedł do bufetu i przyniósł sobie kufel piwa.

„Myślę, że nie jest pan A. Mosem. To znaczy tym, który mi się śnił. Musiałam się gdzieś pomylić. Może to inne miasto, nie Częstochowa”.

„Może”.

„Będę musiała znowu szukać”.

Mężczyzna gwałtownie postawił kufel na stole, aż wylało się trochę piwa.

„Szkoda, że nie poznam rezultatów”.

„Ale głos ma pan podobny”.

„Chodźmy do mnie. Prześpi się pani na łóżku, a nie przy stoliku w barze”.

Widział, że się zawahała. Bez tego koszmarnego tuszu na rzęsach wyglądała młodziej. Zmęczenie rozpuściło wizerunek prowincjonalnej pańci.

„Chodźmy”, powtórzył, a ona wstała bez słowa.

Wziął jej bagaż i ruszyli z powrotem pod górę, pustą już ulicą Sienkiewicza.

„I co było jeszcze w tym śnie?”, zapytał, ścieląc jej wersalkę w dużym pokoju.

„Już mi się nie chce o tym mówić. To nieważne”.

„Napijemy się piwa? Albo wódki na dobry sen? Mogę jeszcze zapalić?”

Przytaknęła. Zniknął w kuchni, a ona po chwili wahania podeszła do maszyny. Zanim jeszcze przeczytała tytuł jakiegoś wiersza, zaczęło jej bić serce. Tytuł brzmiał: „Noc w Mariandzie”. Stała nad maszyną jak sparaliżowana. Za jej plecami, w kuchni pobrzękiwał szkłem Amos z jej snu, żywy, ciepły, szczupły mężczyzna o zaczerwienionych oczach, ktoś, kto wszystko wie i wszystko rozumie, kto wchodzi w ludzkie sny, sieje tam miłość i niepokój, ktoś, kto porusza światem, jakby świat był kurtyną, którą zasłania się jakąś inną prawdę, prawdę nieuchwytną, bo nie podpartą rzeczami, zdarzeniami, niczym trwałym.

Dotknęła drżącym palcem klawisza.

„Piszę wiersze”, powiedział za jej plecami. „Wydałem nawet tomik”.

Nie mogła się odwrócić.

„No, proszę, niech pani siada. Teraz to już nie ma znaczenia. Jadę do wolnego świata. Napiszę do pani, jak mi pani da adres”.

Usłyszała jego głos tuż za sobą, po lewej stronie.

„Podoba się pani? Czyta pani poezję? To tylko szkic, jeszcze go nie skończyłem. Podoba się pani?”

Spuściła głowę. W uszach dudniła jej krew. Dotknął delikatnie jej ramienia.

„Coś się stało?”, zapytał.

Odwróciła się do niego i zobaczyła wpatrzone w siebie ciekawie oczy. Poczuła jego zapach – papierosów, kurzu i papieru. Przytuliła się do tego zapachu i stali tak bez ruchu kilka minut. Jego ręce uniosły się i zawahały przez chwilę, a potem zaczęły ją gładzić po plecach.

„A jednak to ty, znalazłam cię”, powiedziała szeptem.

Dotknął palcem jej policzka i pocałował ją.

„Niech ci będzie”.

Wsunął palce w jej tlenione włosy i przyssał się do jej ust. Potem pociągnął ją na wersalkę i zaczął rozbierać. Nie podobało się jej to, było zbyt gwałtowne, nie czuła przyjemności, ale to miało być jak ofiara. Musiała na wszystko pozwolić, więc wysuwała się z garsonki i bluzki, i pasa

do pończoch, i biustonosza. Jego chuda klatka piersiowa przesunęła się przed jej oczami – sucha i kanciasta jak kamień.

„No to jak mnie słyszałaś w tym śnie?", zapytał rozdyszanym szeptem.

„Mówiłeś mi w uchu".

„W którym uchu?"

„W lewym".

„Tutaj?", zapytał i wsunął jej język do ucha.

Zacisnęła powieki. Już się nie mogła uwolnić. Było za późno. Przygniatał ją całym ciężarem ciała, dopadł ją, penetrował, przebijał. Ale skądś wiedziała, że tak właśnie musi być, że najpierw trzeba dać Amosowi to, co mu się należy, żeby potem jego samego móc zabrać ze sobą i posadzić przed domem jak roślinę, jak wielkie drzewo. Dlatego poddała się temu obcemu ciału, a nawet objęła je niezdarnie rękami i włączyła się w rytmiczny dziwaczny taniec.

„A to dopiero!", powiedział potem mężczyzna i zapalił papierosa.

Krysia ubrała się i usiadła przy nim. Nalał wódki do dwóch kieliszków.

„Jak ci było?", spojrzał na nią krótko i wypił wódkę.

„Dobrze", odpowiedziała.

„Chodźmy spać".

„Teraz?"

„Jutro masz pociąg".

„Wiem".

„Trzeba nastawić budzik".

A. Mos powlókł się do łazienki. Krysia siedziała bez ruchu i przyglądała się świątyni Amosa. Ściany były pomalowane na pomarańczowo, ale w zimnym świetle jarzeniówek stawały się nieprzyjemnie sine. W miejscu gdzie od ściany odstawała słomiana mata, widać było bardziej jaskrawy kolor pomarańczy. Wydało jej się, że świecił, że raził w oczy. Przy oknie wisiała okopcona papierosowym dymem firanka, a po prawej stała opustoszała meblościanka z maszyną do pisania, w której tkwiła „Noc w Mariandzie".

„Dlaczego mnie pokochałeś?", zapytała go, kiedy wrócił. „Czym się różnię od innych ludzi?"

„Ty jesteś walnięta, jak Boga kocham”.

Znowu miał na sobie tę rozłażącą się na piersiach pasiastą piżamę.

„Co to znaczy, że jestem walnięta?”

„Jesteś wariatka. Odbiło ci”.

Nalał sobie kieliszek wódki i przechylił go jednym haustem. Powiedział:

„Przyjechałaś do nieznajomego faceta przez pół Polski. Opowiedziałaś mu swój sen i poszłaś z nim do łóżka. To tyle. Jesteś walnięta”.

„Dlaczego mnie zwodzisz? Dlaczego nie przyznasz się, że jesteś Amosem i wiesz o mnie wszystko”.

„Nie jestem żadnym Amosem. Nazywam się Andrzej Mos”.

„A Mariand?”

„Jaki Mariand?”

„Noc w Mariandzie. Co to jest Mariand?”

Roześmiał się i usiadł przy niej na krześle.

„To knajpa na Rynku. Przychodzą tam wszystkie miejscowe menele i piją wódę. Napisałem o tym wiersz. Wiem, że jest marny. Pisałem lepsze kawałki”.

Patrzyła na niego z niedowierzaniem.

Powrotna podróż była pełna trzasku zamykanych drzwi – trzaskały drzwi do nocnego pociągu, drzwi przedziałów, ubikacji dworcowych, autobusów. W końcu głucho trzasnęły drzwi wejściowe do domu. Krysia rzuciła torbę i położyła się na łóżku. Spała cały dzień. A gdy wieczorem zaniepokojona matka zawołała ją na kolację, Krysia zapomniała, że gdziekolwiek jeździła. Sen, jak gumka, wymazał całą podróż. Którejś z następnych nocy Krysia usłyszała w swoim lewym uchu znajomy głos: „To ja, Amos, gdzie byłaś?”.

„Jak to, nie wiesz, gdzie mogłam być?” „Nie wiem”, odpowiedział. „Czy nie wędrujesz razem ze mną?” Głos zamilkł, Krysi wydało się, że to milczenie było wyrazem jakiegoś zawstydzenia. „Nigdy nie odchodź tak daleko”, odezwał się w jej uchu po chwili. „Co to dla ciebie znaczy: daleko?”, zapytała go ze złością. Chyba wystraszył się tego tonu, bo umilkł, a Krysia musiała się obudzić.

Po tej wyprawie do Częstochowy nic już nie było takie samo jak przedtem. Ulice w Nowej Rudzie wyschły, zalało je słońce. Dziewczyny ustawiały na biurkach bukiety z forsycji. Schodził lakier z paznokci, u nasady tlenionych włosów pojawiły się ciemne odrosty i popychały jasne końcówki ku ramionom. W południe otwierano wielkie okno w sali bankowej i płynął przez nie gwar z ulicy – głosy dzieci, smugi hałasu samochodów, nagły pośpieszny stuk damskich szpilek, trzepot skrzydeł gołębi. Wychodziło się z pracy z przyjemnością. Wąskie uliczki kusiły, żeby się nimi przejść, popatrzeć w twarz ludziom, zapamiętać jakiś szczególny podwórkowy pejzażyk. Zapraszały kawiarnie, zadymione przestrzenie pełne ciekawych spojrzeń i leniwych rozmów. I dalej: nieśmiertelność kaw parzonych w szklankach, dzwonkowaty dźwięk aluminiowych łyżeczek.

W maju Krysia poszła do jasnowidza i zapytała go o swoją przyszłość. Jasnowidz postawił jej horoskop, a potem długo koncentrował się z zamkniętymi oczami.

„Co chcesz wiedzieć?", zapytał ją.

„Co ze mną będzie?", powiedziała, a on musiał widzieć pod powiekami jakieś rozległe przestrzenie, bo jego gałki oczne poruszały się w lewo i w prawo, jakby oglądały wewnętrzne krajobrazy.

Krysia zapaliła papierosa i czekała. Jasnowidz zobaczył popielate doliny, a w nich resztki miast i wiosek, obraz był nieruchomy, martwy, spopielony i z każdą chwilą blaknął. Niebo w nim było pomarańczowe, niskie i lekkie jak poszycie namiotu. Nic się nie poruszało, nie było żadnego wiatru ani okruszka życia. Drzewa przypominały kamienne słupy, jakby dotknął je ten sam wzrok co żonę Lota. Wydawało mu się, że słyszy, jak delikatnie trzeszczą. Nie było tam ani Krysi, ani jego samego, ani kogokolwiek. Nie wiedział, co ma powiedzieć. Poczuł tylko skurcz w brzuchu ze strachu, że będzie musiał teraz kłamać i zmyślać.

„Nigdy nie umiera się raz na zawsze. Twoja dusza będzie tu przychodzić jeszcze wiele razy, aż znajdzie to, czego szuka", powiedział, a potem wziął głębszy oddech i dodał: „Wyjdziesz za mąż i urodzisz dziecko. Będzie chorować, a ty będziesz o nie dbać. Twój mąż będzie od ciebie starszy i uczyni cię wdową. Twoje dziecko odejdzie od ciebie, wyjedzie daleko, może za ocean. Będziesz bardzo stara, kiedy umrzesz. Umieranie sprawi ci przyjemność".

To tyle. Krysia odeszła spokojna, bo to wszystko wiedziała. Niepotrzebnie wydała pieniądze. Mogłaby za nie kupić seledynową bluzeczkę bouclé, jakie przychodziły w paczkach z zagranicy. W nocy znowu usłyszała głos Amosa. Powiedział: „Kocham cię, jesteś niezwykłą osobą".

W półśnie wydawało jej się, że rozpoznała ten głos, że ma pewność, do kogo należy, i usnęła szczęśliwa. Ale jak to bywa ze snami i półsnami, rano wszystko odpłynęło i zostało jej tylko niejasne wrażenie, że coś wie, tylko nie bardzo rozumie co. I to było wszystko.

Groszek

– Wcale nie trzeba wychodzić z domu, żeby poznać świat – powiedziała nagle Marta, gdy obierałyśmy groszek na schodach przed jej domem.

Zapytałam, jak. Może myślała o czytaniu książek, oglądaniu wiadomości, słuchaniu Radia Nowa Ruda, włóczeniu się po internecie, przeglądaniu gazet, chodzeniu na plotki do sklepu. Ale Marta miała na myśli bezowocność podróży.

W podróżach trzeba zajmować się sobą, żeby dać sobie radę, patrzeć na siebie i na to, jak pasuje się do świata. Jest się skupionym na sobie, myśli się o sobie, sobą opiekuje. W podróżach zawsze w końcu natyka się na siebie, jakby się samemu było ich celem. We własnym domu po prostu się jest, nie trzeba z niczym walczyć ani niczego zdobywać. Nie trzeba pilnować połączeń kolejowych, rozkładów jazdy, nie trzeba zachwytów i rozczarowań. Można siebie samego zawiesić na kołku, a wtedy widzi się najwięcej.

Coś takiego powiedziała i umilkła. Zdziwiło mnie to, bo Marta nie znała podróży dalszych niż do Wambierzyc, Nowej Rudy i Wałbrzycha.

Niektóre groszki były robaczywe i te wyrzucałyśmy w trawę. Czasem zdawało mi się, że Marta zawsze mówi zupełnie co innego, niż ja słyszę.

Potem rozmawiałyśmy z Martą o byle czym i byle jak. O psach Bobola, o inwazji pomrowików na grządki sałaty, o soku z dzikich czereśni. Marta zostawiała wiele przestrzeni między każdym zdaniem. Mnie słowa stawały w gardle i obracałam nimi jak gorącym kawałkiem ziemniaka. R. śmiał się z nas, gdy przypadkiem słyszał nasze dialogi. Mówił, że gadamy ze sobą, jakbyśmy spały. Marta czasem jeszcze ożywiała się, gdy przypomniała jej się jakaś peruka sprzed kilkudziesięciu lat, którą robiła na zamówienie. Wtedy budziły się jej palce i pokazywała nimi jakieś szczególne sploty włosów albo misterną konstrukcję przedziałka.

Każda taka rozmowa wyczerpywała się sama i siedziałyśmy obok siebie na schodkach jej domu albo na moim tarasie, na metalowych krzesłach, które od zeszłorocznych deszczy zaczęły rdzewieć. Milczenie, jakie się między nami zasiało, milczenie-samosiejka rozrastało się na wszystkie strony, łapczywie zabierając nam przestrzeń. Nie było już czym oddychać. A im dłużej milczałyśmy, tym mniej możliwe stawało się wypowiedzenie jakiegokolwiek słowa, tym odleglejsze i mniej ważne wydawały się wszelkie możliwe tematy. Takie milczenie bywało aksamitne, ciepłe jak styropian, było miłe w dotyku i suche, było jedwabne. Ale czasem bałam się, że Marta może nie czuć tego co ja i zamachnie się na tę naszą ciszę jakimś nieopatrznym: „No tak…” albo: „Tak to jest…”, albo nawet czystym, niewinnym westchnieniem. I ten strach zaczynał mi psuć całą przyjemność z milczenia, bo stawałam się mimowolnie jego strażnikiem, a więc i jego więźniem, i naprężałam się gdzieś w środku, jeżyłam na oczekiwany z niepokojem moment, że coś gładko cudownego, coś niewymuszenie oczywistego stanie się nieznośne i kiedyś się wreszcie skończy. I cóż sobie wtedy powiemy, Marto?

Ale Marta okazywała się zawsze mądrzejsza ode mnie. Wstawała bezszelestnie i niezauważalnie odchodziła do swojego rabarbaru, do peruk trzymanych w tekturowych pudełkach, a nasza wspólnie wypielęgnowana roślina, nasza wspólna cisza rozciągała się w ślad za nią i było jej jeszcze więcej niż przedtem, jeszcze potężniej rosła. Wtedy zostawałam w niej sama, dwuwymiarowa, bez właściwości, w półistnieniu, które mogło być tylko rozwleczonym w czasie olśnieniem.

Latimeria

Pod Czarnym Lasem od północnej strony zawsze był cień. Śnieg leżał tam do kwietnia, jakby się przyssał do ziemi – wielki biały pasożyt. Są takie miejsca w górach, gdzie słońce wcale nie dochodzi albo dochodzi tylko przez jakiś czas w roku. Marta mówiła mi o jaskiniach, wnękach skalnych, rozpadlinach. Mówiła, że w jednej jaskini mieszka pradawne ślepe stworzenie, mała, zupełnie biała jaszczurka, która tam żyje i nie umiera. Umiera, odpowiadałam, każde stworzenie musi umrzeć, może sam gatunek się nie zmienia, ale pojedyncze osobniki muszą umierać. Ale rozumiem, o co chodzi Marcie, tak samo kiedyś jako dziecko myślałam, że latimeria żyje wiecznie, że tak zwany przedstawiciel wymarłego gatunku wymknął się śmierci, a może nawet sam ten gatunek wytypował go jedynego do nieśmiertelności, żeby świadczył na wieki o jego istnieniu.

Przewodniki o Pietnie

Pietno występuje w przewodnikach jako pewnego rodzaju anomalia, bo przecież nie jest to atrakcja turystyczna. Na przykład w znanym wszystkim różowym przewodniku po Sudetach jest napisane, że jest to jedyna wieś w Polsce usytuowana w taki sposób, że od października do marca z tej osady nie widać słońca, od wschodu, południa otaczają ją bowiem Góry Suche, od zachodu zaś jedne z najwyższych wzniesień Wzgórz Włodzickich. W przewodniku po Górach Śląskich z 1949 roku o Pietnie piszą: „Pietno, osada położona na północny zachód od Nowej Rudy, nad Marcowskim Potokiem. Pierwsze wzmianki pochodzą z 1743 roku (jako Einsiedler). Ludność w 1778 roku – 57; w 1840 – 112; w 1933 – 92, po wojnie, w roku 1947 – 39. W 1840 roku znajdowało się tam 21 domów, a właścicielem był hrabia von Goetzen. W dolnej części potoku powstał młyn wodny. Po 1945 roku osada częściowo wyludniła się. Wieś jest położona wgłębokiej, malowniczej dolinie. Znana ze szczególnego usytuowania, które sprawia, że w okresie zimowym nie dochodzą do niej bezpośrednio promienie słoneczne”.

Flammulina

Flammulina jest grzybem, który rośnie zimą. Od października do kwietnia żywi się martwymi drzewami. Pięknie pachnie i świetnie smakuje. Trudno jej nie zauważyć – jest żółta jak miód. Nikt jednak nie zbiera zimą grzybów. Ludzie umówili się, że grzyby zbiera się jesienią. Dlatego flammulina przypomina człowieka, który urodził się nie w swojej epoce, za późno, i wszystko wydaje mu się martwe, zastygłe; żyje w czasie, w którym dla jego gatunku skończył się świat. Widzi wokół siebie tylko ponury zimowy

krajobraz, czasem prószy śnieg i pokrywa żółte kapelusze białymi koronkami. Widzi szczątki innych grzybów – pokryte białym nalotem zajączki o nogach osłabionych zgnilizną, padłe podgrzybki, wymiękłe od wilgoci huby.

Agnieszka przychodziła do mnie na kawę prawie zawsze wtedy, gdy robiłam z flammuliny krokiety. Musiałam kojarzyć jej się z tymi zimowymi grzybami. Siadała na tym samym krześle, które upodobała sobie Marta. Agnieszka mieszkała nad Pietnem, widziała Pietno z góry w całej jego okazałości i nędzy. Widziała pijanych mężczyzn i wałęsające się dzieci. Widziała kobiety, które ciągnęły na chwiejnych nogach drzewo z gór. Pewnie też pijane. Słyszała skowyt psów, ryczenie krów, łomot radia Jaśka Bobola, które zawsze chwytało tylko jedną, lokalną stację, oglądała strumień pełen kaczych odchodów, mroczny cień w całej wsi, wyleniałe koty, popsute maszyny, nieczynne stare pompy. To dlatego Agnieszka miała tak wiele do powiedzenia. Całymi dniami siedziała przed domem na ławeczce, robiła na szydełku serwetki i patrzyła na Pietno z góry. Miała obraz panoramiczny, kolorowy, trójwymiarowy, ciekawszy niż Polsat. Na dodatek męża Agnieszki nigdy nie było w domu. Wypasał owce Bóg wie gdzie, a zimą pracował w lesie. Poza tym pił, jak wszyscy. Z dziećmi im się nie poszczęściło, więc Agnieszka musiała dużo mówić, gdy tylko znalazła kogoś chętnego, kto zechciałby jej słuchać. Gdy się bowiem ma dzieci, zapasy słów szybko się rozchodzą.

Ale dziś nie pociągał jej temat Pietna. Sunęła wzrokiem za ruchami patelni z naleśnikami i drobniutkimi łyczkami piła kawę.

– Kiedy jeszcze pracowałam w Blachobycie, to były czasy – powiedziała i umilkła na długą chwilę.

Wiedziałam, że ją zwolnili kilka lat temu.

Blachobyt co roku organizował wycieczki dla pracowników. Kiedyś z taką wycieczką Agnieszka pojechała do Oświęcimia. Było pięknie. Mężczyźni pili wódkę w autokarze, a kobiety śpiewały wszystkie piosenki, jakie znały. Przez całą drogę. Agnieszka nigdy nie zapomni Oświęcimia. Był tam sklep, nieduży, spożywczy, zbudowany z pustaków. Gdy wysiedli rano po całonocnej podróży z autokaru, właśnie ten sklep otwarto. Okazało się, że mieli tam akurat dostawę oleju, a wtedy nic, zupełnie nic nie było w sklepach. Najwyżej musztarda i ocet. A tu sprzedawali olej, ile kto chciał,

nie po jednej butelce czy po dwie, ale ile kto chciał. Więc ustawiali się wszyscy w kolejkę i brali ten olej, ile kto chciał. Agnieszka wzięła chyba z dziesięć butelek. Sprzedali jej. Nic nie mówili, nie żądali kartek, nie liczyli. Miała potem ten olej chyba ze dwa lata, bo ile oleju można wysmażyć. Tylko do placków ziemniaczanych, do grzybów, do ryby, więcej się oleju nie używa. Może nawet starczyło na trzy lata tego oleju z Oświęcimia.

Nie powiedziała nic więcej.

A krokiety z flammuliny robi się tak:

10 naleśników
pół kilo grzybów
jedna cebula
dwie kromki czerstwego ciemnego chleba
sól, pieprz, gałka muszkatołowa
dwie łyżki bułki tartej
półłyżki margaryny
masło do smażenia grzybów
łyżka śmietany
pół szklanki mleka
jedno jajko

Cebulę trzeba zeszklić na maśle. Potem wrzucić drobno pokrojone grzyby, posolić, popieprzyć i dodać gałkę muszkatołową na czubek noża. Smażyć 10 minut. W tym czasie namoczyć chleb w mleku, odcisnąć i zmielić przez maszynkę. Dodać do grzybów z jajkiem i śmietaną. Farsz zawinąć w naleśniki, obtoczyć w bułce tartej i podsmażyć na margarynie.

Grzybość

Gdybym nie była człowiekiem, byłabym grzybem. Grzybem obojętnym, nieczułym, o zimnej, śliskiej skórze, twardym i delikatnym zarazem. Rosłabym na przewróconych drzewach, mrocznie i złowrogo, zawsze w ciszy, rozczapierzonymi grzybowymi palcami ssałabym z nich resztki słońca. Rosłabym na tym, co umarło. Przenikałabym tę martwotę do czystej ziemi – tam moje grzybowe palce by się zatrzymywały. Byłabym mniejsza od drzew i krzaków, ale wyrastałabym ponad jagodniki. Byłabym nietrwała, lecz jako człowiek też przecież jestem nietrwała. Nie interesowałoby mnie słońce, nie wodziłabym za nim wzrokiem, nie czekałabym już nigdy, kiedy wzejdzie. Tęskniłabym tylko do wilgoci, wystawiałabym moje ciało do mgieł i deszczu, skraplałabym na sobie mokre powietrze. Nie odróżniałabym nocy od dnia, bo po co?

Miałabym tę samą zdolność co wszystkie grzyby – chowania się przed wzrokiem ludzi przez wprowadzanie w ich płochliwe myśli zamętu. Grzybiarze przechodziliby nade mną sennie z oczami wlepionymi przed siebie w barwne, migotliwe obrazy ze słońca i liści. Trzymałabym na uwięzi ich nogi, plątałabym je w ściółkę i zeschnięte kępy mchu. Z dołu widziałabym lewą, wewnętrzną stronę ich kurtek. Godzinami z wyrachowaniem trwałabym bez ruchu, ani nie rosłabym, ani nie starzała się, aż do lodowatego przekonania, że mam władzę nie tylko nad ludźmi, ale i czasem. Rosłabym tylko w najważniejszych momentach dnia i nocy – o świcie i o zmierzchu, gdy wszystko inne zajęte jest budzeniem się albo zapadaniem w sen. Grzyby są hipnotyzerami; dostały tę właściwość zamiast pazurów, szybkich nóg, zębów i rozumu.

Byłabym hojna dla wszelkiego robactwa; oddawałabym swoje ciało ślimakom i larwom owadów. Nigdy nie miałabym w sobie żadnego lęku, nie bałabym się śmierci. Cóż to jest śmierć, myślałabym, jedyne, co ci mogą zrobić, to oderwać cię od ziemi, poszatkować, usmażyć i zjeść.

Ego dormio et cor meum vigilat

– Marto, Marto, troszczysz się o wszystko – mówił do Marty Taki-a-Taki, gdy spotykał ją na drodze robiącą patykiem rowki dla odpływu wody.

Potem Taki-a-Taki popychał swój rower i szedł do Nowej Rudy po papierosy. Widziałam ich z okna. Marta kończyła swoje rowki i ostrożnie szła w dół. Trawa była już wysoka, właściwie nadawała się do koszenia. Wydawało mi się, że aż tutaj czuję zapach Marty – zapach szarego swetra, jej siwych włosów, skóry cienkiej i delikatnej. Jest to zapach rzeczy, która długo leży w tym samym miejscu, dlatego jest tak wyczuwalny w starych domach. Jest to zapach czegoś, co kiedyś było płynne i miękkie, a teraz zastygło, nie umarło, ale zastygło iwłaściwie śmierć mu już nie grozi. Rozpuszczona w wodzie i zapomniana żelatyna. Smużka kisielu, która przywarła do rąbka talerza. To zapach snu wsiąkłego w pościel. Zapach utraty przytomności – tak pachnie skóra, gdy cię w końcu ocucą zastrzykiem, potrząsną, uderzą w twarz. Tak pachnie także własny oddech. Gdy się ma twarz przysuniętą do szyby, gdy się wygląda na zewnątrz, a oddech odbity od szyby zawraca.

Podobnie pachną starzy ludzie. Marta była stara, choć nie tak bardzo. Gdyby wciąż była przeszłość, gdybym ja była młoda jak wtedy, kiedy pracowałam na oddziale starców, Marta byłaby dla mnie bardzo stara. Snułaby się po rozgrzanych suchym powietrzem korytarzach z plastikową reklamówką w ręku. Z bezczynności, skóra zarastałyby jej paznokcie.

Po południu pojechałyśmy do Wambierzyc do stolarza, którego polecił mi ktoś ze wsi. Po załatwieniu z nim spraw poszłyśmy do bazyliki. Marta była tam dawno, tylko raz albo dwa, choć mieszka tak niedaleko. Wyglądała na przejętą. Najdłużej oglądała obrazy wotywne porozwieszane w nawach, ludzka wdzięczność zamieniona w obrazki, komiks na temat wszelkich możliwych nieszczęść i ich szczęśliwych końców. Dziesiątki historyjek o chorobach, przemianach i nawróceniach. Parada przeszłych mód. Niemieckie lapidarne podpisy. Dowody na istnienie cudów. Krużganki pełne cieni.

Na schodach bazyliki w milczeniu jadłyśmy wodniste lody, od których zrobiło nam się zimno i żeby się rozgrzać, rozruszać ciała zastygłe z wrażeń doznanych w bazylice, poszłyśmy jeszcze wąskimi dróżkami Drogi krzyżowej. Tam Marta nagle wskazała mi z radością jedną ze stacji.

Na krzyżu wisiała kobieta, dziewczyna, w tak obcisłej sukience, że jej piersi wydawały się pod warstwą farby nagie. Warkocze skręcone misternie wokół smutnej twarzy z chropowatego kamienia, jakby kamień, z którego wyrzeźbiono tę twarz, szybciej wietrzał. Spod sukni wystawał bucik, druga stopa była bosa i po tym poznałam, że ta sama figurka wisi w kapliczce przy drodze do Agnieszki. Tamta miała jednak brodę, dlatego zawsze myślałam, że to Chrystus w wyjątkowo długiej szacie. Pod spodem było napisane „Sanc. Wilgefortis. Ego dormio et cor meum vigilat", a Marta powiedziała, że to jest święta Troska.

Potem zaczął padać deszcz i nagle zapachniało świeżą zielenią. Miasteczko było prawie puste. W sklepie z pamiątkami Marta kupiła sobie przecenione drewniane pudełko z napisem: „Pamiątka z Wambierzyc". A ja wśród broszur z żywotami świętych za złotówkę znalazłam to, co powinnam była znaleźć tego dnia: żywot świętej Kummernis, zwanej także Wilgefortis, bez ponumerowanych stron, bez autora, bez roku i miejsca wydania, tylko na okładce, w prawym górnym rogu ktoś przekreślił wydrukowany napis „30 gr" i napisał „10 tysięcy".

Żywot Kummernis z Schonau

spisany z pomocą Ducha Świętego oraz przełożonej zakonu benedyktynek w Klosterze przez Paschalisa, mnicha

I. Zamierzając napisać żywot Kummernis, wzywam mieszkającego w niej Ducha Świętego, aby tak samo jak jej chętnie udzielił niezwykłych cnót

i obdarzył łaską męczeńskiej śmierci, tak i mnie dał wymowę i gibkość myśli, bym wydarzenia jej życia opowiedział sprawnie i po kolei, i żebym umiał wyrazić je słowami. Jestem bowiem człowiekiem prostym i niewykształconym, na dodatek zagubionym w sobie, a dziedzina słowa nie jest moim naturalnym żywiołem. Przeto proszę o wybaczenie mojej prostoty, a może i naiwności oraz śmiałości, że podejmuję się oto dzieła opisania życia i śmierci osoby tak niezwykłej i wielkiej, godnej tak samo niezwykłego i wielkiego pióra. Cel mojej pracy jest uczciwy – pragnę dać świadectwo prawdzie i spisać to, co wszak wydarzyło się na wiele lat, zanim pojawiłem się na świecie, ale w istocie miało miejsce. I żeby zamknąć usta tym, którzy nie słyszawszy nic o niej, mówią, że nie istniała.

Początek żywotu Kummernis

II. Kummernis urodziła się niedoskonała dla swojego ojca, lecz w tym znaczeniu, jakie niedoskonałości przypisują ludzie – jej ojciec bowiem pragnął syna. Czasem jednak niedoskonałość w świecie ludzi jest doskonałością w świecie Boga. Była szóstą z kolei córką. Matka jej umarła przy porodzie, mogę więc rzec, że minęły się w przejściu – jedna przyszła, druga odeszła. Kummernis dostała na chrzcie imię Wilgefortis albo Wilga.

Zdarzyło się to we wsi Schonau, która leży u podnóża gór. Góry zasłaniają północne wiatry, więc jest tam ciepło, a na południowych zboczach czasem rośnie jeszcze winorośl jako znak, że kiedyś te ziemie bliższe były Bogu i cieplejsze. Na zachodzie wyrasta majestat innych gór, o płaskich szczytach, jakby służyły za stoły olbrzymom, ze wschodu zaś otaczają Schonau wzniesienia ponure i zarośnięte lasami. Na południe rozciąga się stamtąd wielka panorama czeskiej równiny, która zaprasza do podróży w świat. Dlatego ojciec Wilgi nigdy długo nie zagrzewał miejsca w domu. Cały rok polował, az każdą wiosną wyruszał na dalsze wyprawy. Był silnej postury, gwałtowny i skory do gniewu. Córkom swym zapewnił piastunki i niańki – właściwie to wszystko, co mógł dla nich zrobić. Kilka

miesięcy po przyjściu na świat Wilgi wyruszył do Pragi na miejsce zbiórki wszelakiego rycerstwa. Stamtąd wszyscy wyprawili się do Ziemi Świętej.

Dzieciństwo Kummernis

III. Wilga spędziła pierwsze lata swojego życia wśród kobiet: sióstr swoich, piastunek i służących. Dom był gwarny, rodzeństwa wiele. Pewnego razu ojciec, chcąc ją do siebie przywołać, zapomniał jej imienia, miał bowiem tyle dzieci, tyle spraw na głowie, tyle wojen stoczył w swoim życiu, tylu miał poddanych, że imię córki wypadło mu z pamięci. Którejś zimy ojciec wrócił i przywiózł z wyprawy następną żonę. Mała dziewczynka pokochała tę swoją macochę nad życie. Podziwiała jej urodę, jej piękny głos i jej jasne dłonie, które wydobywały z instrumentów cudowne dźwięki. Kiedy na nią patrzyła, myślała, że kiedyś też taka będzie – zwiewna, piękna i delikatna jak puch.

Ciało Wilgi kierowało się tym samym planem co jej marzenia – dziewczynka rosła i stawała się piękna, tak że każdy, kto ją widział, w milczeniu podziwiał ten cud stworzenia. Dlatego wielu panów i rycerzy z niecierpliwością czekało na powrót ojca i pana dziewczyny, żeby ją sobie zamówić i przed innymi zdążyć się oświadczyć.

IV. Raz, gdy wszystkie od dwóch lat czekały na powrót ojca, męża i pana, zjawił się jakiś strudzony drogą młody rycerz i oświadczył, że jakoby widział jego ciało wśród innych poległych w wypalonej słońcem krainie. Ów człowiek pobył u nich całe lato, pocieszał macochę słodkimi pieśniami, spacerami po ogrodzie i opowieściami o lazurowych morzach i złotych bramach Jerozolimy. Lecz potem zniknął na zawsze. Macocha płakała, jej instrument leżał na podłodze z popękanymi strunami.

Ojciec wrócił niedługo potem, którejś ciemnej nocy. Zapalono pochodnie i wszyscy wyszli go powitać. Był zarośnięty i brudny, cuchnął krwią z daleka. Jego koń padł zaraz ze zmęczenia, lecz baron ani spojrzał na

niego. Jego wzrok przesuwał się po twarzach córek i spoczął na urodzie Wilgi, wszakże jej wydało się, że widzi obcego człowieka.

Kilka dni potem ukochana macocha Wilgi umarła w krwotoku, a ojciec, nie bacząc na żałobę, wydał jednego dnia pięć córek za swoich najlepszych rycerzy. Wilga, jako jedyna za młoda do małżeństwa, przeznaczona została do klasztoru.

Pierwszy pobyt w klasztorze Benedyktynek

V. Za Broumowem, w osadzie Kloster był klasztor ufundowany przez dziada barona. Tam powiózł swoją najmłodszą córkę. I gdy tak jechali przez góry, baron odwracać musiał od niej twarz, tak bolesne wydało mu się jej piękno. I rozpaczał w duchu, że najpiękniejsze, najbardziej pożądane, najumiłowańsze przez to się takie staje, że dalekie i nieosiągalne.

Siostry przyjęły dziewczynkę z radością, szybko bowiem okazało się, że pięknu cielesnemu odpowiada piękno duchowe, a nawet je przewyższa. Nauczyły dziecko wielu rzeczy, a że reguła stawia nowicjuszce duże wymagania, Kummernis wkrótce była zdolna czytać, pisać, pięknie śpiewać i na inne sposoby oddawać chwałę Panu naszemu. A gdy stawało się przy niej, biło od niej wielkie, miłe sercu ciepło i nawet ciemna izba wydawała się jasna, a w jej mowie była niespotykana na ten wiek mądrość i dojrzałe były jej sądy. Jej wątłe ciało wydzielało balsamiczny zapach, a w jej pościeli znajdowano róże, choć była zima. Kiedyś, gdy postawiono ją przed lustrem, na jego powierzchni pokazał się wizerunek twarzy Syna Bożego i utrzymywał się tam do następnego dnia.

Zaczął się nowicjat, czas przygotowań do oddania się Panu

VI. I wtedy właśnie wydarzyła się rzecz najstraszniejsza – ojciec wrócił znowu z kolejnej wyprawy i widząc, jak wydoroślała i jak jeszcze bardziej przez to jej obecność jest mu bolesna, umyślił sobie plan wydania jej za mąż za swojego przyjaciela z wojen, Wolframa von Pannewicz. Wysłał więc posłańca do klasztoru, z listem, żeby przygotować ją do opuszczenia go. A że nie było jeszcze obłóczyn, nie ważyła się ksieni odmówić baronowi.

Kto widział kiedykolwiek góry późną jesienią, gdy na drzewach wiszą jeszcze ostatnie zmarzłe liście pokryte szkliwem przymrozków, gdy ziemia cieplejsza jest niż niebo i powoli obumiera pod koronkami pierwszych śniegów, gdy spod uschniętych traw zaczynają wyłaniać się jej kamienne kości, gdy z rozmytych krawędzi horyzontu zaczyna sączyć się ciemność, gdy dźwięki stają się nagle ostre i wiszą w mroźnym powietrzu jak noże – ten doświadczył śmierci świata. Lecz rzekłbym, świat umiera ciągle, dzień po dniu, choć z jakichś względów dopiero późna jesień odsłania całą tajemnicę tej śmierci. I jedyne żywe miejsce, które opiera się temu rozpadowi – to ludzkie ciało, ale nie całe, tylko jego maleńka część, tętniąca poniżej serca, w samym środku, w środku środków, gdzie niewidoczne dla oczu pulsuje źródło wszelkiego życia.

Kummernis, jadąc do domu, w modlitwie prosiła Boga, żeby zawrócił bieg dróg i zwinął czas jak kłębek nici, aby płynął donikąd. A gdy poznała, że nie ma dla niej ucieczki nigdzie na zewnątrz, zrozumiała, że jedynym sposobem staje się podróż do wewnątrz, gdzie mieszka Pan nasz. Gdy więc przestąpiła próg siebie samej, ujrzała tam świat jeszcze rozleglejszy, którego końcem i początkiem był Bóg.

VII. Po tej podróży Wilga zachorowała i kilka miesięcy leżała w gorączce, tak że myślano, iż umrze, a jej narzeczony, chociaż smutny, jął w końcu rozglądać się za inną wybranką. Lecz poczuła się lepiej i odtąd chmurny wzrok Wolframa przyglądał się jej powrotowi do zdrowia. Jego duże, żylaste ciało ubrane w skórę i metal pilnowało jej ciała. Dłoń wsparta na

mieczu, który obcinał głowy tylu niewiernym, wydawała się gotowa do kolejnej walki.

Rzekła Wilga ojcu: „W czasie mojej choroby widziałam rzeczy, o których nigdy nie śniłam. Byłam w miejscach, o których myślałam, że nie istnieją. Daj mi, ojcze, czasu, aż dojdę do siebie. Odeślij mnie, proszę, do klasztoru, a za rok wrócę, żeby móc poślubić Wolframa".

Lecz ojciec był nieubłagany i nie chciał słyszeć o oddaniu córki mniszkom. Tam stałaby się bowiem czymś osobnym, nie zagospodarowanym jak ugór. Wydając ją za Wolframa von Pannewicz, wydałby ją niejako sobie, to znaczy rodzajowi męskiemu, w którym przez Boga miał udział, aby władać i mądrze rozporządzać stworzeniem Pana.

Rzekł więc jej: „Ciałem należysz do świata i nie masz innego pana oprócz mnie". Powiedziała mu na to córka: „Mam innego Ojca w niebie i On mi innego szykuje Oblubieńca".

Baron rozeźlił się na te słowa i rzekł:„ Ja jestem panem twojego życia, On jest panem twej śmierci".

Kummernis ucieka na górzystą pustynię, gdzie jest kuszona przez diabła

VIII. Zrozumiawszy, że upór ojca silniejszy jest niż wszelkie perswazje, zbiegła Kummernis na górskie pustkowia i wędrując po nich, napotkała kamienną górę, a w niej jaskinię, a przy niej źródło. Zrozumiała, że to schronienie dał jej Bóg, żeby mogła przetrwać gniew ojca i wrócić do klasztoru. Umiłowawszy to schronienie, przeżyła w nim trzy lata w samotności i modlitwach. A żywiła się grzybami i korzonkami leśnymi; za posłanie służyły jej liście, za podgłówek – szorstki kamień. A gdyby się to komu wydało niemożliwe, wzywam na świadka Jezusa i świętych, bo znam takie przypadki, kiedy człowiek samotnie zostanie przez góry przyjęty i przez nie karmiony.

Wtenczas to pojawił się u niej diabeł, rozeźlony jej świętością. Stawał u wejścia do pieczary i przyglądał się jej drwiąco. A ona nie dawała po sobie poznać, że go zauważa, i modliła się nieustannie, aż w jaskini mimo chłodu i ciemności kwitły narcyzy i otaczały ją białymi wieńcami. Przez to diabeł nie śmiał wejść głębiej, jeno stał w miejscu i kpił z niej. Raz miał postać na poły ludzką, na poły końską, innym razem przyjmował wygląd człowieka-węża albo zjawiał się jako czarne ptaszysko o człowieczych oczach. A widząc, że nie zwraca na niego uwagi, począł ją kusić – a to przynosił smaczne jedzenie i kładł je u wejścia, a to szaty barwne, kobiece, a to księgi pełne mądrości świata.

Kummernis uzdrawia dzieci Konrada z Karlsbergu

IX. Ten początek cudów mało został rozsławiony, nie było bowiem przy nim świadków, lecz inne zdarzenie pozwoliło ludziom usłyszeć o świętej.

Razu pewnego przeprawiał się przez góry graf Konrad z Karlsbergu z trójką dzieci, a że po drodze jedli niepewne grzyby, dzieci bardzo zachorzały. Zatrzymali się we wsi i matka już opłakiwała swe dziatki. A dowiedziawszy się, że żyje w górach mniszka pustelniczka, nie zważając na powagę, wsiadł Konrad na konia i przemierzał leśne ścieżki, i poszukiwał jej. Znalazłszy ją z pomocą Bożą, rzekł jej: „Zaklinam cię, pomóż moim dzieciom, oddaj je życiu". Kummernis wzbraniała się, tłumacząc, że nie opuszcza jaskini i że niegodna jest uzdrawiać w imię Pana. On jednak rzucił się jej do stóp i obmywając je łzami, nie przestawał prosić. Poszła z nim Kummernis do wsi i uczyniwszy znak krzyża nad nieprzytomnymi ciałkami dzieci, przywróciła im natychmiast zdrowie.

Tak to świat usłyszał o świętej, co stało się przyczyną jej sławy, a potem jej męczeńskiej śmierci.

Kummernis leczy chore dusze i cierpienie płynące ze spustoszałości serca

X. Gdy ludzie usłyszeli o sprawianiu cudów, tłumnie zaczęli ciągnąć w las, odnajdywali jaskinię i prosili o pomoc. Był jeden opętany, który zmieniał się w wilka, wył po nocach i rzucał się na ludzi, żeby ich gryźć. Gdy go

rodzina przywiozła do świętej, ta nachyliła się nad nim i rzekła mu słów parę do ucha. A obecni przy tym słyszeli, jak zwracała się do diabła, który mieszkał w nieszczęśniku. Rozmawiali przez chwilę, a potem nagle diabeł przez usta opuścił chorego, tak że widziano, jak czmychnął w las pod postacią wilka. Człowiek ów ozdrowiał i dożył późnych lat w zdrowiu i szczęściu.

Albo też mówią o jednym, co pił na umór. Święta uczyniła nad nim znak krzyża i modliła się w milczeniu, po czym włożywszy mu rękę za pazuchę, wyciągnęła z niej szkaradne ptaszysko, które niezdarnie bijąc skrzydłami, odleciało.

Bywało, że przynosili ludzie chore zwierzęta, a ona nigdy nie odmawiała je leczyć, tylko kładła na nich ręce i modliła się za ich zdrowie, jakby były ludźmi.

A znowu kiedyś prosił ją o wsparcie człowiek, którego wygnano z rodzinnego miasta, dopuścił się bowiem tam złamania prawa. Lecz człowiek ten nie mógł żyć poza swoimi stronami i cierpiał na duszy straszną tęsknotę, aż nie mógł nic przez nią robić. Położyła mu Kummernis ręce na czole i od tej pory człowiek ozdrowiał, obudziła się w nim bowiem miłość do tego, co znalazł w obcym kraju, i jął uprawiać ziemię, i spłodził wiele dzieci, i pobudował domy.

Wołano ją także do umierających, żeby prowadziła ich dusze przez labirynty śmierci.

Kummernis dociera do klasztoru, by przyjąć śluby

XI. Wiele jeszcze cudów nad cuda czyniła, lecz wkrótce dowiedział się o niej ojciec, który nie zapomniał jeszcze urazy. Ostrzeżona przez Ducha Świętego i przez niego prowadzona, dotarła Kummernis do klasztoru swego i tam dostąpiła ślubów. Czas swój spędzała samotnie na modlitwie, czytaniu i ostrych postach. W każdy piątek spała, siedząc na krześle, drzwi

do jej celi były zawsze otwarte. Inne mniszki mówiły, że często z jej celi padał złoty blask i dochodziły dziwne głosy, jakby Kummernis z kimś rozmawiała. Ukradkiem dotykały jej szat, gdy przychodziła na mszę.

O Kummernis upomina się jej ojciec

XII. Niestety, długie jest życie uraz wszelkich, nienawiści i rozpaczy. Ojciec Kummernis w swoim duchowym pomieszaniu nie potrafił odstąpić od własnych zamysłów. Dowiedziawszy się, że jest w klasztorze, przyjechał po nią wzburzony, a na jego twarzy i rękach widniały ledwie tylko zagojone ostatnie wojenne rany. Rzekł jej: „Byłem na wojnie w obronie wiary, ty zaś miałaś wiele czasu do nabrania sił przed świętym sakramentem małżeństwa, lecz ten czas już minął. Jedziemy do domu".

Odrzekła mu: „Nie nazywam się już Wilga, nie jestem twoją córką ani narzeczoną Wolframa. Mam na imię Kummernis i stałam się oblubienicą naszego Pana". Ojca ogarnął przy tych słowach tak potężny gniew, że chwycił zydel, na którym siedział, i uderzył nim w drewnianą kratę, która oddzielała go od córki. Krata runęła, a on złapał dziewczynę za rękę i jął ciągnąć za sobą. Ona była jednak młoda i silna, on zaś stary i sterany wiecznym wojowaniem, więc wyrwała mu się i uciekła.

Nie dał po sobie nic poznać ani ksieni, ani swoim sługom, choć czuł się upokorzony śmiertelnie. Na noc zatrzymał się w gospodzie nieopodal klasztoru i tam, zamknięty w dusznej izbie, powoli przychodził do siebie.

XIII. Następnego dnia wrócił do klasztoru z prezentami i drogimi szatami, które podarował narzeczonej Wolfram. Uśmiechnął się do niej szeroko, gdy weszła do rozmównicy, i rzekł: „Powiedz mi, córko, czy istnieją dwie klasy ludzi, zwyczajni i doskonali? I czy ty należysz do doskonałych, a ja do tych zwyczajnych? Czym różnisz się od innych kobiet, które posłuszne woli ojca i woli Boga wychodzą za mąż i rodzą dzieci ku boskiej chwale? Dlaczego życie w klasztorze jest twoim ideałem? Przecież godnie i święcie można żyć w małżeństwie i nie być wykluczonym

z możliwości osiągnięcia doskonałości. Obie drogi są miłe Bogu. W takim razie dlaczego ty właśnie uparłaś się na tę drogę, która czyni tyle komplikacji, łamie serca, niszczy rodziny? Jesteś moją ostatnią córką, moją ostoją na stare lata. Przecież człowiek jest ze swej natury istotą zgodliwą i garnącą się ku innym, nie zaś samotną i dziką... Cóż bardziej odpowiedniego naszej naturze niż wejście we wspólnotę z drugim, umiłowanym człowiekiem, kochanie go, rozmnażanie się i zdobywanie ziemi, jak przykazał nasz Pan. A czyż Syn Boży nie powiedział nam: «Po tym wszyscy poznają, żeście uczniowie moi, jeżeli się będziecie wzajemnie miłowali?»". Odrzekła mu Kummernis: „Mam już męża umiłowanego na wieki i z nim jestem związana". Wykrzyknął na to ojciec: „Co? Masz już kogoś bez mojej zgody?".

„Ojcze, powściągnij gniew, twoim zięciem jest Jezus Chrystus", odrzekła mu Kummernis.

Kummernis niegodnie porwana i uwięziona przez własnego ojca

XIV. Baron wrócił do domu jak niepyszny, lecz to nie tęsknota zatruwała mu serce, nie miłość nie odwzajemniona, lecz gniew i złość, że ktoś śmie przeciwstawiać się jego woli. Dlatego namówił Wolframa i razem dopuścili się strasznego świętokradztwa – zbrojnie bowiem napadli na klasztor, gdzie przebywała Kummernis, i odbili ją, związaną porwali na koniu. Mimo że prosiła ich i błagała, przypominając stale, że już nie należy do świata, ale do Jezusa Chrystusa, oni, nie zważając na nic, zamknęli ją w komnacie bez okna i zostawili na jakiś czas, żeby skruszała jej wola i wróciło przekonanie do małżeństwa. Codziennie przychodził do niej ojciec i pytał, czy już zmieniła zdanie. A im dłużej i pewniej się upierała, tym większy był w nim żal i nienawiść do Boga. Z wojen bowiem nic nie wynikło, zamek jego i dobra popadły w chaos, rodziny już nie miał. Trzymał ją zatem bez jedzenia i picia, mniemając, że głodem i pragnieniem złamie jej wolę. Lecz ona całe dnie leżała krzyżem na

kamiennej posadzce i modliła się, a głód żaden nie miał do niej dostępu. Zniechęcił się nawet Wolfram i już jął upraszać barona, żeby odstąpił od swego uporu.

Wolfram podglądał czasem przez dziurkę od klucza swoją przyszłą żonę i zawsze widział ją w tej samej pozycji – leżała z rozkrzyżowanymi rękami, z twarzą odwróconą ku sklepieniu. Jej oczy wpatrzone były w jeden punkt i trwały nieruchomo. Jakże była piękna.

Modlitwy Kummernis w zamknięciu

XV. Ona trwała niewzruszenie i modliła się: „Królestwem świata i wszelką ozdobą wzgardziłam, ale nie ze strachu samego przed grzechem ani z pobożnego wyrachowania, tylko dla miłości Pana mojego Jezusa Chrystusa, któregom ujrzała i pokochała, w którym się na wieki rozmiłowałam. Oblicza Twego szukałam, Panie, i w sobie go znalazłam, tak że świat mi niepotrzebny. Zaopatrzyłeś mnie, Panie, w moją płeć i ciało kobiece, które stało się kością niezgody i pożądań wszelkich. Wybaw mnie więc, Panie, od tego daru, bo nie wiem, co mam z nim uczynić. Zabierz do siebie z powrotem moją urodę i daj mi znak przymierza, żeś i Ty mnie niegodną pokochał i od urodzenia sobie przeznaczył”.

Cud Kummernis

XVI. Muszę jednak kontynuować moje opowiadanie życia świętej Kummernis i zbliżam się oto do dnia jej śmierci, choć trudno będzie mi o tym pisać, a wam jeszcze trudniej uwierzyć.

Gdy baron wraz z rycerzem Wolframem czekali na jakąkolwiek zmianę, rósł w nich lęk, że oto poważyli się zmienić coś, na co nie mają wpływu. I żeby ten lęk rozproszyć i na chwilę choć zapomnieć o zamkniętej

dziewczynie, robili sobie polowania i uczty. Rankiem grzmiały rogi, a wieczorem muzyka.

W czasie jednej z takich uczt rzekł baron do Wolframa: „Gdybyś wszedł tam do niej i wziął ją na siłę, wtedy ona, która wszak nie zna smaku miłości, pojęłaby, co traci, i sama rzuciłaby ci się w ramiona. Czy myślisz, że wiele ją różni od tych dziewek chętnych zadrzeć spódnice na każde żądanie?".

Wolfram posłusznie wstał, zatoczył się, ale zaraz zebrał się w garść i ruszył prosto do drzwi. Baron odepchnął dziewkę, kazał sobie nalać piwa i czekał. Nie minęła jednak chwila, gdy Wolfram pojawił się z powrotem. Na jego twarzy malowało się przerażenie, otwierał i zamykał usta, a ręką pokazywał za siebie. Gwar w sali umilkł całkiem. Baron zerwał się z ławy i ruszył prosto w stronę, w którą pokazywał Wolfram, a za nim sunęli zaciekawieni goście, służba i grajkowie.

XVII. W pozbawionej okna komnacie stała Kummernis, lecz nie była to ta kobieta, którą znali wszyscy. Jej twarz porośnięta była jedwabistą brodą, rozpuszczone włosy opadały do ramion. Z rozdartego dekoltu sukni wystawały dwie nagie dziewczęce piersi. Spojrzenie ciemnych, lecz łagodnych oczu przesuwało się po twarzach ciekawskich i w końcu zatrzymało się na baronie. Dziewki zaczęły czynić znak krzyża i klękały jedna po drugiej. Kummernis, czy ktokolwiek to był, podniosła ręce, jakby ich wszystkich chciała przytulić do piersi. Rzekła cichym głosem: „Pan mój mnie wybawił od siebie samej i obdarzył swą twarzą".

Jeszcze tej samej nocy baron kazał zamurować potwora w komnacie. Wolfram wsiadł na konia i nie żegnając się z nikim, odjechał.

Powtórne przyjście diabła i jego trzy kuszenia

XVIII. Pierwszej nocy przyszedł do Kummernis diabeł pod postacią niemowlęcia. Gdy na chwilę przestała się modlić, znalazła pod ścianą kołyskę, a w niej dziecko maleńkie i bezradnie kwilące.

Zdziwiła się Kummernis widokiem dziecka, przerwała modlitwę, wzięła dziecko na ręce i przytuliła do piersi. Roześmiał się diabeł grubym głosem i rzekł z tryumfem: „Tu cię mam". A ona odrzekła mu na to: „Nie, to ja ciebie mam". I jeszcze bardziej przycisnęła go do piersi. Diabeł chciał się wyrwać, ale nie mógł, więc postanowił znowu zmienić postać. Lecz moc bijąca z piersi świętej tak była potężna, że odurzała Diabła, aż tracił siły. Zrozumiał, że mierzy się z kimś równie potężnym jak on, a może nawet jeszcze potężniejszym siłą zjednoczenia z Panem. Nie zrezygnował jednak z powziętego zamiaru, lecz tylko zmienił sposób postępowania.

„Mogłabyś kochać i być kochaną", powiedział.

„Mogłabym", odpowiedziała.

„Mogłabyś nosić w swoim łonie dziecko, słyszeć je od wewnątrz, a potem wydać na świat", powiedział.

„Wydać światu", rzekła.

„Mogłabyś je kąpać, karmić, przewijać i pieścić.

Mogłabyś patrzeć, jak rośnie, jak podobne w ciele i w duszy do ciebie się staje. Mogłabyś je ofiarować swojemu Bogu i jeszcze inne dzieci, a On jakiś byłby zadowolony".

„Mogłabym".

„Popatrz na mnie", rzekł tedy diabeł.

Przygarnęła go mocniej do swoich piersi. Czule gładziła jego gładką skórę. Potem Kummernis wyciągnęła pierś i ułożyła diabła do ssania. Diabeł szarpnął się i zniknął tak samo, jak się pojawił.

XIX. Drugiego dnia w przerwie modlitwy pojawił się jej jako biskup i wygłosił do niej mowę, jaką biskupi mają w zwyczaju wygłaszać. Rzekł jej:

„Co chcesz im pokazać? Że Bóg dosłownie spełnił twoją prośbę i zamienił cię w potwora? Powinnaś znać Go już trochę. Nie takie rzeczy wyczyniał.

Nie pojmą tego, co się stało. Zapomną cię ze wstydem. Będą ci złorzeczyć i naśmiewać się z ciebie. Ten cud napełni ich grozą. Nie uwierzą, że pochodzi od Niego. Cuda powinny być piękne i wzniosłe. Roztaczać miłe zapachy i świecić niebiańskim blaskiem, w ich tle winna brzmieć anielska muzyka. A ty kim się stałaś? Kobietą z brodą. Nadajesz się teraz bardziej do komediantów na rynku.

Twój upór tutaj, w samotności, z cudzą twarzą zamiast twojego pięknego oblicza nie ma sensu. Nie jesteś Nim. Zrobił ci żart i już Go nie obchodzisz. Zapomniał o tobie, poszedł tworzyć światy. Myślisz, że masz w Jego myślach dość miejsca? Zostawił cię wobec głupiej gawiedzi, która równie dobrze domagać się będzie twego uświęcenia, jak i spalenia na stosie.

Nikt o tobie pamiętał nie będzie. Jesteś tu daremnie i cierpisz daremnie. Ty chcesz miłości uczyć Boga? Chcesz Mu swą marną osobą zawracać głowę?”.

Na te słowa Kummernis uczyniła przed biskupem znak krzyża i odrzekła:

„Cała twoja siła bierze się z wątpienia. Obyś kiedyś zaznał łaski ufności”.

Na te słowa diabeł znikł.

XX. Trzeciego dnia w celi Kummernis pojawił się święty Krucyfiks, a na nim ciało Zbawiciela, lecz pozbawione twarzy. Wtedy w sercu Kummernis rozlał się smutek i straszna wina, że to za jej przyczyną On pozbawił siebie twarzy. Lecz dusza Kummernis była czujna – tam gdzie pojawia się wina, tam Go nie ma. Poznała więc, że diabeł przyszedł do niej po raz trzeci, i przeżegnała krzyż trzykrotnie. Pojął diabeł, iż został rozpoznany, i zadrżał.

„Czego chcesz ode mnie?”, zapytał przestraszony, bo dawno już nikt taki, jak ta kobieta, nie chodził w ludzkim ciele.

Odrzekła mu: „Wyspowiadaj się mnie. Wyznaj mi swoje grzechy”.

Krzyknął diabeł z rozpaczą: „Jakże to? Mam ludzkiej istocie się spowiadać?”.

Ale widział już, że nie ma dla niego innego wyjścia, dlatego jął mówić, najpierw ze złością, potem z coraz większą pokorą. I spowiadał się jej trzy dni i trzy noce, a na koniec prosił przez nią cały rodzaj ludzki o wybaczenie wszelkiego zła, które mu uczynił.

Rzekła mu Kummernis: „Czyż nie jesteś także dzieckiem Bożym, jako i ja, i wszyscy ludzie?”.

A gdy jej odpowiedział, poznała tajemnicę Boga i wypuściła ledwie żywego diabła ze swego uścisku.

Męczeństwo i śmierć Kummernis

XXI. Z pomieszania swego baron począł jeszcze więcej pić, a kiedy wrócił do siebie, znalazł przed drzwiami zamurowanej komnaty świeże kwiaty i zapalone świece. Znalazł takoż rozmodlony tłumek kobiet, które natychmiast czmychnęły przed nim, obawiając się jego gniewu. To jeszcze bardziej go rozwścieczyło.

Krzyknął donośnym głosem: „Kim jesteś, żeby sprzeciwiać się mojej woli?”.

Odpowiedziała mu: „We mnie jest Bóg”.

Barona ogarnęła wściekłość, jakiej nigdy do tej pory nie zaznał. Nie doświadczył jej ani wtedy, gdy jako noworodek przepychał się na świat, ani wtedy, gdy w pień wycinał armie niewiernych. To była furia, która swe źródło mogła mieć tylko w Bogu lub w diable. Jednym kopnięciem rozwalił świeży mur i znalazł się na wprost istoty, która wymknęła się jego woli. Oślepiony gniewem, rzucił się na nią i wykrzykując przekleństwa, przebił ją sztyletem. Ale i tego było mu mało, więc uniósł jej ciało i przygwoździł rozkrzyżowane do belek powały, wołając przy tym: „Skoro jest w tobie Bóg, to umrzyj jak Bóg”.

Nawet po śmierci nie dał jej spokoju i przed złożeniem do grobu kazał obciąć z jej twarzy brodę, lecz ona cudownie odrastała.

Potem zaś, przez resztę swojego grzesznego życia, wymazywał tę brodę z wizerunków świętej, bo było tak, jakby świat podzielił się na połowę: jedni tworzyli je, inni zaś niszczyli. Lecz pamięć o świętej przetrwała i wiele nadziei wzbudziła w ludzkich sercach, rozprzestrzeniając się poprzez lądy i obce krainy. Nadano tam jej wiele imion, bo każda ziemia rodzi inne imiona.

Zakończenie

XXII. Wszystko, co tu opowiedziałem, wziąłem z natchnienia Ducha Świętego, z pism Kummernis, a także z ksiąg klasztoru Benedyktynek w Kloster oraz z opowieści, jakie o niej usłyszałem.

Proszę cię, kimkolwiek jesteś i czytasz te słowa, byś wspomniał na grzesznego Paschalisa, mnicha, który – jeśli Pan dałby mu możliwość wyboru – o wiele chętniej wybrałby ciało Kummernis, z całym jego cierpieniem i zasługami, niźli wszelkie zaszczyty królestw.

Opowiadajcie to przyszłym pokoleniom, aby wiedziały, że żadne zło nie może zniewolić duszy ludzkiej i że człowiek zjednoczony z Chrystusem może umrzeć, ale nie może być pokonany.

Perukarka

W zeszłym roku Marta pokazała mi swój kuferek perukarki. Trzyma go w pokoju pod oknem. Jest wyłożony od środka starymi gazetami i w te gazety zawinięte są wszystkie potrzebne przyrządy. Na przykład pletniaki i kartacz. Ma tam też gotowe peruki nałożone na drewniane główki, schowane w celofan, żeby nie dostały się do nich nawet najmniejsze drobinki kurzu, i oczywiście trzyma tam pasma włosów, jeszcze nie przerobione, nie wyczesane, przygotowane dopiero do zamiany w perukę.

Odwijała je z gazet i mówiła:

– Dotknij, jakie są miękkie i żywe. Włosy żyją nawet po ścięciu. Nie rosną wprawdzie, ale wciąż żyją, oddychają. Są jak ludzie, których ciała przestały już rosnąć, ale to przecież nie znaczy, że umarli.

Ale ja nie śmiałam wziąć ich do ręki. Myślę, że się brzydziłam.

– Skąd je wzięłaś? – zapytałam, a ona powiedziała, że miała znajomego fryzjera, który już nie żyje. Zostawiał jej najpiękniejsze warkocze dziewcząt, którym znudziła się fryzura topielic. Podnosił je dla Marty z podłogi, owijał w papier i trzymał w szufladach fryzjerskich stolików, żeby je potem jej wręczyć jak prezent. Czasem nawet zbierał Marcie zamówienia na peruki od kobiet, które straciły włosy z powodu choroby czy starości. Albo od mężczyzn. Ich łysina dotyka częściej, choć może mniej boleśnie. Marta mówiła, że włos, który rośnie, zbiera myśli człowieka. Kumuluje je w sobie w postaci bliżej nie określonych cząsteczek. Jeżeli więc chce się o czymś zapomnieć, zmienić, zacząć od początku, trzeba obciąć włosy i zakopać w ziemi.

– Co z tymi, którzy wkładają na głowę perukę zrobioną z czyichś włosów? – zapytałam.

– To wymaga odwagi – powiedziała Marta.

– Trzeba wziąć na siebie myśli człowieka, od którego pochodzą włosy. Trzeba być gotowym na czyjeś myśli, samemu trzeba być silnym

i odpornym. I nie można nosić peruki cały czas, trzeba z tym uważać.

Marta robiła kiedyś wiele peruk, pięć, sześć rocznie. Prawie zawsze na konkretne zamówienia. Dobierała włosy do zamawiającego, ich fakturę i kolor, bo kiedyś nie było możliwości farbowania. Układała pasma w tę samą stronę, potem moczyła je w wodzie z mydłem, żeby je odtłuścić i wyczyścić. Gdy wyschły, zawijała pasma na palec i rzucała na czesadło. W czasie czesania pojedyncze krótsze włosy odpadały. Zostawało jej w ręku pasmo czyste, lśniące, równiutkie jak świeżo skoszona trawa. Potem używała kartacza, czyli dwóch płytek ze szczotką, która przytrzymywała pasma. Z kartacza Marta wyciągała cieniutkie pasemka, kilka włosków, jak te, które czasami opadają na oczy i które niecierpliwie się odgarnia. Takie pasmo wiązała na niciach pletni. Pokazała mi to. Włosy były nizane specjalnymi węzłami na nici, jak frędzle. Długie pasma musiały być wiązane podwójnie, a nawet potrójnie. Takie grzywki bez czoła Marta rozciągała potem w pokoju, żeby włosy nie pogniotły się i nie połamały. Od tego momentu zaczynało się robienie peruki. Po to są właśnie wieczory, żeby splatać nici przysupełkowanych włosów w przestrzenną siatkę. Marta robiła to szydełkiem, zupełnie jak wełnianą czapkę. Jej chude palce o bladych paznokciach sprawnie przeciągały nici z włosami przez oczka. Zaczynała od kółka, które będzie kiedyś na samym czubku głowy, potem dodawała oczek, zbierała je tak, że spod jej palców wyłaniał się kształt półkolisty, obejmujący. Przy konkretnych zamówieniach trzeba było dobrze znać wielkość i kształt głowy. Dlatego Marta prowadziła zeszyt, w którym zapisywała swoje pomiary. Pokazała mi go. „R.F. – 52, 54, 14” i nieudolny rysunek głowy z wysokim czołem zrobiony kopiowym ołówkiem, rozmazanym w kilku miejscach przez wilgoć, wylane mleko czy łzy. Albo: „C.B. 56, 53, 18” i szkic peruki, z przedziałkiem pośrodku i falami skręconych lekko włosów, które miały opaść na ramiona. Albo fryzetka, peruka niekompletna, pokrywająca tylko przód głowy, ale wiązana do tyłu, pod resztą naturalnych włosów, dla kogoś, kto łysieje od czoła. Albo lepianka, czyli tupecik – owłosiony naleśnik, przyklejany do skóry głowy, upragniony przez mężczyzn czeszących się „na pożyczkę” i drżących przed każdym podmuchem wiatru, który wyśmieje ich zabiegi i popsuje misternie układane kosmyki na lśniących łysinach.

Marta miała jeszcze kilka drewnianych głów, wypolerowanych przez nieustanne przytrzymywanie siatek z włosami. Jedna z nich była mała, jakby dziecinna, inna duża, aż trudno było mi uwierzyć, że naśladowała kształt czyjejś głowy. Na tak duże peruki najczęściej nie starczało włosów jednego gatunku i trzeba było melerować włosy, mieszać pasma pochodzące z wielu głów, dobierać je precyzyjnie pod względem grubości i koloru, tak żeby wyglądały naturalnie.

Marta mówiła, że kiedyś wszystkie kobiety chciały mieć przedziałki, proste i zdrowe, różowy znak wśród włosów równoległy do linii nosa. Żeby zrobić przedziałek w peruce, trzeba ją podkleić delikatną jedwabną siateczką albo młyńską gazą. Przez jej maleńkie oczka przeciągać pojedyncze włosy i wiązać je pod spodem jak mikroskopijną siatkę. Tamburowanie jest najbardziej czasochłonne, dlatego Marta uważała wszelkie przedziałki za szczyt wyrafinowania. Gdy odwiedzała nas znajoma, która nosi gładką fryzurę z przedziałkiem, widziałam, że Marta patrzyła na jej głowę z niepokojem. Nie podobały się jej też włosy farbowane, zwłaszcza rozjaśniane. Mówiła, że wtedy włos przestaje być magazynem myśli. Farba je niszczy albo zniekształca. Takie włosy nie mogą już pełnić swojej funkcji – magazynowania. Są puste i sztuczne. Lepiej je obciąć i od razu wyrzucić. Są martwe, bez pamięci i przeznaczenia.

Nie zdążyła mi powiedzieć wszystkiego. Potem przyszedł czas zajmowania się płynącą z gór wodą, kierowania jej strumyczkami poza domy, żeby nie podmywała fundamentów. Wzmacniania brzegów stawu, zanim w noc powodzi woda zniszczy je raz na zawsze. Albo suszenia przemoczonych butów i spodni. Tylko raz Marta pozwoliła mi przymierzyć jedną z nich – ciemną i skręconą. Przeglądnęłam się w lustrze; byłam młodsza i bardziej wyraźna, ale obca sobie.

– Wyglądasz jak nie ty – powiedziała.

Wtedy przyszło mi do głowy, żeby poprosić Martę o specjalną perukę dla mnie. Niechby Marta przyjrzała się mojej twarzy, zapisała ją w swojej perukarskiej pamięci. Niechby obmierzyła mi głowę, uwieczniła ją w swoim zeszycie, dodała do innych opisanych tam głów, a potem dobrała specjalnie dla mnie włosy, kolor i fakturę. Niechbym miała swoją własną perukę, która by mnie ukryła i zmieniła, która dałaby mi nową twarz,

zanim ją sama w sobie odkryję. Ale nie powiedziałam jej o tym. Marta schowała perukę w woreczku pełnym orzechowych liści, które konserwują włosy.

Granica

Czechy graniczą z naszą ziemią, są w zasięgu wzroku. Latem słyszy się stamtąd szczekanie psów i pianie kogutów. W sierpniowe noce buczą zbożowe czeskie kombajny. W soboty gra dyskoteka w Sonowie. Granica jest bardzo stara, od wieków oddzielała od siebie jakieś państwa. Nie dała się tak łatwo zmienić. Drzewa przyzwyczaiły się, że rosną na granicy, tak samo jak zwierzęta. Jednak drzewa liczą się z nią – nie wychodzą poza swoje miejsce. Zwierzęta w swojej głupocie mają granicę za nic. Stada saren przenoszą się arystokratycznie każdej zimy na południe. Lis chodzi w tę i z powrotem dwa razy dziennie – zaraz po wschodzie słońca pojawia się na zboczu i potem wraca po piątej, gdy wszyscy oglądają Teleexpress. Według wędrówek lisa można regulować zegarek. Tak samo i my przechodzimy granicę w poszukiwaniu grzybów albo z lenistwa, bo nie chce nam się tłuc rowerem do Tłumaczowa, gdzie przechodzenie granicy jest usankcjonowane. Bierzemy rowery na plecy i za chwilę jesteśmy na drugiej stronie. Zaorana leśna droga odradzała się po kilku metrach. Przyzwyczailiśmy się, że jesteśmy pilnowani w dzień i w noc przez wopistów, przez światła ich nocnych patroli, grzmot ich terenowego mercedesa, nocne huczenie motocykli. Dziesiątki mężczyzn w mundurach pilnujących pasa zachwaszczonej ziemi, gdzie maliny wyrastają bez strachu przed zerwaniem, wielkie i aromatyczne. Łatwiej byłoby nam uwierzyć, że pilnują tych malin.

Kometa

Ni stąd, ni zowąd przyszła mi do głowy myśl dziwaczna i potężna:

że jesteśmy ludźmi przez zapomnienie i nieuwagę. Że naprawdę, w jedynej prawdziwej rzeczywistości, jesteśmy istotami wciągniętymi w ogromną, kosmiczną bitwę, która być może trwa od wieków i nie wiadomo, czy w ogóle się skończy. Widzimy tylko jakieś jej odblaski w krwawych wschodach księżyca, w pożarach i wichurach, w październikowym opadaniu zmrożonych liści, w panicznym locie motyla, w nieregularnym pulsowaniu czasu, który wydłuża noce w nieskończoność i gwałtownie zatrzymuje się w każde południe. Jestem więc aniołem czy demonem wysłanym w zamieszanie jednego życia z jakąś misją, która albo wypełnia się sama mimo wszystko, albo o niej zupełnie zapomniałam. Ta niepamięć jest częścią wojny, to broń tamtej strony, a mnie nią porażono tak, że krwawię, na chwilę wyłączono mnie z gry. Dlatego nie wiem, jak bardzo jestem potężna czy jak bardzo słaba, nie znam siebie, nic nie pamiętam, dlatego nawet nie śmiem w sobie szukać tej słabości czy tej potęgi. To jest niezwykłe uczucie – głęboko, gdzieś pod spodem, być zupełnie kimś innym, niż się zawsze myślało. Ale nie niesie to niepokoju, tylko ulgę. Ustaje jakieś zmęczenie, które tkwiło w każdym momencie życia.

Po chwili to potężne uczucie całkiem zgasło, rozmyło się w konkretnych obrazach: otwartych drzwi do sieni, śpiących suk, robotników, którzy przyszli o świcie i stawiają kamienny murek.

Wieczorem R. pojechał do miasta, a ja poszłam do Marty. Nad przełęczą wisiała kometa – znieruchomiała w spadaniu, zamarznięte światło na niebie, obce temu światu. Siedziałyśmy z Martą przy stole. Czesała włosy na peruki i kładła na ceracie cieniutkie wielokolorowe pasemka; założyła nimi całą powierzchnię stołu. Czytałam jej żywot świętej. Wydawało mi się, że słucha nieuważnie. Grzebała w szufladach, szeleściła gazetami, w których trzyma swoje włosiane zbiory. Wiosenne muchy i ćmy już odkryły ludzkie żarówki. Zogromniałe skrzydlate cienie plątały się po ścianach kuchni. Na koniec Marta miała tylko jedno pytanie. Kim był ten ktoś, kto napisał żywot świętej. I skąd to wszystko wiedział.

W nocy wrócił R. Wykładał zakupy z reklamówek i mówił, że w mieście ludzie wychodzą na balkony i przez lornetki przyglądają się komecie.

Kto napisał żywot świętej i skąd to wszystko wiedział

Urodził się jakiś niedoskonały, bo od kiedy pamiętał, było mu w sobie źle, jakby pomylił się w narodzinach i wybrał nie to ciało, nie to miejsce, nie ten czas.

Miał pięciu młodszych braci i jednego starszego, który po śmierci ojca zajmował się rozdzielaniem pracy w gospodarstwie i egzekwowaniem wyników. Johann nienawidził go i podziwiał. Nienawidził go za upór i bezwzględność, z jakimi jego starszy brat rządził gospodarstwem, w którym wszystko musiało być zrobione o właściwej porze i gdzie każdy miał swoje stałe obowiązki, wykonywane jak rytuały. Nawet modlitwa. Johann lubił się modlić, bo to była jedyna chwila, kiedy mógł być z sobą sam na sam. Ale i wtedy jego starszy brat szturchał go i mówił: „Kończ już. Czas na modlitwę minął. Owce czekają". Za to samo brata podziwiał. Dzięki niemu wszyscy mieli co jeść.

Jednak któregoś roku przyszła wcześnie ostra zima i nie zdążyli zebrać ostatniego siana, a na drzewach pozamarzały owoce. I było jasne, że tym, kto powinien pójść do braciszków, jest Johann.

Tak Johann znalazł się w klasztorze w Rosenthalu, wśród mężczyzn młodych i starych, a jego życie niewiele różniło się teraz od tego, jakie wiódł w domu. Tutaj pracował w kuchni i ogrodzie, rąbał drzewo na opał, mył naczynia i karmił zlewkami świnie. Od października do kwietnia było mu cały czas zimno, garnął się więc do kuchni i tulił do pieca, a jego brązowy habit nagrzewał się i wydzielał zapach przypalonej wełny. Wiosną przydzielono go do ogrodu, pod opiekę brata Michała, który nauczył go rozpoznawać zioła i który zaszczepił mu czułość do tego, co rośnie, wypuszcza liście, kwitnie i owocuje. „Masz dobrą rękę do ziół, chłopcze.

Patrz, jak rośnie twoja bazylia. Jeszcześmy tu nie mieli takiego okazu". Habit Johanna, który nazywał się teraz Paschalis, przesiąkał powoli zapachami tymianku, hyzopu, czarnuszki i mięty.

Jednak mimo zmiany imienia, ubrania i zapachów, Paschalis nadal czuł się w sobie nieswojo. Wolałby być kim innym i gdzie indziej. Jeszcze nie wiedział, kim i gdzie, ale często zamiast się modlić, klęczał ze złożonymi dłońmi i przyglądał się obrazom w kaplicy, a zwłaszcza temu, gdzie Matka Boska trzyma na rękach Dzieciątko, obok stoją dwie kobiety – święta Katarzyna z książką i święta Apolonia ze szczypcami. I kiedy tak patrzył, to wyobrażał sobie, że jest w tym obrazie, w samym środku sceny. Ma za sobą otwartą przestrzeń, którą wieńczą na horyzoncie ośnieżone szczyty gór. Bliżej leży miasto z potężną wieżą i murami z czerwonej cegły. Wydeptane ścieżki ze wszystkich stron prowadzą do bram miasta. Obok niego, na wyciągnięcie ręki, siedzi Matka Boska z Dzieciątkiem; jasne, gładkie nóżki Zbawiciela spoczywają na purpurowej szacie sukni. Nad nią w powietrzu wiszą dwa anioły, bez ruchu, z rozpostartymi skrzydłami, jak ogromne ważki. Paschalis jest świętą Katarzyną albo świętą Apolonią – długo nie mógł się zdecydować. W każdym razie jest jedną z nich. Ma długie włosy, które spływają mu po plecach. Suknia ciasno opina mu krągłe piersi i delikatnymi, cudownymi falami spływa do ziemi. Naga skóra nóg czuje miękkie pieszczoty materiału. Ogarniała go wtedy jakaś rozkosz, przymykał oczy i zapominał, że klęczy na zimnej posadzce kaplicy w swoim brązowym habicie.

Brat Paschalis ma piękną twarz – krótko ostrzyżone po zakonnemu włosy tylko podkreślają jej piękno. Spojrzenie ciemnych oczu spod długich rzęs robi wrażenie. Jego gładka jasna skóra nie zna zarostu. Biel zębów nie ma sobie równych. Kiedy tak klęczy w kaplicy z oczami utkwionymi w obrazie Matki Boskiej, wydaje się boleśnie piękny, piękny nie do wytrzymania.

Tak go ujrzał brat Celestyn, kamerariusz, który oprócz życia duchowego zapewniał braciom dostatek materialny. Brat Celestyn zawołał do siebie Paschalisa i powiedział po prostu: „Podobasz mi się. Masz prawdziwe powołanie do zakonnego życia, a to rzadkie w naszych burzliwych, heretyckich czasach. Być może zostaniesz kiedyś opatem. Teraz jednak ja zajmę się tobą".

I Paschalis został jego kolejnym zastępcą, trzecim czy czwartym. Przynosił lampy do dormitorium, rozwieszał ręczniki i sprawował nadzór nad brzytwami. Następnej zimy Paschalis zaczął uczyć się czytać i teraz dbał o lampy w skryptorium. Brat Celestyn sam sprawdzał postępy w czytaniu i po nonie kazał mu przychodzić do siebie i czytać wskazane fragmenty. Słuchał, przemierzając celę od ściany do ściany, albo stawał odwrócony do okna. Paschalis widział wtedy jego masywne plecy i pięty obleczone w wełniane pończochy. „Czytasz coraz lepiej", mówił zwierzchnik i podchodził, żeby kciukiem nieuważnie pogładzić jego wygolony kark. Ta pieszczota nie była Paschalisowi nieprzyjemna. W końcu w czasie któregoś czytania Celestyn podszedł do niego i wsunął mu rękę pod habit. „Masz gładkie plecy jak dziewczyna. Wyrosłeś na dorodnego młodzieńca". Paschalis znalazł się nagi w jego łóżku, gdzie pod wełnianym kocem ukryte były tak delikatne prześcieradła, że zawstydzały skórę. W tej gładkiej pościeli pozwolił robić ze swoim ciałem wszystko, czego tylko brat Celestyn zechciał. Nie było to ani przyjemne, ani nieprzyjemne.

Od tej pory habit Paschalisa nie pachniał już ziołami, ale kurzem, papierem książek i dziwnym, cierpkim zapachem obcego, męskiego ciała.

Kiedyś, gdy leżeli obok siebie zmęczeni miłością i własnymi ciałami, Paschalis zwierzył się Celestynowi z tego, że chciałby być kimś innym. „Jak by to było, gdybym był kobietą...", zastanawiał się w ciemności. Powiedział mu też o sukni obciskającej ciało świętej Katarzyny i opadającej falami do ziemi. „Bycie kobietą powinniśmy uważać za swego rodzaju ułomność, chociaż ułomność ta jest częścią naturalnego porządku", odpowiedział Celestyn słowami Aeropagity i zamknął oczy, jakby chciał się odgrodzić od wszelkich nieomylnych twierdzeń.

Innym razem Paschalis zapytał mądrego brata Celestyna o grzech: „Powiedz mi, czy to jest grzech śmiertelny, bo nie dosyć, że łamiemy śluby czystości, to jeszcze ustalenia natury...". „Cóż ty możesz wiedzieć o naturze?", powiedział ze złością Celestyn i usiadł na łóżku, spuszczając bose nogi na zimną posadzkę. Jego plecy poznaczone były czerwonymi punkcikami pryszczy. Zaczął naciągać habit. Paschalisowi zrobiło się nagle zimno w pustym łóżku. Ciało Celestyna grzało jak piec. „Wszyscy wielcy filozofowie i ojcowie Kościoła mówili, że kobieta jest źródłem wszelkiego

zła, i to przez nią Adam popełnił grzech pierworodny, i przez nią Pan nasz umarł na krzyżu. Ona została stworzona na pokuszenie, lecz głupi są ci, którzy jej ulegną. Zapamiętaj, ciało kobiety jest workiem gówna i co miesiąc sama natura przypomina nam o tym, znacząc je nieczystą krwią". Celestyn przewrócił karty książki, którą Paschalis przedtem głośno czytał. „Chodź tu i czytaj", powiedział. Paschalis, drżąc, stanął nago nad książką. „W starym zakonie powiedziano, by dół zawsze był zakryty; a jeśliby nawet jakieś zwierzę wpadło do odkrytego dołu, karę poniesie człowiek, który odkrył ów dół. Te straszne słowa dotyczą kobiety, która pokazuje się oczom mężczyzny, wodząc go na pokuszenie. Dół – to jej urodziwa twarz, biała szyja i błyszczące oczy. To kobieta winna jest grzechu mężczyzny i musi zapłacić za ten grzech na Sądzie Ostatecznym". „Ubieraj się", powiedział Celestyn, widząc drżące ciało kochanka. „Nasz grzech jest zaledwie drobnym grzechem cielesnym, niewartym wspominania przy spowiedzi. To mniejsze zło niż obcowanie z kobietą".

Jednak brat Celestyn nie był zbyt uważny i nie rozumiał Paschalisa. Jemu nie chodziło o obcowanie z kobietą. Paschalis nie chciał mieć kobiety, ale chciał stać się kobietą. Mieć piersi i czuć je przy każdym ruchu. Ciepłe i miękkie krągłości w pełni zastępują brak tej rzeczy między nogami. Czuć włosy opadające na plecy, słodki zapach własnej miękkiej skóry, słyszeć w uszach brzęk kolczyków, móc jasną dłonią układać fałdy sukni i przykrywać dekolt cieniutką chusteczką. „Jesteś piękny. Nie mogę się tobą nasycić", powiedział mu nagle Celestyn do ucha. „A teraz pomódlmy się razem".

Uklękli obok siebie na posadzce i półgłosem zaczęli się modlić.

Ponieważ w klasztorze przeszłość niewiele różni się od przyszłości, ponieważ niewiele zmienia się w czasie i w życiu ludzi, może z wyjątkiem kolorów pór roku, żyje się w ciągłym teraz. Żyje się w chwili, która na zewnątrz byłaby ledwie momentem, lecz tu ta chwila nigdzie nie zaczyna się i nigdzie nie kończy. I gdyby nie mądrość ludzkiego ciała, które nigdy nie traci z oczu ostatecznego celu, życie w klasztorze mogłoby być nieśmiertelne.

Paschalisa otaczał zewsząd senny porządek drobiazgowych, obliczonych co do gestu, co do chwili rytuałów. Nawet psy, które obserwował z okien, brały udział w regularności klasztornego życia. Pojawiały się w południe

przy śmietniku, gdzie wyrzucano odpadki. Jadły łapczywie, potem znikały, potem znowu wracały i podniecone rozgrzebywały następną porcję śmieci. Wieczorem ustalały swoje hierarchie – gryzły się, skomliły albo, przeciwnie, urządzały jakieś psie zabawy. Zimą tuliły się do stodół i obór. Wiosną słychać było ich zawistny jazgot, kiedy suki dzieliły między siebie samce. Latem pojawiały się po kątach wzruszająco nieporadne szczeniaki. Jesienią polowały już hordami na drobne gryzonie.

Paschalis, jak wszyscy, wstawał o świcie, przemywał twarz wodą i wkładał habit. Zaraz potem wchodził w miękki rytm modlitwy i pracy, w szepczące przetasowania ciemnych postaci mnichów, amfilad i krużganków.

Brat Celestyn był mu ojcem, kochankiem i przyjacielem. Nauczył go wielu rzeczy i zaopatrzył w rzadki klasztorny przywilej – comiesięczną wyprawę ze świeżym mięsem do siostrzanego klasztoru żeńskiego. I był to wielki prezent dla Paschalisa: widoki przestrzeni tak wielkiej, tak potężnej, że klasztorne krużganki i labirynty wydawały się chore i skarlałe. Wyjeżdżali jeszcze przed świtem, żeby koło południa znaleźć się przed kuchenną furtką klasztoru. Wóz toczył się wolno pod górę, a potem, gdy osiągał przełęcz, nawet woły przystawały zagapione w niewiarygodnie daleki horyzont, odgraniczający od nieskończonego nieba zieloną dolinę Glatzu i masywne, podobne do rozstawionych stołów góry. Nie wiadomo dlaczego, Paschalisa ogarniał wtedy niepokój. Po drodze mijali tylko jedną małą wieś, kilka glinianych chałup i to był jedyny moment, kiedy przez chwilę tęsknił do domu.

Gdy wóz stawał przed furtą, natychmiast rozlegał się alarmujący dzwonek i zaraz cichł. Wóz wjeżdżał na podwórko i bracia brali się do wyładowywania połci wieprzowiny. Paschalis rozglądał się niecierpliwie w poszukiwaniu jakiejkolwiek kobiecej postaci. Najczęściej widział jednak tylko stare zakonnice o pomarszczonych twarzach i ustach, w których brakowało kilku zębów. Przypominały mu matkę. Potem zapraszały ich do kuchni i częstowały posiłkiem. Kuchnia była czysta i przytulna, w powietrzu unosił się zapach miodu i serów. Zakonnice miały pasiekę i hodowały krowy. W zamian za mięso dostawali garnki miodu i kosze serów zawiniętych w czyste szmatki. Paschalis domyślał się, że tak musi

pachnieć ciało kobiety: ser i miód – mieszanka i przyjemna, i zbierająca na wymioty.

Czasem udawało się Paschalisowi zobaczyć coś więcej. Raz widział je z wozu przez mur, za którym uprawiały swoje ogródki. Plewiły warzywa i nagle zaczęły się przerzucać wyrwanymi kępkami chwastów. Tłumiły piskliwy śmiech, przyciskając do ust szerokie rękawy habitów. Ten widok nim wstrząsnął. Były jak dzieci. Jedna z nich uniosła lekko do góry spódnicę i skakała przez grządki, unikając uderzenia wiązką roślin. Welon, który udawał włosy, powiewał, jakby u jej głowy urosły cudem skrzydła. Paschalis naśladował potem te ruchy – miękkie, zawsze okrągłe, piękne.

Z niechęcią wracał po czymś takim do klasztoru, nawet do brata Celestyna. Wszystko tu było jakieś kanciaste, nieporadne i szorstkie. Także Celestyn. Jego ciało mogło mu wprawdzie dostarczyć przyjemności, bo tego już się Paschalis nauczył, ale nie było w ciele Celestyna tego, o czym Paschalis marzył. Leżąc przy nim w łóżku, marzył wstydliwie, że Celestyn jest kobietą. Przesuwał dłonią po plecach kochanka, aż w końcu jego palce natrafiały na owłosione, szorstkie pośladki. Cofał dłoń rozczarowany. Potem jednak zaczynał sobie wyobrażać, że to on jest kobietą, i wtedy Celestyn mógłby pozostać tym, kim był. Sam pomysł, żeby mieć ciało kobiety, z tą sekretną dziurą między nogami, przyprawiał go o dreszcz przyjemności, aż stał się prawdziwą obsesją. Jak coś takiego może wyglądać, zastanawiał się. Czy to jest dziura jak ucho, jak dziurka w nosie, tylko większa, okrągła i jasna, czy może rodzaj pęknięcia, krwawiącej wiecznie rany, jak skaleczenie na skórze, które nigdy się nie goi. Paschalis dałby wszystko, żeby poznać tę grzeszną tajemnicę, ale nie tak, jak się poznaje rzeczy, od zewnątrz, ale stać się tym, co poznawane, doświadczyć jej na sobie samym.

Następnej zimy Celestyn przeziębił się i gdy stało się już jasne, że nic nie jest w stanie mu pomóc, bracia zebrali się w jego celi i zaczęli odmawiać potrójną modlitwę za umierających. Celestyn wiedział, co to oznacza, więc wodził rozgorączkowanymi oczami po twarzach braci, jakby szukał w nich zapewnienia, że to, co go czeka, mieści się w porządku klasztornego życia. Rozległ się potem stukot kołatek i zeszli się wszyscy mnisi, żeby wysłuchać ostatniej spowiedzi. Paschalis płakał, gdy opat zaintonował Credo in unum Deum. Łzy ciekły mu wciąż po twarzy, gdy w urywanej spowiedzi brat

Celestyn nie nazwał grzechu, który czynili razem przez całe miesiące. Opat udzielił umierającemu rozgrzeszenia i położono jego ciało na kamiennej posadzce. Wieczorem umarł.

Opat musiał widzieć rozpacz młodego mnicha, bo zaproponował mu zwolnienie z obowiązku wyprawy z mięsem następnego dnia. Ale Paschalis nie chciał. Paliła go skóra, palił go mózg i serce, jakby już za życia dostał się w płomienie piekła.

Transport mięsa wyruszył w ciemnościach. Równomiernie skrzypiały drewniane koła wozu, a nad pyskami wołów unosił się jasny obłok ich marznących oddechów. Słońce wschodziło ponad niskim zimowym niebem i przełęcz otwarła przed nimi tylko zamglone białe powietrze. Nie było widać ani doliny Glatzu, ani Gór Stołowych. Zanim dotarli na miejsce, Paschalis dostał gorączki, wymiotował i trząsł się jak w febrze. Wóz jechał powoli, woły brnęły przez śnieg z trudem i nie było sensu wieźć chorego z powrotem. Bracia zostawili go więc w klasztorze niezbyt zadowolonym z tego siostrom i obiecali, że wrócą po niego, gdy wyzdrowieje. Na dworze rozpętała się zadymka.

Paschalis zapomniał, gdzie jest. Wydawało mu się, że niosą go gdzieś w dół, w jakieś mroczne, wilgotne piwnice, i nagle zrozumiał, że chcą go położyć przy martwym ciele Celestyna, pochować go z nim we wspólnym grobie. Próbował się wyrwać, ale miał wrażenie, że jest związany czy może raczej zaplątany we własny habit, który nagle stał się ciężki i sztywny jak wieko trumny. Potem zobaczył nad sobą dwie straszne czarownice. Złapały go za głowę i wlewały mu w usta jakąś gorącą, ohydną ciecz. Jedna z nich dała mu do zrozumienia, że pije mocz Celestyna, i Paschalis zesztywniał z przerażenia. „Jestem zatruty, teraz jestem zatruty!", krzyczał, a jego głos odbijał się obco od nagich ścian.

A potem nagle obudził się w maleńkiej izbie zwąskim wysokim oknem. Miał pełny pęcherz, więc usiadł na pryczy i spuścił nogi. W jednej chwili zakręciło mu się w głowie i pod stopami wyczuł miękki, ciepły dotyk baraniej skóry. Ostrożnie wstał i zajrzał pod łóżko w poszukiwaniu nocnika. W izbie nie było nic więcej poza łóżkiem, klęcznikiem i dywanikiem. Owinął się derką i wyjrzał na zewnątrz. Zobaczył szeroki korytarz z oknami po jednej stronie, które wychodziły wprost na strome skały, i dopiero wtedy zdał sobie sprawę, gdzie jest. Tuż przy drzwiach

stało pękate gliniane naczynie; wciągnął je do środka i ulżył sobie. Gdy wrócił do łóżka, poczuł się szczęśliwy. Powietrze było tu cieplejsze, pachniało zupełnie inaczej. Jego stopy zapamiętały dotyk baraniego kożuszka.

Wieczorem przyszła do niego przeorysza. Była w wieku jego matki. Jej usta otaczały promyki zmarszczek, a sucha, pomarszczona skóra miała kolor popiołu. Wzięła go za rękę i liczyła uderzenia pulsu. „Jestem tak słaby, że nie mogę utrzymać się na nogach", zapewnił ją Paschalis szeptem. Popatrzyła mu bacznie w oczy. „Ile masz lat, chłopcze?", zapytała. „Siedemnaście", powiedział i przytrzymał jej dłoń. „Niech siostra pozwoli mi tu przyjść do siebie", poprosił i pocałował ją w tą suchą, gorącą rękę. Uśmiechnęła się lekko i pogładziła go po wygolonej głowie.

Następnego dnia zawołały go do kuchni te dwie staruchy, które pamiętał z gorączkowych majaków. Drewniana balia parowała gorącą wodą. „Wykąpiesz się, żebyś nam tu wszy nie przyniósł", odezwała się starsza, z policzkami obwisłymi jak puste sakiewki. Mówiła miękko, jakby po dziecinnemu – może nie miała zębów, a może pochodziła z południa. Myły go z odwróconymi głowami. Szorowały jego drobne ciało tak, jak to robiła matka – zdecydowanie, ale delikatnie, aż skóra się zaczerwieniła. Dostał długą lnianą koszulę, jaką nosiły mniszki, i skórzane kamaszki na nogi. Zakonnice bez słowa zaprowadziły go do izby, w której leżał ostatnie dwa tygodnie zmorzony chorobą.

Odtąd przeorysza przychodziła do niego codziennie. Stawała nad nim i przyglądała mu się bacznie. Nie mógł znieść tego badawczego wzroku. Był pewien, że wie wszystko o jego kłamstwach i udawaniu. Odwracał twarz do ściany i czekał. Zwykle potem badała mu puls i oboje klękali, żeby zmówić Zdrowaś Mario i modlitwę za chorych. Kiedy wychodziła, zamykał oczy i szukał w powietrzu jej zapachu. Ale przeorysza nie pachniała. Uważał też, że była piękna – wysoka, dobrze zbudowana, wydawała się silna i zdrowa. Między przednimi zębami miała furtkę. Któregoś wieczoru przyszła i powiedziała od drzwi, żeby był gotowy do powrotnej drogi. Już się odwróciła i położyła rękę na klamce, gdy Paschalis nagle rzucił się do jej nóg, złapał za habit i przywarł ustami do stóp w wełnianych skarpetach. „Nie oddawaj mnie tam, matko", krzyknął piskliwym głosem. Znieruchomiała i teraz dopiero poczuł jej zapach – kurzu, dymu i mąki.

Przywarł do tego zapachu, gotowy na wszystko. Po długiej chwili pochyliła się nad nim i podniosła go z klęczek.

Opowiedział jej wszystko, nawet o Celestynie. Opowiedział jej o swoim ciele, które nie chciało być takie, jakie było. Na koniec rozpłakał się, a łzy ściekały mu po twarzy i wsiąkały w lnianą koszulę. „Trudno ogarnąć rozumem całe boskie dzieło", westchnęła i spojrzała na niego wzrokiem, w którym pojawił się jakiś dziwny błysk. Chłopiec nie mógł opanować spazmatycznego płaczu. Przeorysza wyszła.

„Jedno wiem. Nie możesz tu zostać", powiedziała mu o świcie, gdy bez uprzedzenia weszła do jego celi zaraz po kapitule. „Nie jesteś kobietą, masz fizyczne znamiona swojej płci... choć można je ukryć. Jako mężczyzna jesteś tu niebezpieczny i niepożądany". Paschalis wyrwany ze snu z trudem nadążał za tym, co mówiła. „Ale modliłam się do Świętej Panienki i ona wysłała do mnie Kummernis". Paschalis szeptem powtórzył to imię. Nic nie rozumiał. Kazała mu wstać. Dał sobie narzucić płaszcz na koszulę i poszedł za nią korytarzami, które z mniejszych przechodziły w większe, potem zakręcały i zamieniały się w krużganki i schody, aż wreszcie stanęli pod drzwiami małej kaplicy, doczepionej do kamiennej ściany jednego z pustych pomieszczeń. Przeorysza przeżegnała się, a Paschalis machinalnie powtórzył ten gest. Weszli w niewielką przestrzeń oświetloną małą olejną lampką tuż przy posadzce. Jej maleńkim płomieniem przeorysza zapaliła świece. Jego oczy oswajały się z tym, co widziały.

Całym ołtarzem było wielkie olejne malowidło, na którym namalowano krzyż i rozpięte na nim ciało. Paschalisa coś nagle na nim zaniepokoiło i coś jednocześnie wydało mu się bardzo znajome – fałdy sukni, miękko opadające ku ziemi. Jego wzrok przywarł do dwóch gładkich i jasnych kobiecych piersi, które wyeksponowane przez rozłożone ręce wydały mu się centralnym punktem obrazu. Ale było w tym coś jeszcze bardziej dziwacznego, coś nie do przyjęcia i Paschalis zaczął drżeć – kobiece ciało na krzyżu wieńczyła twarz Chrystusa, twarz mężczyzny z młodzieńczym, rudawym zarostem.

Paschalis nie zrozumiał tego, co widział, a jednak odruchowo osunął się na kolana. Szczękał zębami nawet nie z powodu porannego zimna, ale z przeczucia, że klęczy przed istotą jemu podobną, bliską, choć

zdecydowanie nieludzką. Oczy Chrystusa patrzyły na niego łagodnie i ze smutkiem, który mógł być tylko drugą stroną miłości. Nie było na niej męki ani bólu.

Odwrócił się do przeoryszy. Uśmiechała się.

„To Kummernis. My mówimy na nią także Troska, zresztą ma wiele imion". „To kobieta", powiedział cicho Paschalis. „Nie jest jeszcze świętą, ale wierzymy, że kiedyś dojdzie do kanonizacji. Na razie pobłogosławił ją papież Klemens. Żyła przeszło dwa wieki temu niedaleko stąd, w Broumowie. Była cnotliwa i piękna. Wszyscy ubiegali się o jej rękę, ale ona chciała za małżonka tylko naszego Pana. Jej ojciec próbował więzieniem zmusić ją do zamążpójścia, a wtedy stał się prawdziwy cud. Pan Jezus, chcąc ją uchronić od utraty dziewictwa i wynagrodzić jej nieustępliwość, dał jej swoją twarz". Przeorysza przeżegnała się powoli. „Rozwścieczony ojciec ukrzyżował ją, więc zginęła męczeńską śmiercią, tak jak jej Oblubieniec. Wybrałyśmy sobie Kummernis na patronkę naszego zakonu, ale obecny papież zakazał jej kultu, dlatego trzymamy ją tutaj w zamknięciu i wierzymy, że papież zmieni swoją decyzję. A teraz chodź, bo zmarzniesz".

Po drodze spytała go, czy umie dochować tajemnicy. Przytaknął gorliwie. „A pisać i czytać?"

Kury, koguty

Marta co roku wiosną chodziła do Nowej Rudy i kupowała sobie dwie kury i koguta. Hodowała te kury, dbała o ich bezmyślny żywot, sprowadzający się do wielogodzinnych spacerów po ogrodzonej przestrzeni ze wzrokiem rozpiętym między ziemią, na której może być ziarno, i niebem, na którym może być jastrząb. W kurzym świecie na dole, pod nogami, jest życie, na górze, ponad głową – śmierć. Wieczorem Marta wpuszczała całe to towarzystwo do kurnika, a rano wypuszczała. Nosiła im rozgotowane ziemniaki wymieszane z ospą w starej blaszce do pieczenia ciasta. Nie miała wiele zachodu przy tych kurach, za to codziennie dwa jajka.

Przynosiła mi czasem torebkę po cukrze, a w niej jajka w pobrudzonych łajnem skorupkach. Ich żółtka miały bardzo intensywny kolor; trzeba było mrużyć oczy przed tym oczywistym podobieństwem do słońca. Jesienią Marta jednego dnia zabijała własnoręcznie swoją kurzą rodzinę.

Nie mogłam tego zrozumieć; pierwszego roku nie odzywałam się do niej kilka dni i wyrzuciłam kości, które przyniosła moim sukom. W Martę, która przez całe lato nie kupowała mięsa i żywiła się tylko warzywami, musiał wstępować zły demon. Te jej kury były oswojone, nie bały się ludzi, jadły z ręki okruszki ciasta, patrzyły w oczy. Marta trzy dni z rzędu robiła z nich rosół, mięso gotowała, ogryzała kości do ostatniego kurzego ścięgna. Trudno mi było uwierzyć, że ta chuda staruszka zjadała wciągu trzech dni trzy sztuki drobiu.

Teraz przyszła pod okno i powiedziała:

– Kupiłam kury.

– Rozumiem – mruknęłam.

– Co robisz? – zapytała pojednawczo.

– Jestem zajęta.

Milczała przez chwilę. Zapisałam plik.

– To ci zabiera dużo czasu. – Usłyszałam, że idzie w stronę tarasu, zaraz wejdzie na schody. Usłyszałam jej perfekcyjne wycieranie butów. Za chwilę widziałam ją, jak siedzi w sieni przy okrągłym stole. Miała na głowie absurdalną sportową czapkę i uśmiechała się.

– Nie szkoda ci czasu? – powiedziała i pokazała mi w koszyku młode kurki i kogutka.

Podejrzewałam, że Marta ma kłopoty ze spaniem; może właśnie dlatego milczała na temat swoich snów. Mówiła, że cały jej sen, to dwugodzinna drzemka wieczorem, zupełnie jakby jej ciało nie czuło się zmęczone i tylko nawykiem reagowało na ciemność. Potem Marta budziła się, po wsze czasy wyspana, zapalała w kuchni lampkę albo chociaż świeczkę i wpatrywała się w światło. A czasem, gdy noc była jasna, Marta siedziała po ciemku i z okien kuchni śledziła księżyc, który nigdy nie wydał jej się taki sam. Tak mi mówiła. Zawsze był inny, wschodził gdzie indziej, innymi drogami obchodził czubki świerków. W takie jasne noce Marta lubiła wyjść na

drogę, przejść nią pod kapliczkę i potem na przełęcz, pod wiatrak Olbrichtów, z którego zostały tylko kamienie i studnia. Widać było stąd posrebrzone góry i dalekie doliny, a w nich światła domów. Nad Nową Rudą i dalekim Kłodzkiem wisiały żółte łuny. Najlepiej były widzialne wtedy, gdy niebo miało konsystencję gęstą od deszczowych chmur. Miasta świeciły, jakby wołały o pomoc.

Ale najbardziej zdumiewającą rzeczą, jaką widziała Marta, był sen tysięcy ludzi, którzy spali teraz pogrążeni w próbnej śmierci, leżeli pokotem w miastach, wsiach, położonych przy przejściach granicznych, spali w schroniskach górskich, w szpitalach i domach dziecka, w Kłodzku i Nowej Rudzie, i jeszcze dalej, w przestrzeni, której nie widać i nawet nie czuje się, że istnieje. Skąpani we własnym zapachu, rzuceni w swoje i obce łóżka, w koje robotniczych hoteli, na półkotapczany zagraconych kawalerek, za przepierzenia oddzielające miejsce spania od miejsca życia. W każdym domu ciepłe, bezwładne ciała, ręce rozrzucone albo przytulone do ciała, leciutko drgające powieki, pod którymi oko wędruje niespokojnie w tę i z powrotem, muzyka oddechów, pochrapywań, dziwnych słów wyrzucanych nagle przed siebie, nieświadomy taniec stóp, poruszenia ciała, które w sennej wędrówce podąża za kołdrą. Ich skóra paruje, myśli się plączą, nie ma nic, co by ich określało, co dawałoby pewność, że w ogóle są. Ich wzrok ogląda jakieś obrazy – i to jest właśnie sen: mają obrazy, ale nie mają siebie. Miliony ludzi, którzy śpią w każdej chwili czasu. Pół ludzkości uwikłanej w sen, podczas gdy druga połowa czuwa. Kiedy jedni się budzą, inni muszą położyć się spać i w ten sposób utrzymywać świat w równowadze. Jedna noc bezsenności i myśli ludzi zaczęłyby się tlić, pomieszałyby się litery we wszystkich dziennikach świata, wypowiadane zdania stałyby się bezsensowne i ludzie próbowaliby dłonią wpychać je z powrotem do ust. Marta wiedziała, że żadna chwila na ziemi nie może być tylko jasna, napięta i dźwięczna; po drugiej stronie planety musi ją równoważyć chwila ciemna, płynna, głucha i skłębiona.

Sny

Kiedy sny powtarzają zdarzenia z przeszłości, kiedy ją międlą, zmieniają w obrazy, przesypują przez sita znaczeń, zaczyna mi się wydawać, że przeszłość tak samo jak przyszłość na zawsze pozostanie nieodgadniona i nieznana. To, że coś przeżyłam, wcale nie znaczy, że poznałam tego znaczenie. Dlatego tak samo boję się o przeszłość, jak i o przyszłość. Niechby się okazało, że coś, co znałam i uważałam do tej pory za zrozumiałe i pewne, mogło się dziać z zupełnie innej przyczyny i w sposób, jakiego nie podejrzewałam. Że prowadziło mnie ku czemu innemu, a ja nie odkryłam kierunku, że byłam ślepa, że spałam.

Ci ludzie z internetu, do których przyłączyłam się ze swoimi snami – odtąd nic nas tak nie łączy jak sny. Wszyscy śnimy te same rzeczy w dziwacznie podobny, chaotyczny sposób. Te sny są równocześnie naszą własnością i własnością wszystkich innych ludzi. To dlatego nie istnieją autorzy snów, to dlatego tak chętnie zapisujemy je w internecie we wszystkich językach i podpisujemy tylko literą, imieniem, symbolem. To jedyna rzecz na tym świecie, do której nijak się ma prawo własności. Na całej ziemi, gdziekolwiek ludzie śpią, wybuchają w ich głowach małe, pogmatwane światy, które jak dzikie mięso przerastają rzeczywistość. Może i są tacy spece, którzy wiedzą, co znaczy każdy z nich osobno, ale nikt nie wie, co one wszystkie znaczą razem.

Sen z internetu

Jestem w ponurym mieście, pełnym starych, wąskich kamienic. Badam pewien fenomen, a mianowicie: w murach domów są okrągłe dziury i nikt nie wie, jak powstały. Tym się właśnie zajmuję, badam te otwory w murach, siatkach, płotach, szybach i odkrywam, że ułożone są w oczywistym porządku – to jakby tunel w przedmiotach, jakby coś leciało i robiło dziury w tym, co spotykało na swojej drodze. Nie próbuję jednak ustalić, co to było. Fascynuje mnie trajektoria lotu. Najpierw wydaje mi się,

że to coś przyleciało z nieba, zbliżyło się do ziemi i odleciało z powrotem do nieba. Ale wymowa faktów jest bezdyskusyjna – to coś wyleciało spod ziemi i znikło w niebie. Rzeczom niespecjalnie przeszkadza to, że są dziurawe.

Zapomnienia

Poszłam do Marty i kosiłam jej pokrzywy ze ścieżki do strumienia. Dreptała za mną z założonymi na piersi rękami i mówiła, że Bóg zapomniał stworzyć wiele zwierząt.

– Na przykład brodziaka – powiedziałam. – Byłby twardy jak żółw, ale na długich nogach i miałby twarde, miażdżące zęby. Chodziłby po strumieniu i wyżerał wszystkie brudy, szlam, martwe gałęzie, nawet śmieci, które woda niesie ze wsi.

I tak zaczęłyśmy przypominać sobie te zwierzęta, których nie stworzył z jakichś względów Bóg. Tyle ptaków pominął, tyle zwierząt, które żyją w ziemi. Na koniec Marta powiedziała, że najbardziej brakuje jej tego wielkiego, nieruchawego zwierzęcia, które w nocy siedzi na skrzyżowaniu dróg. Nie powiedziała, jak się nazywa.

Niemcy

Wczesnym latem na łąkach zaczynali pojawiać się Niemcy. Ich siwe głowy płynęły w morzu traw. Wsłońcu błyskały wesoło druciane okulary. Taki-a-Taki powiedział, że Niemców poznaje się po butach – są białe i czyste. My nie dbamy o buty, nie szanujemy obuwia. Nasze buty są toporne, zawsze z ciemnej skóry. Albo gumowce, gumiaki, do których Stasek Bachleda strzepuje popiół z papierosa. Nasze buty z materiałów skóropodobnych, jaskrawo biało-czarne naśladownictwa Mody, Sportu, Ulic Europy. Nasze

buty wiecznie ubłocone czerwoną rozmokłą ziemią, wykrzywione, przemarznięte i przesuszone.

Niemcy wysypywali się z autokarów, które nieśmiało, żeby nie rzucać się w oczy, przystawały na poboczach dróg. Szli małymi grupkami albo parami, najczęściej parami. On i ona, jakby szukali miejsca na miłość. Robili zdjęcia pustym przestrzeniom, co dziwiło wielu ludzi. Dlaczego nie robią zdjęć nowemu przystankowi, nowemu dachowi kościoła, tylko pustym przestrzeniom zarośniętym trawą. Wiele razy podejmowaliśmy ich herbatą i ciastkami. Nie rozsiadali się na krzesłach, nie prosili o więcej. Kończyli tę herbatę i szli. Było nam niezręcznie, gdy chcieli wcisnąć nam wdłoń kilka marek. Baliśmy się, że wyglądamy jak barbarzyńcy w tych naszych wiecznych remontach, z tynkiem osypującym się na ziemię, z przegniłym stopniem schodów.

Gdziekolwiek szli, zawsze w końcu znajdowali się pod sklepem, gdzie czekały na nich małe dzieci i wyciągały ręce po cukierka. To niektórych oburzało i zawsze robiło się trochę nieprzyjemnie. W ciągu tych kilku minut, gdy Niemcy rozdawali cukierki koło sklepu, wibrowało nad naszymi głowami coś bardzo patriotycznego, robiło się biało-czerwono, jakby w powietrze uniosła się zetlała do konsystencji gazy narodowa flaga i nawet czuliśmy się wtedy, na przekór tym cukierkom, Polakami.

Niektórzy Niemcy przyjeżdżali wielokrotnie. Niektórzy zapraszali ludzi ze wsi (jedną, dwie osoby, najczęściej tych, którzy dbali o ich niemieckie groby) do Reichu i załatwiali im pracę.

Albo jak starsze małżeństwo, które zjawiło się kiedyś na naszej ziemi. Oboje palcem wskazywali nam nie istniejące domy. Potem wysyłaliśmy sobie kartki na święta. Powiedzieli uspokajająco, że rodzina Frostów nie interesuje się już naszym domem.

– Dlaczego ktoś miałby interesować się naszym domem? – zapytałam ze złością Martę. A ona odpowiedziała:

– Bo go zbudował.

Jednego wieczoru, gdy znosiłyśmy z tarasu puste filiżanki po herbacie i talerzyki po cieście, Marta powiedziała, że najważniejszym ludzkim zadaniem jest ratowanie czegoś, co się rozpada, a nie tworzenie rzeczy nowych.

Peter Dieter

Kiedy Peter Dieter i jego żona Erika przejechali granicę, Peterowi usiadła na dłoni biedronka. Przyjrzał się jej uważnie – miała siedem kropek. Ucieszył się.

„Oto powitanie", powiedział.

Jechali dziwaczną autostradą. Po obu jej stronach stały dziewczyny w kusych obcisłych spódniczkach i machały na samochody.

Wieczorem znaleźli się we Wrocławiu i Peter był zaskoczony, że poznaje miasto. Tylko wszystko wydawało się ciemniejsze i mniejsze, jakby znaleźli się we wnętrzu byle jakiej fotografii. W hotelu musiał wziąć przed snem swoje tabletki, bo serce kołatało mu nierówno, a przerwy między kolejnymi uderzeniami wydłużały się w nieskończoność.

„Przyjechaliśmy tu za późno", powiedziała poważnie Erika i usiadła na łóżku. „Jesteśmy za starzy na wzruszenia. Zobacz, jakie mam spuchnięte nogi".

Następnego dnia obejrzeli Wrocław: był taki sam jak wszystkie inne miasta, które widzieli w życiu. Miasta w rozpadzie, miasta w rozkwicie, miasta chylące się ku rzekom, wrośnięte głęboko w ziemię i te zbudowane na piaskach, delikatne jak struktury pleśni. Miasta opustoszałe, zniszczone i miasta odbudowywane na cmentarzach, w których potem ludzie żyją tak, jakby umarli. Miasta podzielone na pół, balansujące na jedynym moście, kamiennym języczku u wagi.

Potem zaczęły się góry. Karpacz pełen kiosków z pamiątkami, Szklarska Poręba, o której Peter uparcie mówił Schreiberhau, jakby się bał zmierzyć z nową polską nazwą. Ale w gruncie rzeczy byli nieuważni i myśleli o jednym – kiedy wreszcie pojadą dalej, w stronę Neurode i Glatzu – i czy zdążą wszystko zobaczyć. Czy w ogóle może starczyć czasu na oglądanie tego, co było, czy ich oczy zamienią się w aparaty fotograficzne i po prostu zrobią zdjęcia temu, co zobaczą.

Peter chciał znowu ujrzeć swoją wieś, a Erika chciała zobaczyć Petera, gdy będzie patrzył na swoją wieś. Pomyślała, że wtedy zrozumie wreszcie całego Petera, od początku do końca, te wszystkie jego smutki, lakoniczne odpowiedzi, nagłe zmiany decyzji, które ją denerwowały – albo nawet te

uparcie stawiane pasjanse, marnowanie czasu na głupoty, ryzykanckie wyprzedzanie samochodów na autostradzie i wszystkie obce rzeczy, które zawsze w nim tkwiły i nie zmieniło ich czterdzieści lat wspólnego życia.

Zatrzymali się w wiejskim pensjonaciku, w którym wszystkie napisy zachęcały, upraszały, ostrzegały i informowały po niemiecku. Jeszcze przed śniadaniem Peter ubrał się i wyszedł przed dom. Był maj, mlecze kwitły dużo później niż na równinach. Zobaczył swoje góry jako zamglone płynne linie na horyzoncie. Powąchał powietrze. Dopiero zapach, nie widok, sprawił, że lawiną ruszyły obrazy, prześwietlone, nieostre, porwane filmy bez głosu, bez puent, bez fabuł.

Ruszyli po śniadaniu, na które podano jajka na miękko. Droga ciągnęła ich najpierw w dół, a potem łagodnie do góry. Kręciła się serpentynami, aż zupełnie stracili poczucie kierunku. Mijali rozrzucone na zboczach wsie, domy duże i małe, jakieś zagadkowe strumienie, które mimo pozorów były wciąż tą samą rzeczką. Każda wieś miała swoją dolinę, leżały jak czekoladki w aksamitnych zagłębieniach.

Najbardziej przykre uczucie tego dnia – Peter nie poznał swojej wsi. Skurczyła się do rozmiarów przysiółka, brakowało domów, brakowało podwórek, dróżek, mostków. Został z niej szkielet. Postawili samochód przed zamkniętym na kłódkę kościołem, za którym kiedyś stał między lipami dom Petera.

Obwąchiwał to miejsce i znowu puszczał w ruch ten dziwny film przeszłości. I właściwie uświadomił sobie, że mógłby go puszczać wszędzie, w barze przy stacji benzynowej, w metrze, na wakacjach w Hiszpanii czy na zakupach w centrum handlowym, i może wtedy ten ukochany film byłby wyraźniejszy, bo nie zakłócałoby go to, co widzą oczy.

Wędrowali wąską ubitą drogą i z góry widzieli wieś, szkielet wsi, kilka pozostałych domów, małe ogródki, wielkie lipy. A to wszystko żyło – dołem szli ludzie, poganiali krowy, biegły psy, jakiś mężczyzna wybuchnął nagle śmiechem, zatrąbił samochód, wyżej człowiek z wiadrami pomachał im ręką, dym z kominów sunął w niebo, ptaki leciały na zachód.

Usiedli na trawie przy drodze i jedli chipsy. Erika zerkała na jego twarz i bała się, że zobaczy jego wilgotne oczy albo drżenie brody. Wtedy odłożyłaby torebkę chipsów i objęła go. Ale on miał twarz taką samą, jakby oglądał telewizję.

„Idź dalej sam", powiedziała i dodała: „Zobacz, jakie spuchnięte mam nogi", co zabrzmiało jak refren.

Nie odpowiedział.

„Przyjechaliśmy za późno. Jestem stara i nie mam siły iść na górę. Wrócę do samochodu i poczekam na ciebie".

Delikatnie musnęła jego dłoń i zawróciła. Usłyszała jeszcze jego ostatnie zdanie: „Daj mi dwie godziny, może trzy".

Zrobiło jej się smutno.

Peter Dieter szedł noga za nogą, patrzył na kamienie i na krzaki dzikiej róży, na których były już pąki. Stawał co kilkadziesiąt metrów i ciężko oddychał. Przyglądał się wtedy liściom, łodyżkom i grzybkom na cienkich nóżkach, które powoli zjadały przewrócone drzewa.

Najpierw droga prowadziła między ugorami, potem weszła w świerkowy las. Ale i las się skończył i Peter miał teraz za sobą panoramę gór, którą do tej pory nosił w sobie. Oglądnął się za siebie tylko raz, bo bał się, że zniszczy ten widok samym swoim patrzeniem, zupełnie tak samo jak cenne znaczki, które tracą kolor i wzór, gdy się je ogląda zbyt często. Dopiero na samym grzbiecie przystanął i obracał się wkółko, i ssał ten widok, spijał go. Wszystkie góry na świecie porównywał zawsze z tymi górami i żadne nie wydały mu się tak piękne. Albo były za duże, za potężne, albo zbyt niepozorne. Albo zbyt dzikie, ciemne, porośnięte lasami jak Schwarzwald, albo zbyt udomowione, oswojone, jasne jak Pireneje. Wyciągnął aparat fotograficzny i przyszpilał nim to, co widział. Pstryk – rozproszone zabudowania wsi. Pstryk – ciemne świerkowe lasy, pełne czarnych cieni. Pstryk – nitka strumienia. Pstryk – żółte rzepakowe pola po czeskiej stronie. Pstryk – niebo. Pstryk – chmury. Wtedy poczuł, że nie ma czym oddychać, że zaraz się udusi.

Podszedł jeszcze wyżej i dotarł do szlaku turystycznego, jacyś młodzi ludzie z plecakami pozdrowili go, gdy ocierał pot, który zalewał mu oczy, i poszli dalej. Właściwie szkoda mu było, że tak poszli. Mógłby im opowiedzieć, jak tu przychodził, kiedy był w ich wieku, jak trochę niżej na wilgotnym mchu kochał się po raz pierwszy z kobietą; albo pokazać im z góry, gdzie stał wiatrak Olbrichtów, który ruchliwymi ramionami dawał znaki wsi. Chciał nawet za nimi zawołać, ale zabrakło mu w płucach

powietrza. Serce waliło mu gdzieś w gardle i dławiło. Byłoby zmarnowaniem okazji teraz wracać, więc z ogromnym wysiłkiem podszedł jeszcze kilkaset metrów i znalazł się na samym szczycie, przez który przechodziła granica. Z daleka zobaczył obielone słupki graniczne. Zupełnie stracił oddech, widocznie nie służyło mu to dawno zapomniane rozrzedzone powietrze. Zapomniał, że może być groźne dla płuc, które nauczyły się oddychać wilgotną morską bryzą.

Zrobiło mu się słabo, gdy wyobraził sobie powrót. Co by było, gdybym tu umarł, pomyślał i powlókł się do słupów. Wydało mu się to, nie wiedzieć czemu, śmieszne. Iść taki kawał pod górę, jechać tu przez pół Europy, żyć tyle lat w portowym mieście, spłodzić dwoje dzieci, zbudować dom, kochać się, przeżyć wojnę. Zaśmiał się sam do siebie i wyciągnął z kieszeni czekoladkę. Przystanął i starannie odwijał ją ze złotka, ale kiedy ją włożył do ust, wiedział, że już jej nie przełknie. Jego ciało było zajęte czym innym. Serce odliczało rytm, arterie się rozluźniały, mózg produkował narkotyk łaskawej śmierci. Peter usiadł pod słupem granicznym z czekoladką w ustach i daleki krąg horyzontu powoli ciągnął jego wzrok. Jedną nogę miał w Czechach, drugą w Polsce. Siedział tak z godzinę i sekunda po sekundzie umierał. Na koniec pomyślał jeszcze o Erice, że czeka tam na dole w samochodzie i na pewno się martwi. Może nawet zawiadomiła policję. Teraz jednak i ona wydała mu się jakaś nizinna, morska i nierealna. Jakby prześnił całe życie. I wcale nie wiedział, kiedy umarł, bo to nie działo się od razu, tylko po trochu – wszystko się w nim rozpadało.

Kiedy zaczęło zmierzchać, znaleźli go czescy granicznicy. Jeden szukał jeszcze na jego ręce pulsu, a drugi, młodszy, patrzył ze strachem na brązową czekoladową strużkę, która sączyła się z ust na szyję. Ten pierwszy wyciągnął radio, popatrzył pytająco na drugiego i obaj spojrzeli na zegarek. Wahali się. Pomyśleli chyba o kolacji, na którą się spóźnią. O raporcie, który będą musieli spisać. A potem całkiem jednomyślnie przełożyli nogę Petera z czeskiej strony na polską. Ale i tego było im mało, bo delikatnie przeciągnęli całe ciało na północ, do Polski. I w poczuciu winy milcząco odeszli.

Pół godziny później Petera znalazły światła latarek polskich wopistów. Jeden z nich krzyknął „Jezu!” i odskoczył; drugi odruchowo chwycił za broń

i rozglądał się wokół. Było całkiem cicho, a miasta w dolinach wyglądały jak rzucone papierki po czekoladkach, w których odbijają się gwiazdy. Polacy spojrzeli w twarz Peterowi i poszeptali między sobą. Potem w uroczystym milczeniu wzięli go za ręce i nogi i przenieśli na czeską stronę.

Tak też Peter Dieter zapamiętał swoją śmierć, zanim jego dusza odeszła na zawsze – jako mechaniczny ruch, w jedną i w drugą stronę, jako balansowanie na krawędzi, stanie na moście. I właściwie ostatnim obrazem, jaki pojawił się w jego usypiającym mózgu, było wspomnienie szopki z Albendorfu – drewniane ludziki posuwają się w pomalowanym farbkami krajobrazie, wykonując przypisane im mechaniczne ruchy. Idą drewniani ludzie, poganiają drewniane krowy, biegną drewniane psy, jakiś człowiek śmieje się drewniano, wyżej inna postać, z wiadrami, macha ręką, w namalowane niebo idzie namalowany dym, na zachód lecą namalowane ptaki. Dwie pary drewnianych żołnierzyków w nieskończoność przenoszą drewniane ciało Petera Dietera z jednej strony na drugą.

Rabarbar

Za domem Marta hodowała rabarbar. Małe poletko było spadziste, a rzędy roślin nierówne – omijały większe kamienie, a potem równały do niepewnej miedzy. Zimą rabarbar znikał pod śniegiem i pod ziemią, zwijał swoje mięsiste łodygi i rósł w drugą stronę, rósł wstecz, do swojego zarodka, do swoich śpiących korzeni. Pod koniec marca ziemia się wybrzuszała i rabarbar rodził się od nowa. Znowu był mały, jasnozielony, delikatny jak ciało bez skóry, jak niemowlę. Rósł nocami, trzeszczał, słyszeliśmy go w trawie, drobniutkie – jak okruszki – fale dźwięku budziły inne rośliny. Za dnia ustalały się grządki. Marta patrzyła na nie z rumieńcem na twarzy – to tak jakby wstawało uśpione wojsko, jakby spod ziemi rośli żołnierze ustawieni w bojowe szeregi. Najpierw czubki głów, potem potężne ramiona, wyprężone ciała zawsze na baczność, z których w końcu rozwinie się falowany zielony namiot.

W maju Marta ścinała ostrym nożem swoich żołnierzy, tak jakby mówiła do nich „spocznij". Pewnie widzieli ją z dołu, wielką i potężną babę z nożem w ręku. Zgrzyt noża w poprzek jędrnych łodyg, kwaśny sok na stalowym ostrzu.

Równe pęczki niosła Marta na zielony rynek w Nowej Rudzie i tam sprzedawała na pierwszy wiosenny kompot albo wytęsknione przez zimę drożdżowe placki z rabarbarem.

Pomagałam jej przy wiązaniu pęczków. Łodygi niedoskonałe, uszkodzone albo zbyt krótkie odkładałyśmy na bok, żeby potem w moim ruskim piecyku upiec nasze własne ciasto.

Kosmogonie

Moim ulubionym filozofem jest Archemanes, jeden z nauczycieli Pitagorasa.

Według Archemanesa świat tworzony jest w wyniku współdziałania dwóch praprzyczyn. Archemanes rozumie je jako potężne praistoty, które są wieczne i powszechne. To współdziałanie najlepiej byłoby nazwać wiecznym pochłanianiem. Jedna zjada drugą, bez końca. Na tym polega istnienie świata. Pierwsza z nich, to Chtonos. Jest to coś, co bezustannie rodzi, pączkuje, rozrasta się. Cel i środek jej istnienia, to tworzenie z samej siebie. Tworzenie to polega nie tylko na zwielokrotnianiu siebie samej, ale na emanacji bytów, które nie są do niej podobne, a nawet są z nią sprzeczne. Dlatego w Chtonosie trwa cały czas wzrastanie, ślepe i bezrefleksyjne, ciemne – mięso armatnie istnienia. Druga istota – Chaos – pochłania Chtonosa, niejako konsumuje, zjada go. Cały czas, perfekcyjnie. Chaos jest niematerialny, jest zasadą, rozpuszcza przestrzenie Chtonosa, jakby je trawił. Bez Chtonosa nie mógłby istnieć i vice versa. Zamienia Chtonosa w nicość, dziś powiedzielibyśmy, że go anihiluje.

Związek obu istot jest niezwykle intensywny, z niego powstaje Chronos – zasada, którą można by najlepiej porównać do oka cyklonu. W samym środku pochłaniania, anihilacji czy zniszczenia tworzy się byt pozornego spokoju, byt oazowaty, prawie fatamorganiczny, którego cechą jest stałość, regularność, porządek, nawet pewna harmonia, która daje początek istnieniu świata. Chronos wyhamowuje pochłanianie, nadaje mu pewną formę. Z jednej strony, cedzi powstawanie, grupuje je w małe wysepki porządkowane przez czas, który jest jego (Chronosa) istotą, podstawową zasadą, z drugiej, osłabia uderzenie niszczenia. W tym miejscu stwarza się świat i jego podstawowe energie.

W Chronosie rodzą się wszelcy bogowie. Ich podstawową cechą jest miłość (philia). Są świetliście wypełnieni miłością i nią właśnie usiłują przezwyciężyć nienawiść (neikos) żywiołów, ażeby w końcu osiągnąć jedną, niezniszczalną, eteryczną naturę duchową świata. Właśnie w tym celu stwarzają ludzi, zwierzęta i rośliny i obdarzają je nasieniem miłości.

To właśnie opowiadałam Marcie przy wiązaniu pęczków rabarbaru. Gdy skończyłyśmy, Marta powiedziała mi coś w tym rodzaju: kiedy ludzie mówią „wszystko", „zawsze", „nigdy", „każdy", może to dotyczyć tylko ich samych, w świecie zewnętrznym bowiem nie istnieją takie ogólne rzeczy.

Poradziła mi, żebym była uważna, bo jeżeli ktoś zaczyna zdanie od słowa „zawsze", to znaczy, że stracił kontakt ze światem, i że mówi o sobie.

Wzruszyłam ramionami.

Kto napisał żywot świętej i skąd to wszystko wiedział

Paschalis został więc w klasztorze sióstr martianek, żeby spisać historię ich sekretnej czteroimiennej patronki. Dostał osobną celę w budynku gospodarczym, a więc oddaloną od reszty klasztoru. Cela była duża, wygodna i ciepła, miała wysokie okno zamykane na noc drewnianymi okiennicami i szeroki, ciężki pulpit do pisania, ze specjalnym wgłębieniem na flaszkę z atramentem. Okno Paschalisa wychodziło na południe, więc gdy tylko odpłynęły zimowe chmury, zamieszkała z nim wielka smuga światła, ożywiana latającymi drobinkami kurzu i niecierpliwym lotem much. Kiedy zmarzł przy pulpicie, stawał w tym promieniu i grzał w nim zziębnięte ciało. Widział wtedy łańcuch łagodnych gór i wydawało mu się, że falują w niezauważalnym dla ludzi tańcu. Wkrótce znał każdą krzywiznę tego niezwykłego horyzontu, każdą dolinę, każde wzniesienie.

Dwa razy dziennie zakonnice zostawiały mu pod drzwiami jedzenie – chleb i gotowane warzywa, a w niedzielę i święta wino. Raz na dwa, trzy dni odwiedzała go matka przeorysza. „Pytali o ciebie", powiedziała na początku, kiedy jeszcze nie wiedział, jak ma się zabrać do swojej pracy. „Pytali, a ja powiedziałam, że poszedłeś sam. Wtedy oni odrzekli, że pewnie stało ci się po drodze coś niedobrego, może napadły cię wilki, a ja powiedziałam, że nikt nie widział tu wilków od lat i że pewnie uciekłeś, poszedłeś sobie w góry..." „Dlaczego tak matka skłamała?", zdziwił się

Paschalis. „Wolałabym cię widzieć, jak uciekasz i łamiesz śluby, niż jak leżysz martwy i zakrwawiony na ziemi". „Nie wiem, jak mam zacząć", poskarżył się. Przeorysza wskazała mu leżącą na pulpicie niewielką księgę. „Musisz to najpierw uważnie przeczytać, a wtedy poznasz tę, która to napisała. Musisz czytać tak długo, aż ją ujrzysz w każdym szczególe, jak wyglądała, jak się poruszała, jakim mówiła głosem. Wtedy będzie ci łatwiej zrozumieć, co czuje człowiek, który coś takiego napisał, i co czuje człowiek, który to teraz czyta, czyli ty".

Paschalis zaczął więc od czytania. Najpierw wydało mu się to nudne i niewiele z tego rozumiał, bo i jego łacina nie była zbyt dobra. Potem jednak zauważył z rozbawieniem, że i łacina świętej pozostawiała wiele do życzenia – jak rodzynki w słodkich plackach zakonnic tkwiły w niej słowa czeskie, niemieckie i polskie. Ale potem zaczął powoli znajdować w pisaniu Kummernis to pragnienie, które nosił w sobie on sam – żeby stać się kim innym, niż się jest, i to dodawało mu otuchy.

Książka była dziwna, bo czytało się ją z dwóch stron naraz. Z jednej strony widniał tytuł „Hilaria", a kiedy odwróciło się ją do góry nogami, zaczynała się jako „Tristia". A więc smutki i radości. W środku książki, między obydwiema częściami, było jeszcze kilka stron zapisanych innym kolorem atramentu. Ta część nazywała się „Pouczenia do modlitwy".

Istniała także druga przyczyna braku skupienia Paschalisa – ciągnęło go życie kobiet za ścianą. Czasem słyszał ich głosy i stuk sandałów. W porze przynoszenia posiłków stawał pod drzwiami i czatował na moment, kiedy delikatne uderzenie naczyń o posadzkę obwieszczało mu, że za drzwiami jest jakaś kobieta. Nigdy nie odważył się jednak ich wtedy otworzyć. Ze swojej celi wychodził tylko w nocy, gdy odgłosy życia w klasztorze zamierały. To było mu wolno. Mógł przejść jedyną dozwoloną trasą – z celi do kapliczki z wizerunkiem ukrzyżowanej Kummernis. I w końcu obnażone, jasne piersi świętej zaczęły w nim budzić pragnienie. Marzył, żeby wtulić między nie twarz. Marzył też czasem o czymś bardziej dojmującym, czymś, co miało związek z Celestynem, o czym wiedział, że jest grzeszne i zakazane, i sprawdzał te marzenia na sobie, tuląc się nocami do szorstkiego koca i badając swoje niezdecydowane ciało.

W „Hilariach" pierwszy fragment, który przykuł jego uwagę, był następujący:

„Mogłabym położyć się na ziemi, rozrzucić ręce i nogi, i tak czekać, aż Twoje niebo nabrzmieje od słońca i opadnie na mnie, tuląc się do mojego brzucha i piersi".

Tak ją po raz pierwszy zobaczył. Leżała na łagodnym zboczu góry, za klasztorem, na trawie wśród kwitnących jaskrawych mleczów, których kolor raził Paschalisa w oczy. Wymazał je z tego obrazu. Teraz otaczała ją zielona trawa i czyste ogromne niebo. Jej ciało było jak krzyżyk postawiony na zboczu góry, jak znak, który mówi: „patrz, tutaj, tutaj!". Dołem, drogą idą ludzie, poganiają woły, biegną psy, jakiś mężczyzna wybucha nagle śmiechem, dzwonią dzwonki na szyjach owiec, swędzi skóra, wyżej idzie człowiek z upolowanym zającem, macha ręką, dym z kominów sunie w niebo, ptaki lecą obojętnie na zachód. To wszystko widzi Paschalis.

Położyć się na kimś, kto leży bezbronny na ziemi z rozrzuconymi rękami i nogami, przylgnąć do tego ciała całym ciężarem, opaść na nie, wtulić się w takie ciało... I co? Paschalis nie wiedział. Więc zwijał nocą koc w długi wałek, kładł go na ziemi i wyobrażał sobie, że oto leży pod nim kobiece ciało wypełnione po brzegi ciepłem, miękkie i twarde zarazem, pulsujące i żywe. Kładł się na nie ostrożnie, jego oddech stawał się płytki i urywany, jakby nagle brakowało mu powietrza, leżał i nie czuł ulgi. Jedyne, co mu przychodziło do głowy, to przybić to ciało do ziemi. Potem, leżąc w łóżku i uspokajając oddech, myślał o ojcu Kummernis – że pewnie musiał czuć to samo.

„Co za bzdury", żachnęła się następnego dnia przeorysza, a Paschalisowi zrobiło się wstyd, że odważył się jej zwierzyć. „Nie po to dałam ci tu schronienie i wikt, żebyś wymyślał takie rzeczy. Kiedy czujesz się głodny – jedz. Kiedy czujesz się samotny – módl się. Czy poznałeś już Pouczenia do modlitwy?"

Tak, czytał je, ale wydały mu się niezrozumiałe. Co to znaczy: nie myśleć o niczym, zastanawiał się. Jak jest możliwe nie myśleć o niczym. Stawał przy oknie w smudze światła i badał swoje myśli. Wydawały się wszechobecne, komentowały krajobraz, jaki oczy widziały za oknem; powtarzały: o, chmura, drzewa, góry: o, jak rzucają cień na trawiaste połoniny. A kiedy zamykał oczy, żeby oddzielić się od tych widoków, jego myśli zmieniały się, ale wciąż były obecne: jestem głodny czy to już pora posiłku co to za dźwięk z góry czy ktoś biegnie kim jest ta wysoka

zakonnica co wieczorem doi krowy. Albo widział obrazy: uważna twarz przeoryszy, wąsik na jej górnej wardze, jej duże palce wystające z sandałów, kotara przed obrazem Kummernis, ciało na krzyżu, martwa mucha w wodzie święconej. Jak można nie myśleć?

Czasem Paschalis czuł się w celi uwięziony. Jego nogi potrzebowały ruchu. Tęsknie patrzył na góry za oknem. Tęsknił do świata. Było mu żal, że nie widział ani miast, ani pałacowych malowideł, ani kościołów, które ponoć sięgały nieba. Daleko na południu był papież, który radził teraz z synodem, jak ratować świat przed lutrami. Wyobrażał sobie ten świat – był piękny, jak z obrazu, który oglądał godzinami w tamtym klasztorze. Górzysty łagodny krajobraz, w dolinach piaskowe zamki, rzeki, po których płyną małe łodzie, płachetki zaoranych pól, przy nich porządnie ubrani chłopi, młyn, żebrak, psy. A tuż przed oczyma nie siedzi Matka Boska z Dzieciątkiem, tylko papież, duży, poważny mężczyzna, trochę jak Celestyn albo biskup z Glatzu. W głowie papieża rodzą się myśli i słowa. Aniołowie napisali je na powiewających wstęgach i teraz trzymają nad jego głową.

Ręka mnicha w południe zawsze słabnie, myśli zatrzymują się w locie i wiszą wstęgami w Paschalisowej celi. Nie ma w nich ładu i składu, słowa wykruszają się ze swojego kształtu i w pyle osypują się na ziemię. Demon południa daje mnichowi wrażenie, że bieg rzeczy spowalnia się, a słońce nie porusza. Paschalis wlepia wzrok w jakiś punkt, nawet nie wie jaki. Zamierzona praca zamienia się w wiszący nad głową kamień i ciąży całemu światu. Pokusa zaniechania, nagła dojmująca pustka, nuda, która brzmi zawsze jak granie świerszczy. „Anxietas cordis quae infestat anachoretas et vagos in solitudine monachos", czyta Paschalis i wie, że popełnia grzech, że grzeszy nie czynem, ale zaniechaniem wszelkiego czynu. Jedynym ratunkiem wydaje się ucieczka.

Paschalis myślał, że kiedy zostanie w klasztorze, zakonnice potraktują go jak równego sobie, ubiorą w habit, przypuszczą do swojego stołu i do swojego życia. A one zamknęły go w celi i traktowały, jakby go nie było. Kazały mu opisać życie kobiety, której nie znał, i opracować jej pisma, których nie rozumiał. Mam pisać historię Kummernis. A kto napisze moją historię, myślał. Dlatego gdy przeorysza przyszła następnym razem, powiedział, że rezygnuje. Że chce iść do Rzymu i poprosić papieża, żeby

uznał go za kobietę. Wtedy dopiero wróci jako pełnoprawna zakonnica. Przeorysza zamrugała oczami i nic nie powiedziała. Dotknął ustami jej dłoni. „Dobrze więc" – odezwała się – „powiem ci, dlaczego pozwoliłam ci zostać. Kiedy cię zobaczyłam po raz pierwszy, przypominałeś mi jelonka, małego rannego jelonka. Ale z jelonków wyrastają z czasem potężne jelenie. Tego dnia, kiedy poprosiłeś mnie o pozostanie tutaj, pomodliłam się do Kummernis, bo nie wiedziałam, co robić. I miałam sen, a ja rzadko miewam sny. Śniła mi się piękna płaskorzeźba z kości słoniowej, która przedstawiała dwa zwierzęta – jelenia i lwa. Jeleń zjadał lwa. Połknął mu już głowę". Przeorysza umilkła i wpatrywała się z oczekiwaniem w Paschalisa. „No i co było dalej?", zapytał. „Nic, to już wszystko". „I co to znaczy?" Wzruszyła ramionami. „Nie wiem, co znaczy, ale wiem, że nie miewa się takich snów codziennie. Powinieneś zostać, spisać historię świętej i pójść z nią do biskupa w Glatzu, a potem do samego papieża w Rzymie, żeby ją kanonizowali".

Tego wieczoru Paschalis ze szczegółami wyobraził sobie scenę w Rzymie. Papież jest wzruszony jego pracą i długą podróżą. Papież przypomina teraz Celestyna. Kładzie Paschalisowi dłoń na głowie, czego zazdroszczą mu biskupi i królowie. A potem zwraca się do tych wszystkich władców, bogaczy i ludzi zebranych na dziedzińcu: Od tej chwili Paschalis jest kobietą! W drodze powrotnej ciało Paschalisy zmienia się z każdą wiorstą, powiększają się piersi, skóra robi się gładka, aż w końcu którejś nocy ginie bezpowrotnie męskie przyrodzenie, jak wyrwane z korzeniami. Pozostaje po nim otwór, który prowadzi tajemniczo w głąb ciała.

Listy

Dostaję listy prawie tylko od kobiet i prawie wszyscy ludzie, do których piszę listy – to kobiety. Kiedy nie ogląda się telewizji, cały świat widziany z tego miejsca wydaje się zupełnie kobiecy. Kobiety sprzedają żywność w sklepach, organizują spotkania, chodzą po zakupy z dziećmi, wypełniają autobusy do Nowej Rudy i z powrotem, strzygą włosy, umawiają się na

wieczór, całują w oba policzki, pachną, przymierzają ciuchy w sklepach, podają żetony na poczcie, rozwożą listy pisane przez kobiety, które czytają kobiety. Mam jeszcze Martę i suki. Także kozę. R. stanowi w tym wyjątek; jego obecność podkreśla tę wszechobecną żeńskość. Na tej samej zasadzie soli się słodkie ciasto drożdżowe, a do kwaśnego sosu dodaje się trochę cukru.

Myślałam o słowach, które są niesprawiedliwe pewnie dlatego, że wyrastają z nierówno i niechlujnie podzielonego świata. Co jest żeńskim odpowiednikiem słowa „męstwo"? „Żeństwo"? Jak nazwać w kobiecie tę cnotę, żeby nie przekreślić jej płci? Nie istnieje żeński odpowiednik słów „starzec" czy „mędrzec". Stara kobieta to staruszka lub starucha, jakby w starzeniu się kobiet nie było żadnej dostojności, żadnego patosu, jakby stara kobieta nie mogła być mądra. Co najwyżej można powiedzieć o niej „wiedźma" i zaznaczyć, że pochodzi od „wiedzieć". Ale i tak będzie to obraz złośliwej staruchy o obwisłych piersiach i brzuchu niezdolnym do rodzenia, istoty szalonej ze złości do świata, choć potężnej. Stary mężczyzna może być mądrym i dostojnym starcem, mędrcem. Żeby powiedzieć coś podobnego o kobiecie, trzeba kluczyć, omawiać, opisywać – stara mądra kobieta. A i tak brzmi to na tyle podniośle, że staje się podejrzane. Ale najbardziej niepokoi mnie słowo „usynowić", bo nie istnieje „ucórzenie". Bóg usynowił człowieka.

Ciasto z trawy

Ten sam wopista, który przerzucał ciało Niemca na drugą stronę granicy, zimą patrolował Czarny Las. Jego zadaniem było sprawdzać, czy stara droga w lesie do Czech pozostaje nieprzejezdna dla wszelkich ewentualnych przemytników alkoholu i samochodów. Wczesną wiosną trzeba tam pojechać z elektryczną piłą i ściąć kilka drzew tak, żeby upadły na trakt. To są naturalne sposoby ochrony granicy państwowej. Na ścięcie świerków trzeba mieć oczywiście zgodę nadleśnictwa.

Wopista znał wszystkich ludzi w okolicy. Od pierwszego spojrzenia potrafił rozpoznać obcego, a wtedy legitymował go i dzwonił do bazy. Kimkolwiek byłby ów człowiek, grzybiarzem czy zabłąkanym poza szlakami turystą, wopista obserwował go przez lornetkę z góry, aż ten oddalił się od granicy i poszedł w swoją stronę.

Widział w ten sposób mnóstwo ludzi – pojedynczych, tych na chwiejnych nogach i idących zdecydowanie; pary, które szybko przepadały gdzieś w krzakach, ludzi sunących gęsiego z głowami opuszczonymi pod ciężarem plecaków, ludzi ze zwierzętami, psami, końmi, krowami, koszykiem ślepych kotów do utopienia, ludzi z przedmiotami i maszynami, rowerami, w samochodach, na traktorach (właściwie tylko jeden w okolicy miał traktor), z siatkami, z piłą spalinową, z grzybami w reklamówkach, z pół litrem kupionym na mecie… Wopista miał poniekąd przed sobą teatr, w którym grano, niestety, nudne przedstawienie. Wiele musiał sobie dopowiadać. Musiał też pewne rzeczy wiedzieć, dokąd szedł Taki-a-Taki, ciągnąc rower przez wertepy, co znaczy biały opel przed domem w dole, a co granatowy bus, otwarte albo zamknięte czerwone okiennice w innym domu, owce na przełęczy, a nie pod lasem, żelazne łóżko wystawione do sadu. Musiał to wiedzieć. Inaczej nic by z tego, co widzi, nie zrozumiał. Patrzyłby tylko, a nie widział.

Zdarzało mu się, to jasne, że często się zagapiał i widział świat przed sobą jak obrazek. Dołem, asfaltową drogą idą ludzie, gnają krowy, biegną psy, jakiś mężczyzna wybucha nagle śmiechem, dzwonią dzwonki na szyjach owiec, swędzi skóra, wyżej idzie człowiek z ukłusowanym zającem, macha komuś ręką, dym z kominów sunie w niebo, ptaki lecą na zachód. Ten obrazek trwa i trwa; wydaje się wieczny. Scena, której przydarzają się ludzie, a nie ona ludziom.

W sylwestra po południu ten młody wopista o twarzy rumianej i czerstwej jak słodka bułeczka jechał powoli przez śnieg swoim wielkim motorem. Koła zapadały się głęboko i musiał uważać, żeby nie ześliznąć się w głęboki parów przy drodze. Potem zobaczył wiele śladów kręcących się wokół, zawracających i znowu biegnących naprzód. Większe zaspy śniegu poznaczone były kształtami ludzkich sylwetek – ktoś musiał się kłaść w zaspę, toczyć po niej, przewracać. Ktoś musiał położyć się na śniegu,

machać rękami i nogami – w ten sposób zostawił po sobie pieczątkę w kształcie wielkiego ptaka.

Spotkał ich na przełęczy. Mieli kolorowe, śmieszne czapki. W ogóle wyglądali podejrzanie. Na dodatek chichotali, kiedy chciał ich legitymować. Rzucali sobie porozumiewawcze spojrzenia i wybuchali śmiechem. Pomyślał, że muszą być pijani, i poczuł się jak idiota. Przecież był sylwester. Im bardziej byli jednak weseli, tym bardziej on poważniał. Im bardziej oni parowali humorem, prawie płynęli z radości ponad śniegiem, tym mocniej on czuł się przykuty do ziemi, tym głębiej zapadały się jego nogi. Drażnił go ich humor.

Byli młodzi. Dziewczyna, która była z nimi, wydała mu się piękna i niedostępna. Przygryzała koniec jasnego kosmyka włosów, patrzyła tajemniczo, jakby się właśnie obudziła z przyjemnego, może nawet erotycznego snu.

Byli niepoważni – w strefie przygranicznej nie nosili ze sobą dokumentów, więc nawet nie miał jak ich spisać.

„Plecaki są w chałupie", powiedzieli.

Chcąc nie chcąc, musiał z nimi zawrócić. Na zmianę pchali motor przez śnieg. Chłopcy znali się na motorach, ale wcale mu to nie zaimponowało. Miał cały czas poczucie, że jest przy nich śmieszny i nieważny, więc jakby mimochodem rozpiął kurtkę i pokazał im lśniącą skórzaną kaburę pistoletu.

W chałupie pachniało niezamieszkaniem, czyli wilgocią i resztkami jesieni, suchych liści i siana. Było zimno. Usiadł przy stole i spisywał dane z ich dowodów osobistych. Wszyscy byli z Wrocławia. Mieszkali na ulicach, których nazwy brzmiały wielkomiejsko i światowo: Wiedeńska, Wybrzeże Wyspiańskiego, Grunwaldzka, Kosmonautów. No tak, wiedział, że przyjechali tu na sylwestra, żeby się napić i powygłupiać. Jasne, że nie byli przemytnikami, że w żaden sposób nie mogli zaszkodzić granicy. A jednak teraz nie wypadało się wycofać, powiedzieć: w porządku, jadę dalej, ja też mam imprezę wieczorem, ciemny garnitur już wisi na drzwiach szafy, wyprasowany i gotowy, wódka mrozi się w lodówce i szampan tryumfuje w barku meblościanki.

Wśród tych nieznośnych chichotów, które plątały mu pismo, dziewczyna postawiła przed nim kubek herbaty. Wypił ją z wdzięcznością. Rozgrzała go od środka i rozluźniła. Zapalił papierosa. Zjadł kawałek ciemnego, dziwacznego ciasta, które smakowało ziołowo i egzotycznie, trochę jak piernik. Ich śmiech był wymierzony w jego powagę; powinien dać im spokój albo wymierzyć karę, potem pojechać w stronę lasu i zawrócić do placówki, zdać służbę i iść do domu. Ale siedział i jadł to ciasto podsuwane mu z jakąś podejrzaną gorliwością, wśród krzyżujących się porozumiewawczych spojrzeń. Wszyscy patrzyli, jak wkłada je do ust, gryzie i połyka. Miał wrażenie, że ich myśli łączą się i rozmawiają ze sobą, dla niego niesłyszalnie, i tylko on jest wśród nich obcy. Oni są swoi, on jest obcy, a przecież to jego teren.

W końcu, nie wiadomo dlaczego – wbrew sobie, wyszedł przed dom i zadzwonił do bazy. Powiedział, że wraca. Zrobiło się już ciemno. Pomachali mu czapkami i wybuchnęli śmiechem.

Jechał dobrze znaną sobie drogą, ale wydawała mu się jakaś długa. Już powinien być przy mostku, a ledwie minął ostatni dom. Pomyślał o tych młodych ludziach, właściwie nie mógł o nich przestać myśleć, i wydali mu się jacyś wilkowaci. Mój Boże, ta myśl przeraziła go. Wilkowaci. Zatrzymał motor, zgasły światła i nagle znalazł się w ciemnościach, które go zmroziły. Z daleka widział wieś, okna świeciły jak kwadratowe dziury w przestrzeni. Może powinien zawrócić, wejść jeszcze raz do tych ludzi powiedzieć im. Ale co? Szarpnął motor i odwrócił go. Zapalił silnik, ruszył, ale za chwilę zarył się w zaspie. Całe przednie koło zniknęło w śniegu. Ręce zaczęły go nieprzyjemnie mrowić; musiał poruszać palcami w rękawicach.

Coś stało się z czasem. W głowie pojawiały mu się tysiące myśli, naderwanych, ponadgryzanych, niepełnych. Wysypywały się z nich słowa jak z pękniętej torebki maku. Zaczynał je zbierać, ale trwało to tak długo. Chyba minęła godzina, a on dalej bez przekonania szarpał zagrzebany w śniegu motocykl. Spojrzał na zegarek, ale tarcza była ciemna, więc zaczął szukać zapalniczki. Musiał ją zostawić w tamtym domu, gdzie wciąż piekło się ciasto z siana. Jego zapach powrócił i wopiście zrobiło się niedobrze. Garścią śniegu przetarł twarz, ale to nie pomogło. Popatrzył na swój motocykl i wydało mu się, że on usnął; trzeba go tak zostawić do rana.

Zdjął kurtkę i przykrył zmęczone ciało maszyny. Mruknęła z wdzięcznością.

Wopista ruszył z powrotem w stronę przełęczy i ciemnych domów w przysiółku. W ustach miał smak ciasta i znowu zrobiło mu się niedobrze. Nie dobrze. Niedo brze. Brakowało mu brze, czegoś, co miało związek z ciepłem i jedzeniem. Na moment falowanie czasu ustało i wopista pomyślał zupełnie jasno, że zrobił błąd, idąc do nich bez kurtki i na piechotę; powinien się pospieszyć, bo to niebezpieczne tak chodzić nocą po polach. Wciąż istnieją wilki.

I w tej chwili usłyszał je gdzieś w lesie na górze, przenikliwy, pełen rozpaczy głos, nawoływanie beznadziejne, pełne bólu i opuszczenia.

Widział wilka w zoo we Wrocławiu. Wyglądał jak wypchany, choć się poruszał. Sierść miał zmierzwioną i niezdrową. Był podobny do jednego kundla, który codziennie rytualnie gonił jego motocykl i próbował go złapać za nogawkę. Ale nie do końca. Bo kundel miał swój czas, a wilk był bezczasowy. Wilki nie rodzą się i nie umierają. Istnieją nawet tam, gdzie ich nie ma. To odkrycie zdumiało wopistę tak bardzo, że przystanął i zaczął nadsłuchiwać. Zawodzenie umilkło, ale teraz słyszał jakby szmer drobnych kroków, które tłumi śnieg.

Zapragnął zgubionej zapalniczki jak kobiety. Mógłby nią sobie przyświecić i wiedziałby, która jest godzina. To wyjaśniłoby wiele. Mógłby się na jej płomieniu podciągnąć w górę, byłby tam, gdzie chciał iść. A tak nie wiedział nawet, czy w prawo, czy w lewo, w górę czy w dół. Tak czy owak – ruszył przed siebie, ślizgał się po śniegu płynnie, jakby jechał na łyżwach. Podobało mu się to. Szedł dobrze. Szedł do brze, do ciepła i światła. Do dziewczyny o sennej urodzie, z kosmykiem jasnych włosów w ustach. Za nim w śniegu bezgłośnie powstawały pięciokrotne ślady łap.

Zobaczył go. Ani przed, ani za sobą, tylko gdzieś w ciemności. Był potężny. Siwizna jego sierści odbijała światło śniegu.

„Wilku, oszczędź mnie w imię granicy państwowej", powiedział w tę ciemność.

Wilk za nim przystanął. Zastanawiał się.

Sen z internetu

Znalazłem się w dziwnej, opustoszałej okolicy. Wiem, że się zgubiłem. Błądziłem po tym smutnym pustkowiu; cały czas trwał zmierzch. Od czasu do czasu znajdowałem swoje własne ślady: odcisk butów, moją zgubioną zapalniczkę, czapkę, aparat fotograficzny, i to mi dodawało otuchy, że idę po swoich śladach. Nagle stanąłem nad strumieniem. Odbijało się w nim szare niebo. Widziałem też swoją twarz – poczułem się zaskoczony, bo to była inna twarz. Całe życie myślałem, że wyglądam inaczej. Zacząłem się myć i z przerażeniem ujrzałem, że woda zmywa ciało z mojej twarzy. To nic nie bolało. Moja twarz topiła się, jakby była z wosku. Rozpuszczała się w wodzie. W końcu ze zgrozą wyczułem pod palcami nagie kości. W tym momencie doszła do mnie porażająca prawda – umarłem. Nie było żadnego powrotu.

Efemerydy

Marta miała jeden szczególnie dla mnie nieprzyjemny zwyczaj – stawała za mną i przez ramię zaglądała, co robię. Słyszałam jej oddech: lekki, szybki, płytki – oddech starego człowieka. I czułam jej zapach, to był zawsze zapach snu, pościeli, rozespanej skóry. Tak czasami pachną dzieci. To jest ten zapach, który dorośli chętnie tłumią perfumami i dezodorantami – wtedy dopiero zaczynają pachnieć jak rzeczy, nie jak ludzie.

Więc Marta stawała tak nade mną i stała. Cokolwiek robiłam, zaczynałam się mylić. Jeżeli czytałam, słowa uciekały mi i gubiłam sens zdania. Jeżeli pisałam, nagle przestawałam mieć cokolwiek do napisania. Wtedy odsuwałam się od niej delikatnie, żeby jej nie urazić, ale byłam na nią zła.

Jedyne, w czym mi nie przeszkadzało jej stanie nade mną – to czytanie efemeryd, perfekcyjnie dokładnych tabel z pozycjami planet, może dlatego, że nie ma tam słów ani zdań, ani nawet rysunków, które trzeba objąć

wzrokiem. Są tylko kolumny cyfr, zupełnie obojętnych, cyfr stałych, niepodatnych na niezrozumienie, raz na zawsze wyliczonych i wydrukowanych czarno na białym, liczb od jeden do sześćdziesięciu, bo tyle możliwości ludzie dali czasowi, żeby mógł się jakoś przejawić. Więc tylko kombinacje liczb i dwanaście prostych graficznych znaczków, które określają przestrzeń niebieską. I jeszcze dziesięć symboli ciał niebieskich – to wszystko. A wczytując się w to uważnie, sunąc wzrokiem poprzez szeregi i kolumny, przy pewnej wprawie da się objąć całość, zobaczyć subtelną, chwilową równowagę, jaką mają tylko papierowe mobile, które robi moja siostra – ostrożnie wyważane przestrzenne konstrukcje zawieszone na jedwabnych nitkach, poruszane przez niezauważalny ruch powietrza w pokoju. Mobile są jednak kruche i dużo łatwiej je zniszczyć, niż stworzyć. Świat wyrażony w efemerydach jest cudownie stały, właściwie nieśmiertelny. Pewnie dlatego nic mi nie może przeszkodzić w jego oglądaniu.

W moich efemerydach nie było jednak komety.

Ogień

– To jest rok komety – powiedziała Agnieszka, gdy nalewała mi mleko do kanki. – To jest przedostatni rok życia papieża. Spotkają się dwa żywioły, a potem przyjdzie dziwna zima. Ludzie zaczną mrzeć jak muchy.

Bywało, że Agnieszka prorokowała. Kiedy codziennie ogląda się Pietno, jedyne, co można przeczuwać – to koniec świata. Raz po raz słyszeliśmy inną wersję przyszłych wydarzeń. Możliwości jej wyobraźni były nieograniczone. Poza tym umiała tak wyciągać słowo na wszystkie strony, że wychodziła jej zawsze jakaś historia, która, zupełnie jak u Takiego-a-Takiego, zmieniała się w zależności od pory, miejsca i okoliczności, w jakich była opowiadana: wieczorem czy rano, przy studni czy w restauracji „Lido", z winem czy z wódką.

Po tej przepowiedni wracałam drogą do domu. Przystawałam i piłam mleko prosto z kanki – smakowało jak białe niebo. Myślałam o grzybach,

czy już są. Było wystarczająco ciepło na pierwsze pieczarki, wystarczająco wilgotno na podróżniczki, wystarczająco słonecznie na purchawki. Potem z ustami pełnymi mleka zobaczyłam, że palą się łąki nad domami. Ogień szedł cienkim łańcuszkiem pod górę, z wiatrem w stronę lasu. Cienka linia przesuwała się wolno, pobłyskiwała wesoło wsłońcu, cicha, zostawiała za sobą czarny obszar, coś w rodzaju cienia chmury, ale sto razy bardziej ciemnego.

– Stop – powiedziałam i wszystko powinno było się zatrzymać, jak w strategicznej grze komputerowej, jak na telewizyjnych mapach pogody, gdzie świat składa się z falistych linii i cyfr. Nic się nie stało. Ktoś za mną zawołał. Agnieszka stała na przełęczy, jej mała, przysadzista postać wydawała się pokraczna w rozciągniętym dresie.

– Kiedy zmieni się kierunek wiatru, spalą się wasze domy – krzyknęła. Wydało mi się, że słyszę w jej głosie satysfakcję.

Popędziłam na dół. Mleko wylewało się z rozhuśtanej kanki i oblewało mi buty.

Pracowaliśmy kilka godzin, zanim przyjechali osmoleni strażacy. Powiedzieli, że palą się łąki z tamtej strony wzgórz. Byli rozebrani do pasa i powolni. Przeszli nonszalancko przez ścianę ognia i chwycili się za dwa końce rozpalonej linii. Pewnie wiedzieli, co robią – w ten sposób manewrowali nią, jakby była długą, rozciągniętą na ziemi wstążką. Zakręcili jej dwa końce, aż linia stworzyła okrąg i wpadła w sam jego środek. Wiatr na chwilę ustał i powstało wielkie ogniste koło. Ogień w nim oszalał, był jak huragan, jak trąba powietrzna. Przez wystraszone, drżące powietrze widziałam, jak przepadają na zawsze ostre czubki traw, jak giną zeszłoroczne wybryki słońca. Ognista trąba huczała, aż ogień zjadł sam siebie i umarł.

Spaliły się łąki, kawałek lasu i jagodniki. Najbardziej żal mi było wszelkich jagód. W ten sposób ogień zabił jakiś kawałek soczystej przyszłości. Marta pokazała nam, jak najlepiej gasić płonące trawy – uderzać ogień gałęzią świerka. Delikatnie, jakby się dawało ogniowi małego klapsa. Jeżeli zrobi się to za mocno, dostarcza się mu powietrza. Marta mówiła też, że łąki płoną co kilka lat i nie trzeba się tym przejmować. R. ma inne zdanie na temat pożarów łąk.

– Znalazłem to słowo – powiedział. – Żeński odpowiednik słowa „mędrzec” to „mądrala”.

Kto napisał żywot świętej i skąd to wszystko wiedział

Zaczął pisać powoli, z mozołem, słowo po słowie składać historię dziewczynki, którą potem, w przyszłości, Pan nasz obdarował swoją twarzą, przez co wydał ją na męczeńską śmierć. Pierwsze zdanie brzmiało następująco: „Kummernis urodziła się jakaś niedoskonała, lecz w tym znaczeniu, jakie niedoskonałości przypisują ludzie”. Drugie zdanie: „Lecz czasem niedoskonałość w świecie ludzi jest doskonałością w świecie Boga”. Zajęło mu to cztery dni. Właściwie nie rozumiał, co napisał, co to znaczy. Albo rozumiał, ale nie słowami, nie myślą. Kładł się na podłodze, zamykał oczy i powtarzał te zdania, aż zupełnie traciły znaczenie. I dopiero wtedy pojął, że napisał najważniejszą rzecz na świecie. Skądś wiedział, jak teraz będzie; że tylko wtedy będzie mógł pisać dalej, jeżeli oddzieli się od smaku potraw, zapachu powietrza, dźwięków. Stanie się suchy, drętwy, bez czucia, smaku, bez węchu, przestanie go cieszyć smuga światła w celi, a ciepło słońca wyda mu się nijakie i nie warte uwagi, tak samo, jak wszystko, co kiedyś lubił. Ciało zdrewnieje, odsunie się od niego i będzie czatować na jego powrót.

Pisał i już nie mógł się doczekać, kiedy to wreszcie skończy, żeby znowu być sobą, znowu zamieszkać w swoim ciele, a nawet rozeprzeć się w nim jak w wygodnej pościeli.

Opisywał dzieciństwo świętej – samotnej wśród dużej rodziny, zagubionej wśród rodzeństwa. „Pewnego dnia ojciec, chcąc ją do siebie przywołać, zapomniał jej imienia, miał bowiem tyle dzieci, tyle spraw na głowie, tyle wojen toczył w swoim życiu, tylu miał poddanych, że imię córki wypadło mu z pamięci”. Teraz Paschalis był pewien, że dzieciństwo Kummernis musiało być niezwykłe – jej wątłe dziecinne ciało wydzielało

balsamiczny zapach, a w jej pościeli znajdowano świeże róże, choć była zima. Kiedyś, gdy postawiono ją przed lustrem, szykując do jakiejś uroczystości, na jego powierzchni pokazał się wizerunek twarzy Syna Bożego i utrzymywał się tam przez jakiś czas. Paschalis uznał, że to musiało skłonić ojca Kummernis („był silnej postury, gwałtowny i skory do gniewu") do oddania córki zakonnicom na wychowanie. Klasztor wyglądał tak, jak go zobaczył z okien swojej celi – duży budynek na wzniesieniu, z którego okien widać góry. Siostra przełożona, która zaopiekowała się dziewczynką, była podobna do przeoryszy. Oczywiście, była mniej konkretna, nie miała meszku nad górną wargą, ale była rozpoznawalna nawet dla swojego pierwowzoru.

„Skąd ty to wszystko wiesz?", zapytała go, gdy przeczytała pierwsze strony. Lecz w jej głosie zabrzmiał podziw.

Skąd wiedział? Nie wiedział, skąd wie. Taka wiedza bierze się spod zamkniętych powiek, z modlitwy, ze snu, z patrzenia wokół, zewsząd. Może w ten sposób przemawiała do niego sama święta, może obrazy z jej życia rodziły się gdzieś między wierszami jej pism.

Wydawało mu się, że nie tylko będzie ważne, gdy napisze, jak było, nazwie tę całą konfigurację zdarzeń i czynów. Że równie ważne, a może nawet ważniejsze będzie pozostawienie miejsca i przestrzeni na to, czego nie było, co nigdy się nie zdarzyło, a co się tylko mogło zdarzyć – wystarczy, że zostało wyobrażone. Żywot świętej – to także to, czego nie ma. Chciał więc nawet zostawiać na papierze puste miejsca, na przykład odległości między wersami albo nawet między słowami, ale w końcu to mu się wydało zbyt proste. Chciał raczej zostawić pustą przestrzeń poza opisywanymi wypadkami z życia Kummernis – rozległe obszary wszelkich możliwości, konsekwencje czynów, które rozrastają się w głąb całej sceny.

Przeszkadzało mu także, że święta żyła kiedyś, w przeszłości, że nie było tam wtedy ani jego rodziców, ani dziadków – skąd więc mógł wiedzieć, jak wyglądał jej świat? Przecież drzewa rosną, ludzie wycinają lasy, powstają nowe drogi, a stare zarastają zielskiem. Jego wieś też pewnie była inna, niż ją zapamiętał z dzieciństwa. A Rzym, którego nie widział? Czy był taki sam, jak sobie wyobrażał? Jak opowiedzieć rzeczy, których się nie widziało, nigdy nie doświadczyło?

Tak więc, czy chciał, czy nie chciał, oglądał ją zawsze w znanych krajobrazach, w tym klasztorze, na tym podwórku, wśród kur, których jajka zjadał, pod kasztanem, którego cieniem cieszył się latem, w habicie takim samym jak habit przełożonej. Jej ciało z rozłożonymi rękami istniało krzyżem w poprzek czasu, tak mógłby to ująć. Kummernis żyła wciąż, póki o niej pisał jako o żywej, i nie przestawała istnieć, nawet gdy ją wielokrotnie w myślach uśmiercał. Cały czas tkwiła gdzieś pod, między warstwami powietrza, bo może tam nic nie mijało i nie kończyło się, choć było niewidzialne. I uznał, że celem jego pisania jest pogodzenie wszystkich możliwych czasów, wszystkich miejsc i pejzaży w jeden obraz, który będzie nieruchomy i ani nie zestarzeje się, ani nie zmieni już nigdy.

Teraz do południa Paschalis pisał historię świętej, a popołudniami zaczął przepisywać z pieczołowitością „Tristia" i „Hilaria". Coraz częściej zdarzało mu się, że kończąc pisać jej zdanie, w nagłym rozbłysku pojmował cały jego wewnętrzny sens. Poruszało go to do głębi i dziwiło zarazem. Że te same słowa można czytać i rozumieć na wiele sposobów. Albo że można pojmować sens zdania, ale nie doświadczać tego sensu. Że można wiedzieć, co jest napisane, lecz tego nie rozumieć. Nieruchomiał z piórem w ręku, a jego myśli nie mogły odkleić się od tego, co właśnie odkryły.

Kummernis pisała:

„Widziałam siebie jako inkrustowaną szkatułkę. Otwierałam wieczko, a tam była jeszcze jedna szkatułka, cała z korala, a w niej jeszcze inna, cała z masy perłowej. I tak niecierpliwie otwierałam siebie samą, nie wiedząc jeszcze, do czego to prowadzi, aż w najmniejszej szkatułce, w najmniejszym pudełeczku, na dnie wszystkich innych, zobaczyłam Twój obraz, żywy i barwny. I natychmiast zatrzasnęłam wszystkie zamknięcia, żeby Cię z siebie nie utracić, i odtąd jestem w zgodzie ze sobą, a nawet pokochałam siebie, bo noszę Cię w sobie.

Nic, co nosi Ciebie w sobie, nie może być marne, więc i ja nie jestem marna.

Zawsze jestem tobą ciężarna, podobnie jak i inne byty noszą Cię w sobie, a nie wiedzą o tym".

Gdy Paschalis doszedł w swojej historii świętej do momentu, kiedy Kummernis uciekła do klasztoru przed narzeczonym, był tak podekscytowany, że zarzucił wątek i zaczął pisać końcowe wydarzenia: uwięzienie i ukrzyżowanie. Nie potrzebował snu ani jedzenia. Noce były upalne, więc nie marzł. Sztywniały mu tylko palce i bolał kark.

Widział teraz Kummernis tak dokładnie, jakby ją znał. Jakby była tą siostrą, która zajmuje się krowami, albo tą, która nosi mu jedzenie. Była wysoka, ale szczupła, o rękach i stopach dużych, jak przeorysza. Miała gęste brązowe włosy splecione w warkocze i upięte na głowie. Jej białe piersi były doskonale okrągłe. Mówiła szybko i gwałtownie.

I potem przyśniła mu się taka, jaką stworzył. Spotkał ją w jakichś korytarzach, które były pomieszaniem szczegółów z tego i tamtego klasztoru. Niosła jakieś naczynia, a kiedy się do niej zbliżył, podała mu kubek. Kiedy wypił z niego, zrozumiał, że popełnił błąd, że wypił ogień. Ona uśmiechała się tajemniczo i nagle pocałowała go w usta. Pomyślał w tym śnie, że oto musi umrzeć, że ogień już działa i nie ma dla niego żadnego ratunku. Poczuł się samotny i niczyj.

Kiedy następnego ranka przyszła przeorysza, opowiedział jej o tym śnie, a ona przytuliła go czule do szorstkiego habitu. „Urosły ci włosy, synu", powiedziała i nawinęła na palec czarny pukiel. „Zakrywają ci już uszy. Zaczynasz wyglądać jak dziewczyna".

Po komplecie zaprowadziła go do ogrodu. Paschalis poczuł się oszołomiony zapachami i ciepłym powietrzem. Kwitły już róże i białe lilie. Perfekcyjnie wypielone grządki ziół i warzyw znaczyły proste wzory wśród jabłoni i grusz. Przeorysza przyglądała mu się z uśmiechem, kiedy w swojej szarej koszuli i boso chodził zachwycony między kwiatami. Nagle zerwała listek mięty i roztarła go w palcach. „Gdybym nie… – zatrzymała się na krawędzi tych słów – mogłabym cię usynowić", powiedziała. „Raczej ucórzyć", poprawił ją.

Pod koniec czerwca Paschalis napisał ostatnie zdanie „Żywotu Kummernis z Schonau". Miesiąc trwało jeszcze sporządzanie kopii i przepisanie do końca „Tristiów" i „Hilariów".

Przeorysza zaś napisała długi list do biskupa w Glatzu i niedługo Paschalis miał wyruszyć w swoją misję. Jego habit wyprano i naprawiono. Musiał się skurczyć (albo on sam urósł), bo sięgał mu przed kostki. Dostał nowe sandały i skórzaną torbę na ramię.

„Po drodze spotka cię pewnie wiele przygód, a może i pokus. Kraj ogarnięty jest niepokojem…" Paschalis kiwnął głową na to, co zaraz powie przeorysza, zupełnie jak jego matka, ale ona rzekła rzecz dziwną: „Ulegaj tylko tym przygodom, które wydadzą ci się tego warte". Spojrzał na nią zaskoczony. Przytuliła go mocno do piersi i długo głaskała jego włosy. Delikatnie wyswobodził się z tego uścisku i pocałował jej dłoń. Jej wargi musnęły jego czoło i w tym muśnięciu rozpoznał dotyk meszku na jej górnej wardze. „Bóg mnie do ciebie przyprowadził", powiedział. „Bóg z tobą, synu".

Paschalis wyruszył następnego dnia o świcie; od razu za bramą klasztoru wszedł w letnią, poranną mgłę, przez którą prześwitywało słońce, jakby było ledwie księżycem – tak bardzo mgła pochłaniała całą jego siłę. Szedł w stronę gór, cały czas wznosił się wyżej i wyżej, aż wystawił głowę spod morza mgły i zobaczył jaskrawozielone zbocza i bardzo niebieskie niebo. Miał w torbie dwie książki – pisma Kummernis i, oprawiony w drewniane deszczułki, Żywot. Poczuł się nagle lekki i szczęśliwy.

Przed nim rosły góry dziwne i płaskie, jakby ostrym gigantycznym nożem Olbrzymi obcięli im czubki. Wystawały z ziemi niczym ruiny ich pałaców, rozsypujące się w pył świadectwa potęgi. Paschalis wiedział, że istnieje droga okrężna, która wygodnym łukiem omija je i przez Neurode prowadzi do Glatzu, ale po krótkim wahaniu poszedł wprost na te płaskie, masywne szczyty.

Uczulenie na trawy

Kiedy kwitły trawy, oboje mieliśmy katar sienny: nosy nam puchły, a z oczu płynęły łzy – tak to R. i ja płakaliśmy nad hektarami łąk i porosłych

zielskiem nieużytków. I nie było takiego miejsca w domu, żeby się ukryć przed niewidzialnymi drobinami pyłku, może ciemna, najniższa piwnica, tam, gdzie zawsze płynie woda. Musielibyśmy tam siedzieć do popołudnia, musielibyśmy oboje się tam ukrywać. W mieście było inaczej, można zawsze pozamykać okna i zostać w domu. W mieście oczy znały trawy tylko z daleka, a te i tak były wystrzyżone i Zieleń Miejska nie dopuszczała do ich kwitnienia. Stopy znały ziemię tylko z boiska do piłki nożnej i z tych maleńkich skwerków, na które po pracy wyprowadzało się psy. Można było pozostać obojętnym na kwitnienie traw, można było o nich w ogóle nie myśleć. Tutaj od zeszłego roku trawy weszły na taras i zarosły wąskie paski ziemi między cegłami, wspięły się też do moich ogródków i pochłonęły kosaćce.

R. wychodził z kosą i pomimo wszystko ścinał trawy tuż przy ziemi. Gdy upadały, ich pióropusze muskały jego nogi i na skórze zostawał wyraźny zaczerwieniony ślad, który później zmieniał się w drobną wysypkę. To znaczy, że tacy ludzie jak my nie mogą bezkarnie zabijać traw. Trawy stają z nami do walki. Mówiłam: jesteśmy tu obcy. A R. twierdził, że to dobrze, że to ofiara, jaką nasze ciała składają łąkom. Dzięki niej możemy zaistnieć dla traw. Gdyby nie mogły nam zrobić krzywdy, nie mogłyby w ogóle nas pojąć ani nawet zauważyć. Wtedy bylibyśmy obcy, jak dusze zmarłych, które przechadzają się wśród żywych, ale ponieważ nie potrafią ich w jakikolwiek sposób zranić, mówi się o nich, że nie istnieją.

Franz Frost

Franz Frost lubił chodzić do kościoła ze specjalnego powodu. Mieli z żoną swoje miejsca – on z prawej strony, z innymi mężczyznami, ona z lewej. Kościół dzielił ich rodzinę, patrzyli na siebie z przeciwnych stron naw, rzucali na siebie wzrokiem. Jego żona sprawdzała, czy on dobrze wygląda w swojej świątecznej marynarce, a on z dumą podziwiał jej misterną fryzurę, pełną loczków i wsuwek, fryzurę układaną w sypialni przed toaletką w milczeniu, wśród zapachu fiołkowych perfum, lawendy i wykrochmalonej bielizny. Potem, w czasie mszy, gdy ludzie melodyjnie odpowiadali zaśpiewom księdza, oczy Franza wędrowały od głowy jego żony ku innym rzeczom, tym, które najbardziej interesowały go w kościele. Na przykład, w jaki sposób zrobiono ławki, jak obmyślono misterne kołki, które łączyły siedzenia i oparcia w niewidoczny sposób. Albo zachwycały go metalowe tabliczki z wygrawerowanym nazwiskiem. Ich śruby miały półokrągłe główki, tak że było miło dotykać palcem chłodnych wypukłości. Nawet kiedy oglądał wiszące na ścianach kościoła obrazy, nie pociągała go wcale ich treść, ale rodzaj deski czy płótna, na których je namalowano; albo ramy. Tak, ramy obrazów to była prawdziwa sztuka.

Był w kościele jeden obraz, od którego nie mógł oderwać wzroku, chociaż go znał na pamięć. Przedstawiał Matkę Boską, a wokół niej jakichś świętych. Jeden z nich trzymał na talerzu swoją obciętą głowę. Najważniejsze było jednak, że ten obraz był okrągły i cudownie zdobiona rama zataczała na ścianie nieprawdopodobnie doskonały okrąg. Franz wyobrażał sobie, podniecony, jakiego drewna trzeba było użyć, żeby wykonać coś tak pięknego. Po mszy podchodził często do obrazu i badał słoje drewna w ramie. Nie składała się z części, jak się na początku spodziewał, jak podpowiadał mu jego zdrowy rozsądek i doświadczenie. Zrobiono ją z jednego kawałka drewna i tylko na dole połączono oba końce w dość byle jaki, trzeba przyznać, sposób, zwykłą blaszką. Był pewien, że do wykonania ramy użyto drewna specjalnie przygotowanego, że naginano

młodą gałąź tak, żeby rosła po okręgu, może wiązano ją drutami, przyginano do ziemi, rozmyślnie prowadzono jej wzrost w przestrzeni, w której tkwiło niewidzialne koło. Drzewo, które wydało na świat taką gałąź-dziwactwo, musiało się wstydzić innych drzew. Wygięta gałąź psuła pionowy rytm świerków i olch. Zatrzymywał się na niej każdy wzrok – człowieka czy zwierzęcia. Rośliny nie wiedzą o istnieniu figur geometrycznych, co najwyżej przypadkiem je naśladują. Zawsze jednak w tym nieświadomym naśladownictwie napięcie opadnie i pojawi się sęk, zgrubienie, brak symetrii. Ludzie mówią o tym „niedoskonałość", bo jakimś sposobem wiedzą, że doskonałość istnieje.

Ta obecność niewidzialnych dla oka kształtów w przestrzeni, wszelkich możliwych wzorów, gotowych projektów, które znajdują się tuż, tuż, przy twarzy, przy szklistej powierzchni oka, a jednak nie mają ciała i ręka poruszona w powietrzu przechodzi przez nie jak przez dym, to właśnie podniecało Franza. Może w ten sposób, myślał Franz Frost, istnieje wszystko, co było i co będzie – po prostu jest, ale pozostaje niedostępne. Może już jest tam ta pompa, z którą on nie daje sobie rady, genialne rozwiązanie pomysłu pchania wody z dołu do góry, może są maszyny, które ludzie dopiero wynajdą, i kształty, o których nie można nawet myśleć, i jakieś urządzenia gotowe do skopiowania i uwięzienia w metalu, drewnie czy kamieniu. Przestrzeń pełna niewidzialnych kół zębatych, przekładni, brył, układów i porządków oczywistych, podstawowych, których nie można jeszcze uchwycić.

Gdzieś na początku trzydziestych lat Franz Frost poczuł, że coś jest nie tak. Wychodził na górę pomiędzy dwiema wsiami i wąchał wiatr, przyglądał się źdźbłom trawy, rozcierał w palcach ziemię. To, co zauważył, czuł już przedtem – nic nie było takie samo. Trawa wydawała się ostrzejsza, cięła palce przy nieuważnym ruchu, ziemia nabrała ciemniejszego odcienia, była bardziej czerwona niż kiedykolwiek przedtem. Miał też wrażenie, że wydłużyły się ścieżki wśród łąk i szło się teraz do domu dłużej. Spóźniał się przez to na obiad. I ziemniaki nie smakowały normalnie; nawet młode, świeżo wykopane z ziemi miały posmak wilgoci i mchu, jakby długo leżały w piwnicy. Twarze ludzi zamazały się, i gdy szedł w niedzielę do kościoła, wydawało mu się, że patrzy na chodzące, nieostre

fotografie. Zwierzył się żonie, a ona powiedziała, że może to oczy. Kurza ślepota albo coś podobnego. Nawet nie przyszło mu to do głowy. Przemyślał sprawę i doszedł do wniosku, że to nie oczy. Zmieniły się przecież tkaniny w dotyku, zmienił się smak potraw, zapach drewna. Noże jakby inaczej kroiły chleb, inaczej brzęczały owady. To nie były oczy ani żaden ze zmysłów Franza Frosta, zmiana była na zewnątrz, lecz ludzie tego nie wiedzieli. Sami brali udział w tej przemianie, a nie wiedzieli o niej. Kobiety zmieniły stroje. Ich ramiona wyglądały teraz potężniej, usztywnione od środka specjalnymi poduszeczkami, ich spódnice stały się krótsze, łydki wyglądały przez to bardziej kanciasto. Nawet chleb pieczony w formach miał ostrzejsze krawędzie, jakby chciał zranić język do krwi.

Niepokoił się tym, bo właśnie zwoził kamień na nowy dom (kamień też był inny, coraz częściej przybierał kształt prostokątów), który miał stanąć powyżej starego.

Wysłuchał w radiu, że jakiś astronom odkrył nową planetę, i odtąd ta myśl nie dawała mu spokoju. Myślał o niej cały czas – że krąży gdzieś daleko w pustej przestrzeni, mała i lodowata, zapewne także kanciasta. Skoro jej przedtem nie było, a teraz jest, to znaczy, że zmienia się nawet to, co powinno pozostać stałe. Jaki może być pożytek ze świata, który tak się zmienia, jak można w nim spokojnie żyć?

Mimo to zaczął budowę domu. Najpierw różdżkarz znalazł mu wodę i zaczęli od wykopania nowej studni. Musieli kopać głęboko, żeby nie zbierała się w niej woda spływająca do strumienia z topniejących śniegów i nie zmieszała się z czystą wodą, tak jak to się stało w starej studni. Kopali z trudem i wyciągali z ziemi wielkie czerwone głazy, które obsychały potem w słońcu jak martwe zwierzęta. Był to smutny widok. Obiecał tym kamieniom, że zrobi z nich fundamenty domu i w ten sposób wrócą tam, skąd przyszły.

Chcieli mieć dziecko, ale brzuch żony Franza Frosta wciąż pozostawał pusty. Mówił jej, żeby się nie martwiła, bo jak się zbuduje dom, to dziecko samo przyjdzie. Ale gdy zostawał sam, miał czarne myśli. Męczyło go istnienie tej planety, choć nawet nie pamiętał, jak się nazywała. Cały dzień pracował – ciosał krokwie na dach, gładził je palcem, a one wciąż były szorstkie i raniły skórę. Cegły, może źle wypalone, kruszyły się i obsypywały na nowe podłogi. Woda płynęła z gór przez dom i nie

pomagały ceramiczne dreny. Ale wierzył mimo wszystko, że ciężką pracą i zmyślnością można sobie poradzić ze wszystkim. Zostawiał więc krokwie nie dociosane, ściany tynkował grubo, a ich sąsiadka, perukarka, poradziła mu, żeby dał sobie spokój z drenami i puścił wodę przez dom, niech płynie każdej wiosny przez piwnice, niech spływa po kamiennych schodach w dół. Zrób jej ujście, mówiła, wykuj w fundamentach otwory, niech spływa do stawu. I tak robił. Ale cały czas myślał o tej planecie. Co to za świat, w którym zawsze może pojawić się nowe ciało niebieskie. Czy jak czegoś się nie wie, to to nie istnieje? Czy jak się o czymś człowiek dowie, czy to go zmieni? Czy planeta zmieni świat?

Gdy krył dach cementową dachówką, zaczęły się jego złe sny. Śniło mu się strasznie. Dolina była inna, ciemniejsza, drzewa w niej większe, ale między nimi nie było domów, tylko trawy po pas. Strumień wysechł, góry stępiły swoje ostrza; stały się przysadziste, jakby stare i łyse. Nie było dróg ani żadnych ludzi. We śnie przychodził w to miejsce, które było mu bliskie, i szukał tam swojej żony, a nawet dzieci, tak, miał kiedyś jakieś dzieci. Lecz nie było nikogo i on sam był obcy; patrzył na własne dłonie, a one były dłońmi jakiegoś człowieka, którego nie znał. Męczył się w tym śnie, bo czuł w nim, że wiekuiście zabłądził, zgubił się jak małe dziecko i nie tylko nie zna drogi, ale taka droga po prostu nie istnieje. Budził się roztrzęsiony i oglądał z daleka jeszcze raz cały sen, obraz po obrazie, i szukał w nim tego momentu najstraszniejszego, żeby się z nim zmierzyć, postawić cały rozum w pogotowiu i wykazać snowi jego bezsens. Lecz nie mógł znaleźć takiego miejsca. Wszystko było straszne właśnie dlatego, że nie miało sensu.

I trwało to nawet wtedy, gdy jego żona zaszła wreszcie w ciążę i kilka razy wstawała po nocy, żeby się załatwić. Budziło go to jej szuranie kapciami po nowych pachnących świerkowych podłogach, a potem zapadał w sen i cały czas śnił to samo. A w dniu, kiedy urodził im się syn, miał jeszcze straszniejszy sen:

na stole leżą czerwone muchomory. Jego żona smaży je na wielkiej patelni i wkłada w bezbronne usta dziecka. A on na to patrzy i nie ma w nim żadnej myśli, nic go nie ostrzega przed śmiercią. Dziecko umiera, staje się małe jak laleczka, a on niesie je do ogrodu i zakopuje w dole, nagie, różowe ciało. Czuje tak rozdzierający ból, że się budzi i musi sprawdzić,

czy syn oddycha, czy sen nie przedarł się przez swoje mgliste granice i nie stał się prawdą.

Długo się tak męczył, bał się wieczoru i każdej nocy. Żył połową siebie z powodu tych snów.

„Słyszał ksiądz o tej nowej planecie?", zapytał proboszcza, który przyjeżdżał co niedzielę z Königswaldu odprawiać mszę.

Ksiądz nie wiedział.

„A skąd wy wiecie takie rzeczy, Frost?", zapytał zaciekawiony.

„Z radia".

„A którego to radia słuchacie?"

Franz Frost słuchał, jak wszyscy we wsi, radia wiedeńskiego.

„Nie słuchajcie tego radia, oni tam zmyślają. Słuchajcie radia z Berlina".

„Ale pogoda sprawdza się z radia wiedeńskiego".

„Chyba że tak", odpowiedział ksiądz.

Gdy już miał odejść, Franz wziął się na odwagę i powiedział:

„Mam nie swoje sny. Nie dają mi żyć".

Ksiądz z Königswaldu popatrzył gdzieś na czubek jego głowy i odrzekł:

„A czy sny mogą być swoje?"

Tak więc żadnej pomocy nie uzyskał Franz Frost od księdza. Tak mu się właśnie wydawało, że myślą całkiem inaczej, pomimo tego samego kościoła, tych samych w nim obrazów, na których spoczywał ich wzrok, tej samej okrągłej ramy z Matką Boską i świętymi wokół.

Dlatego musiał poradzić sobie sam. Z przewróconego ogromnego jesiona wyciął piłą pieniek, okorował go i zrobił sobie z niego kapelusz. Wyrzeźbił w drewnie wgłębienie na głowę, a po bokach zostawił rondo. Wypolerował to od wewnątrz i od zewnątrz, wymościł główkę kapelusza starą wełną. Zrobił go tak doskonale, że z daleka trudno było rozpoznać, że nie jest to kapelusz filcowy, ze sklepu. W końcu był mistrzem w takich sprawach. Dopiero z bliska ujawniały się słoje i miękkie załamania światła na drewnie. Żona pewnie zauważyła to nowe, cudaczne nakrycie głowy, ale może nie miała na nie słów. Odpowiedziałby (bo przygotował sobie mądrą odpowiedź), że jest to ochrona przed nowo odkrytą planetą, której nie znał z imienia, ta planeta zsyła potężne złe sny, które zużywają umysł,

wyczerpują jawę, aż ona słabnie, a wtedy człowiek nie ma się czego chwycić i wariuje.

Dzięki drewnianemu kapeluszowi trochę jakby mu się polepszyło. W miejscu, w którym co noc w ogrodzie zakopywał swoje martwe dziecko, wsadził jabłonkę, papierówkę. Ale nie spróbował jej jabłek, bo przyszła wojna i wzięli go do Wehrmachtu. I zginął ponoć z powodu tego kapelusza, bo nie chciał go zamienić na hełm.

Jego żona, jego dziecko

Kobieta bez imienia, której cechą szczególną stała się ta pełna loczków fryzura, żona Franza Frosta, którego cechą szczególną był drewniany kask przeciwko wpływom planety, zamiatała resztki zaprawy wapiennej ze schodów przed domem. Nowy dom stał za jej plecami i milczał wsłońcu. Był młody, nic jeszcze nie miał do powiedzenia. Nad stawem, za domem był jej mąż z kilkuletnim synkiem. Gdzieś daleko na zachodzie zaczynała się wojna.

Wtedy od strony słońca podszedł do kobiety Ktoś. Podniosła głowę i zobaczyła, że to był jej synek. Jednocześnie słyszała głos dziecka zza domu, więc znieruchomiała, stężała ze strachu.

„Gdzie jest twój syn, a mój brat? Chciałbym go zobaczyć", powiedziało dziecko.

Wpuściła je do domu, kazała usiąść przy stole, tak jak zawsze nakazywała swojemu dziecku. I ten posłuchał.

„Wiem, kim jesteś", powiedziała i paskiem od fartucha przywiązała mu nogę do stołu. Potem wybiegła nad staw i urywanym głosem opowiedziała to wszystko mężowi. Stali przed sobą i patrzyli sobie w oczy, patrzyli, ale nie mogli siebie zobaczyć w środku, ani swoich myśli, ani strachu, ani nic. Mogli się tylko badać wzrokiem i czekać w ten sposób na pierwsze wypowiedziane słowo. Gdy tak stali, odezwał się ich synek, który wszystko słyszał, choć – jak myśleli – niewiele mógł jeszcze rozumieć. „Gdzie on jest,

czy czeka na mnie w kuchni, czy naprawdę wygląda tak jak ja, czy mogę iść go zobaczyć?”

I pobiegł pod górę do domu, a oni za nim. Znaleźli przywiązanego do stołu chłopczyka i długo patrzyli na obie twarze, obie postaci – jedna z ich ciała, ich krwi, znana, oswojona, a druga taka sama, identyczna, ale obca. Znana, wydawałoby się, ale nie znana, nie swoja, nie bliska, ale daleka, straszna. Wtedy ten, który stał przy nich, podszedł do tego, który był przywiązany za nogę do stołu, i objął go. Pocałował go w oba policzki, tak, jak uczyli go, żeby całował ciocie i wujów. A tamten oddał mu ten pocałunek. Wyglądali jak bracia bliźniacy, skorzy do zabawy, chętni do biegu za dom, gdzie rosną maliny i dorodny agrest, szybcy do brodzenia w strumieniu po zimnych kamieniach, gotowi do gry w chowanego, w której liście łopianu zapewnią zawsze najlepszą kryjówkę.

Nie było więc wyboru – należało gościowi tę nogę odwiązać i chłopcy razem pobiegli przed dom, a potem przez nieuwagę rodziców zniknęli w wysokiej trawie pod jabłonkami i śliwami. Ich cienkie głosy płynęły gdzieś sponad sadu ich sąsiadki perukarki.

„Czy wiesz, co to jest?”, zapytał żonę Franz Frost.

Nie zapytał „kto”, ale „co”. W takich sytuacjach, kiedy wali serce, kiedy drżą ręce, gdy w głowie pojawia się dziwna pustka i nie wiadomo, co zrobić, w takich sytuacjach nigdy nie pyta się „kto”, ale zawsze „co”. „Co” jest bowiem większe niż „kto”, więcej w sobie zawiera wszelkich możliwości. Tak samo o Boga nie pyta się, kim on jest, tylko czym on jest.

Żona Franza nagle rozpłakała się i wycierała oczy kraciastą chusteczką, którą zawsze nosiła w fartuchu.

Ich dziecko wróciło do domu po południu. Miało we włosach nasiona traw. Było zmęczone i usnęło przy stole w czasie kolacji. Nie pytali o tamtego, gdzie teraz śpi i do kogo należy.

Potem Franz poszedł na tę wojnę, którą wywołała nowo odkryta planeta.

Poprzedniego dnia robotnicy skończyli układanie dachówek. Jego dom miał więc dach.

Wczesnym latem pojawiły się na łąkach pieczarki. W piwnicach nie było już ziemniaków, kapusta przegniła, jabłka wyschły, orzechy zostały

zjedzone, pola dopiero kiełkowały, tak samo ogródki. Był tylko rabarbar na kompot i do ciasta.

Żona Franza Frosta brała więc syna za rękę i szli na łąki pod las. Tam wydłubywali z trawy cudownie gładkie kapelusze pieczarek. Potem smażyła je z odrobiną tłuszczu i jedli to z kaszą. Pieczarka jest grzybem miłym w dotyku, lubi pieszczotę ludzkich palców. Pocierana biała skórka pachnie anyżkiem. Różowe albo kawowe blaszki przypominają płatki kwiatu. Pieczarkę ma się ochotę dotykać i pieścić, zanim się ją posieka i wrzuci na patelnię. Poza tym pieczarka jako jeden z niewielu grzybów jest ciepła. Garnie się do ludzkiego ciała.

Wrzucali do wiklinowego kosza białe kuliste grzyby, a dziecko było na tyle mądre, że potrafiło je odróżnić od równie białych purchawek, purchawki bowiem są szorstkie jak krowi język. Tyle wiedziało dziecko Frostów. Nie wiedziało natomiast jednego – że na cienistych skrajach łąk wyrasta czasami pieczarkowy sobowtór. Muchomor wiosenny, brat albinos muchomora sromotnikowego, samotnik grubą nogą wrośnięty w poszycie, łąkowa buława śmierci. Pachnie słodko: obserwuje pieczarkowe stada z daleka. Wilk w owczej skórze.

Jego drobno posiekane piękne ciało także znalazło się w garnku. Cechy szczególne zniknęły w śmietanie. Żona Franza Frosta nakryła do stołu i podała kaszę z grzybami. Dziecko nie chciało jeść, więc musiała je karmić. Mówiła: za tatę na wojnie, za sąsiadkę perukarkę, za ulubionego psa, za ludzi we wsi, za księdza w Königswaldzie, za małe kotki, które się właśnie urodziły w stodole, za cały świat, żeby nie popadł w szaleństwo. Usta dziecka otwierały się niechętnie.

W nocy zaczęło wymiotować. Rano przerażona Frostowa zaniosła je na rękach do wsi, skąd ludzie z pałacu zawieźli je samochodem do szpitala w Neurode. Tam płukali mu żołądek, ale niewiele to wszystko pomogło. Dziecko zmarło piątego dnia.

Telegramy szukały Franza Frosta na frontach wojennych, ale go nie znalazły.

Muchomor wiosenny w śmietanie

pół kilo grzybów

3 dkg masła

1 mała cebula

pół szklanki kwaśnej śmietany

2 łyżki mąki

sól, pieprz, kminek

Drobno posiekane muchomory dusić około 10 minut razem z podsmażoną na maśle cebulą, solą, kminkiem i pieprzem. Połączyć z mąką, rozrobioną z kwaśną śmietaną. Podawać do ziemniaków lub do kaszy.

Marta, rodzaje jej śmierci

Znad lasu wpłynęły nad dolinę mdłe białe chmury i zaraz zaczął padać deszcz. Marta wałkowała ciasto na zniszczonej ceracie. Pod jej wałkiem kula ciasta zamieniała się w placek. Wykrawała z niego szklanką małe kółeczka. Patrzyłam na jej ręce, na jej skupioną twarz. W małej, niskiej kuchni zrobiło się ciemno, deszcz walił w liście rabarbaru. Stare radio Marty mamrotało tak cicho, że aż niezrozumiale. Którędy w jej ciało wejdzie śmierć?, pomyślałam.

Oczami? Marta spojrzy na coś ciemnego, nieokreślonego, wilgotnego, lepkiego i nie będzie mogła już odwrócić wzroku. Ten ciemny, rozmiękły obraz wejdzie w jej mózg i zgasi go. I to będzie jej śmierć.

Przez uszy? Zacznie słyszeć obcy, martwy dźwięk, będzie buczał jej w głowie, niski, wibrujący, wciąż taki sam, bez nadziei na zmianę, przeciwieństwo muzyki. Nie będzie mogła przez niego spać, nie będzie mogła przez niego żyć.

Albo nosem. W taki sam sposób jak wszystkie zapachy. Gdy poczuje, że jej ciało już nie pachnie, skóra robi się papierowa, tylko chłonie z zewnątrz światło jak roślina, ale nic nie wydziela. Będzie obwąchiwała zaniepokojona swoje ręce, pachy, stopy, ale one staną się suche i sterylne, bo zapach, jako najbardziej ulotny, znika pierwszy.

Albo przez usta. Śmierć wpycha słowa z powrotem do gardła i mózgu. Umierającym nie chce się mówić, są zbyt zajęci. O czym mieliby opowiadać, co przekazywać pokoleniom. Banalne bzdury, komunały. Kim trzeba być, żeby w ostatniej chwili wysilać się na przesłania do ludzkości. Żadna mądrość na koniec nie jest tyle warta, co milczenie tam, po drugiej stronie, na początku.

Przez usta śmierć może wejść też inaczej – Marta może zjeść robaczywe jabłko, jedno z tych ciemnoczerwonych jabłuszek z jej starego sadu, jabłko z białym jajkiem śmierci w środku. W ten sposób wpuści śmierć do środka, a ponieważ nie ma zbyt wielkiej różnicy między materią jabłka a materią ludzkiego ciała, śmierć ją będzie jadła od wewnątrz. Zostanie z niej pusta krucha muszelka, która pęknie i pokruszy się przy którymś kolejnym szarpaniu się z popsutym zamkiem furtki.

Tak przyglądałam się Marcie spod oka, a ona kładła teraz łyżeczką konfitury z róży na każdy krążek i sklejała palcami ciasto jak na pierogi. Wychodziły małe półksiężyce z nierównymi brzegami. Przyniosłam mój ruski piecyk, żeby nie trzeba było rozpalać pod jej zdezelowaną kuchnią. Nagle przez szyby przebiło się słońce, chociaż deszcz jeszcze padał. Wstawiłyśmy blaszkę z ciastkami do pieca i wyszłyśmy przed dom.

Na naszym tarasie stał R. i pokazywał ręką na niebo. Nad wzgórzami wisiała tęcza. Stała rozkraczona tuż nad naszym samochodem, jakby go właśnie urodziła.

Zapach

Wszystko, co złe, zdarza się zimą. Zimą R. miał wypadek. Na białych górskich zakrętach wpadł w poślizg i wleciał na ciężarówkę. Głową uderzył

w kierownicę, złamał nos. Długi niklowany pysk samochodu uratował mu życie. O takich wypadkach mówi się, że nic się nie stało.

A jednak stało się. Od tej pory R. czuł dziwny zapach, chociaż nos zrósł mu się prawidłowo i nie widać już było szwów. R. mówił, że ten zapach pojawiał się znienacka, falami, w różnym natężeniu. Najbardziej czuł go w jednym miejscu, gdzie schodzi się do stawu. Rosły tam pokrzywy, a w nich jesion, więc R. obwąchiwał liście pokrzyw i korę drzewa, lecz nie znajdował tam nic. Myślał nawet, że może woda tak pachnie – ni przyjemnie, ni przykro, trochę słodko i troszeczkę cierpko. Ale to nie była także woda. Raz znalazł ten zapach w kieliszku koniaku. Potem w kawie i na swetrze, który długo leżał w zimowej szafie. W końcu odkrył, że ten zapach nie jest cechą rzeczy, nie przedmioty są jego źródłem, że właściwie on nie ma źródła, tylko przyczepia się do rzeczy na chwilę, na jeden przypadkowy raz i dlatego tak trudno go nazwać. Nie jest podobny do niczego, mówił raz R., a potem wydawało mu się, że właśnie odwrotnie, że jest we wszystkich innych zapachach i złamany nos, pokiereszowane komórki węchowe uczuliły się na niego, odkryły go i na zawsze zapamiętały. Ito jest właśnie przykre – nie umieć nazwać tego, co się czuje własnym nosem, co od razu zwraca uwagę na ten moment, w którym się jest. To dręczące – nie móc znaleźć miejsca dla tego doświadczenia w hierarchiach innych doświadczeń, nie rozumieć go, nie móc wytłumaczyć. Niektóre owady tak pachną i ich ślad pozostaje na jagodach. Zapach ostrza noża, gdy tnie pomidora. Zapach benzyny pomieszany z wonią zgliwiałego sera. Moje stare perfumy we wnętrzu niemodnej torebki. Opiłki żelaza, rysik z ołówka, nowa płyta CD, powierzchnia szyby, rozsypane kakao.

Dlatego widywałam R., jak często zatrzymywał się w środku tego, co robił, i węszył. Jego twarz stawała się skupiona. Obwąchiwał sobie dłonie i nagle w środku rozmowy zaczynał wąchać urwany guzik. Albo rozcierał w palcach listki piołunu i już mu się wydawało, że odkrył. Ale to nigdy nie było to.

Oboje domyślaliśmy się, że to jest zapach śmierci. Że R. poczuł ją wtedy, gdy jego samochód uderzał w tira, w tym krótkim, nieprawdopodobnym momencie, kiedy wszystko może się zdarzyć i nie ma żadnego odwołania, w momencie o wielkiej potencji, w ułamku sekundy, który jest brzemienny

we wszelkie możliwe czasy, jak gram materii, który zaraz stanie się atomową bombą. Tak tam pachnie i to jest śmierć.

R. martwił się, że zawsze już będzie ją czuł. Nigdy nie wjedzie niewinnie w zaśnieżone serpentyny między Wałbrzychem a Jedliną, nie przebiegnie nieprzytomnie skrzyżowania pod Dworcem Miastem, nawet nieuważnie nie sięgnie po moje potrawy z grzybów. On wiedział, a ja wiedziałam, że on wie.

Wizja Kummernis z „Hilariów”

Ego dormio cum ego vigilat.

Leżałam na wznak i przed snem odmawiałam ostatnie modlitwy. Wtedy nagle poczułam, że się wznoszę do góry, jakbym straciła wagę, a gdy spojrzałam w dół, ujrzałam siebie samą, ciało moje leżące wciąż w łożu na wznak i jego poruszające się wargi, jakby to ciało nie zauważyło, że mnie już w nim nie ma. I od razu odkryłam, że mogę poruszać się w przestrzeni. Tym, co mnie poruszało, była myśl sama, poruszało mnie nawet najmniejsze chcenie, więc uniosłam się jeszcze wyżej i zobaczyłam klasztor z góry i jego dach pokryty drewnianym gontem i kamienne zwieńczenia wieży kaplicy. A za chwilę z jeszcze większej wysokości ujrzałam ziemię całą, była lekko wypukła i ciemna, zanurzona w ciemnościach, tylko gdzieś zza krańców świata oświetlały ją długie promienie słońca i rzucały w ciemność jeszcze bardziej smoliste cienie. Owa stopniowalna ciemność była mi przykra i napełniała mnie całą smutkiem, wiedziałam bowiem, że światło istnieje, tylko jest ukryte. A kiedy pomyślałam o świetle, od razu je ujrzałam – najpierw było wątłe jak narcyz, słabe jak mgła, lecz raz ujrzane rosło w siłę nieodwołalnie i bałam się, że oślepnę od niego. Zrozumiałam więc, że to musi być niebo i Bóg, lecz zdziwiło mnie – bo umysł miałam trzeźwy – że pozostaję wciąż sama i znikąd nie mam przewodników, wszak w Bożej bliskości mieszkają zastępy aniołów i wszelkich świetlistych bytów. I poczułam coś jak wiatr, ni ciepły, ni gorący, który owiał mnie całą, jakbym się dostała w pobliże wielkiego powietrznego wiru: odpychała mnie

ta siła od światła i była między mną a światłem niewidzialną, lecz wyczuwalną granicą. I mimo że chciałam ją przejść i ciągnęło mnie do światła jak nic nigdy przedtem, byłam słaba i nie miałam dość siły. Aż w mojej głowie pojawił się głos, który mógłby być zarówno moim głosem, jak i głosem kogokolwiek innego, i rzekł mi ów głos: „To jest czas". Wtedy pojęłam o świecie całą prawdę – że to czas uniemożliwia światłu dotarcie do nas. Czas nas oddziela od Boga i dopóki jesteśmy w czasie, jesteśmy uwięzieni i wydani na pastwę ciemności. I dopiero śmierć nas uwalnia z jego oków, ale wtedy nic nie mamy już do powiedzenia o życiu. Wówczas to ogarnął mnie smutek, chociaż moje oczy widziały cały ogrom światła. Nie pragnęłam niczego innego, jak tylko umrzeć na zawsze, i chyba umarłam, bo nagle wiatr czasu zniknął i ja pogrążyłam się w świetle. A jedyne, co można powiedzieć o tym stanie w świetle, to nic nie mówić, bo wraz ze mną zniknęły wszystkie słowa. I nawet pomyśleć już nic nie mogłam, bo myśli także nie było. Nie mogłam też być, ani tu, ani gdziekolwiek indziej, bo nie istniało tu i tam, nie istniał ruch żaden. Nie było żadnej w tym stanie jakości, ani dobrej, ani złej, i nie wiem, jak długo to trwało, bo nie było ani chwil, ani tysiącleci.

I byłabym tak trwała wiecznie, ani żywa, ani umarła, gdybym nagle nie zatęskniła do świata. Wtedy przed moimi oczami rozpostarł się obraz barwny jak malowidło. Nie mogłam odwrócić od niego wzroku.

Widziany stąd świat był światem ludzi śpiących. Był o wiele ludniejszy niż ten, który znałam, byli tam bowiem także wszyscy ci, o których myśleliśmy, że umarli. Pojęłam, że to dzień Sądu i już aniołowie zaczynali zwijać krańce świata, jakby były brzegami ogromnego kobierca. Znad i spod dochodził pomruk wielkiej bitwy – szczęk oręża, tętent koni, lecz nie widziałam, kto z kim walczył, moje oczy były bowiem skupione na rozpostartej przede mną ziemi. Niektórzy ludzie już się budzili, przecierali oczy i patrzyli w niebo. A ich uwaga była jeszcze słomiana i słaba – nie wiedzieli, na co patrzą. I widziałam góry, które drżały jakby ze strachu, a ich kontury zacierały się w rzednącym powietrzu. A słońce zatrzymało się w zenicie i oświetlało przestrzenie światłem jasnym i gorącym. Na stepach zaczynały płonąć trawy i woda burzyła się w strumieniach. Zwierzęta wyszły na skraj lasów i obojętne na swych naturalnych wrogów schodziły w gwarne doliny. Tak samo ludzie – ciągnęli wyschniętymi drogami

w jakieś umówione miejsce. Szli pewnie i rześko. Niebo nie było gładkie i niebieskie, lecz burzyło się i kłębiło. Pod nim kamieniały rośliny.

Pojęłam wtedy całym swoim sercem, że widzę ostatnie chwile czasu, że jest mi dane oglądać koniec.

I zrozumiałam, że Sąd nasz będzie przebudzeniem, bo całe nasze życia śniliśmy tylko, mniemając, że żyjemy. Ale już raz żyliśmy naprawdę, i umarliśmy, i jesteśmy umarłymi. I te nasze życia-sny, które bierzemy za prawdę, dla Boga nie mają żadnego znaczenia, ponieważ nic nie działo się realnie, za sny nasze odpowiadać nie będziemy. Tylko tamta zapomniana egzystencja była prawdziwa, tam grzeszyliśmy albo byliśmy cnotliwi. Nie wiemy więc, do czego się przebudzimy – czy do ognia piekielnego, czy do wiecznego życia w świetle.

I jeszcze raz powtórzyć to muszę – nasz świat jest zaludniony śpiącymi, którzy pomarli i śnią, że żyją. To dlatego jest na świecie coraz więcej ludzi, zaludniają go bowiem śpiący zmarli, przybywa ich, a ludzi prawdziwych, tych którzy żyją po raz pierwszy, wciąż jest niewielu. W całym owym pomieszaniu nikt z nas nie wie i wiedzieć nie może, czy jest tym, który tylko śni życie, czy żyje naprawdę.

Boże Ciało

Marta powiedziała, żeby nie przejmować się tym, co się widzi. Powiedziała to wtedy, gdy oglądałyśmy przez okna procesję na Boże Ciało, która sunęła daleko po polach, gdzie posiany jest len. Najpierw szedł ksiądz, za nim dwie chorągwie i grupka ludzi. Niżej, po zjadliwie zielonej łące biegł pies, jakby z daleka towarzyszył ludziom w tym niespodziewanym tłumnym spacerze po polach.

Nie wiem, dlaczego mi to powiedziała; już miała wychodzić. Stała z ręką na klamce otwartych drzwi.

Wieczorem przypomniałam sobie to zdanie. Nieruchoma klatka z ruchomego filmu, w którym wszystko się zmienia i przestaje być tym, czym było. Tak są zbudowane oczy – widzą martwy wycinek większej,

żywej całości, a to, co zobaczą – przyszpilają i zabijają. Dlatego gdy patrzę, wierzę, że widzę coś stałego. Ale to fałszywy obraz świata. Świat jest ruchomy i rozedrgany. Nie istnieje dla niego żaden punkt zero, który można zapamiętać i zrozumieć. Oczy robią zdjęcia, które mogą być tylko obrazem, schematem.

Największym złudzeniem jest krajobraz, bo stałość pejzażu nie istnieje. Pamięta się pejzaż, jakby był obrazem. Pamięć tworzy widokówki, ale w żaden sposób nie rozumie świata. Dlatego pejzaż jest tak podatny na nastroje tych, którzy go oglądają. Człowiek widzi w pejzażu własną wewnętrzną, nietrwałą chwilę. Wszędzie widzi się tylko siebie. Koniec. To chciała mi powiedzieć Marta.

Sen

Wchodzę do wnętrza ludzi przez ich usta.

Ludzie są w środku zbudowani jak domy – mają klatki schodowe, obszerne halle, sienie zawsze oświetlone zbyt słabo, tak że nie można zliczyć drzwi do pokojów, amfilady pomieszczeń, wilgotne komory, wykaflowane śluzowate łazienki z żeliwnymi wannami, schody z poręczami naprężonymi jak żyły, węzły korytarzy, przeguby półpięter, pokoje gościnne, pokoje przechodnie, pokoje przewiewne, w które wpada nagle prąd ciepłego powietrza, schowki, załomy i skrytki, spiżarnie, w których zapomniano o zapasach. Mogę się po nich poruszać bezkarnie; zresztą jestem tam sama.

Te domy od środka wydają się niezamieszkane. W sypialniach łóżka pościelone, przykryte seledynowymi kapami, naprężone błony poduszek, rozsunięte zasłony, nie naruszona rzęsistość dywanu, grzebień na toaletce. Nie mogę usiąść na łóżku ani wziąć do ręki grzebienia. Jestem bezcielesna. Mogę tylko wszystko widzieć, mogę zajrzeć w każdy zakątek.

Jednak wiem, że jestem wewnątrz ludzi. Poznaję to po drobnych szczegółach. Jedna ze ścian w korytarzu ma kolor mięsa i delikatnie pulsuje. Czasem dochodzi mnie z głębi odległy, równomierny łomot,

czasem noga pośliźnie się na czymś twardym, pożyłkowanym. Przez kredens w kuchni prześwieca, gdy się spojrzy dość uważnie, jakaś bezkształtna, gąbczasta żywa struktura.

Monstrum

Moje pierwsze spotkanie z Takim-a-Takim: stał na tarasie z otwartymi ustami i pokazywał tę spróchniałą czeluść palcem. Niski, zarośnięty, brzydki gnom, jakich mnóstwo rodzi się latem pod kapeluszami muchomorów.

– Aaa – powiedział i wtedy zobaczyłam na jego języku białą pigułkę.

Staliśmy naprzeciwko siebie, na tarasie domu w pustej dolinie. Za nim było słońce, za mną cień. Zależało mi tylko na tym, żeby nie pozwolić mu wejść do sieni, bo wtedy zalągłby się w niej i do wieczoru, z otwartymi ustami mówiłby „aaa". Więc cofnęłam się na próg i zasłoniłam sobą wejście do środka. Myślałam w panice, jak dostać się do telefonu, nie spuszczając go z oczu. Chyba się go bałam. Wtedy on zrobił ręką gest, jakby podnosił naczynie do ust. Jego „aaa" znaczyło więc: „Daj mi wody". Kazałam mu czekać i pobiegłam do kuchni po szklankę. Gdy wróciłam, stał tam dalej z rozdziawioną gębą i oglądał malunek na tynku – obronnego smoka z niebieskim okiem. Tabletka znikła w ciemnościach jego gnomowatego ciała.

– Monstrum – powiedział, wskazując na smoka.

Zaraz po wojnie, gdy we wsi był jeszcze staw, pojawiło się w nim monstrum. Było ogromne, wielkości dużej krowy, kształtu krokodyla, z łapami o rogowych pazurach, z pyskiem pełnym zębów ostrych jak noże. Wyjadło z moczydła wszystkie ryby, które zostały po Niemcach, wszystkie trzciny, cały tatarak i wtedy zaczęło polować na owce, psy, kury i gęsi. Nocami wychodziło na drogę, pod kościół, ciągnęło asfaltem niezdarnie w stronę Nowej Rudy i rano ludzie z przerażeniem odkrywali jego ślady na swoich podwórkach. Kaczki znikały nagle jak spławiki, po gęsiach zostawały spazmatycznie wykręcone pomarańczowe łapki, na brzegu

moczydła poniewierały się wyplute baranie rogi. Władze gminne były zajęte czym innym – dzielono ziemię, polowano na prowokatorów, zakładano spółdzielnie, dlatego mężczyźni ze wsi sami wzięli się do czynu. Wrzucili do wody karbid i trutkę na szczury, a którejś nocy podrdzewiały granat, który wybuchł. Staw wyglądał potem jak kałuża brudnej zatrutej wody. Nie pomogło. Monstrum następnej nocy zjadło byczka. I wyglądało na to, że będzie się mścić. Więc mężczyźni naostrzyli długie drągi, zbili z beli tratwy i wypłynęli na środek stawu. Dźgali powierzchnię raz koło razu, metodycznie przebijali mętne wody. Lecz dziury zarastały momentalnie i woda była tak samo nieprzenikniona jak przedtem. Za trzecim razem dali zadziałać technice – przynieśli skądś wielkie dynamo z korbą, które produkowało prąd. Podciągnęli od niego druty i jak w sieć złapali w nie całe moczydło. Potem kręcili korbą, na zmianę, bo była to ciężka praca, i razili monstrum ukryte w wodzie biczami prądu. Cielsko wiło się pod spodem z bólu, woda występowała z brzegów, aż wreszcie uspokoiła się. Wieś piła tego wieczoru do rana.

Jednak kilka dni potem monstrum przyszło do siebie i z zemsty wciągnęło pod wodę nieostrożną kobietę. Zostało po niej ocynkowane wiadro na brzegu.

I to był początek końca potwora. Wszyscy się zgodzili – można zniszczyć roślinę, zaszlachtować zwierzę, lecz nie można porywać się na życie ludzi. Monstrum złamało prawo. Przyjechała władza, straż graniczna i wojsko podhalańskie, i saperzy. Wielkim wybuchem otworzyli staw ku strumieniowi i wody spłynęły. Na dnie leżało monstrum, ranne, osłabione, lecz wciąż jeszcze żywe. Wtedy żołnierze wyciągnęli cekaemy i rozstawili je na brzegach. Znak dał oficer; serie z automatu przeszyły cielsko potwora. Po pierwszych ranach jeszcze próbował zaatakować, a wtedy ludzie rozpierzchli się z wrzaskiem. Załadowano szybko nowe wstęgi amunicji i poszatkowano ohydne cielsko jak sito. Tak wyglądał koniec monstrum.

Taki-a-Taki poszedł do Nowej Rudy, pchając przed sobą poniemiecki rower, ale wieczorem wrócił, bo przecież i ten koniec nie był jeszcze końcem właściwym.

Przez następne noce wieś słyszała posępne zawodzenie dochodzące z lasu po czeskiej stronie. Jakieś stworzenie płakało w ciemnościach głosem tak przejmującym, że cierpła od niego skóra. A po miesiącu

w wyschniętym moczydle znaleziono martwe ciało monstrum-samicy, która przeszła tutaj przez lasy, łąki i granicę państwową w poszukiwaniu swojego ukochanego i w miejscu jego straszliwej śmierci sama umarła.

Deszcz

Na moje imieniny zaczęło padać, więc przenieśliśmy krzesła do sieni, żeby przeczekać, aż deszcz przejdzie. Ale on się nie kończył; leciał z nieba sznureczkami, które przesłaniały horyzont. To nie były krople, ale strużki. Sień powoli zamakała, nawet nie wiem dlaczego, może woda sączyła się przez ściany. Może to wina suk – pieczętowały podłogę pięciopłatkowymi znakami swoich stóp. Na zewnątrz cicho mokło siano; cieszyły się pomrowiki; w ich podziemnym, podlistnym świecie trwały przygotowania do fety. Święto Wilgoci.

Jakieś dwa kilometry w stronę Nowej Rudy stoi dziwny dom, ale to nie on jest dziwny, lecz jego położenie. Stoi w wąskiej dolinie między zalesionymi na ciemnozielono szczytami. Stoi tak nisko jak żaden dom w okolicy, właściwie nie widać go znikąd, może tylko z samych szczytów. Strumień obmywa go z dwóch stron, liże jego mokre ściany. R., stojąc w drzwiach i patrząc na deszcz, zaczął więc opowiadać, że mieszka w nim rodzina Pomrowików: ojciec potężny i brązowy, trochę drobniejsza matka i dwoje dzieci. Wieczorami siedzą w milczeniu przy stole, w mroku, bez światła, bo wilgoć nie pozwala działać elektryczności. Ich błyszcząca ciemna skóra odbija tylko słabe refleksy pociemniałego dnia. Nocą cała rodzina kładzie się spać na podłodze w kącie. Cztery sklejone ze sobą ciała, które delikatnie pulsują w rytm ślimakowatych oddechów. Rano ruszają w bujną, mokrą zieleń i zostawiają na niej swoje śluzowate ślady. Znoszą pod dach nadgniłe poziomki i truskawki pokryte bladym nalotem pleśni. Żują je w milczeniu. Woda w rozmokłych konwiach przesącza się na podłogi i pokrywa je błyszczącym lakierem.

Nikogo nie bawiła ta opowieść. Otworzyliśmy jasne komputerowe światy i zniknęliśmy w nich na cały wieczór. Nasze twarze oświetlone sztucznym słońcem ekranu stały się upiornie blade. Potem wyłączyli prąd i cały wieczór stawialiśmy pasjanse: czy przestanie padać. Nie przestanie. Nie przestanie. Przez okno widziałam dom Marty; przelewały się przez niego strugi deszczu. Może po nią pójdę, myślałam, bo co ona tam może robić sama w ciemnościach. Pewnie otworzyła swój kuferek z perukami i teraz tka te martwe nakrycia głowy, niepotrzebne nikomu. Splata kosmyki włosów obcych kobiet, które albo już umarły, albo żyją teraz gdzieś na końcach świata, podróżują, starzeją się w domach starców ze swoją młodością, zaschniętą w nich jak strup.

Kiedy wkładałam gumowce, zobaczyłam, że woda przelewała się już ze stawu w tym samym miejscu, które tak pieczołowicie R. wiosną zabudował. Lała się górą przez betonowe stawidła, sięgała pod sam pomost. Była zmącona i czerwona, gęsta i lepka. Nie szemrała już znajomo, ale buczała, jakby zbierała się do krzyku. R. w żółtych gumowcach i żółtym sztormiaku wyglądał jak duch. Widziałam, jak bezradnie biega po wale. Widziałam jego ryby w ciemnoczerwonych spienionych odmętach z niepokojem gotujące się na śmierć. Delikatne, mieszczańskie i powolne karpie, zawsze takie leniwe, teraz sunęły przy zbełtanej powierzchni, zdziwione kłapały pyszczkami, z których nie dobywał się żaden dźwięk. A między nimi pstrągi podniecone nagłą obietnicą podróży do Nysy Kłodzkiej, do Odry, do morza.

– Wiedziałam, co będziesz robić – powiedziałam, gdy weszłam.

Marta siedziała przy stole i rozkładała na nim swoje zbiory. Odwijała z gazet pasma włosów, czesała je palcami. Potem zaczęła nawijać nici na pletnię. Zdjęłam gumowce i kurtkę, spłynęła z nich kałuża wody.

– Nie pamiętam takiej wody – odezwała się Marta. – Albo coś jest nie tak z moją pamięcią. – Uśmiechnęła się do mnie. – Chcę ci zrobić prezent na imieniny. Zrobię ci perukę. Z prawdziwych włosów, na jedwabiu, specjalnie na twoją głowę.

Wzięła ze stołu pęk jasnych włosów i przyłożyła mi do twarzy, nie spodobało jej się, bo wzięła inny. Powiedziała, żebym wybrała sobie włosy, ale ja nadal nie mogłam się przełamać, żeby ich dotknąć. Kazała mi usiąść, wyciągnęła wyblakły zeszyt i długopis bic, który jej dałam. Zaczęła mierzyć

moją głowę, delikatnie dotykała mnie opuszkami palców po skroniach i czole. Poczułam ten sam przyjemny dreszcz, kiedy mama prowadziła mnie do krawcowej i musiałam stać bez ruchu, a ona, pani Poniewierka, tak się nazywała mamy krawcowa, zdejmowała ze mnie miarę. Budowała wokół mnie przestrzeń z centymetrów, planowanych zakładek, cięć, miesiła ją dłońmi, owijała wokół talii i ramion. Prawie mnie nie dotykała, a i tak moja skóra reagowała spazmatycznie, stłumionym powierzchownym dreszczem przyjemności. Usypiałam na stojąco.

I teraz Marta powtarzała ten rytuał przymiarki. Zawstydziłam się przyjemności, zamknęłam oczy. Masz dużą głowę. Masz małą głowę. Nie wiem, co powiedziała Marta.

Powódź

Tej nocy huczało w ciemnościach nad stawem. Suki szczekały niespokojnie, więc budziliśmy się i widzieliśmy, jak mimo deszczu pojawia się nad ranem dzień.

Staw zniknął. W jego miejscu płynął strumień, ale potężniejszy, zły, wzburzony. Nie było ani stawideł, ani pomostu, ani blach, którymi wczoraj R. rozpaczliwie umacniał brzegi. Nie było pełnych gracji, prawie ciepłych karpi ani niecierpliwych pstrągów. Uciekł nam staw. Dał się namówić płynącej zewsząd wodzie, spłynął w dół przez łąkę, potem u podnóża lasu, przez Pietno i wpadł do innej rzeki, potem do Nysy. Jest teraz może w Kłodzku, może dalej. Arystokratyczne karpie, nieprzywykłe do tak gwałtownych podróży, utknęły w meandrach albo nurt wody ukrzyżował je na zalanych krzakach. Nie ma stawu. R. je botwinę i patrzy przez okno. Marta wylewa wodę z przepełnionych beczek na deszczówkę. Kiwam jej ręką; odpowiada i znika w swoim domku.

Po obiedzie R. wrócił do tematu rodziny Pomrowików. Opowiadał, czym się zajmuje pan domu. Nocą sunie w trawach do drogi, chwilę odpoczywa, a potem rusza do ludzkich siedzib. Tam wyjada ludziom z ogródków mokrą sałatę i delikatne, młodzieńcze pędy cukinii. Z rozkoszą wygryza w nich dziury; to nie złośliwość – to rodzaj jego twórczości. Cieszy go istnienie dziur i deszczu. Ale najbardziej podoba mu się zamieniony wbłoto popiół z ognisk. Tapla się w nim; wraca do domu brudny, pijany mokrymi pozostałościami ognia. Jego żona milcząco robi mu wyrzuty – umierała z niepokoju.

Wieczorem słuchaliśmy komunikatów pogody – jest powódź, ale my nie boimy się wody. Tutaj woda nie może przyjść skądinąd, tylko z nieba. Jak wszystko.

Gwoździe

Pojechałyśmy z Martą do Nowej Rudy po gwoździe. Samochody sunęły wolno, jeden za drugim, bo woda oberwała kawał szosy. Z przystanku we wsi zabrałyśmy panią Krysię, która w męskich gumowcach mokła na deszczu. Gdy wsiadła, od razu je zdjęła iwłożyła wyciągnięte z reklamówki pantofle.

Wszystkie uliczki nad rzeczką były ubłocone. Rozmazane, schnące błoto sięgało okien na parterze. Sprzedawcy suszyli towary. Właścicielka lumpeksu rozwieszała na sznurach używane ubrania, które tak wiele w swoim szmacianym życiu już przeszły – przeprowadzki, zmiany szaf, popsute pralki automatyczne, zbyt gorące żelazka, tycie właścicieli, niektóre nawet ich śmierć, a teraz – nocną, rozwydrzoną rzekę.

Na workach z piaskiem ktoś rozłożył sportowe buty, dziesiątki identycznych adidasów, nike'ów. Ich sznurówki jak knoty wciąż jeszcze sięgały wody. Płonęły na szarym tle ubłoconych ścian ich jaskrawe kolory. Błoto oblepiło kamienice do wysokości pierwszego piętra.

Pani Krysia podziękowała za podwiezienie i poszła w swoją stronę, obciągając cytrynowy sweterek. Stanęłyśmy za mostem koło jubilera i kupowałyśmy ogórki do kiszenia. Wtedy podszedł do nas ten wariat, którego wszyscy znają – Prorok, Jasnowidz – zarośnięty mężczyzna w ponczo zrobionym ze starego koca. Uśmiechał się do Marty; musieli się znać.

– Co u ciebie? – zapytał.

– Po staremu – odpowiedziała Marta.

Patrzył na nią z niedowierzaniem.

– Po staremu?

Wydało mi się wtedy, że jego twarz zmętniała, jakby się miał rozpłakać. Marta powiedziała mu, żeby się trzymał albo coś w tym rodzaju, ale on wziął z wagi ogórka, odwrócił się i odszedł.

Jasnowidz

Ten człowiek miał na imię pięknie i egzotycznie – Lew. I tak też wyglądał, jak lew.

Zapuścił sobie długie włosy i brodę, które mu zsiwiały w czasie jednej ostrej zimy, nie wiadomo dlaczego.

Tak, jasnowidz Lew żył z renty, bo trudno w to uwierzyć, ale miał kiedyś, jako młody człowiek, wypadek w kopalni i dwa dni leżał zasypany na głębokości prawie stu metrów, w gorącej, czarnej węglowej niszy, jak w brzuchu matki, cały czas boleśnie przytomny, z jasnym umysłem, który świecił mu wokół głowy fosforyzującą aureolą. Był pewien, że umrze, ale nie umarł. Wyciągnęli go ratownicy, potem długo leżał w szpitalu. Po wszystkim zajął się samym życiem, czyli czytaniem książek od rana do wieczora. Najpierw czytał wszystko, co wpadło mu w ręce, ale z czasem zaczęły go pociągać nigdy nie wydane maszynopisy, które ściągał przez półlegalną księgarnię wysyłkową z Krakowa. A tam były pisma Besant i Bławatskiej, Ossowiecki i niechlujne sprawozdania z seansów spirytystycznych, i profecje jakieś, i kabały hindusko-żydowskie. Tabele odgrzewały w nich dawno zapomniane porządki, diagramy nęciły swoją wielostopniową harmonią. Raz trafił na adres Stowarzyszenia Astrologów z Bydgoszczy i z książki, którą mu przysłali, w ciągu jednego Bożego Narodzenia nauczył się stawiać horoskopy. Odtąd nic nie sprawiało mu już takiej przyjemności jak zagłębianie się w drobniutkie ciągi liczb z efemeryd. Bywało, że ślęczał nad nimi do rana, a o świcie zaczynał widzieć przyszłość. Zawsze była straszna, martwa i pusta. Nigdy nie było w niej ludzi ani zwierząt. Widział, jak rodzi się w nie oświetlonych kątach pokoju i rozprzestrzenia na zewnątrz, na klatkę schodową jego bloku, na trawniki przed nim, na ulice i rynek w Nowej Rudzie. Kiedy wieczorami wychodził na szybki spacer, ocierał się o nią, zostawała mu na rękawach palta metalicznym obcym zapachem.

Został jasnowidzem na dobre, gdy umarła jego żona. Wyglądało tak, jakby to ona trzymała go nisko przy ziemi i ściągała na dół każdą jego myśl, każde przeczucie. Była jak potężny atmosferyczny niż, który przygniata każdy dym z komina i tworzy nad miastami zimowe smogi. Kierowała

magicznie jego myśli w kierunku kolejki w sklepie, w kierunku buraków na działce i węgla, który trzeba zrzucić do piwnicy. Na dodatek jej głos prześladował go w całym mieście. Wystawiała głowę przez okno i poprzez podwórka wołała: „Lewku, Lewku, Lwie", aż podnosiły głowy wszystkie dzieci i powtarzały za nią: „Lwie, Lewku, Lewku". Czarownica.

Więc kiedy umarła, zrobiło się nagle cicho, a tłumione latami obrazy zaczęły rosnąć w jego głowie i rozprzestrzeniać się jak mróz na wilgotnej szybie – nieoczekiwanie łączyły się ramionami i tworzyły pierścienie, fantazyjne ciągi, na chybił trafił budowały bardzo sensowne, wręcz urzekające ściegi. To jest właśnie jasnowidzenie.

Klientkami były same kobiety. Tylko raz w jego karierze jasnowidza zjawił się u niego mężczyzna – dobrze ubrany starszy pan, spuchnięty od złej diety i, być może, wódki pitej w nadmiarze. Znał go z widzenia, ale niewiele mógł mu pomóc, bo temu starszemu panu chodziło o miłość, to najbardziej przeceniane uczucie świata, a przecież w gruncie rzeczy niedorzeczne, bo biorące się z wewnętrznego pomieszania i hormonów. Szukał swojej nastoletniej kochanki, co było i żałosne, i śmieszne. Lew wcale nie chciał się tego podjąć, zwłaszcza że małoletnia nie zostawiła po sobie żadnej, choćby błahej rzeczy, żadnego śladu. Rozpacz mężczyzny była jednak tak przejmująca, tak żałośnie wyglądał w wełnianym sztywnym palcie, filcowym kapeluszu nasuniętym na oczy, jakby się zupełnie zagubił we wszystkim, nawet we własnych ubraniach.

„Gdzie ona jest. Tylko to chcę wiedzieć", powiedział.

I wtedy Lew zajrzał w przeszłość. Od razu zobaczył tam poszukiwaną dziewczynę, bo była bardziej ruchliwa i wyraźniejsza w czasie niż inne byty. Przeraziła go; wcale nie była nastolatką ani kobietą. Mój Boże, Lew przestraszył się nie na żarty i powiedział tylko owemu smutnemu mężczyźnie: „Ona tu jest", bo widział ją też w teraźniejszości i przyszłości.

„W mieście?", ucieszył się mężczyzna i pierwszy raz Lew zobaczył jego oczy – spuchnięte i zamazane.

„Gdzieś w okolicy".

Przed wyjściem mężczyzna jakoś ukradkiem wcisnął mu banknot.

„Proszę zatrzymać to w tajemnicy", poprosił jeszcze.

Nie trzeba było tego mówić, myślał potem Lew. Kto by chciał łamać tajemnice? Któż by w to uwierzył? Że widzi się to, czego nie ma. Że człowiek nie jest do końca człowiekiem. Że każde podjęcie decyzji jest złudzeniem. Chwała Bogu, że ludzie mają zdolność niewiary, prawdziwy dobroczynny boski dar.

Kobiety, gdy pytały o miłość, były zawsze bardziej konkretne; chciały być przytulane, prowadzone pod rękę przez park, chciały rodzić komuś dzieci, myć okna w sobotę, gotować komuś rosoły. Gdy zamykał oczy, widział ich życia; wydawały mu się nieciekawe i trudno mu się było skupić na szczegółach, które je interesowały. Szatyn czy brunet. Jedno czy dwoje dzieci. Ciało zdrowe czy chore. Pieniądze czy puste szuflady. Ale i to potrafił, gdy się wysilił. Liczył w wizjach dzieci, zaglądał do szuflad i oceniał kolor włosów mężczyzn w białych podkoszulkach, jedzących niedzielne obiady. Byty kobiece go rozczulały. Gdy siedziały naprzeciwko i wlepiały z oczekiwaniem wzrok w jego twarz, były jak płoche zwierzęta, jak sarny, jak wiosenne zające – delikatne i płoche, a jednocześnie najmądrzejsze w kluczeniu, uciekaniu i chowaniu się. Czasem nawet myślał, że bycie kobietą to jakiś rodzaj maski, którą nakłada się zaraz po urodzeniu, żeby się nigdy nikomu nie ujawnić do końca. Żeby przeżyć życie w zakamuflowaniu. Myślał, że nie pytają o to, o co powinny pytać.

Pieniądze, które zarabiał jasnowidzeniem (niewielkie) zamieniał na dolary. Chciał pojechać do Indii, co mu się zresztą nigdy nie udało, Indie bowiem, jak wszystko, przestały istnieć.

Ale najpierw wiele razy oglądał cudzą przyszłość i zlewała mu się ona w przyszłość wspólną, totalną. Wiedział, że ma nastąpić koniec świata, niedługo, to była tylko kwestia obliczeń.

Widział więc dolinę, nad którą wisiało niskie, pomarańczowe niebo. Wszystkie linie tego świata były niewyraźne, cienie nieostre i prześwietlone jakimś obcym światłem. Nie było w dolinie żadnych domów, żadnych ludzkich śladów, nie rosła żadna kępa pokrzyw, żaden krzak zdziczałej porzeczki. Nie było też strumienia, a miejsce po nim zarosło gęstą i twardą rudą trawą. Miejsce po strumieniu wyglądało jak blizna. Nie było tutaj dnia ani nie przychodziła żadna noc. Pomarańczowe niebo świeciło cały czas tak samo – ani ciepłe, ani zimne, zupełnie nieruchome, obojętne. Wzgórze wciąż porastał las, lecz gdy mu się

przyglądał, widział, że był martwy, skamieniał w jednej chwili i zastygł. Na świerkach wisiały szyszki, a gałązki wciąż pokrywały posiwiałe igły, bo nie było wiatru, który mógłby je osypać. Miał straszne przeczucie, że gdyby w tym pejzażu pojawił się jakikolwiek ruch, las rozpadłby się z trzaskiem i zamienił w pył.

Tak musiał wyglądać tylko koniec. Nie potop, nie deszcze ognia, nie Oświęcim, nie kometa. Tak będzie wyglądał świat, gdy odejdzie z niego Bóg, czymkolwiek on jest. Opuszczony dom, kosmiczny kurz na wszystkim, zaduch i cisza. Wszystko, co żywe, zastyga i pleśnieje od światła, które nie zna pulsowania, a więc jest martwe. Pod tym upiornym światłem wszystko rozsypuje się w kurz.

Człowiek, który codziennie widzi koniec świata, żyje spokojnie. Od czasu do czasu jedzie do Krakowa po książki, patrzy przez okna pociągu na mijane krajobrazy, głównie Górny Śląsk z jego świątyniami przemysłu, potem pola na Opolszczyźnie ciągnące się po horyzonty, równo zasiane rzepakiem, który co roku zakwita dziesiątego maja. W brezentowym plecaku wiezie wszelkie apokalipsy przepisywane setki razy na maszynie (ostatnie kopie są prawie nieczytelne, ale wciąż tkwi w nich podniosły nastrój), wypowiedzi duchów na temat upadku cywilizacji, objawienia Matki Boskiej, zawiłe poezje Nostradamusa.

Nagle kończą się równiny i zaczynają góry. Pociąg wjeżdża w świerkowe lasy, pcha się kamiennymi wąwozami, kluczy w dolinach, aż nagle znajduje się w samym środku Wałbrzycha. Ludzie wysiadają na Dworcu Mieście, lecz Lew jedzie dalej, na Główny, bo tam ma przesiadkę do Kłodzka.

Wałbrzych Główny to wyludniony ciemny dworzec z jednym kioskiem, gdzie górnicy z nocnej zmiany kupują papierosy i prezerwatywy. W barze sprzedają pierogi polane słoniną i cienką herbatę, z trudem zaparzoną w podstygniętej wodzie. Pociąg do Kłodzka przez Nową Rudę najczęściej bywa pusty. Lew zajmuje miejsce na piętrze, żeby lepiej widzieć. Jest to bowiem najpiękniejsza trasa, jaką kiedykolwiek przemierzał pociąg. Prowadzi wysokimi wiaduktami przez rozległe doliny, po zboczach gór, nad wsiami i strumieniami. Z każdym zakrętem otwierają się nowe widoki, które zapierają dech. Lekkie linie gór, jedwabne niebo, smugi zieleni. Dołem, drogą idą ludzie, poganiają krowy, biegną psy, jakiś chłop wybucha nagle śmiechem, dzwonią dzwonki na szyjach owiec, swędzi

skóra, wyżej idzie człowiek z plecakiem, macha ręką, dym z kominów sunie w niebo, ptaki lecą obojętnie na zachód. W takim pociągu nie da się czytać. Trzeba patrzeć.

Lew zaczął pisać książkę. Pierwsze, co zrobił, to dał jej tytuł: „Koniec musi nadejść". Była o końcu świata. Robił w niej głęboką analizę nieba. Świat zacznie się kończyć drugiego kwietnia 1995 roku, kiedy Uran wejdzie w Wodnika, a skończy się raz na zawsze w sierpniu 1999 roku, gdy Słońce, Mars, Saturn i Uran utworzą na niebie wielki krzyż. A pisał tę książkę w 1980 roku, zimą, kiedy nic jeszcze na pewno nie było wiadomo, ale kiedy zaczęły się strajki, a we Wrocławiu strajkujące tramwaje ustawiały się w wielki krzyż, ogromny na całe miasto. Lew uznał, że może pomylił się w swych czujnych obserwacjach, w odczytywaniu maleńkich cyferek w efemerydach i koniec świata nastąpi szybciej. I właściwie nie mógł się go już doczekać. Tak żył w oczekiwaniu. Zdzierał stare buty, bielizna wycierała się w szwach, pękały gumki w majtkach, w skarpetach wydzierały się dziury, na piętach powstawała cieniutka siateczka z nylonowych nitek, przez którą widać było stwardniałą skórę. Żadnych zapasów, żadnego „na potem". Puste słoiki po majonezie prosiły się o dżemy, konfitury na zimę, o kompoty w razie nagłego pójścia do szpitala. Ale zima mogła nie nadejść, mogło nie być następnego lata. Chleb trzeba zjadać do końca, do ostatniego okruszka, mydła wymydlać do cienkiego płatka, który potem przyda się w praniu.

Na lato 1993 roku przewidział potop. Stopią się nagle lody na północy i woda w oceanach podniesie się. Holandia zniknie pod wodą. To samo stanie się z Żuławami. Może nawet być jeszcze gorzej – na powierzchni zostaną tylko pogórza i góry. Nowa Ruda ocaleje, jako że leży wyżej. Potem wybuchnie wojna na Bliskim Wschodzie, która w ciągu roku zamieni się w wojnę światową. Przez podmokłe niziny będą znowu ciągnąć wojska. Katedra we Wrocławiu stanie się meczetem. Na początku 1994, niebo będzie ciemne przez kilka dni od wybuchów nuklearnych. Ludzie zaczną chorować. Chwała Bogu, że nic nie stanie się Nowej Rudzie.

Lew wydał sobie sam tę książkę za pieniądze z jasnowidzenia w 1990 roku, kiedy nie było już przydziałów na papier. Trzy lata czekał na pierwsze przejawy końca świata, ale one nie nadeszły, pomimo pustych słoików i chleba zjadanego do wyschniętej piętki. Lato dziewięćdziesiątego

trzeciego było upalne i te straszne upały brał za początek końca, ale skończyły się o czasie, dzieci poszły do szkoły, ludzie piekli placki ze śliwkami, zbierali z pól ziemniaki. W kuchni Lwu popsuł się piecyk gazowy i ponieważ zrobiło się zimno, a on potrzebował przecież ciepłej wody, musiał go naprawić. Grzebiąc w dyszach junkersa, miał przenikliwe jak ziąb uczucie daremności. Gdy kończy się świat, wszelka aktywność staje się chorobą.

Jednak stało się. Świat skończył się czternastego listopada 1993 roku, w czasie wielkiej koniunkcji Urana i Neptuna w osiemnastym stopniu Koziorożca. Lew zrozumiał to którejś nocy, gdy siedział w wannie – to jest jedyny skuteczny sposób szybkiego ogrzania całego ciała. Tego dnia w telewizji powiedzieli, że jakaś sekta w Urugwaju czeka dziś na Armagedon. Poza tym papież z prawą ręką na temblaku błogosławił świat lewą, a w prognozie pogody ostrzegali przed śnieżycami. Na koniec pojawiła się jeszcze zmęczona spikerka i mówiąc „dobranoc", dodała nagle coś od siebie, z widocznym sarkazmem: „Mimo pesymistycznych zapowiedzi urugwajskiej sekty świat trwa dalej". Wtedy Lew pomyślał, że do końca dnia pozostało jeszcze czterdzieści pięć minut, jedna szkolna lekcja. I poszedł się kąpać.

Gdy siedział w wannie, w łazience Lwa zgasło światło, umilkł telewizor i z kranu popłynęła do wanny lodowata woda. Znieruchomiał przerażony, ale nawet nie próbował w ciemnościach szukać pomocy. Przez głowę przegalopowały mu kolumny cyfr z efemeryd i ponury, bezszelestny diagram Układu Słonecznego. Rury w łazience zahuczały jak trąby sądu, a nagie ciało Lwa zaczęło drżeć. Pomyślał wtedy o wszystkich bliskich – choć byli to tylko dalecy bliscy, innych bowiem nie miał – i o tym, co robią te wszystkie miejskie zwierzęta, psy, koty, świnki morskie i chomiki, czy też się boją, czy zwierzęta będą nam dalej towarzyszyć. Czy w każdym domu pojawi się ognisty miecz, nawet na jedenastych piętrach wieżowców, i gdzie rozstąpi się ziemia, skoro nawet nie ma gdzie zaparkować. Nagle w tych łazienkowych ciemnościach jasno ujrzał obraz, który przyprawiał go o drżenie, gdy był dzieckiem: z ziemi wychodzą zmarli, są nadzy i zaspani, mrużą oczy, podnoszą dłonie do twarzy, bo tak oślepia ich światło; chwieją się kamienne krzyże na cmentarzach, rozsuwają nagrobne płyty. Nad horyzontem stoi anioł, jego piękna twarz krzywi się od wstrętu i gniewu,

wokół anielskiej głowy grzmi huragan. Tak było w oczach Lwa, w jego głowie.

Łazienka pozostawała ciemna.

Od ryku rur lekko drżały ściany. Szczęka Lwa zaczęła dygotać i w końcu usłyszał swoje własne szczękanie zębami. Ale to nie był strach. Jedno uczucie, jakie miał – to rozczarowanie. Najpierw maleńkie, jak wtedy, gdy pod choinkę mama zamiast upragnionego konia na biegunach kupiła mu piżamę, potem coraz większe i wreszcie nieznośne. Tak ma to wyglądać? Ciemność i ryczenie rur w ścianach?

Człowiek, który przewidział koniec świata, no, może tylko pomylił się co do dokładnej daty, był w gruncie rzeczy optymistą. Chciał być świadkiem wszystkiego, jakby sam to wywołał, i nawet już mu się przypomniała pewna rzadka koniunkcja, i Neptun, i Uran, jak ocierają się o siebie ze zgrzytem, jak szczękają ich rozczapierzone energie.

Jedyne, czego teraz zapragnął, to spojrzeć na niebo, czy już gasło, czy już zwijały się orbity planet, czy zderzały się rozpędzone galaktyki i apokaliptyczny kurz tężał w zero stopni Kelvina. Zacisnął rozedrgane szczęki i podniósł się z wystygłej wody.

Wtedy, w jednym, najbardziej niezrozumiałym momencie życia Lwa, naga żarówka rozbłysła, kran zacharczał i bluznął wrzątkiem, a z pokoju doleciał go głos telewizora, jakby to właśnie telewizor ze swoim milionem twarzy był jedynym zmartwychwstałym bytem. Lew, zaskoczony tym nieprzewidzianym obrotem sprawy, znieruchomiał z nogą na krawędzi wanny i mrużył zaskoczone światłem oczy. Kłęby pary skraplały się na pękniętym lustrze. Sprane ręczniki wisiały nieruchomo na kołkach. Napis na płaskiej butelce głosił: WARS, tak samo beznamiętnie jak przedtem.

Lew wyszedł z wanny, otworzył drzwi na korytarz i nasłuchiwał. Ktoś szedł po klatce schodowej, szurał nogami. Z góry od sąsiadów płynęła monotonna mechaniczna muzyka. Lew przeszedł przez pokój i otworzył drzwi na balkon. Jego przejęte ciało nie zauważyło chłodu. Zobaczył przed sobą miasto, takie samo, jakie było wczoraj, przed godziną. Świeciło w dolinach, szemrało. Ale Lwu się wydało, że wszystko było trochę inne. Jakie? Nie wiadomo. Przeczuwał w tym bezpiecznym znajomym widoku fałsz. Pociągnął nosem, jakby spodziewał się znaleźć smak spalenizny. Zrozumiał to po kilku minutach, w ciągu których jego ciało zmartwiało od

chłodu – świat się skończył, choć zatrzymał pozory trwania. Tak wygląda prawdziwy koniec.

Z jakichś względów ludzie nie potrafią wyobrażać sobie końców, nie tylko końców rzeczy wielkich, ale nawet najmniejszych. Może samo wyobrażanie sobie czegokolwiek wyczerpuje jakoś rzeczywistość; może ona nie chce być wyobrażana w głowach ludzi, może chce być wolna, jak zbuntowany nastolatek, i właśnie dlatego zawsze jest inaczej, niż można to było sobie wyobrazić.

Od następnego dnia Lew zaczął żyć w świecie, który już nie istniał, który cały był złudzeniem, snem z rozpędu, przyzwyczajeniem zmysłów.

I wcale nie było to trudne; było łatwiejsze niż tamto życie, na poważnie. Teraz wychodził w miasto jak w mgłę, jak w dekoracje. Robił miny do ludzi, śmiał się, kiedy patrzyli na niego zdziwieni. I pozwalał sobie nawet zwinąć coś w delikatesach, ale niewiele, drobne rzeczy, bo potem czułby się jakoś nieswojo. Przestał dbać o ubrania. Pamiętał tylko, żeby nie zmarznąć. Wkładał dwa różne buty, a kiedy niechcący oblał jesionkę olejem, zamienił ją na koc; wyciął w nim dziurę i nosił jak ponczo. Ponieważ wyrzucił w kąt swoje efemerydy i inne obliczenia, miał sporo czasu; przesiadywał w parku nad rzeczką i przyglądał się każdemu kamieniowi, każdej ścianie. Obserwował, czy widać gdzieś jakieś sygnały rozpadu. Znajdował je, a jakże. Rzeka zmieniała kolor prawie każdego dnia. Raz była brązowa, ciemna jak kawa, innym razem różowa jak szampan. Kamienie zaczynały mieć zmarszczki. Mostek kruszał i Lew czekał z niecierpliwością, kiedy zjawy ludzi wpadną do nierealnej wody. Przechodził między straganami na zielonym rynku i brał z koszy najdojrzalsze owoce. Niektórzy krzyczeli na niego, inni nie. Zaczepiał młode dziewczyny w bramie, bardziej dla żartów albo żeby przemóc swój lęk przed powabną kobiecością w obcisłych spódniczkach, ale przecież nie miałby na nic ochoty z kimś, kogo nie ma.

Patrzył też w niebo. Budziło w nim tęsknotę. Wyglądało codziennie inaczej, jak ta kolorowa rzeka, bo gwiazdy poruszały się jakoś chaotycznie i nie do przewidzenia. Godzinami szukał Marsa, bo nie było go tam, gdzie być powinien. Droga Mleczna zrobiła się prawie niewidoczna. Nad Górą Świętej Anny wschodziło czasami jakieś jasne światło, ale nie wiedział, co to mogło być. Widział czasem ludzi, zjawy ludzi, jak też patrzyli w niebo,

ale nie wydawali się zaniepokojeni. Całowali się przy księżycu, choć od tamtego dnia trudno było już przewidzieć jego fazy. Robił, co chciał.

Lew szedł spać i śniło mu się, że nie śpi, tylko chodzi po miasteczku, ściąga ze straganów owoce, obserwuje rzeczkę.

Czasem robił tak: wkładał palec w mur i grzebał w jego ciepłym, zetlałym wnętrzu. Kamień ustępował pod opuszką palca, kruszył się, cofał przed dotknięciem. Zostawała dziura, która nie mogła się już zrosnąć. Kiedyś widział, jak zwiądł jeden dom na rzeką. Wyglądało na to, że usechł, stał się kruchy i bezbronny. Zapadł się pod swoim ciężarem i cicho położył na ziemi. Została tylko jedna ściana, którą przytrzymywał sąsiedni budynek. Ludzie-zjawy chyba tego nie zauważyli. Omijali teraz puste miejsce, jakby nigdy nic tam nie było, jakby w ich oczach to miejsce na dom zarosło.

W takich chwilach smutnego zdziwienia zastanawiał się nad sobą – czy jest, czy go nie ma. Dotykał się po rękach i twarzy, ale nie mógł się przemóc, żeby dotknąć swojego brzucha. Bał się, że i tam pokuszony palec zacznie wiercić dziurę i tym samym Lew siebie przebije na wylot i już nie będzie mógł się zrosnąć, zostanie z tą dziurą.

Spotykał jeszcze ludzi, których twarze wydawały mu się znajome. Ale coraz rzadziej. Sprzedawczynię z warzywniaka zastąpiła jakaś nowa, niewyraźna twarz, bardziej podobna do kalafiora niż do człowieka. Nie widywał też dyrektora liceum, sąsiada z pierwszego piętra. Teraz miał wrażenie, że w jego dużym mieszkaniu mieszkał ktoś inny, gładki, oślizły, z gębą wylizaną światłem, co rano goloną do imentu, zawsze ze słuchawką telefonu, do której przecedzał swoją papierową mądrość i wygrywał wszystkie radiowe konkursy. Nie było też dwóch dziewczynek podobnych do siebie jak dwie krople wody, które latami bawiły się na dachu garażu. Teraz, gdy było ciepło, wylegiwały się tam młode, chude kobiety i wystawiały jasne brzuchy do poszarzałych promieni słońca. Słońce już zresztą nie opalało skóry jak kiedyś, ale spopielało ją, sprawiało, że stawała się szara jak sprany jutowy worek.

Te znajome twarze to były: kobieta, o której myślał, że już dawno umarła, znał ją bowiem chyba od wojny, i młody człowiek z włosami do ramion, prowincjonalny hipis – widział go prawie każdego ranka na moście, przy zwietrzałej figurze świętego Nepomucena; przechodził przez most i spluwał do rzeki. Może szedł do pracy, bo chyba były gdzieś jakieś

prace. Na przykład Lew słyszał, jak huczy za górą Blachobyt, a w niektóre noce biła stamtąd łuna brudnego żółtego światła.

Płacz, mówił do siebie, bo wydawało mu się to właściwe, choć naprawdę nie czuł smutku. I czasem to mu się udawało. Stawał na skrzyżowaniu ulicy Piastów i Podjazdowej, no i płakał, a pokraczne samochody przejeżdżały przez niego i nie były w stanie zrobić mu żadnej krzywdy.

Mysmancja

W internecie znajdowałam dziwne rzeczy. Na przykład różne rodzaje praktyk wróżbiarskich:

Aeromancja, wróżenie z powietrza.
Alektriomancja, wróżenie przy użyciu koguta.
Antinopomancja, wróżenie z wnętrzności kobiet i mężczyzn.
Gastromancja, wróżenie z odgłosów dobywających się z brzucha.
Idolomancja, wróżenie z figurek, wizerunków i posągów.
Kattabomancja, wróżenie z naczyń wykonanych z metalu.
Logarytmancja, wróżenie za pomocą logarytmów.
Macharomancja, wróżenie z noży.
Oinomancja, wróżenie z wina.
Omfalomancja, wróżenie z pępka.
Sciomancja, wróżenie z cieni.
Stareomancja, przepowiadanie przyszłości z żywiołów.
Teriomancja, wróżenie z dzikich zwierząt.
Tuframancja, wróżenie z popiołów.
Tyromancja, wróżenie ze sposobu, w jaki ścina się ser.

Człowiek z drugiej ręki

We wrześniu w Radiu Nowa Ruda zaczęli czytać nową powieść. Jakąś angielską czy amerykańską. „Człowiek z drugiej ręki". Autora nie zapamiętałam, jego nazwisko brzmiało podobnie do innych. Była to smutna, rozwlekła historia życia mężczyzny, który miał uporczywe, niszczące poczucie tego, że jest wtórny, nieautentyczny, że cały jest powtórką czegoś, co już było. Właściwie, że jest namiastką jakiegoś oryginału, bytu świeżego. Na przykład to, że został adoptowany z sierocińca, czyli miał jakichś biologicznych rodziców, nie wiadomo jakich. Adoptowali go ludzie, którym zmarł ich własny syn. Musiał więc kogoś zastąpić. Nie był synem samym w sobie, ale przeznaczono go, żeby był namiastką kogoś innego, tamtego dziecka, które umarło. Pierwsze trzy odcinki – to była jego młodość. Zawsze rósł w przeświadczeniu, że jest popłuczynami po czymś innym, lepszym. W czwartym odcinku poszedł na studia i zafascynował go Platon. Dokładnie rozumiał, co ów miał na myśli, gdy pisał o Idei i jej Cieniu. Że istnieje coś prawdziwego, jedynego, niepowtarzalnego, doskonałego w swojej jedyności. I coś bardziej rozmazanego, jak każde odbicie – nieciągłego, pełnego niedoróbek, załamań światła, a więc fałszywego, woda po kisielu. Ten odcinek był trochę nudny. Radio stało na tarasie, malowałam drzwi, na dachu pracowali robotnicy i też słuchali o emanacjach, jaskiniach, wtórności i rozpaczy. Bohater książki zakochał się w filozofii. Pisał swoją pracę magisterską z jakiegoś platońskiego epigona, nie zapamiętałam, jak się nazywał, podobnie do wielu innych starożytnych Greków, i w końcu okazało się, że sama ta praca była mimowolnym plagiatem, że zrobił to samo, co ktoś inny już zrobił przedtem. Potem w następnych odcinkach ożenił się z rozwódką – był jej drugim mężem. Jego żona nigdy nie przestała kochać tamtego. Jest taka scena w tej książce – słuchałam jej na strychu, gdzie robiłam porządki – gdy bohater znajduje w szafce łazienki jej domu (bo dom był jej) przybory toaletowe tamtego, ustawione jak w muzeum, i w końcu zaczyna myć zęby jego szczoteczką, kropi się jego wodą toaletową, wkłada jego piżamę, a ta jego żona skłania go, żeby się z nią kochał tak samo jak tamten. Dalej, w tej książce, okazało się, że bohater jest oczywiście ojczymem, drugim ojcem. Nie może mieć swoich,

oryginalnych dzieci. Ludzie-Cienie nie mogą się rozmnażać, tak myśli. Pracuje jako redaktor w jakimś wydawnictwie i poprawia książki innych. Marzy o tym, żeby napisać swoją książkę, ale w tych cudzych zawsze odnajduje swoje pomysły, już napisane, już zrobione. W książce telefonicznej jest kilkadziesiąt innych osób z takim samym nazwiskiem i pewnie dlatego nęka go policja, bo nazywa się tak jak jakiś oszust matrymonialny. Na dodatek jest podobny do jakiegoś niezbyt lubianego polityka i wszyscy go z nim mylą. Jego zdjęcie odkleja się z gimnazjalnego tableau i przez pomyłkę zastępują go innym.

Straciłam dwa ostatnie odcinki z powodu przywożenia desek z Wambierzyc. Nie wiem, jak się skończyła historia „Człowieka z drugiej ręki". Musiał umrzeć, jak każdy. Może pomylono ciała i pochowano go pod innym nazwiskiem. Może w czasie pogrzebu obok odbywał się inny pogrzeb, kogoś ważniejszego, a muzyka orkiestry dętej zagłuszała rutynową, odbitą najpierw na ksero i wyuczoną na pamięć przemowę księdza.

Biel

Przyjechali białym samochodem. R. wyszedł do nich i pomagał im wyciągać torby z bagażnika. Stali chwilę przy aucie – R. zawsze podziwia samochody gości. Pyta o rocznik i ile pali. Obie suki tańczyły wokół z radości, a potem Janka, jak zwykle, usadowiła się na siedzeniu kierowcy.

Ich samochód był biały, bielutki. Wyszłam na schody i pomachałam im ręką. Ona już szła w moją stronę, patrzyła pod nogi na stromą ścieżkę. Biel samochodu była tłem dla jej smukłej sylwetki. Kobieta spływała jak postać z białego ekranu, która wychodzi z filmu i znika w mroku widowni. Ja byłam tą widownią.

Patrzyłam na nią, uśmiechałam się i zdałam sobie sprawę, że wszelka biel jest sprzeczna z naturą. Nie ma jej w przyrodzie. Nawet śnieg nie jest biały; jest szary, żółty, błyszczy złoto, potrafi być niebieski czy grafitowy. To dlatego buntują się białe obrusy i prześcieradła, dlatego uparcie żółkną,

jakby chciały pozbyć się tego nierealnego makijażu. Znane proszki do prania temu nie poradzą. Jak wiele ludzkich wynalazków, będą tylko zwielokrotniały złudzenie, odbijając światło.

Lipcowa pełnia

Marta widziała, że wynosiliśmy krzesła na taras i ustawialiśmy je jedne za drugimi w dwa, może trzy rzędy. Przepychaliśmy się w drzwiach z tacami pełnymi szklanek i kieliszków; dźwięczały potrącone łyżeczki w filiżankach, szurały przesuwane taborety. Niektórzy z nas już zajęli miejsca. Siedząc, rozmawialiśmy półgłosem, tym samym jednostajnym tonem, który towarzyszy zapełnianiu się widowni teatralnej. Ze słów nic nie wynika, są ledwie słyszalne, markują zdania, poruszają powietrze jak nasiona dmuchawca. Z szeleszczących pudełek wyciągaliśmy białe papierosy.

Ktoś podawał komuś nad głowami innych kubek czy talerzyk, ktoś wracał do sieni po sweter. R. przyniósł dwie butelki z winem i postawił je na ogrodowym stoliku. Na jego szyi wisiała lornetka. Któraś z kobiet oparła się o drewnianą balustradę i sprawdzała nastawienie aparatu fotograficznego. Młody człowiek z brodą patrzył na zegarek i nagle wszyscy zaczęli sprawdzać czas, w końcu światło w sieni zgasło, a dom stał się ciemny, taki jak był zawsze. Tylko czerwone ogniki papierosów, jak przejrzałe robaczki świętojańskie, poruszały się w górę i w dół, wyznaczając w ciemności szlaki, po których dłonie wędrowały do ust.

Marta zapięła sweter, bo od lasu płynęły już fale chłodu. Noc była cicha i głucha. Świerszcze jeszcze nie istniały.

I teraz Marta usłyszała nagłe poruszenie na tarasie. Westchnęliśmy z zachwytem, a czyjś kobiecy głos powiedział:

– Jest.

Marta odwróciła wtedy głowę i zobaczyła to samo, co widzieliśmy my – cienki, ogromny, krwistoczerwony pasek nad linią horyzontu, dokładnie między dwoma świerkami. Aparat pstryknął, lornetka delikatnie uderzyła

o plastikowe guziki koszuli. Czerwona kreska zaczęła rosnąć i zmieniła się w kopułę – na horyzoncie wyrosła wielka świetlista pieczarka. Rosła w oczach, zmieniała się w półokrąg, a potem było już oczywiste, że zza krawędzi świata rodził się księżyc. Dwa świerki trzymały go między sobą jak dziecko. Aparat pstrykał dyskretnie raz za razem, aż wreszcie księżyc uwolnił się od ziemi, odbił od czarnej linii horyzontu i chwiejąc się niepewnie, popłynął w górę. Był ogromny.

Ktoś z nas zaczął klaskać z namaszczeniem i do tych oklasków przyłączyły się inne dłonie. Kiedy księżyc opuszczał bezpieczną przestrzeń między dwoma świerkami, jego kolor powoli zmieniał się – najpierw był żółty, potem biały i wreszcie zielonkawy. Nad czubkami drzew widać było wyraźnie rysy jego twarzy.

Ale Marta patrzyła na ludzi z tarasu. A tam dźwięczały kieliszki. Wzdrygnęła się od wystrzału szampana. Po chwili ludzie zaczęli mówić, najpierw półgłosem, potem coraz głośniej i wszystko było tak samo jak zawsze.

Słyszenie

Ponieważ w domu było mnóstwo ludzi i nie starczyło miejsc do spania, poszłam spać do sadu, na to czerwone żelazne łóżko, które w dzień służy do czytania. Zaścieliłam je czystą białą pościelą. W nocy wydawała się świetliście szara.

Widziałam dom z zewnątrz, z okna w łazience biło światło i rzucało długi jasny ślad na staw, potem na chwilę z hukiem włączyła się pompa. Kiedy umilkła po minucie, dom ściemniał i zniknął mi z oczu. Niebo wydało się teraz jaśniejsze.

Noc nie jest tak ciemna, jak się o niej mówi. Ma w sobie łagodniejsze światła, które płyną z nieba do gór i dolin. Ziemia też świeci. Jest to blask zimny, szarawy, lekko fosforyzujący jak blask nagich kości i próchna. W dzień nie widać tej poświaty, ani w czasie jasnych, rozświetlonych

księżycem nocy, ani w oświetlonych miastach i wsiach. Tylko w prawdziwych ciemnościach widoczne staje się światło ziemi.

Oglądałam dokładnie każdy kawałek przestrzeni, jaką widziałam z łóżka, każde drzewo, każdą kępę traw, każdą krzywiznę horyzontu. Wszystko było jak przyprószone popiołem, posypane mąką. Nocne światło zacierało ostre kąty, zbliżało przeciwieństwa. Zacierały się granice między jednym a drugim. Rzeczy mnogie wydawały się zaledwie wielokrotnościami jednego. Te obrazy musiały jakoś uwięzić mój wzrok, uśpić mnie, bo kiedy się obudziłam, wyrwane ze snu oczy zobaczyły tylko ciemność – księżyc już zaszedł. Ale za to ocknął się mój słuch, przejął nad ciałem całą kontrolę i ciągnął mnie teraz za sobą. Pełzł po ścianach domu i nadsłuchiwał. Powoli z pozornej ciszy wyłoniły się oddechy śpiących w domu ludzi, najpierw muśnięcia, szelesty, które grzmiały mi w uszach, aż cała poczułam się słuchem – mięsistą miseczką, zasuszonym kielichem, wilgotną jedwabną trąbką przyciśniętą do ścian. Zaczęłam słyszeć pierwszy raz w życiu od początku do końca: oddechy śpiących w murach domu stały się szumem, poświstem, który wpada w ludzkie ciała i ożywia te martwe zombiste struktury; ich powieki mlaskały niespokojnie, jak połcie mięsa rzucane na zimną posadzkę; serca im dudniły dźwiękiem, który był cięższy od powietrza i zaraz spływał pod ziemię. Równomiernie, rytmem snu, trzeszczały łóżka. Potem usłyszałam hałas mysich metropolii w ścianach domu – te drobne szybkie skrzyżowania, miejsca czułych spotkań, magazyny żywności. Słyszałam korniki w nogach sosnowego stołu. W kuchni lodówka startowała ogłuszająco do nocnych zamarzniętych lotów. Ćmy łaskotały chłodne nocne przestrzenie. A wszystko to ciął na kawałki histeryczny dzwon kropli spadających z kuchennego kranu. Ogłuszona, odwróciłam się na plecy i popatrzyłam w niebo. Powinno być ciche jak zawsze, ale nie było. Usłyszałam gwizd spadających meteorów i mrożący krew w żyłach szum komety.

Kto napisał żywot świętej i skąd to wszystko wiedział

Jakiś młody kleryk wziął od niego wszystkie papiery i kazał przyjść wieczorem, kiedy to bez słowa pokazał mu pokój, jaki miał teraz zajmować, czekając na decyzję rady. Pokój był ciemny i wilgotny, z jego okna zobaczył rzekę i biedne domki na brzegu. W pewnym sensie pokój przypominał jego celę w klasztorze – wąskie łóżko, naprzeciwko niego stół i krzesło, a zamiast baraniego dywanika, klęcznik. Zaraz na nim ukląkł i próbował się modlić, ale Kummernis nie chciała przyjść do klęcznika. Paschalis myślał raczej o gładkich zdobieniach mebla niż o świętej, więc w końcu ukląkł na kamiennej posadzce. Ale i teraz nie mógł się skupić. Zza okien płynął szum rzeki, hałas ulic, jakieś skrzypienia kół, głosy ludzi. Glatz nie sprzyjał modlitwie. Po raz pierwszy od lat usnął więc bez modlitwy.

Następnego dnia ten sam kleryk zawiadomił go, że dokumenty są właśnie czytane przez biskupa, więc audiencja będzie jutro. Nazajutrz powiedział mu to samo. I następnego dnia też. Paschalis mieszkał więc w biskupim pałacu i miał czas na zobaczenie miasta.

Widział ogromną liczbę ludzi; wydawało mu się nieprawdopodobne, jak wielu ich żyło w jednym miejscu. Dziwiło, że nie wszyscy znają się nawzajem. Mijali się na ulicy obojętnie i nie patrzyli na siebie. Chodził po tym dziwnym mieście od rana do wieczora, aż paski od sandałów poraniły mu skórę. Widział handlarzy na rynku, przy kramach wypełnionych wszelkim dobrem. Trudno było spamiętać, do czego miały służyć te wszystkie rzeczy. Widział dzieci bawiące się wprost na ulicy, zmęczone gwarem i upałem zwierzęta, drewniane, pomalowane jaskrawo posągi w kościołach, które do złudzenia przypominały ludzi.

Ale najbardziej fascynowały go kobiety. Tutaj w mieście były jeszcze bardziej wyraźne, konkretne i namacalne. Kiedy modlił się w kościele, rozpoznawał ich obecność po szelestach sukien i delikatnym stuku obcasów. Ukradkiem więc przyglądał się każdemu szczegółowi ich stroju, pasmom włosów, splotom warkoczy, linii ramion, płynnym ruchom dłoni, gdy robiły znak krzyża. Jeśli tylko nikt nie widział, powtarzał te ruchy, jakby ćwiczył skomplikowane magiczne zaklęcie.

Przy jednej z ulic nad rzeką znalazł dom, przed którym wystawały zawsze młode dziewczyny z sukienkami zawiniętymi po kolana. Troczki ich koszul jakby nieumyślnie rozwiązywały się i obnażały chude dekolty. Paschalis przechodził tamtędy kilka razy dziennie. Właściwie nawet nie wiedział, jak to się dzieje. Nogi go same tam niosły, gdy się zamyślił, w te nadrzeczne, cuchnące wilgocią zaułki, zawsze przesiąknięte wodą okolice. Dziewczyny zmieniały się, ale w końcu nauczył się je wszystkie rozpoznawać. One też go poznawały i uśmiechały się do niego jak do starego znajomego. Któregoś dnia jedna z nich szepnęła w jego kierunku, gdy przemykał obok szybkim krokiem: „Chodź, braciszku, pokażę ci coś, czego nigdy jeszcze nie widziałeś". Ten szept był jak uderzenie. Paschalis na chwilę stracił oddech i krew napłynęła mu do twarzy. Ale nawet się nie zatrzymał. Tego samego dnia zobaczył na straganie małe drewniane krzyżyki z Kummernis. „To święta Frasobliwa", powiedział kramarz, „Patronka wszelkich zmian". Paschalis kupił sobie taki krzyżyk za pieniądze, które dostał od przeoryszy.

W końcu został wezwany do biskupa.

„Wszystko to jest bardzo pouczające i podnoszące na duchu. Pięknie spisałeś historię życia tej niezwykłej kobiety, lecz wiele rzeczy niepokoi nas w jej pismach". Tak zaczął człowiek w czarno-białym habicie. Potem rozłożył przed sobą papiery i przez chwilę wodził po nich wzrokiem. Biskup patrzył przez okno odwrócony do nich plecami.

„Co znaczą na przykład takie słowa: «Widziałam to. Było nieskończone i potężne, lecz nie wszędzie było takie samo. Istniało też jakieś bliżej i jakieś dalej od Niego. Na peryferiach swoich zamarzało, zastygało jak płynne żelazo»".

„To było o Bogu", powiedział Paschalis, ale biskup nie zareagował. Biało-czarny zakonnik powiedział zaś:

„Rozumiem, że to może być poetycka metafora, ale przyznasz, chłopcze, nieco ryzykowna. Matka przełożona powinna być bardziej uważna i wnikliwa. To nie dopracowane, synu... Albo to: «Bez względu na to, co czynię – to jest miłość do Ciebie, a kochając Ciebie, muszę miłować siebie, bo to, co we mnie żywe, to, co kocha – jest Tobą». To już brzmi bardzo heretycko... Bez względu na to, co czynię... Jakbym słyszał któregoś z tych odszczepieńców. Albo, niech ekscelencja posłucha...".

Karta zapełniona równym pismem Paschalisa sfrunęła na podłogę.

«Wiem, że mieszkasz we mnie. Widzę Cię w sobie – przejawiasz się we mnie tym wszystkim, czemu mogę zaufać – rytmom, przypływom i odpływom, pulsowaniu i zanikaniu. Należę do słońca i księżyca, należę bowiem do Ciebie, należę do świata roślin i zwierząt, należę bowiem do Ciebie. Kiedy księżyc co miesiąc porusza we mnie krew, wiem, że jestem Twoja, że zaprosiłeś mnie do swego stołu, by skosztować smaku życia. Kiedy każdej jesieni moje ciało okrągleje i przybiera, staję się jak dzika gęś, jak sarna, których ciało więcej wie o naturze świata niż najmądrzejszy z ludzi. Obdarzasz mnie wielką siłą, żeby przetrwać noc».

„Słońca i księżyca", powtórzył nagle biskup i to były jedyne słowa, jakie wypowiedział w czasie tego spotkania.

Nie wiadomo dlaczego Paschalis zrozumiał, że wszystko przepadło i wyciągnął z kieszeni swój ostatni argument – drewniany krzyżyk z półnagim ciałem kobiety o twarzy Chrystusa. „Można to kupić wszędzie", powiedział. „Wierni pielgrzymują do Albendorfu po jej błogosławieństwo".

Położył krzyżyk na zapisanych kartkach papieru. Biskup i zakonnik pochylili się nad nim.

„Co za niesmaczne dziwactwo", skrzywił się zakonnik. „Ludzie nie wiedzą, co czynią".

Wziął krzyżyk w dwa palce z widocznym wstrętem i oddał go Paschalisowi.

„Doceniamy trud, jaki włożyłeś w spisanie żywota tej kobiety. Całym sercem ufamy też matce Anieli, ale pomimo dobrych chęci nie rozumiemy, jakie znaczenie dla wiernych mogłaby mieć ta historia. Widzisz, żyjemy w czasach zamętu. Ludzie utracili bojaźń Bożą i wydaje im się, że sami mogą dyktować warunki Bogu, wciągać wiarę w swoje przyziemne, ludzkie przypadłości. Nie muszę dawać ci przykładów tych wszystkich odszczepieńców, w jakich obrodziła nasza ziemia. Naszym zadaniem staje się obrona czystości wiary. Mamy wiele uznanych świętych, które upierały się przy prawdziwej wierze i tym samym wydały się na męczeńską śmierć. Święta Agata, która odmówiła ręki pogańskiemu królowi Sycylii... Obcięto jej piersi. Święta Katarzyna Aleksandryjska rozerwana końmi i ścięta, albo Apollonia, ostoja wiary w czasie prześladowań. Przywiązano ją do słupa

i wyrywano jej wszystkie zęby, jeden po drugim. Albo święta Fina, która, sparaliżowana, sama potęgowała swoje męki, śpiąc na kamiennym łożu, aż w końcu dała się zjeść szczurom…”

Biskup nagle podniósł głowę i spojrzał z przyganą na zakonnika. Zapadła cisza.

„To wszystko jest z życia wzięte”, zaczął znowu zakonnik, ale ciszej. Ostrożnie zaczął zbierać papiery ze stołu. „Ktoś broni wiary i ginie uczciwą, męczeńską śmiercią. Jego cierpienie ma sens, jego męka, choć przerażająca i straszna, mieści się w granicach dobrego smaku. A tu jest coś niezdrowego, powiedziałbym: świętokradczego w tym nagim ciele na krzyżu. Krzyż przywodzi na myśl Zbawiciela, Syna Bożego. A tu nagie piersi, twarz Pana naszego nad nagimi piersiami… Dałeś się zwieść temu wizerunkowi. I Matka Aniela dała się mu zwieść… Sprawa warta jest dokładnego zbadania i dopiero wtedy można będzie powziąć ostateczną decyzję. Twoja praca jeszcze się nie skończyła”.

Zakonnik podał Paschalisowi Żywot i krzyżyk.

Paschalis zanurzył się w miasto i do wieczoru przeszedł chyba wszystkie jego ulice. Jego nogi wciąż jeszcze spodziewały się podróży do Rzymu, były gotowe do drogi, musiał więc chodzić i chodzić, żeby im ulżyć. Mógł jeszcze na tę noc przed powrotem iść do pałacu biskupa, gdzie dostałby nocleg i kolację, ale nie chciał.

„Gówno”, powiedział do siebie pierwszy raz w życiu i w tej samej chwili zobaczył, że znalazł się na nadbrzeżnej ulicy. Od rzeki płynął chłód i zapach wody. Paschalis stał przed karczmą. Ludzie wchodzili i wychodzili, otwierali drzwi i wtedy owiewało go duszne, kwaśne ciepło ludzkich ciał.

Ktoś dotknął jego rękawa i Paschalis zobaczył koło siebie jedną z dziewczyn, które za dnia wyraźnie odbijały się kolorem ust i policzków od szarych kamiennych ścian. Patrzyła mu w oczy i powoli jej wargi rozciągnęły się w uśmiechu. Złapała się za swój stanik i za chwilę ku twarzy Paschalisa wyskoczyły dwie białe piersi. Wydały mu się doskonałe, takie, jakie powinny być. Dziewczyna pociągnęła go za sobą do wnętrza któregoś z sąsiednich domów. Przeszli przez cuchnącą, niską sień i po kilku

drewnianych schodach wspięli się do jakiegoś pomieszczenia. Było ciemne, ale czuł, że jest małe.

„Masz pieniądze?", zapytała go i zapaliła świece.

Poruszył sakiewką przywiązaną pod habitem; zadźwięczały monety. Izba była rzeczywiście mała. Na podłodze pod ścianą leżał materac wypchany słomą. Paschalis postawił przy drzwiach swoją torbę z papierami, a dziewczyna położyła się na materacu i podciągnęła pod brodę spódnicę. Zobaczył rozrzucone na bok nogi w dziurawych pończochach i czarną plamę między nimi. Stał nad tym leżącym ciałem i nie wiedział, co zrobić.

„No, braciszku, na co czekasz?", zaśmiała się dziewczyna.

„Chciałbym się na tobie położyć", wykrztusił przez ściśnięte gardło.

„Coś takiego, chciałbyś się na mnie położyć", wykrzyknęła dziewczyna, udając zdziwienie.

Paschalis uklęknął i delikatnie opadł na nią. Leżał tak chwilę, bojąc się oddychać.

„No i co dalej?", zapytała dziewczyna.

Wziął jej ręce i rozłożył je szeroko. Palce dotknęły wnętrza jej dłoni – było twarde i szorstkie. Twarzą dotykał jej włosów, pachniały smażonym tłuszczem. Dziewczyna leżała pod nim nieruchomo, czuł, jak miarowo oddycha.

„Może nie jest tu za ciepło, ale lepiej by było, żebyś się rozebrał", powiedziała nagle spokojnie.

Zastanowił się, potem podniósł i zaczął zdejmować ubranie. Ona szybko wysunęła się z sukienki. Teraz dotykali się nagą skórą. Wsłuchiwał się w jej oddech. Skórą brzucha czuł łaskotanie jej szorstkich włosów.

„Coś z tobą nie tak", szepnęła mu do ucha i poruszyła miarowo biodrami. Nie odpowiedział, nie poruszył się. Wzięła jego rękę i delikatnie poprowadziła między swoje nogi. Szukał otworu idącego w głąb ciała, który tak często sobie wyobrażał, ale wszystko było inaczej.

„Tak, właśnie tak", powiedziała dziewczyna.

Nagle jego palce przestraszyły się, cofnął rękę i próbował się podnieść, ale przyciągnęła go z powrotem nogami.

„Jesteś taki piękny, masz włosy jak kobieta”.

Wtedy on sięgnął po jej rzuconą sukienkę i wstał. Patrzyła zdziwiona, jak ją z namaszczeniem wkłada. Uklękła i pomogła zasznurować gorset.

„Pończochy”, powiedział.

Ściągnęła je z nóg i podała mu. Sięgały mu ledwie do kolan. Zamknął oczy i przeciągnął rękami po swoich piersiach i biodrach. Poruszył się, a suknia poruszyła się razem z nim.

„Połóż się tak jak przedtem, rozłóż szeroko ręce, wtedy otworzę oczy”, powiedział.

Zrobiła tak, jak jej kazał. Stanął nad nią idługo patrzył, potem uniósł fałdy spódnicy i uklęknął między jej nogami. Opadł na nią powoli, wsunął się bez błędu, jakby ćwiczył to setki razy, a potem powoli i systematycznie zaczął ją przybijać do ziemi.

Sen

Dostałam list. Leżał na biurku z innymi papierami, które zbierają się w kupki, gdy nas nie ma, i które trzeba czytać jeden po drugim, tracąc bezpowrotnie radość wyciągania ze skrzynki pojedynczych kopert od konkretnych ludzi i czytania ich w namaszczonym skupieniu. Leżał wśród ulotek wyborczych, wśród reklamówek makro-cashów, szkół językowych, wśród wyciągów z kont, rachunków za telefon, listów z pieczątką zamiast nazwiska nadawcy; wezwań do urzędów, pocztówek z lakonicznymi pozdrowieniami, przypomnień, informacji, zawiadomień. I on sam też nie był właściwie listem, jakby ten gatunek przesyłek niezauważalnie wymarł. To była raczej reklamówka, świstek z tekstem niewyraźnie odbitym na ksero, zamazany, rozlany druk – czegoś takiego nie chce się nawet przeczytać do końca. Tkwił między wyborczymi ulotkami jakichś partii. I nie był to list pod jeszcze jednym względem, bo sam stanowił dla siebie kopertę, jak to w zwyczaju mają pisma urzędowe – arkusz papieru złożony na cztery z zakładką posmarowaną klejem. Na tym adres i znaczek.

Pierwsze słowa brzmiały: „Obudź się”. Dalej nie czytałam albo zapomniałam, co tam było napisane. Może: „Obudź się. Polska stoi na skraju przepaści. Głosuj na naszą listę!” Albo: „Obudź się. Nie zmarnuj okazji. Przy zakupie powyżej 300 złotych prezent w postaci zestawu cebulek różnych odmian narcyzów”. Albo: „Obudź się ze znajomością obcego języka. Nasz system nauki w czasie snu zapewnia opanowanie języka w ciągu trzech tygodni”. Pamiętam tylko, że rozcinałam go nożem, jak wszystkie listy, i teraz każdy nóż kojarzy mi się z tym „Obudź się” chyba już na zawsze. Rozcinanie płaskiego ciała złożonego papieru, patroszenie papierowego zwierzęcia, żeby dostać się do jego pełnych znaczenia, wróżebnych wnętrzności.

Borowik ponury w śmietanie

Przyjechali znajomi z Wałbrzycha i poczęstowałam ich grzybami. W ostatniej chwili zapytali, co to za grzyby, a gdy im powiedziałam – nie jedli. Tak jakby jedzenie czy niejedzenie czegoś mogłoby nas uratować przed śmiercią. Umiera się bez względu na to, czy się zjada to czy tamto, czy się robi to czy tamto, czy się myśli to czy tamto. Wygląda na to, że śmierć jest momentem bardziej naturalnym niż życie. Taka olszówka, zanim w nowoczesnych przewodnikach została uznana za trującą, była smacznym grzybem. Jadły ją całe pokolenia, bo rośnie wszędzie. Gdy byłam dzieckiem, zbierało się ją do osobnego koszyka, żeby potem długo ją gotować, a wodę odlać. Teraz się mówi, że olszówka zabija powoli, atakuje nerki, odkłada się gdzieś we wnętrznościach i niszczy. Jedząc olszówki, pozostaje się więc w tym samym momencie żywym i martwym jednocześnie. W jakimś procencie jest się żywym, w jakimś procencie martwym. Trudno powiedzieć, kiedy jedno przechodzi w drugie. Nie wiadomo dlaczego ludzie przywiązują wielką wagę do tego jednego, krótkiego momentu albo-albo.

Borowika ponurego w winie i w śmietanie robi się tak:

około kilograma borowików ponurych

4 łyżki masła

ćwierć szklanki białego wytrawnego wina (najlepiej czeskie ze słoneczkiem)

szczypta pieprzu, szczypta papryki ostrej

sól

szklanka śmietany

pół szklanki utartego oscypka.

Grzyby smaży się przez 5 minut na maśle. Dolewa wino i dusi jeszcze 3 minuty. Potem dodaje się pieprz, paprykę i sól, wlewa śmietanę, wsypuje ser i miesza. Podaje się na grzankach albo z ziemniakami.

Upały

W gorące dni przez całe południe Marta siedziała w słońcu przed domem i ze swojej ławeczki obserwowała nasz dom. Miała na sobie zawsze ten sam sweter, pod nim jej skóra musiała się nagrzewać i pocić. Na przełęczy, pod krzakiem czarnego bzu leżał motocykl wopisty. Obok – wopista z lornetką zamiast oczu patrzył na Martę i na nas. Jeszcze wyżej, na bezchmurnym znieruchomiałym niebie falował jastrząb, o którym mówiliśmy: Duch Święty, bo poruszał się tak, jak Duch Święty poruszać się powinien, bez wysiłku i wszystkowiedząco. Oglądał wopistę, który patrzył na Martę, która patrzyła na nas. Przez cały upalny miesiąc Marta widziała to samo.

Całe dnie siedzieliśmy na drewnianym tarasie. Kiedy tylko słońce wyszło zza jabłonek, rozbieraliśmy się prawie do naga i pokazywaliśmy niebu białe ciała. Smarowaliśmy kremem skórę, a nogi wyciągaliśmy na dostawianych krzesełkach. Podążaliśmy twarzą za słońcem. Koło południa znikaliśmy na chwilę w sieni – piliśmy kawę – a potem znów leżeliśmy w słonecznych plamach.

Chwała Bogu, że istnieją chmury, które choć na chwilę dają ukojenie ich skórze, myślała pewnie Marta.

Po południu nasza skóra stawała się czerwona, więc Taki-a-Taki, który jak zwykle przechodził tamtędy do Rudy, poradził nam za którymś razem, żebyśmy posmarowali ją zsiadłym mlekiem.

Marta widziała ruchy naszych ust, bo nawet leżąc, gadaliśmy. Nawet nie patrząc na siebie. Słońce leniwie fałszowało nasze słowa. Ale co można mieć do powiedzenia, kiedy pod powiekami kwitnie rozżarzona kula? Nasze usta ruszały się i czasem wiatr przynosił Marcie strzępki słów. Marta wiedziała, że się męczymy. Widziała, jak od czasu do czasu któreś

z nas wstawało i przechodziło przez chłód sieni na drugą stronę domu, gdzie był jeszcze pas cienia. Tam staliśmy samotnie, pojedynczo, a nasze nienawykłe do milczenia usta rozchylały się bezrobotne; szczęka wyzwolona ze słów kołysała się jak opuszczona huśtawka. To była przeczekalnia, odpoczywalnia – na tym tylnym tarasie, gdzie nie myśli się i nie mówi. Skóra studziła się, rozogniony wzrok ciemniał, czas na powrót stawał się rytmiczny. Trwało to jakąś chwilę, a potem znowu wracaliśmy na słońce.

Słowa

Cały wieczór piliśmy czeskie wino ze słoneczkiem i mówiliśmy o nazwach. Kim był ten facet, który nocami zamieniał niemieckie imiona przestrzeni na polskie? Czasami miał przebłyski poetyckiego geniuszu, czasem strasznego słowotwórczego kaca. Nazywał od początku, stwarzał ten górzysty, nierówny świat. Z Vogelsbergu zrobił jakąś Nierodę, Gotschenberg przechrzcił patriotycznie na Polską Górę, z melancholii Fluchtu została mu banalna Rzędzina, ale za to Magdal-Felsen zamienił na Bógdał. Dlaczego Kirchberg stał się Cerekwicą, a Eckersdorf Bożkowem, tego się nigdy nie domyślimy.

A przecież słowa i rzeczy tworzą przestrzenie symbiotyczne, jak grzyby i brzozy. Słowa wyrastają na rzeczach i dopiero wtedy są dojrzałe w sens, gotowe do wypowiedzenia, gdy rosną w krajobrazie. Wtedy można się nimi bawić jak dojrzałym jabłkiem, obwąchiwać je i smakować, lizać po wierzchu, a potem z trzaskiem przełamywać na pół i badać wstydliwe soczyste wnętrze. Takie słowa nigdy nie umrą, bo potrafią uruchamiać inne swoje znaczenia, rosnąć w stronę świata; chyba że umrze cały język.

Z ludźmi pewnie jest podobnie, bo nie mogą żyć w oderwaniu od miejsca. Więc ludzie są słowami. Dopiero wtedy stają się realni.

Może to miała na myśli Marta, kiedy powiedziała coś, co mną wstrząsnęło: „Jeżeli znajdziesz swoje miejsce – będziesz nieśmiertelna”.

Ergo Sum

Ergo Sum jadł ludzkie mięso. Było to wczesną wiosną czterdziestego trzeciego roku, gdzieś między Workutą a małą stacją Krasnoje.

Zostawili ich, pięciu mężczyzn, w budzie przy torach, bo mieli rozładować następne wagony, ale pociąg nie przyjechał. W nocy spadł śnieg, jeszcze większy, jeszcze bardziej biały niż ten, który już leżał. Wygrzebywali spod śniegu gałązki, resztki trawy i to jedli. Skrobali z desek szopy stare porosty. Dobrze, że wokoło był las – ogień ogrzewał ich ciała, bo nie miały już czym ogrzewać się same od środka.

Ergo nie pamiętał imion towarzyszy; udało mu się je zapomnieć, ale nie udało mu się zapomnieć twarzy człowieka, który zamarzł i którego ciało jadł. Ów człowiek musiał zamarznąć w nocy, bo rano leżał skulony przy tlącym się ognisku, z nadpalonym butem, jakby wkładając nogę do ogniska, chciał sobie przypomnieć, że żyje, gdy umierał. A może noga wpadła do ognia już po śmierci. Był łysawy i miał rudawy zarost. Ergo zapamiętał, że blade wargi odsłaniały zmasakrowane szkorbutem dziąsła.

Ojciec Ergo Suma był wiejskim nauczycielem. Mieszkał pod Borysławiem. Nazywał się bardzo zwyczajnie – Wincenty Sum, ale w przypływie podejrzanie dobrego humoru dał synowi na imię Ergo. Ergo Sum to brzmi dumnie – tak mu się wydawało. Potem żałował, że nie obdarzył syna dwoma imionami, byłoby szlachetniej, cywilizowanie, byłby to znak, że naród, a z nim Wincenty Sum i jego dzieci, należy do Zachodu.

Ergo Sum studiował we Lwowie historię i literaturę klasyczną. Gdy go wywieźli na Syberię, miał dwadzieścia cztery lata.

Ten, który zamarzł, leżał zwinięty w kłębek, przykryty derką, spod której wystawał nadpalony but. Czapka uszanka zsunęła mu się z głowy i odsłoniła łysinę. Jego twarz miała ludzkie rysy, lecz nie była już ludzka. Wynieśli go bez słowa za budę i położyli w zaspie. Śnieg sypał z nieba jak piasek – drobny, ostry, agresywny. Po kilku godzinach zasypał wszystkie ślady. Jednak Ergo Sum myślał o tym zamarzniętym człowieku i przed oczami miał wciąż ten nadpalony but. Próbował sobie przypomnieć, co tamten mówił, co robił, jaki miał głos, ale nic nie pamiętał. Zapomniał wszystko, zupełnie tak, jakby nigdy nie było z nimi tego człowieka

w nadpalonym bucie. Pili podgrzany, roztopiony śnieg i nie odzywali się do siebie. Zerwała się zamieć i wszystko naokoło wyło i trzeszczało. Śnieg przesypywał się przez szpary w ścianach i układał się w białe foremne stożki, jakby był żywym stworzeniem, które przyszło w odwiedziny, jakby był mieszkańcem międzygwiezdnych przestrzeni i na tę noc wybrał nocleg na Ziemi. Rano wciąż wszyscy byli żywi. Któryś z nich wyszedł na zewnątrz i zaraz wrócił. „Zasypało go. Nic już nie widać. Teraz nigdy go już nie znajdziemy", powiedział z rozpaczą.

Zerwali się z miejsc i wyszli w śnieg szukać ciała, które nagle stało się tak cenne, tak pożądane. Ergo tak o nim myślał – potrzebował go, pragnął, było mu wszystko jedno, co on sam o tym myśli, bo coś tam myślał, na przykład po głowie pałętały mu się jakieś łacińskie zdania, z Wergiliusza, z Tacyta, sam nie wiedział. Cum ergo videas habere te omnia quaemundus habet, dubitarenon debes quod etiam animalia, quae offeruntur in hostiis, habeas intra te. Kijami przebijali białe cielsko śniegu, a kiedy nic nie znaleźli, zaczęli odgarniać śnieg rękami, kopać w nim dziury, aż w końcu to Ergo zobaczył nadpalony but i zaczął wrzeszczeć w nieprzytomnej radości:

„Mam go! Mam go!"

Przenieśli ciało pod ścianę budy i przykryli je kilkoma deskami i gałęziami. Wrócili do szopy i znowu pili ciepły śnieg, bo na wpół zamarzli. Potem któryś z nich wyszedł i przyniósł zamarznięte skrawki mięsa, które wrzucił do wody. Nie był to Ergo Sum, nie, to akurat pamiętał dokładnie. Pierwszy raz zrobił to ktoś inny. Skrawki mięsa tajały w wodzie, a potem gotowały się jakiś czas. Krótko. Raczej pływały niemrawo w kociołku, blade i cieniutkie. Nie było czuć żadnego zapachu, tylko para unosiła się nad garnkiem. Jeden z nich odmówił jedzenia, ale to też nie był Ergo. Ergo trzymał mięso w ustach, było twarde, na wpół surowe i nie umiał go przełknąć. Musiał użyć myślenia do przełknięcia tych skrawków. Pomyślał sobie: Pomyśl sobie, że to zwyczajne mięso. Z rosołu. Dopiero wtedy połknął i znieruchomiał, jakby połknął zegarową bombę. Wieczorem ten, który nie jadł, powiedział im, że mogą dostać alergii, bo ich systemy immunologiczne nie są przystosowane do trawienia takich białek. Był biologiem czy kimś takim.

„Zamknij się!", powiedzieli mu.

Pociąg nie przyjeżdżał iwłaściwie śmieszne było mieć nadzieję, że jeszcze przyjedzie. Tory dawno zniknęły pod śniegiem. Powoli przestały istnieć pod nim także drobne krzaczki i szopa. Codziennie musieli wyprawiać się do rzadkiego brzozowego lasu po drzewo. Łamali gałęzie brzóz rękami i ciągnęli pod szopę. Potem w nocy usłyszeli wycie wilków, dalekie i straszne. W głowie Ergo Suma pojawiła się myśl, która grzała go jak ogień: „To nic takiego. Nie ma się co przejmować". Była jak mur, jak ściana. Rozrastała się, wypierała inne myśli, replikowała się i powtarzała tysiące razy, wypełniała całą świadomość. „Wszystko w porządku. Jest dobrze". To samo myślał, gdy przyszła na niego kolej przyniesienia mięsa. Wyszedł przed dom i powtarzał sobie śpiewnie te słowa, a one były jak mantra – czesały myśli w proste, niezależne od niczego smugi. Dlatego nie zobaczył już człowieka. Zobaczył pokręcony kanciasty kształt przysypany śniegiem. Nożem wycinał skrawki mięsa, aż do kości. Było to trudne, bo nóż miał tępy, a mięso było zamarznięte i twarde jak kamień. Potem dopiero przyszło mu przebłyskiem do głowy, że ciął udo. Że kończyli już nogę. Biolog był tak słaby, że nie protestował, kiedy dali mu gorącego wywaru i kilka kawałeczków mięsa, chociaż wcale nie zależało im, żeby przeżył. Teraz był taki sam jak oni.

Trwało to tydzień, może dwa. Ergo jeszcze nosił mięso, odkrawał je nożem od kości, łamał małe kosteczki, bo w końcu trzeba było wykorzystać także i kości. Wkrótce, dzięki śniegowi i wszystkiemu innemu, trudno było już poznać, co jest źródłem ich zapasów. Raczej kupa gnatów, nieregularny zamarznięty kształt. Biolog raz tylko zwymiotował, gdy zaczęli jeść wnętrzności.

Coś czuwało nad nimi, tak myślał Ergo Sum, ponieważ dzień przed atakiem wilków zobaczyli w brzozowym lesie ludzkie ślady. Poszli za nimi kawałek i widać było, że ten ktoś ciągnął drzewo na sanie, a sanie ciągnął koń. Wrócili do szopy podekscytowani. Modlili się, żeby nie spadł śnieg i nie przysypał tych znaków od świata. W nocy najpierw usłyszeli wycie gdzieś daleko, potem bliżej, a potem hałas i szamotanie przy samej szopie. Wilki, najpierw warcząc, rozszarpały i zjadły ich zapasy, a potem rozjuszone walką o nędzne kęski napierały na drzwi, gryzły ściany. Rozpalili ogień tak duży, że osmolił sufit. Gdyby noc trwała godzinę dłużej, szopa nie wytrzymałaby i skończyliby w paszczach wilków.

Gdy tylko podniosło się słońce, ruszyli w stronę lasu brzozowego, do śladów człowieka, sań i konia. Szli we trójkę, bo okazało się rano, że biolog już nie żył. Ergo Sum pomyślał, że to dobrze się stało, że znowu coś nad nimi czuwa, bo i tak nie daliby rady nieść osłabionego biologa. A droga przed nimi była daleka, nawet nie wiadomo, jak daleka i czy w ogóle miała cel.

Szli cały dzień, przez las i potem skrajem lasu, aż wieczorem, gdy już było ciemno od kilku godzin, zobaczyli dalekie światła. Gdzieś za nimi wyły wilki.

Tak ocalał Ergo Sum i jego dwaj towarzysze, których imion nawet nie zapamiętał. Doszli do małej wioski, osady ledwie, gdzie stało pięć domów. Tam ich ogrzano i nakarmiono, tam wyleczono odmrożone stopy, dłonie i ręce. Stamtąd Ergo dostał się do polskiego wojska, przeszedł cały szlak od Lenino do Berlina i wylądował w Nowej Rudzie jako nauczyciel historii w starym gimnazjum, gdzie w hallu stało marmurowe popiersie Goethego.

Smutek i to coś gorszego od smutku

Pojawiały się zawsze zaraz po Świętach Bożego Narodzenia i nasilały się do rozpaczy w lutym. Co roku Ergo Sum wracał do szkoły po świątecznych feriach jako inny człowiek. Stawał się senny i zmęczony, bolały go oczy i głowa. Widok brudnego śniegu był tak przykry, że aż bolesny. Ergo mrużył oczy i czuł się, jakby go zamknięto w nieporadnym, sztywnym, nieudolnym ciele, a to ciało w nieporadnym, sztywnym, nieudolnym świecie. I samo istnienie dzieci w szkole wydawało mu się bezsensowne – uczyć je z takim wysiłkiem, zmagać się z ich spontaniczną pustotą, ślepnąć od poprawiania klasówek, głuchnąć od ich wrzasków, siwieć od wszechobecnego kredowego pyłu, żeby potem one dorosły i poszły znowu zabijać się na kolejnej wojnie. Albo pić wódę w czasach pokoju i płodzić sobie podobnych. A on je uczył Wergiliusza. Nic z tego nie rozumieli, wiedział o tym. Tłukł z nimi proste łacińskie frazy, które w ich ustach zamieniały się po prostu w obce słowa. Znaczenie wysypywało się z nich

jak mak z pękniętej torebki i wpadało w nurty cuchnącej, kolorowej rzeczki, która uparcie płynęła przez miasto. Nikt w promieniu stu kilometrów nie rozumiał Wergiliusza, nikt do niego nie tęsknił. Do niczego nie był potrzebny. Wokół żyli ludzie, których książki nie odkryły, którzy zawsze mając przed sobą ich stos, a w nim Platona, Ajschylosa, Kanta, znajdowali jakimś cudem „Poradnik grzybiarza" albo „Sto przepisów na potrawy z ziemniaków".

Jedyne, co pobrzmiewało rytmicznie na ulicach tego miasta wypranego z mądrości, to śpiewny wierszyk, który zgodnie mamrotały dzieci pod oknem jego mieszkania: „Ojciec Wergiliusz uczył dzieci swoje, a miał ich wszystkich sto czterdzieści troje".

I zaraz potem łacina wydała mu się zbyt ciężka, bez polotu, nabzdyczona kościelnymi skojarzeniami. I na dodatek przerosła to obce mu miasteczko na wskroś. Pasowała do ratusza na rynku, do wysokich kamienic, których strzeliste ozdoby udawały gotyk, do okien z powybijanymi witrażami, do przechodniów o twarzach barbarzyńców. To był świat z czwartej eklogi, świat czekający na narodziny chłopczyka, który przywróci Złoty Wiek.

Dlatego wolał grekę. Tęsknił do niej, bo w gimnazjum mógł uczyć tylko łaciny.

Gdy nie szło mu poprawianie klasówek, w akcie rozpaczy sięgał po Platona, którego wciąż miał nadzieję tłumaczyć lepiej, niż to zrobił Witwicki. Wydawało mu się nawet, że to był jego prawdziwy język – te piękne, dźwięczne słowa greki, które przypominały mu harmonijne geometryczne figury. Zamieniał je na polskie, już nie tak kształtne, bo wieloznaczne, pełne przedrostków, które nieoczekiwanie zmieniały cały sens. Bóg, jeżeli istniał, musiał mówić po grecku.

A więc Platon. Widział ich, jak rozmawiali, czterech albo pięciu mężczyzn półleżących na kamiennych łożach. Nagie ramię, skóra, choć może już niemłoda, ale gładka, zdrowa i złocista, refleksy słońca na spiętym spinką chitonie, dłoń z pucharem lekko uniesiona, szpakowate, krótko przycięte włosy na skroni. To ten starszy. I dwóch młodszych; ciemnowłosi, ciemnoocy o pełnych wargach. Jeden z nich to Fajdros, myśli Ergo Sum. Czwarty podnosi się i mówi na siedząco, i ręką w powietrzu wystukuje rytm wypowiedzi. A młody chłopiec dolewa wina, a talerze pełne są winogron i oliwek, choć Ergo Sum nie był pewien, jak wyglądają oliwki.

Sądząc z samego słowa, musiały być gładkie, sprężyste, a ich tłusty sok spływał na wargi, gdy zęby przegryzły skórkę. Słońce nagrzewa kamienne chodniki, unicestwia każdą zabłąkaną kroplę wody. Nie istnieje słowo na określenie mgły, śnieg jest mitem, który czai się w nocnych opowieściach, ale nikt w niego nie wierzy. Woda występuje tylko jako Okeanos albo jako wino. Niebo jest jedną wielką tęczówką bogów.

Ergo Sum za oknem miał ciemne podwórko z trzech stron obudowane domami, a z czwartej osłonięte zalesionym stokiem. Żeby zobaczyć niebo, trzeba było podejść tuż do szyby i spojrzeć prosto w górę. Najczęściej było perłowoszare.

Jego mieszkanie mieściło się w starej niskiej kamienicy przy rzece. Składało się z kuchni, łazienki wyłożonej lazurowymi kaflami, dwóch pokojów i oszklonej werandy, z którą nie wiadomo było, co zrobić. Zimą zamykał ją i jeszcze uszczelniał drzwi szmatami. Latem gimnastykował się tam przy porannej audycji radiowej przed wyjściem do szkoły. Stała tu deska do prasowania, której używała jego gosposia do nadania wymaganej gładkości jego białym, nieskazitelnym koszulom, i stara niemiecka maszyna do szycia. Myślał, żeby uprawiać tu kwiaty w doniczkach, takie jakie widział na innych werandach. Nie wiedział jednak, jak się do tego zabrać. Stary kawaler i kwiaty. Ergo Sum miał nadzieję, że się kiedyś ożeni i wtedy to mieszkanie będzie w sam raz. Teraz było za duże. Raz w tygodniu sprzątała je pani Eugenia. Pastowała brązowe podłogi tak, że błyszczały, a na zakończenie piekła panu profesorowi placek – zawsze taki sam, zmieniały się tylko owoce. Zimą i jesienią były jabłka, latem jagody albo maliny. Wiosną, w maju, musiał być rabarbar przynoszony z targu w wiązkach. Ergo Sum zawsze już kojarzył zapach pasty do podłóg z zapachem świeżo upieczonego ciasta. Robił sobie dzbanek herbaty i na chybił trafił sięgał na platońską półkę, najważniejszą rzecz w domu, wyciągał jeden z tomów i czytał.

Jaka to rozkosz, jaka słodycz życia – siedzieć w chłodnym domu, pić herbatę, pogryzać ciasto i czytać. Przeżuwać długie zdania, smakować ich sens, odkrywać nagle w mgnieniu sens głębszy, zdumiewać się nim i pozwalać sobie zastygać z oczami wklejonymi w prostokąt szyby. Herbata stygnie w delikatnej filiżance; nad jej powierzchnią unosi się koronkowy dymek, który znika w powietrzu, zostawiając ledwie uchwytny zapach.

Sznureczki liter na białej stronie książki dają schronienie oczom, rozumowi, całemu człowiekowi. Świat jest przez to odkryty i bezpieczny. Okruszki ciasta wysypują się na serwetę, zęby dzwonią leciutko o porcelanę. W ustach zbiera się ślina, bo mądrość jest apetyczna jak drożdżowe ciasto, ożywiająca jak herbata.

Przy łóżku miał Diogenesa Laertiosa, który służył mu jako czytadło przed snem, a czasem sięgał po niego tak sobie, znienacka, gdy zmęczyły go klasówki czy monotonne gadanie radia, otwierał na chybił trafił i czytał o herosach, ludziach wielkich, niezwykłych. Wielki Tales, który pierwszy odważył się mówić o nieśmiertelności duszy, Ferekydes, nauczyciel Pitagorasa, Sokrates i jego daimonion, który przepowiedział mu jego chwalebną śmierć, Epikur („Nie można żyć przyjemnie, jeżeli się nie żyje mądrze"), Empedokles („Tym, co łączy cztery elementy, jest miłość") i niezwykły Archemanes z Metapontu, autor „O dwoistości rzeczy" (każda rzecz ma swą podwójną naturę), ale ponad wszystko Platon.

A potem zdarzyła się ta dziwna rzecz. Znał Platona prawie na pamięć, ale jakoś nigdy nie zauważył jednego fragmentu. W ósmej księdze „Państwa" jest pewne zdanie, które nagle odkrył i które go poraziło. Zamarł, gdy je przeczytał i pojął jego sens: „Kto skosztował ludzkich wnętrzności, ten musi stać się wilkiem". Tak, właśnie tak było napisane. Ergo Sum wstał, przeszedł się do kuchni, spojrzał w kuchenne okno z widokiem na kamienicę obok i już myślał, że udało mu się zapomnieć. Włączył radio, leciała jakaś muzyka, zupełnie obojętna. Pogrzebał w szufladzie, zerwał kartkę z kalendarza, ułamaną zapałką wygrzebał z zębów resztki ciasta, lecz to wszystko na nic. W umyśle Ergo Suma pojawiły się pierwsze kryształy mrozu, które teraz rozprzestrzeniały się na różne strony, zamrażając wszystko, co napotkały po drodze. Kuchnia była ta sama i ten sam widok, i zapach herbaty jeszcze wisiał w powietrzu, i muchy czule obmacywały trąbkami okruszki ciasta, ale już zapanował ten straszny pusty krajobraz wiecznej zimy. Wszędzie białe, mroźne przestrzenie, ostre krawędzie, chłód i skrzypienie śniegu.

Sprawdzał to zdanie kilka razy dziennie, bo wydawało mu się, że mogło mu się wydawać. Podświadomość lubi robić psikusy. Potem sprawdził to w innych wydaniach, w innych egzemplarzach, w tłumaczeniach na polski,

rosyjski i niemiecki. To zdanie istniało i napisał je Platon. Było więc prawdziwe.

Jakie dziwne są niektóre myśli, jak się rozrastają, jakby miały naturę drożdżowego ciasta przed upieczeniem (Te kulinarne skojarzenia; jakże nisko upadłem, myślał Ergo Sum). Jedno zdanie i jeden obraz wypełniły życie Ergo Suma. Wziął zwolnienie, chociaż były już matury, i teraz siedział w fotelu. Wieczorem zaczynał się pocić, a jego skóra stawała się szorstka. Bał się spojrzeć na swoje ręce. Budziło go szczękanie własnych zębów. Aż którejś nocy nad domami na krótko pojawił się pełny księżyc i Ergo Sum zawył. Zatkał sobie dłońmi usta i paznokcie wpił w policzki, ale to nie pomogło. Wył do środka i, dziwne, przynosiło mu to ulgę zupełnie fizyczną, jakby długo wstrzymywał oddech, a teraz wreszcie odetchnął.

Cierpiał tylko wtedy, kiedy się miotał, kiedy nie pozwalał sobie na tego wilka, kiedy nie był już człowiekiem, historykiem o śmiesznym nazwisku, i nie był jeszcze zwierzęciem. To właśnie bolało jak diabli. Bolało go całe ciało, każda kosteczka i każdy mięsień, a do tego to straszne przerażenie, przy którym śmierć byłaby tylko łagodnym muśnięciem. Tego Ergo Sum nie potrafił wytrzymać i trudno mu się dziwić. Dlatego nagle puszczał to całe kurczowe trzymanie się życia, w jednej chwili rezygnował z walki, osuwał się w sobie na samo dno i leżał tam, dysząc ciężko. Nie wiedział, jak to się stało, że górę brał teraz wilk. Ergo Sum ruszał do parku, między trawy na zboczach, w nocne ogródki działkowe, w cmentarne grządki, byleby dalej od ludzi i smrodu ich domów. Pamięć mu się zacierała tak, że następnego ranka nie był w stanie powiedzieć, gdzie był zeszłej nocy.

Kwitły kasztany, kiedy Ergo Sum pojechał do Wrocławia, do bibliotek i dowiedział się z nich, że jest to klasyczny przypadek wilkołactwa. A chodząc po tym wciąż niewiarygodnie zniszczonym mieście, raz po raz patrzył na swoje dłonie, czy nie porasta ich czasem siwa szczecina. Weszło mu to nawet w nawyk, kiedy się zamyślał, tracił czujność, kiedy się zapędzał w tunele wyobrażeń przyszłości, w wyimaginowane dialogi z lekarzami, psychiatrami, znachorami, a nawet z tym nieżyjącym przecież człowiekiem, którego jadł, wyciągał automatycznie przed siebie dłonie i wracał do tej rzeczywistości, w której należały one do Ergo Suma, nauczyciela gimnazjum z Nowej Rudy.

Tak było przez całe wakacje. A musiał to być chyba pięćdziesiąty rok, bo lato było chmurne i wilgotne. Trawy rosły wysokie i tłuste, krzaki wypuszczały potężne pędy i widać było, że wilgoć służy roślinom. Ludzie byli za to niezadowoleni i przesiadywali na werandach, grając w remika i popijając wódkę.

Wtedy przyszła lipcowa pełnia księżyca i była to trzecia pełnia wilkołactwa Ergo Suma. Przygotował się do niej starannie. W sklepie ogrodniczym kupił sznur, pozmieniał zamki w drzwiach, a nawet załatwił sobie – mój Boże, gdyby się o tym ktoś dowiedział! – odrobinę morfiny. Wszystko było jak w teatrze – chmury się rozstąpiły i pokazała się wisząca bomba księżyca. Wschodził nad działkami, zaplątał się jeszcze w owocowe drzewa, a potem zaraz wystrzelił w niebo, tak że było widać, jak sunie do góry, biorąc w posiadanie cały świat. Ergo Sum spał przywiązany do krzesła.

Dwa małe sny z internetu

1. Oglądam siebie z tyłu. Widzę grubą, luźną skórę, która pokrywa mi plecy. Rosną na niej rzadkie, pojedyncze czarne włosy. Skóra w dotyku jest ciepła, miękka, nieco szorstka. Jestem zdziwiona, bo pierwszy raz widzę swój tył. Ta nieludzka skóra nie budzi we mnie jednak żadnego obrzydzenia, żadnej niechęci. Po prostu patrzę i dziwię się. Z jeszcze większym zaskoczeniem dostrzegam tam pępek. Nie wiedziałam, że mój tył także ma pępek. Nigdy nie myślałam, że z tyłu ludzie mają pępki. Ten pępek jest jakby odwrotnością przedniego pępka: przedni pępek zapada się do wewnątrz; ten zapada się na zewnątrz.

2. Stoję na moście, niskim moście, i zanurzam ręce w czystej wodzie. Widzę swoje odbicie. W wodzie jest mnóstwo złotych rybek i ja je łowię. A im więcej ich wyławiam, tym więcej ich przybywa.

Strzyżenie włosów

Siedziałyśmy z Martą na drewnianych schodach tarasu. R. zrobił z bimbru chrzanową nalewkę i tą nalewką smarowałam Marcie ręce.

Marta jest stara. Jej skóra na dłoniach jest cienka i gładka, cała w brązowe plamki. Jej paznokcie – białe, jakby nie było w nich życia, jakby nigdy nie pracowała. Wyczuwałam pod tą skórą delikatne kosteczki, które grubiały w okolicach stawów. To właśnie bolało Martę, reumatyzm, ten mróz ciała. Może dlatego Marcie było zawsze zimno, nawet teraz, gdy zaczynały się upały. Marta nosiła cały czas ten sam sweter z długimi rękawami, a pod spodem miała jeszcze szarą sukienkę. Kołnierzyk sukienki był całkiem wytarty i strzępił się przy szyi. Nalewka z chrzanu pachniała ostro i agresywnie. Zagłuszała zapach kwiatów z rabatki. Wcierałam ją w skórę Marty, aż w niej znikła, aż wchodziła w ręce Marty i swoim gorącem roztapiała lód, który zaatakował ciało.

Drogą jechał wóz z nawozem. Mężczyzna szedł obok i patrzył na nas. Na chwilę zapach chrzanu zmieszał się z zapachem gnoju.

Potem piłyśmy herbatę, która smakowała tym wszystkim, co było dookoła. Marta popatrzyła na moje włosy i zapytała:

– Jak to robisz, że one są tak równo obcięte? Zobacz moje.

Włożyła palce pomiędzy całkiem siwiutkie kosmyki. Były rzeczywiście nierówne, widać, że strzygła je sama. Pewnie kombinowała między dwoma lusterkami, kiedy to zawsze lewe myli się z prawym. Wstałam i przyniosłam maszynkę Philipsa, którą R. dostał pod choinkę. Pokazałam jej, jak działa, ustawiłam ostrza i długości, na jakie może strzyc. Jej siwe oczy wędrowały z maszynki na moją głowę i nagle Marta zażyczyła sobie, żeby ją ostrzyc.

Więc dobrze. Pociągnęłam kabel do sieni i podłączyłam do prądu. Ustawiłam ostrza. Marta pokazała pustą przestrzeń między dwoma palcami – takie długie mają pozostać jej włosy. Zaraz potem spadły pierwsze pukle, cienkie, białe, jak puchowe piórka ptaka. Marta zrzucała je ze swetra na deski. Kiedy skończyłam, jej głowę pokrywał srebrny, mięciutki jeżyk. Obie przesuwałyśmy po nim ręką w tę i z powrotem. Marta nagle wybuchła śmiechem, więc skora do zabawy włożyłam jej

w rękę tego Philipsa i nadstawiłam swoją głowę. Marta strzygła najpierw niewprawnie, potem coraz śmielej. Moje ciemne włosy spadły obok jej jasnych. Kiedy chciałam wyrzucić potem zmiecione z tarasu kosmyki, Marta ugniotła z nich jasno-ciemną kulę i poszła zakopać w rabatki. Wróciłyśmy na schody i jeszcze kilka razy dotknęłyśmy się wzajemnie po naszych ostrzyżonych głowach.

Słońce powoli znikało z tarasu. Każda chwila różniła się od innej zasięgiem cienia na deskach. Cień sunął, aż sięgnął naszych pleców i podzielił nasze ciała na połowy – ciemną i jasną. Potem niezauważalnie i bezboleśnie połknął nas.

Marta tworzy typologię

Chodziłyśmy z Martą zbierać dziki rumianek do suszenia. Upał, a Marta jak zwykle ubrana w ten swój ciepły sweter z szarej włóczki. Obrywałyśmy biało-żółte świetliste główki i wrzucałyśmy je do koszyka. Marta mówiła, że ludzie stają się podobni do ziemi, na której żyją. Czy tego chcą, czy nie. Czy o tym wiedzą, czy nie wiedzą.

Tam gdzie gleba jest lekka, piaszczysta, rodzą się ludzie niewysocy, drobni, o skórze jasnej i suchej. Na pierwszy rzut oka wydają się jacyś nijacy, bez energii, ale oni są jak piasek – uparci, i potrafią przytrzymywać się życia tak samo, jak sosny trzymają się piasku, w którym rosną. To są ludzie nieufni, nie wierzą w to, co innym wydaje się stałe i pewne. Są ruchliwi i wszędobylscy, nie boją się dalekich podróży, dlatego często emigrują do innych krajów, bo mogą czuć się dobrze w wielu miejscach. Tak samo szybko przyzwyczajają się do nowego, jak i szybko zapominają to, co im się przydarzyło. Nie cierpią długo po nieszczęściach, zawodach miłosnych i stratach. Potrafią zwęszyć przyszłość, wiedzą, co się przydarzy. Mają tę wadę, że nie dotrzymują obietnic – wszystko wydaje im się przecież takie nietrwałe, takie zmienne. Ten, który obiecuje, nie jest już przecież tym samym, który dotrzymuje obietnic. Rodzi im się wiele dzieci, drobnych i jasnych jak oni sami. Te dzieci szybko dorastają i bez żalu

opuszczają rodziców. Przysyłają potem kartki z pozdrowieniami na święta. Tacy ludzie nigdy nie tęsknią, zawsze ważniejsze jest dla nich to, co się dopiero wydarzy. To, co już było – ginie i znika.

Inni są ludzie, którzy rodzą się tam, gdzie jest wiele wody, na żyznych ziemiach pojezierzy, nad brzegami wielkich rzek. Ich ciała są delikatne, miękkie, wrażliwe, skóra ciemniejsza, z oliwkowym odcieniem, z niebieskimi żyłkami, wilgotna i chłodna. Ręce i stopy im marzną, w młodości ich czoła pokrywają krostki, a włosy bywają tłuste. Ci ludzie przywiązani są do przeszłości, a przez to ostrożni i niechętni zmianom. Jakże łatwo ich urazić, jakże łatwo powiedzieć coś niewinnego, co jednak zapadnie im głęboko w pamięć i na zawsze tam zalegnie, rodząc uczucie, które żyje tak długo, jak żyje człowiek. Ich oczy są z natury skłonne do płaczu i nawet nie z żalu czy jakiejkolwiek przykrości, ale także ze wzruszenia i radości. Są ufni jak zwierzęta, dlatego zakochują się wcześnie i potem uczucie szybko przechodzi w przywiązanie na śmierć i życie. Ciała przyzwyczajają się do siebie, a dusze ze sobą zlewają jak dwie kałuże i wtedy nie trzeba używać ludzkiej mowy, żeby się porozumieć. Najbardziej nie lubią wszelkich podróży. Mówią, że wszędzie jest tak samo, że niewiele się zmienia, że lepiej siedzieć na swoim miejscu i oddychać swoim powietrzem, niż tułać się po najbardziej nawet ciekawych krainach. Kiedy w czasie wojen czy niepokojów tracą to swoje miejsce, niedługo potem umierają. Rodzą im się dzieci kłopotliwe, płaczliwe, do których trzeba wstawać w nocy i nosić je na rękach. Te dzieci nie chcą chodzić do szkoły, nie dlatego że są głupie, ale dlatego że przeraża je zgiełk i zamieszanie. Takie same są ich zwierzęta – spokojne i czułe. Krowy dają im dużo mleka, owce mają gęste runo, kury znoszą duże, ciężkie jajka. Domy budują na całe życie albo dla wielu pokoleń. Ściany są grube, a kształty przysadziste.

Są też ludzie urodzeni na kamienistej ziemi, na piaskowcach albo granitach. Ich skóra jest szorstka i twarda, tak samo jak mięśnie, jak kości. Włosy mają mocne, i zęby, a skórę na dłoniach i stopach twardą. Z wierzchu są krzepcy, bo ich ciało staje się pancerzem. W środku mają wiele pustych przestrzeni, dlatego wszystko, co zobaczą i usłyszą, dźwięczy w nich jak w dzwonie. Niczego nie zapominają. Pamiętają prawie wszystkie dni, które przeżyli, smak każdej potrawy, każde słowo, które do

nich wypowiedziano. Mogą się obejść bez ludzi, nie potrzebują ludzi, chociaż to ludzie potrzebują ich, bo są jak drogowskazy albo jak kamienie na miedzy, które pokazują, gdzie coś się kończy, gdzie zaczyna, jaki jest kierunek drogi.

Zapytałam Martę, jakim człowiekiem jest ona sama. Powiedziała, mądrala, że nie wie.

– Takie porządki wymyśla się zawsze dla innych – dodała po chwili.

Pałac

Żyli sobie w pałacu, chociaż ani go nie budowali, ani nawet dokładnie nie znali, co wychodziło na jaw przy wszelkich koniecznych remontach. Żyli sobie w pałacu, od kiedy pamiętali, to znaczy od urodzenia, ale czasem mieli wrażenie, że żyli w nim także wcześniej, zanim się urodzili, w innych życiach, ponieważ śnił im się tylko pałac, jego pokoje i korytarze, dziedziniec i park, jakby ich dusze nie znały niczego innego. Do nich należało tylko robić wszystko, żeby pałac trwał, żeby pola i łąki przynosiły dochód potrzebny na rozbudowy i upiększania. Pieniądze były zawsze w jakimś banku, więc je brali, umiejętnie inwestowali i znowu wpłacali do banku. Wyjeżdżali tylko po to, żeby nauczyć się czegoś więcej o ogrodach, uprawie roli, hodowli owiec albo żeby zobaczyć freski w Wenecji i sposób zwieńczania dachów w Szwajcarii, albo wnętrza w Wersalu, arrasy na nagich ścianach jakichś francuskich zamków, tapiserie, rokokowe meble. I po to żeby to przenieść do siebie fizycznie za pomocą statków i pociągów czy nawet tylko w wyobraźni.

Niektórzy z nich studiowali filozofię albo literaturę, ale także tylko po to, żeby jeszcze mocniej, pełniej przeżywać własne życie w tej rajskiej przestrzeni. Wiedzieć, co i jak. Być świadomym celu albo jego braku. Być świadomym sensu lub jego braku. Zdawać sobie sprawę, jak może być. I to powinno wystarczyć.

Rodzili się od wieków w pałacu. Dzieci wychowywali nieuważnie pod okiem mamek, chłopek ze wsi, które zawsze chętne były obdarzać wszystko co małe niepohamowanym uczuciem. Nie pamiętali, żeby któreś z dzieci umarło przedwcześnie. Byli zdrowi, dobrze zbudowani, krzepcy. Paznokcie mieli różowe, oczy jasne. Jedyne, co im się nie udawało – to zęby, ale przecież nie były aż tak ważne w świecie, w którym jabłka zawsze obiera się ze skórek, jada tylko miąższ chleba, mięso wygotowane na miękko albo nawet zmielone w sznycle. Więc nawet gdy ich własne zęby przedwcześnie ciemniały, a potem wypadały, mieli zawsze w pałacu jakiegoś cyrulika czy dentystę, który dla nich doskonalił się w sztuce robienia zębów sztucznych, ba, nawet całych szczęk przytwierdzanych do ich niewinnych dziąseł na różne możliwe sposoby. Sztuczna szczęka powinna była znaleźć się w herbie von Goetzenów.

Dorastali w swoich ogrodach i parkach, na oszklonych werandach i w łazienkach pełnych luster. Był to proces bezbolesny, bez wzlotów i upadków. Nie buntowali się przeciwko zajętym przyjemnościami rodzicom ani nie mieli nic przeciwko życiu w pałacu. Czasem coś ich ciągnęło w jakiś bliżej nie określony świat i lądowali wtedy na wsi przy okazji dożynek czy jarmarku na Boże Ciało. Ale tam im się podobało tylko chwilę, więc rozczarowani wracali na podwieczorek. Dorastając, nie mieli nawet pryszczy.

Potem przychodził czas miłości. Mądre matki najczęściej dostarczały im obiektów na miejsce, lecz bywało, że jechało się w tym celu do rodziny na Pomorzu albo w Hesji. Wtedy miłość nabierała egzotycznych barw. Koniec końców sprowadzali swoje żony czy mężów do pałacu, a wtedy trzeba było dobudować nowe skrzydło albo piętro, albo przysposobić do mieszkania poddasze. W ten sposób wraz z nimi rósł pałac, zagłębiał się w park albo parł w niebo.

A wczesna miłość małżeńska kwitła zawsze we wnętrzach, przy okazji jakichś herbatek, gier w karty, małych rodzinnych wieczorków tanecznych. Wtedy gdy światło wpada łagodnie przez okno i matuje twarze lepiej niż najlepszy puder. Gdy jest cicho i wiatr nie przeszkodzi w zrozumieniu szeptem rzuconego słówka ani nie popsuje starannie układanego loka. Zakochiwali się od pierwszego wejrzenia, najczęściej.

W pałacu miłość miała szczególną siłę, większość par żyła długo i szczęśliwie, jeżeli nie w namiętnej miłości, to przynajmniej w szacunku i przyjaźni. Zdrady były mało dramatyczne – jakaś służąca czy ogrodnik; jakaś chwila zapomnienia w garderobie po balu, gdy gościli w innym pałacu. Raz jedna z pań von Goetzen odeszła od męża nagle i bez powodu. Znikła gdzieś w ciemnym świecie. On cierpiał, ale nie za długo – następnego roku ożenił się ze śliczną sąsiadką i nawet mieli bliźniaki.

Jednak niewielu z von Goetzenów miało dzieci. Może dlatego żeby nadmiernie nie zagęszczać pałacu. Innym rodziło się jedno. Dwoje dzieci to była rzadkość, jak te bliźniaki. Dzieci wprowadzały w życie pałacu pewien harmider, ale wystarczyło ładnie je ubrać, pozwolić im pomazać buzię świeżymi poziomkami i wtedy stawały się żywymi obrazkami kwitnącego rodu, wiosny, metaforami rozkwitu albo niewinności, jak kto chciał.

Kolacje na werandzie przeciągały się do późnej nocy. W ogrodzie zapalano lampy, tak żeby podkreślały bajecznie potężne lipy. Któreś pokolenie von Goetzenów dobudowało do werandy ogród zimowy, pełen bluszczów, filodendronów i fikusów. W najcieplejszej części ogrodu rosły kaktusy, a jeden z nich kwitł raz do roku, zawsze o tej samej porze, tej samej nocy. Wtedy urządzano bal, spraszano krewnych z najdalszych okolic albo sąsiadów z innych pałaców i bawiono się do rana. Kwiat był wprawdzie niepozorny, przypominał kwiat ostu, i do tego nieduży. Uwieczniano go jednak na portretach i potem na fotografiach.

Starzeli się pogodnie i zdrowo. Nigdy nie zdarzyło się, żeby ktoś długo chorował, stracił władzę umysłu, poddał się paraliżom, sklerozom, nadciśnieniu i tym wszystkim chorobom, które poza pałacem trapią życie starszych ludzi. Może tylko częściej siadały na nich muchy, które zawsze skądś wiedzą najlepiej, kto jest pierwszy w kolejce do śmierci. Najwyżej słabli, najpierw niezauważalnie, rok po roku, potem dzień po dniu, ale i tak znajdowali dość sił, żeby rysować plany rozbudowy któregoś ze skrzydeł lub porządkować fotografie czy spisywać swoje wspomnienia. Albo cudze, bo własnych nie mieli zbyt wiele. Kiedy byli starzy, przenosili się do tych pokoi wyłożonych tureckimi dywanami, których okna wychodziły wprost na rabaty kwiatowe. Stamtąd przez te okna naprzykrzali się ogrodnikom: że nie tak tną róże, że azalia za wysoka, że kępy georginii zarosły trawą, że

nie dość pachnie jaśmin. Pałacowy dentysta delikatnie zachęcał ich do częstego wyciągania z ust sztucznej szczęki. Ich dziąsła bowiem stawały się, zupełnie jak na początku, coraz bardziej miękkie i zarastała je czuła śluzówka właściwa niemowlętom. Niechybny znak zbliżającej się śmierci.

A von Goetzenowie zawsze umierali pięknie i łagodnie. Śmierć przychodziła na nich jak mgła, jak nagła przerwa w dostawie prądu – ich oczy gasły, ich oddech spowalniał się i wreszcie zamierał. Stojącym przy łożu śmierci wystarczało tylko zamknąć zmarłemu powieki i rozejść się do swoich zajęć. Pogrążyć się w nagrzanym powietrzu werand i zimowych ogrodów, wśród chłodu korytarzy na parterze, w szeleście kartek ilustrowanych książek o ogrodnictwie i sztuce, w słonecznym letargu na tarasie, gdzie powietrze przynosiło zagadkowe głosy ludzi i zwierząt ze wsi. Po tym, który odszedł, zostawały zdjęcia, kwiatowe rabaty, dzienniki podobne do innych, szafa pełna zetlałych ubrań, jakieś okruchy w pościeli, ale zaraz potem jego pokój zajmował ktoś inny. Było więc tak, jakby nigdy nie umierali. Poza tym, cóż, na skutek rodzinnych mariaży wszyscy byli do siebie podobni, dlatego nie odczuwało się braku konkretnej pojedynczej osoby. Ktoś inny wystawiał głowę z okna przy rabatach i tym samym głosem dawał wskazówki ogrodnikowi: że nie tak tnie róże, że azalia za wysoka, że nie dość pachnie jaśmin. Można więc powiedzieć, że w pałacu nie umierało się nigdy.

Życie jest piękne, mimo tych strasznych rzeczy, które mówią o nim inni. Jest piękne – i to zdanie mogłoby zostać dewizą i widnieć tuż przy herbie.

Życie jest piękne. Świeże poranki wpadają w otworzone okna i lęgną się dalej na miękkich dywanach. Wielkie lustra odbijają skrawki niebieściutkiego nieba, tak przejrzystego, że przebija przez nie czerń kosmosu. Woda jest po to, żeby ciepłym strumieniem obmywać ciało i napełniać porcelanowe wanny, stojące na mosiężnych nogach. Słońce jest po to, żeby ogrzewać tarasy i rzucać zabawne refleksy na posadzkę oranżerii. Deszcz przychodzi, żeby podlać kwiaty oraz po to, by dać wytchnienie ludziom przy kartach w salonie. Noc – to jasne, musi być chwila przerwy w przyjemnościach.

Róże von Goetzenów są najpiękniejsze na całym Śląsku. Z tyłu jest spory taras, a na nim ogród różany. Krzaki ciągną się szpalerami, formują

w klomby. Ścieżki wysypane drobnym żwirem szeleszczą tajemniczo pod stopami i ten dźwięk towarzyszy latem wszelkim obezwładniającym zapachom, które produkują róże w swoim wnętrzu. Rosną dobrze przemyślanymi grupami. Karminowe, krwiste wilhelminy otaczają ciemną obwódką cały ogród. Ich kwiaty są gęste, tłuste i lśniące; pachną niezbyt intensywnie – tego byłoby już za wiele. Wewnątrz krwistego okręgu są cztery klomby, na każdym z nich rośnie inna odmiana róż: ciepłoróżowe odetty, odmiana „pope johanna" w kolorze fuksji, jasnoczerwone i żółte melitty. Między nimi wije się falisty szlak obsadzony herbacianymi eulaliami i te pachną najmocniej. Ich zapach przypomina egzotyczne owoce i płynie ponad murem do wsi, gdzie w pogodne dni miesza się z zapachem krów i świeżo skoszonych łąk. Zapiera dech. Płatki kwiatów są ostro zakończone, delikatne. A w samym środku klombów tkwi koło białych kwiatów, róż najrzadszych, najdroższych. Nie mają nazwy, wyhodowała je któraś z pań von Goetzen, nikt nie pamięta która. Ich biel olśniewa, przypomina odcień śniegu, z tym ledwie zauważalnym niebieskim blaskiem w najgłębszych labiryntach płatków. Ich uroda jest porażająca dla każdego, tylko coś nie tak wyszło z ich zapachem. Gdy się rozwiną, gdy osiągną szczyt swojej piękności, zaczynają pachnieć jak skwaśniałe wino, jak gnijące jabłka. Może dlatego nie odważono się nadać im imienia.

Do pałacu wjeżdża się między dwoma lipami, które kwitną zawsze na początku lipca. Do szerokich schodów pałacu prowadzi wybrukowana piaskowcem droga i niewielki dziedziniec zamknięty od drogi budynkiem dla służby. Na wielkich wejściowych drzwiach znajduje się herb rodziny von Goetzen, na którym rzuca się w oczy koń na biegunach umieszczony w polu wypełnionym longobardzkimi liliami znak europejskich koneksji rodziny. Drzwi prowadzą do sporego hallu. Na dole jest jadalnia, z której można wejść na werandę, biblioteka i dwa gościnne pokoje z bezpośrednim wyjściem na tarasy. Jest też pokój muzyczny, w którym stoi fortepian i klawesyn, oraz palarnia dla panów (a z czasem także i dla pań). Schody ubrane w kremowe chodniki prowadzą na piętro do dwóch sal balowych, położonych jedna za drugą, i nieregularnego salonu (był kiedyś dobudowany). Po drugiej stronie są mieszkalne apartamenty dla starszej generacji rodziny. Drugie piętro to mieszkania dla młodszej.

Wszystko to wieńczy strych, ogromny, wysoki z powodu spadzistych dachów z małymi okienkami na wszystkie strony świata. Widać z nich góry, domy wciśnięte w doliny jak cenne sztućce w pluszowe łoża futerałów. Czubki świerkowych lasów polerują przepływające nieba. Wszystko to należy do rodziny von Goetzen.

Nic nie zapowiadało, że będą musieli opuścić swój pałac. Taka myśl nawet nie miała prawa zaistnieć. Była absurdalna jak wyobrażenie, że małż wyniesie się ze swojej skorupy, a ślimak wyprowadzi się z muszli. A jednak jeden z von Goetzenów to przeczuł. Sam nie wiedział, jak to się stało, ale jeszcze przed wojną kupił niewielki majątek w Bawarii. Krajobraz był uderzająco podobny – te same łagodne góry pociemniałe od świerkowych lasów, te same płytkie strumienie o kamiennym dnie i ludzie jakby tacy sami, i ich kościoły, kapliczki przydrożne, kręte drogi. Pałacyk był wprawdzie mniejszy, ale tym samym bardziej podatny na wszelkie rozbudowy. Zapłacił za niego niewiele, bo jego poprzedni właściciele, dziwnie milczący, wyjeżdżali gdzieś w świat. Właściwie ich nie widział; wszystko załatwił przez adwokata.

Nie powiedział nic nikomu, to miała być niespodzianka. A potem sam o tym zapomniał, wpadając jak śliwka w kompot w jesienne polowania, zimowe bale, wiosenne majówki. Kiedy zostali urzędowo zawiadomieni, że bolszewicy są tuż-tuż, zebrali się w salonie i postanowili naruszyć zapasy najstarszego wina. Jedna z kobiet grała na fortepianie, druga stawiała pasjansa. Wtedy ów von Goetzen przyniósł z góry zdjęcia i pokazał im nowy pałac. Zapadło długie milczenie, ale pokusa wszelkich możliwych renowacji i przebudów była większa niż cokolwiek. Spodobała się im klasyczna bryła nowego domu. Już zaczęli rozrysowywać plany, ale pod wieczór dziwnie umilkli i przygaśli. Snuli się po wielkim domu i dotykali opuszkami palców angielskich boazerii, wodzili wzrokiem po wzorach tapet.

– Nie dałoby się czegoś zrobić, żebyśmy mogli tu zostać? – zapytała najstarsza z kobiet. Rano kazała ogrodnikowi wykopywać róże.

Przez ich sen przeszło drżenie. Ten sam von Goetzen, który kupił pałacyk w Bawarii, powodowany dziwnym niepokojem pojechał do miasteczka i znalazł je w prawdziwym pomieszaniu. Ludzie pakowali dobytek na wozy, ciężarówki i uparcie parli jedyną drogą na zachód, między szczytami gór. Nie widać było jeszcze żadnego prześladowcy, ale czuło się go w powietrzu. Jego obecność już zaczynała wypełniać uliczki nad rzeką obcym, nieprzyjemnym dla ucha dźwiękiem – jakby buczeniem, rozmytym grzmotem. Pierwszy raz w życiu von Goetzena rozbolała głowa. Wstąpił do apteki i poprosił o proszki.

„To straszne", powiedział.

„My zostajemy", odezwał się na to aptekarz i zaproponował mu pożyczenie swojego samochodu, czarnej, zwinnej dekawki o opływowych lśniących błotnikach, o kierownicy tak rzadko używanej, że zachowała jeszcze ślady fabrycznego papieru. Jej skórzane fotele nie zdążyły się nawet przyzwyczaić do kształtów ciał właścicieli.

„Ach, nie, to nowy samochód. Nie mógłbym przyjąć od pana takiej pożyczki".

„Proszę się nie martwić. Odda mi pan po powrocie".

Von Goetzen zaczął szukać po kieszeniach jakiegoś zastawu, glejtu, potwierdzenia, że taka transakcja będzie uczciwa, ale nie miał ze sobą nic cennego. Z żalem spojrzał na rodzinny vongoetzenowski sygnet – białe złoto i uwięziony w nim ogromny rubin, a na nim wygrawerowany herb: w polu longobardzkich lilii rozkołysany koń na biegunach. Ściągnął go z palca i położył na aptecznej ladzie.

Wracając do pałacu, zobaczył z góry, że na dziedzińcu stoją wojskowe samochody. Zrozumiał, że żołnierze zabiorą mu samochód, jak tylko go zobaczą. Poproszą uprzejmie i grzecznie, a potem dodadzą, że to jest rozkaz. Więc skręcił z drogi w łąkę, a potem wjechał w bukowy las jakąś stromą ścieżką, na której ledwie mieściły się koła niedużej przecież dekawki. Zatrzymał się przed gęstym świerkowym zagajnikiem i zrozumiał, że oto już dalej nie pojedzie. Na jego gładkim, młodym czole pojawiły się krople potu. Jego język z trudem odtworzył jedyne brzydkie słowo, jakie znał: dupa. Potem von Goetzen zwolnił hamulec i wepchnął auto w zagajnik. Nie spodziewał się tak dobrego efektu. Dekawka znikła, rozproszyła się wśród niespokojnych gałązek świerków. Jej czerń połączyła

się alchemicznie z czernią kory i leśnej ściółki. Lśniący lakier i szyby odbijały las i w ten sposób pokrywały karoserię maskującą materią utkaną z obrazów ziemi i nieba. Dalece rozwinięty zmysł estetyczny von Goetzena poruszył mu w żyłach krew. Jakież to piękne, pomyślał von Goetzen. Jaki świat jest piękny, pomimo tego, co o nim mówią.

Pobiegł do domu w dół po chaszczach, przez co zniszczył sobie swoje angielskie spodnie.

Von Goetzenowie siedzieli w autach i ciężarówce. Trzymali przy piersiach swoje ulubione cenne zegary, pozytywki, szkatułki z biżuterią, porcelanowe sosjerki, których już się nie robi, albumy z fotografiami, cebulki dalii i anemonów, kopie obrazów Watteau, atłasowe podgłówki. Jeszcze jedna ciężarówka zawierała najcenniejsze z mebli, lustra i książki. Wojsko zaprzęgało rasowe konie ze stajen von Goetzenów do ewakuowanych dział. Z daleka wszyscy wyglądali, jakby wybrali się na niecodzienną szaloną wycieczkę. W kurzu i spalinach karawana ruszyła pod górę w stronę Waldenburga.

Mój pałac

Ja też urodziłam się w pałacu. Był to pałac myśliwski przerobiony na szkołę. W tamtych czasach nie mówiło się „pałac”, tylko „budynek”. To słowo kojarzyło mi się z budyniem, nie z budowaniem, dlatego wyobrażałam sobie mój dom jako coś do jedzenia.

Pewnie go kiedyś nieopatrznie zjadłam, bo teraz mam go w sobie – wielopiętrową budowlę wewnątrz mnie. Jej kształt nie jest jednak ani stały, ani przewidywalny. To znaczy, że pałac jest żywy, że zmienia się razem ze mną. Mieszkamy w sobie nawzajem. On we mnie, ja w nim, chociaż czasem czuję się w nim jak gość, a czasem wiem, że to ja go posiadam. W nocy pałac staje się wyraźniejszy, przebija się przez ciemność, świeci zielonkawym światłem. W świetle słonecznym jest zbyt jaskrawy, dlatego za dnia pałac staje się niewidoczny, ale wciąż czuję go w sobie.

Jego piwnice ciągną się labiryntami; ich maleńkie okienka wychodzą na zarośnięte trawą wewnętrzne podwórka. W wilgotnych podziemnych pomieszczeniach oddzielonych od siebie cienkimi ścianami leżą sterty kiełkujących ziemniaków, stoją beczki z kiszonymi ogórkami, o których wszyscy zapomnieli, więc pokryły się delikatnym puszkiem pleśni. Wiem, że piwnice ciągną się w głąb ziemi, wydaje mi się nawet, że znam przejścia prowadzące do podziemnych jaskiń. Ich znalezienie jest zarówno ekscytujące, jak i niebezpieczne – można zgubić powrotną drogę.

Pałac bywa i zamieszkany, i opustoszały. Czasem odbywają się tutaj jakieś naukowe kongresy, wtedy zjeżdża do niego mnóstwo gości, trwają obrady, wystawne kolacje. Wtedy pałac funkcjonuje jak hotel. Ale czasami pozostaje pusty, a nawet opuszczony. Znikają zeń meble, posadzki są zerwane, kominki zburzone, wszelkie schody stają się chwiejne, spróchniałe, urywają się nagle pod nogami idących i odkrywają nieoczekiwane przepaście. Wtedy w opuszczonym pałacu zamieszkują zwierzęta. Widziałam sarny śpiące na stosach tekturowych pudeł, widziałam psy zwinięte w kłębek na spłowiałych sofach, słyszałam w pustym korytarzu lekkie, puszyste uderzenia kocich łap. Słyszałam też potężny tupot po marmurowych schodach, ale nigdy nie zgadłam, co to mogło być za zwierzę.

Parter – to wielki hall przedzielony na pół ozdobną metalową kratą. Tutaj mój ojciec ma swoje akwaria. Zielonkawa woda zwalnia czas – ryby poruszają się wolno, z gracją. Mówią coś, ich usta się ruszają, ale ja ich nie słyszę. Welony, te rybie Marilyn Monroe, ciągną za sobą tiulowe suknie, wibrują światła ławic neonów. Akwaria toną w otoczeniu agaw. Ich mięsiste, ostre palce przebijają przestrzeń. Ktoś nie mógł się powstrzymać, żeby na ich zielonych liściach nie wydrapać swojego inicjału. Albo „Kocham Ewę". Agawa goi te rany i w ten sposób uwiecznia na swoim ciele cudze wyznania. Z hallu wchodzi się do biblioteki. Wśród setek, a może tysięcy książek obłożonych w szary papier z wypisanym na grzbiecie numerem, jest gdzieś pierwsza książka, jaką przeczytałam – zwarty, gruby tom wypełniony ciasno literami, równoległe ścieżki podróżne, obietnice wielu istnień, wielu światów. Jej kartki kusiły moje oczy, ściągały mój wzrok z nieba, czubków drzew, powierzchni stawu, pokrętnych przestrzeni

między drzewami do małego prostokąta tuż przed oczami, gdzie w każdej chwili może rozegrać się przedstawienie.

Na piętro prowadzą szerokie schody wyłożone chodnikiem. Na piętrze są sypialnie i dwie duże sale wykładowe. A może balowe? Ich parkiet pamięta wszystkie możliwe taneczne kroki. W tej drugiej sali, tej z wyjściem na taras i park, stoi ogromny kominek z lustrem. Rozpala się w nim raz w roku, w Zaduszki. Potrafię wspiąć się po marmurowych kolumnach i stanąć przed lustrem, które jest tak wielkie, że odbija mnie całą i jeszcze taras, i park, i salę. Zanim się dowiedziałam wszystkiego o lustrach, wiedziałam, że dzięki nim można się dostać do innej części pałacu, tej, o której wszyscy zapomnieli. Są tam wąskie przejścia kute w skale, krużganki i wysokie dziedzińce. Znalazłam tam ustawione niedbale kamienne rzeźby. Rozumiem, że musiały się tutaj znaleźć. Na wygnaniu. Ich estetyka wydaje się nie do przyjęcia nawet najbardziej dziwacznym miłośnikom sztuki – to grubo ciosane wizerunki pół ludzi, pół zwierząt. Pada na nie deszcz i wymywa szczegóły.

Ponad ostatnimi piętrami, małymi i dusznymi, jest strych. Pamiętam schody, jakie tam prowadzą: najpierw szerokie, z ozdobnymi tralkami i wyślizganymi poręczami, potem nagle skręcają w powietrzu i zmieniają się w wąskie spróchniałe stopnie. Trzeba iść blisko ściany, przylgnąć do jej gładkiej powierzchni, żeby noga nagle nie ugrzęzła w dziurze.

Strych jest ogromny. Drewnianą podłogę przykrywa kurz. Jego gruba warstwa pokrywa też wszystkie obecne tu przedmioty, tak że te najmniejsze stają się nierozpoznawalnymi kupkami pyłu – mały wyschnięty ogryzek jabłka zamienia się w puszyste symetryczne wybrzuszenie; leżący kij od szczotki tworzy zaskakującą falę na powierzchni desek.

Na strychu można zabłądzić – jest zbyt wielki, żeby nauczyć się go na pamięć. Wiem, że w którymś kącie leży stary materac, miejsce dawno zapomnianych niedozwolonych zabaw. Ale czyich, tego nie potrafię sobie przypomnieć. Najbardziej jednak zdumiewającą tutaj rzeczą są okna w spadzistym stropie – nieduże, umieszczone odrobinę za wysoko, tak że trzeba wspiąć się na palce, żeby przez nie wyjrzeć na zewnątrz. Ale widok z nich jest niezwykły. Nie da się zapomnieć tego, co się zobaczyło. Okazuje się wtedy, jak wielki, jak potężny jest pałac. Z okien strychu wszystko

wydaje się maleńkie i nierzeczywiste – jak sztuczny świat zbudowany specjalnie dla elektrycznej kolejki, jak budowle z lego, jak pejzażyki z disnejowskich kreskówek. I widać tak wiele z tego świata – lasy, pola, rzeki i trakcje kolejowe, wielkie miasta i porty, pustynie i autostrady. Właściwie – choć nie wiem, jak to możliwe – widać stąd krzywiznę kuli ziemskiej. Ten widok zapiera dech; potem tęskni się za nim i myśli, żeby móc znowu wyrwać się z dołu i po niepewnych schodach wejść na strych, stanąć wśród pasiastych smug słońca i znów podnieść się na palce i zobaczyć to, co jest na zewnątrz.

Powiedziałam Marcie, że każdy z nas ma dwa domy – jeden konkretny, umiejscowiony w czasie i w przestrzeni; drugi – nieskończony, bez adresu, bez szans na uwiecznienie w architektonicznych planach. I że w obu żyjemy równocześnie.

Dachy

W rodzinie Goetzenów był jeden profesor, prawdziwy profesor, który całe życie czytał książki, studiował, podróżował i którego nie zajmowały ogrody. Nazywał się Jonas Gustaw Wolfgang Tschischwitz von Goetzen. W ciągu swojego długiego życia (1862–1945) napisał wiele książek o historii religii, z których najważniejszymi były „Das Heilige. Über Schlesiens Mystik" (1914) oraz „Der Ursprung der Religion" (1918). W życiu miał dwie pasje: religię i dachy. Musiało być coś wspólnego w tych dwóch tematach, tak myślał, musiały się jakoś dopełniać. Religią zainteresował się jako młody chłopiec, w czasie jednej bożonarodzeniowej mszy w wiejskim kościele, gdzie na owalnym obrazie wokół Matki Boskiej unosili się święci z atrybutami swoich męczeńskich śmierci. Dachy – były pasją powstałą później, podczas kolejnej przebudowy pałacu, gdy trzeba było zmienić całe stare pokrycie i położyć nowoczesną dachówkę. Cokolwiek miał robić Jonas Gustaw Wolfgang, zawsze musiało to być dokładne, pieczołowite i staranne. Przeczytał więc wszystko o dachach, pokryciach, dachówkach i gontach. W przypływie rewolucyjnej odwagi, jaką pachniał na początku wieku cały zeitgeist, zdecydował się na zmianę tradycyjnej karpiówki, zwanej berlinką, na bardziej uniwersalną, w estetyce gotycką, nawiązującą do architektury Zachodu – jasnoceglastą „mniszkę". Odtąd Szlos był z powodu pokrycia dachu ewenementem na Śląsku. Przyjeżdżali go oglądać bliżsi i dalsi sąsiedzi, księża i architekci. Szlos wyglądał jak burgundzki zamek, jak klasztory w Bawarii.

Gdziekolwiek Jonas Gustaw Wolfgang wyjeżdżał, jego oczy szukały dachów. Niby nieuważnie, powoli przesuwały się z pociągów po górnych strefach mijanych miast, ale w gruncie rzeczy widziały każdy komin, każdy spad. Dzięki rodzajom dachów Jonas orientował się, w jakiej części Europy się znalazł.

Studiował w Lozannie i Genewie. Poznał tam Freuda, Frazera i Durkheima. Ogromne wrażenie zrobił na nim Rudolf Otto. Szwajcarskie

dachy są jednymi z najpiękniejszych na świecie. Dachówki robią tam z niezwykłej, wielokolorowej gliny i nie ma dachu, który byłby jednolity w kolorze. Płaszczyzny mienią się odcieniami, zadziwiają tysiącem kolorów, jakie może przyjąć zwykła glina. Wyglądają jak patchworki. W Szwajcarii trzeba zawsze brać pokoje na najwyższych piętrach hoteli i patrzeć z okien na te fascynujące dachy. Dachówek nie układa się tak jak na Śląsku, w koronkę, ale w rybią łuskę, więc domy wyglądają jak wielkie ryby odwrócone brzuchami do góry, wyrzucone na ląd z jakichś niewyobrażalnych mórz.

Potem, w Heidelbergu, zrobił doktorat z życia i pism legendarnej śląskiej świętej o imieniu Kummernis. Wykładał także na uniwersytecie, a specjalizował się w sektach działających na Śląsku w okresie reformacji. Zwłaszcza w szwenkfeldystach i nożownikach. Pisał o tym artykuły.

Dachy w Heidelbergu są typowo niemieckie – czerwone i stalowe. Strzeliste zwieńczenia kościołów mają antracytowy kolor, który uspokaja oczy. Po wykładach szedł spacerem na zamek i patrzył z góry na miasto szemrzące wieczorami od taniego studenckiego wina z jabłek i naukowych teorii.

Istnieje jakiś ulotny związek między religią ludzi a dachem domu. Pierwsze skojarzenie jest banalne – że to najwyższa sfera. Nic z tego skojarzenia nie wynika. Ale chodzi o co innego. Jonas Gustaw Wolfgang wpadł na to kiedyś, patrząc właśnie z tarasów heidelberskiego zamku na miasto – zarówno dach, jak i religia jest ostatecznym zamknięciem, jest zwieńczeniem, które jednocześnie zamyka przestrzeń, oddziela ją od reszty przestrzeni, od nieba, od wysokości i strzelistej nieskończoności świata. Dzięki religii można normalnie żyć i nie przejmować się wszelką nieskończonością, która inaczej byłaby nie do zniesienia, a dzięki dachom schować się bezpiecznie przed wiatrem, deszczem i radiacjami kosmosu. Chodzi tu o coś w rodzaju klapy, rozłożenia parasola, ukrycia się, zasunięcia włazu, a więc oddzielenia się, umknięcia w bezpieczne, dobrze znajome, umeblowane obszary.

Nożownicy

Zajmowali się śpiewaniem swoich psalmów i robieniem noży. Robili ostrza lepiej niż ktokolwiek na całym Śląsku; oprawiali je w drewno jesionowe, w starannie wypolerowane trzonki, w których każda ludzka dłoń natychmiast się zakochiwała. Sprzedawali je raz w roku, wczesną jesienią, gdy na drzewach dojrzewały jabłka. Robili wtedy coś w rodzaju jarmarku i ludzie ciągnęli do nich z całej okolicy, kupowali po kilka, nawet kilkanaście noży, żeby je potem odsprzedać z zyskiem. W czasie takich jarmarków ludzie zapominali, że oni są innej wiary, wierzą w innego Boga i gdyby się uprzeć, można by było łatwo im to udowodnić i przegnać, gdzie pieprz rośnie. Ale wtedy kto robiłby takie noże?

Kiedy rodziło się im dziecko, lamentowali, zamiast się cieszyć. Gdy ktoś umierał, rozbierali go do naga, wkładali do dziury w ziemi i pląsali nad otwartym grobem.

Ich osada leżała na końcu pasma wzgórz, które rozdzielały dwa górskie łańcuchy. To był kamienny budynek i wokół niego kilka małych lepianek, bez okien, bez kominów, wyglądały jak budy dla psów. Te izby pełne były noży. Trzymali je jak sery do wędzenia – przywiązane ostrzami na dół u drewnianych pował. Przeciąg kołysał nimi, a one dzwoniły o siebie jak dzwonki. Ludzie bez strachu chodzili pod tym niebem pełnym ostrzy. Koniuszki stali dotykały ich głów, namaszczały ich do śmierci.

Uznawali bardzo osobliwy początek świata – że materia jest afektem ducha. Że duch zapomniał, zdekoncentrował się w swoim bezkresnym spokoju i doświadczył czegoś, czego doświadczać duch nie powinien – afektu, przemożnej emocji. (Teologowie głowili się potem, jakież to mogło być uczucie. Przerażenie? Rozpacz, że się istnieje i nie ma z tego istnienia ucieczki? Ale o tym nigdzie nie jest jasno powiedziane.)

Nożownicy wierzyli, że dusza to nóż wbity w ciało. Zmusza je do przeżywania nieustannego bólu zwanego życiem. Ożywia ciało i zarazem je zabija. Ponieważ każdy dzień życia jest oddalaniem się od Boga. Gdyby człowiek nie miał duszy, nie cierpiałby. Żyłby jak roślina w słońcu, jak zwierzę, które pasie się na słonecznych pastwiskach, a tak z duszą w ciele, z duszą, która oglądała kiedyś w swoim początku niewypowiedziany boski

blask, wszystko wydaje się ciemne. Być odłupanym kawałkiem całości, ale pamiętać tę całość. Być stworzonym do śmierci, ale musieć żyć. Być zabitym, ale pozostawać żywym. To właśnie znaczy mieć duszę.

Rano i wieczorem powtarzali monotonnie swoje ponure psalmy – gdy cięli jesionowe drewno na trzonki, gdy topili stal i kuli ostrza, gdy jesienią strząsali z drzew dzikie jabłka, gdy zajmowali się nielicznymi dziećmi – tymi nieszczęśnikami, które niechcący przyszły na świat.

Mieli dziwaczne obyczaje, całe ich życie było dziwaczne. Gdy łączyli się z sobą, to pilnowali, żeby nasienie nie osiągnęło łona kobiety. Wylewali je na zewnątrz i ofiarowywali swojemu Bogu, mniemając, że w nasieniu ludzkim ukryta jest boża jasność i w ten sposób, poprzez ofiarowanie, uwalniają ją z materii, by wróciła do Boga. Dlatego rzadko rodziły im się dzieci.

Ich jedynym rodzajem modlitwy były zawodzenia, które nazywali psalmami, rytuałem zaś – właśnie to składanie nasienia w ofierze. Inaczej się nie modlili; uważali, że Bóg jest istotą nieludzką, nie ma nic wspólnego z człowiekiem i nawet nie rozumie ludzkich modlitw.

Las, który rozpada się z trzaskiem

Marta nie była skora do zwierzeń. Kiedyś jednak powiedziała mi, że pamięta różne czasy, wiele czasów, nawet takie, jakie pokazują obrazy wotywne wWambierzycach. Rozpoznawała czas nie po ludziach, jacy wtedy żyli, ludzie bowiem są do siebie żałośnie podobni, wciąż tacy sami, ale przez kolor powietrza, odcienie zieleni, sposób padania światła na przedmioty. Marta była tego całkiem pewna: czas dawał się rozpoznać przez barwy, i to była jedyna rozróżnialna cecha czasu – kolor. Być może miało to coś wspólnego ze słońcem. Może słońce pulsuje, zmienia długość fal, albo powietrze w inny sposób filtruje światło i nadaje wszelkim rzeczom na ziemi każdego roku niepowtarzalne odcienie.

Marta nauczyła się więc kojarzyć zapamiętany szczegół, który naprowadzał ją na właściwy czas, z odcieniem świata. To mogło być,

przypuszczam, połączenie w jej myślach kształtu drewnianego koła u wozu i dziwnego, rudawego koloru nieba, które widziała wtedy, gdy podobne koła toczyły się po kamienistych drogach, wiozące siano, jutowe worki z mąką, glinę do budowy domów czy rzucane naprędce domowe sprzęty. Albo: fason sukienki wysoko ściąganej pod piersiami i prześwietlone, jasne, nawet lekko seledynowe powietrze oraz niebieskość mroźnych zim.

Tak działała pamięć Marty. Tak Marta rozpoznawała przeszłość. Bywało jednak, że i ten sposób szukania porządku w czasie zawodził i Marta widziała obrazy, których nie rozumiała i które, jako jedyne – bo czego można się jeszcze bać, gdy widziało się już tyle – budziły w niej strach.

Widziała więc dolinę, nad którą wisiało niskie, pomarańczowe niebo. Wszystkie linie tego świata były niewyraźne, cienie nieostre i prześwietlone jakimś obcym światłem. Nie było w dolinie żadnych domów, żadnych ludzkich śladów, nie rosła żadna kępa pokrzyw, żaden krzak zdziczałej porzeczki. Nie było też strumienia, a miejsce po nim znikło pod gęstą i twardą rudą trawą. Miejsce po strumieniu wyglądało jak blizna. Nie było tu dnia ani nie przychodziła żadna noc. Pomarańczowe niebo świeciło cały czas tak samo – ani ciepłe, ani zimne, zupełnie nieruchome, obojętne. Wzgórze wciąż porastał las, lecz gdy mu się przyglądała, widziała, że był martwy, skamieniał w jednej chwili i zastygł. Na świerkach wisiały szyszki, a gałązki porastały posiwiałe igły, bo nie było wiatru, który mógłby je obsypać. Miała straszne przeczucie, że gdyby w tym pejzażu pojawił się jakikolwiek ruch, las rozpadłby się z trzaskiem i rozsypał w pył.

Człowiek z piłą

Jego nadejście obwieszczał zawsze hałas. Zgrzytliwe mechaniczne wycie, które jak niematerialna piłka odbijało się od stoków doliny i zatrzymywało zawsze w okolicach tarasu. Podnosiliśmy zaniepokojeni głowy, sukom jeżyła się sierść, kozy zaczynały przestraszony galop wokół drzewa, do którego je wiązaliśmy. Potem dopiero pojawiał się on sam – wysoki, chudy

mężczyzna, który wychodził z lasu i potrząsał nad głową spalinową piłą, jakby to był potężny karabin, a ten mężczyzna nie wyszedł wcale z brzozowego zagajnika, ale z pola bitewnego, spośród spalonych czołgów, spod gruzów wysadzonych mostów. W jego geście dostrzegaliśmy tryumf – to potrząsanie kawałem żelastwa, czasem nawet naciśnięcie na chwilę cyngla piły i wydobycie z niej hałasu, który rozsadzał dolinę na drobne części. „Hej, hej", krzyczał radośnie. „Idę!" I szedł zboczem w dół, wprost na nas, wywijając tą piłą, ścinając jej ostrzem siewki brzóz, młode kloniki i buczki, czubki traw. W jego ruchach była jakaś nadmierna zamaszystość, przesadzona żywotność, bo nawet trawy nie potrafiły za nim nadążyć i plątały się mu pod nogami, a wtedy on upadał, my zamykaliśmy oczy, żeby nie widzieć, jak kaleczy się sam tym obnażonym, podłużnym ostrzem. Ale jemu nic się nigdy nie stało. Wstawał zaskoczony upadkiem i zaraz o nim zapominał, bo przed oczami miał nas na tarasie, tyle ciekawych oczu, tyle pustych dłoni gotowych do klaskania. Gdy przechodził drogę i wkraczał na ścieżkę, wiedzieliśmy już, że jest podpity. Piła zataczała wokół niego nieregularne, złowrogie kręgi, jakby chciała uciec od swego opętanego właściciela, jakby czuła się przez niego kuszona. „Przerżnąć wam coś?", pytał radośnie, spocony, zaczerwieniony, chwiejny.

I raz R. zrobił błąd. Kazał mu pociąć przewróconą czereśnię. Rozdygotane jazgotem ostrze wgryzło się w martwe drzewo i cięło je w nierówne kawały, a kiedy skończyło, wciąż nienasycone, cięło dalej powietrze w plastry. Oczy mężczyzny błądziły po pniach naszych lip i jabłoni, aż R. musiał stanąć przed nim i zasłonić swoim ciałem widok bezbronnych drzew. „A ten jesion", pytał mężczyzna, „czy nie zabiera wam słońca?" I potrząsał swoim orężem. R. odprowadził go za drogę, z powrotem na górę i szedł z nim tak długo, aż tamten wywęszył inne możliwości.

Mężczyzna z piłą wracał co jakiś czas, a my w panice zbieraliśmy filiżanki z tarasu i zamykaliśmy drzwi. Śledziliśmy jego rozczarowanie, gdy mijał nasz dom, pokrzykując w niebo: „Hej, przerżnąć wam coś? Przerżnąć?".

Ergo Sum

Obudził się w słońcu. Leżał w rowie melioracyjnym wśród wysokich roślin. Dwa metry od niego biegła droga; słyszał rytmiczne kroki konia i skrzypienie wozu. Był w samych spodniach i na dodatek podartych w strzępy. Skórę na piersiach miał pomazaną błotem i chyba krwią. Oglądał się, obmacywał, sprawdzał, czy jest cały. Był cały, ale wolałby, żeby źródło krwi było na jego ciele, chociaż jakieś zadrapanie, przecięcie skóry. Wtedy byłoby przynajmniej wiadomo, że ma na sobie swoją krew.

Lecz nie był ranny. Wstał i zakręciło mu się w głowie. Bolała go dziwnie, jakby była nie swoja, jakby krew w niej dobrze nie płynęła. Przed oczami miał mroczki. Najbardziej przejmował się tym, jak się teraz dostać do domu. Jakim sposobem znajdzie się na swojej ulicy w centrum miasta, gdzie o tej porze wszyscy wyszli po chleb i mleko albo stoją w oknach i sprawdzają pogodę, a mężczyźni golą się na balkonach, żeby nie umknęła im ani chwila tego pięknego lipcowego dnia. Nie pozwolą mu nawet przejść w takim stanie, będą się dopytywali, co też się stało panu profesorowi, będą wzywać lekarza, z przestrachem patrząc na jego rany. A może już wiedzą? Może już po okolicy kręci się milicja, bo znaleziono ciało... Ergo Sum usiadł na ziemi i spojrzał na swoje dłonie. Były całkiem zwyczajne. Otrzeźwiał. Postanowił, tak jak stoi, iść na komisariat i przyznać się do wszystkiego. Ruszył więc nagle pełen otuchy, że wreszcie zwierzy się komuś, że odda sam siebie w bezpieczne, opiekuńcze ręce. I niech go szybko skażą, a za morderstwa jest czapa, więc niech go skażą i powieszą od razu na amen. Tylko po co było to wszystko przechodzić, żeby teraz umrzeć jak zbrodniarz. Ale to już nie jego sprawa, on nie wie, nawet się nie domyśla. Jakiś Bóg bierze za to odpowiedzialność, jacyś bogowie, bywalcy uczt z oliwkami i winogronami, niech im będzie.

Zorientował się, gdzie jest, po Górze Świętej Anny. Był daleko od miasteczka, jakieś sześć kilometrów. Nieopodal biegł stary szlak turystyczny i jeszcze w zeszłym roku chodził tu z młodzieżą. W dole płynął strumień, a nad nim stał niezwykły, kamienny, łukowaty mostek. Na mapie był oznaczony jako most Księgowego. Tak, wiedział, gdzie jest. Ten złożony z kilku domów przysiółek to Pietno. Stąd prowadzi droga prosto do szosy i do miasta. Przyspieszył kroku i potem zaczął biec.

W Pietnie tuż za mostem, na małym podmokłym błoniu stała grupa milczących ludzi. Gdy zobaczyli Ergo Suma, poruszyli się i między ich nogami Ergo Sum zobaczył wielkie ciało martwej krowy. Leżała na boku z rozprutym brzuchem, po mokrej od krwi trawie ciągnęły się wnętrzności. Ergo Sum odruchowo złapał się za usta, ale nie potrafił się już zatrzymać, musiał tam podejść. Ludzie odstąpili mu kawałek miejsca. Wszyscy mieli szare, brzydkie twarze, siwoszare włosy i spierzchnięte wargi.

„Pies zagryzł krowę", powiedział stary z niesymetryczną twarzą.

„Pies Bobola", dodała kobieta z maleńkim dzieckiem.

„To nie mój pies. Był przywiązany".

To był chyba Bobol, ale zaraz rzucił się do niego wiórowaty facet z papierosem:

„Gówno, dopiero teraz go przywiązałeś".

„Bobol nie pilnuje swoich psów. Nawet nie wie, ile ich ma", stwierdził stary i spojrzał na Ergo Suma.

Ergo Sumowi zrobiło się słabo, bo już wiedział, co się stało. Chyba nawet znajdował w myślach jakieś ślady nocnych wspomnień albo może mu się zdawało. Byłby krzyknął, wrzasnął, zawył, ale chwycił się za gardło. Był to niezwykły gest, bo ludzie popatrzyli na niego z ciekawością. Wtedy z grupki oderwał się Bobol, który wyglądał jak krasnal – był mały, krępy i zarośnięty. Zdecydowanie podszedł do dużego czarnego psa na krótkim łańcuchu. Pies zaskomlił i przypadł do ziemi, pewnie węchem poczuł swoją śmierć. Bobol podniósł grube polano, zamachnął się i rąbnął go w łeb. Pies krzyknął tak przenikliwie, że niektóre kobiety drgnęły, a potem miękko przewrócił się na bok i znieruchomiał. Spod głowy zaczęła płynąć krew.

Wtedy Ergo Sum uklęknął na mokrej trawie, przy ciele krowy i między nogami szarych ludzi – i zaczął łkać. Ludzie patrzyli na niego zdziwieni i wymieniali między sobą ironiczne spojrzenia. Ich stalowe oczy błyszczały.

„Człowieku, weźże się w garść. Nad czym pan płaczesz, nad krową czy psem? Ludzi pan nie żałujesz?"

Ergo Sum podniósł oczy do twarzy starego i szukał w nich współczucia. Może nawet myślał, że go ten mężczyzna przytuli do piersi, a jego brudna kapota zbierze z twarzy Ergo Suma łzy. Ale oczy chłopa były jak noże.

Szedł już główną ulicą, ale był jeszcze na przedmieściu. Mijał zamkniętą o tej porze knajpę „Lido" i strzępki jego myśli fruwały wokół Platona. Że był mądry i spokojny jak grecki bóg, nie, to złe porównanie, greccy bogowie nie byli bowiem mądrzy i spokojni. Ale świat był wtedy inny, nie wiadomo, za czyją sprawą, słońce świeciło na złoto i brzoskwiniowo, oliwkowe drzewa zieleniły zbocza, ludzie mieli jasne skóry i białe szaty. Ta wizja nasuwała się na martwą krowę, zabitego psa i twarze tych ludzi w Pietnie. Jedno mieściło się w drugim, nie wiadomo jak, ale tak właśnie było. Jedno było częścią drugiego. Platon i jego ręka podnosząca do złotych ust oliwkę oraz Pietno stanowiły prolegomenę do przyszłości Ergo Suma.

Ludzie oglądali się za nim, ale ich nie doceniał – robili to dyskretnie, spod oka, pewnie tak, żeby go nie krępować. Kilka razy usłyszał: „Upił się! Pan profesor się upił". Zaciskał zęby i już był na skrzyżowaniu przy świętym Nepomucenie, kiedy przyszło mu do głowy, żeby się umyć przed pójściem na milicję, więc automatycznie skręcił w stronę domu. Drzwi klatki schodowej zamknęły się za nim miłosiernie. Ergo Sum przycisnął brudne pięści do oczu, bo czuł, że nie będzie umiał zatrzymać łez. Co zrobiłby Platon w takiej sytuacji? Czy to w ogóle możliwe? „Zabiłby się", odpowiedział sobie Ergo Sum. Podciąłby sobie żyły jak Petroniusz, zrobiłby to na uczcie, wśród przyjaciół, w jasnych przestrzeniach, gdzie złote powietrze, wino, oliwki i tak dalej. Umierając, żartowałby, jak Sokrates.

Ach, jak bardzo Ergo Sum potrzebował śmierci. Pojawiła mu się jako obraz jego samego dyndającego na sznurku na werandzie.

Ale Ergo Sum ani się nie zabił, ani nie poszedł na milicję. Krzesło w kuchni, to samo, do którego tak starannie się przywiązywał, miłosiernie przyjęło jego zmęczone tą straszną nocą ciało. Siedział na nim bez ruchu do rana.

Rano umył się tylko, spakował do tekturowej walizki parę spodni, trochę bielizny i sweter, zamknął swoje mieszkanie na klucz, a potem z powrotem ruszył za miasto, do Pietna. Tam udało mu się przekonać karłowatego Bobola, że każdy chłop potrzebuje silnego parobka, choćby po to, żeby zakopywać padlinę. Bobol patrzył na niego podejrzliwie, ale gdy wyszło na jaw, że parobek nie chce pieniędzy, tylko kąta do spania i coś do jedzenia, zgodził się i jego szare oczy zabłysły przebiegle jak u wilka.

Życie w połowie odbywa się w ciemności

Tak jest, czy się o tym wie czy nie. Czy się to akceptuje czy nie. Czy się z tym zgadza czy nie. Ale większość ludzi pamięta noc tylko z powodu bezsenności. Gdy ma się mocny sen, w ogóle nie wie się, co to jest noc.

Ergo Sum stał się Bronisławem Sumem, panem Bronkiem. Z ulgą powitał to nowe normalne imię. Ludzie w Pietnie poprzedzali to imię słowem „pan", bo wciąż miał jeszcze delikatne ręce i siwe skronie. Tylko Bobol wołał na niego Bronek, gdy trzeba było wyrzucać gnój z obory, nosić wodę dla krów, przewracać siano, które w Pietnie nigdy nie mogło wyschnąć do końca z powodu niewiarygodnej wilgotności terenu.

Pan Bronek musiał teraz wstawać o świcie i doić krowy. Nauczył się od razu – trzeba było tylko zobaczyć wymiona krowy jako mięsiste zbiorniki z płynem i palcami delikatnie wypychać je w dół, aż biały strumyczek zadzwonił o ścianki wiadra. Potem pił to mleko, było ciepłe i pachniało gnojem. To było jego śniadanie. Wtedy wyganiał krowy na łąki, i konia, który machał głową w górę i w dół, jakby mu mówił dzień dobry albo jakby mu dziękował. Potem wracał oporządzić stajnię i obory. Było w nich tyle nie sprzątanego od lat gnoju, że ubił się i powoli zamieniał w kamień. Bronek kroił go rydlem jak torf, wkładał na taczki i wywoził przed dom, gdzie układał w pryzmę. Koło południa szedł do domu, obierał ziemniaki, gotował je, polewał słoniną i podawał na stół ze zsiadłym mlekiem. Obaj z Bobolem jedli w milczeniu. Z sieni patrzyły na nich psy Bobola, małe, duże, młode i stare, wiecznie głodne. Nigdy nie wiadomo było, ile ich jest. Po obiedzie Bobol kładł się na krótką drzemkę, a pan Bronek siadał na schodkach i patrzył na falistą linię horyzontu, pomięte płaszczyzny pastwisk i połonin. Potem znowu było dojenie, cedzenie, warzenie sera, napełnianie baniek na mleko, przewracanie siana, wywożenie taczkami gnoju. Kolacja – to chleb z salcesonem albo metką; potem Bobol szedł do sąsiadów pić i tak zaczynała się noc.

Noc zawsze lęgła się gdzieś w okolicach strumienia i dopiero od tego wilgotnego, chłodnego miejsca zaczynało ciemnieć niebo. Co wieczór pan Bronek był świadkiem tego przeobrażenia. Siedział na schodkach przed domem i patrzył. Najpierw słyszał regularny krzyk nocnego ptaka, który

brzmiał jak skrzekliwe tykanie zegara. Potem, gdy zapadała ciemność kompletna, odzywali się ludzie. Ich pijackie głosy grzęzły w ciemnościach, tępe, bezradne, bełkotliwe, cuchnące szybko pędzonym bimbrem. Jak zawsze, pan Bronek starał się nie myśleć albo przynajmniej myśleć jak najmniej – co trzeba jutro zrobić, czy trzeba iść już spać, co jest z tą czarną krową, gdzie też Bobol mógł położyć widły. A w końcu szedł na górę spać i tam nasiąkał do rana zapachem mroku, wilgoci i gnoju.

Ale były też inne noce, krystaliczne i straszne, i wtedy pan Bronek nie mógł spać. W jakimś śnie zachciewało mu się herbaty, zbierała się ślina w ustach, tężało gardło. Przewracał się z boku na bok z rosnącą złością, swędziały go nogi, jakby chciały popędzić po schodach, przez podwórko, przed siebie. Nie utrzymam tego, myślał, bo to było jak bolesna potrzeba oddania moczu, jak wypełnienie, które domaga się ujścia i za nic ma wolę. Kilka razy płakał, ale w dziwny sposób, bo tylko leciały mu łzy, a wewnątrz był spokojny – porośnięta trawą łąka.

Wtedy szedł do lasu i kręcił się między drzewami, kopał pnie, zaciskał dłonie tak mocno, że przecinał sobie skórę paznokciami. Pamiętał jeszcze krawędź lasu i kapliczkę, która strzegła do niego wejścia jak kasa biletowa przy stadionie. Sypał się z niej tynk i kamień kruszył, a we wnętrzu majaczyła postać rozpięta na krzyżu, z obtłuczonymi nogami. Mijał ją z niechęcią i szedł pod górę, w stronę granicy, i jedyna myśl, jaka mu się wtedy pojawiała w ogłupiałej głowie, to żeby usłyszeć teraz strzał, i żeby ten strzał właśnie jego dotyczył, żeby był wymierzony w jego ciało, żeby przeszył jego głowę z potwornym hukiem, zanim stanie się to.

A stawało się zawsze tak samo – najpierw czuł ból w całym ciele i obrzydzenie do tego bólu, aż zbierało mu się na wymioty, a gdy skręcał się z tego wszystkiego, żeby zwymiotować, jego umysł gasł i ostatnie, co widział z potwornym przerażeniem, były łapy zakończone pazurami i szare kłaczki zmierzwionej sierści. Potem już cały się stawał pragnieniem, które w jakiś sposób nie niewoliło go, ale czyniło wolnym.

Czasami jego panu, Jaśkowi Bobolowi, zbierało się na rozmowy. Wyciągał wymiętą paczkę sportów i wypalał dwa, zanim powiedział pierwsze zdanie. Siedzieli na kamiennym schodku w drzwiach, po plecach ciągnął im przeciąg, tylko ziębił nieśmiertelny chłód kamienia. Jasiek Bobol znał tylko złe wieści. Opowiadał, że w radiu mówili o jednej kobiecie, co

mieszka w lasach bieszczadzkich. Przepowiada przyszłość. Kiedyś wybrało się tam trzech turystów i nocą, chcąc nie chcąc, znaleźli się przy jej chałupince. Dała im mleka, a potem powiedziała: „Przepowiem wam przyszłość, ale kupcie mi buty". Wysłali więc najmłodszego na dół do wsi i tam ten najmłodszy kupił jej tenisówki. Stara włożyła je na nogi i pokazała im trzy trumny. W jednej leżało zboże, w drugiej plewy, a w trzeciej była krew. Tak będą wyglądać trzy lata. Jakie lata?, chcieli wiedzieć turyści. Nie chciała im zdradzić. Jednego roku będzie wielki urodzaj. Następnego z pól zbierze się tylko plewy, a trzeciego roku poleje się krew. Czyja krew? Nie powiedziała, więc teraz Bobol kombinował, jaki też jest ten rok – zbożowy, plewny czy krwawy. Lecz w Pietnie każda przyszłość wydawała się ciemna. Trawy były zawsze pełne pomrowików, wody w strumieniu zmącone, ludzie opuchnięci, skacowani lub chorzy. W tajemniczych okolicznościach padała owca, kuna wyjadała kurczaki, piorun zabijał krowę, topiły się w czasie burzy mioty psów. Deszcz padał tutaj zawsze najdłużej, z chrzęstem rdzewiał metal, krowie placki zarastały białą pleśnią, bo ziemia ich nie chciała.

Bronek był tym, który zakopuje ścierwo nad strumieniem. Gdy wiecznie zgłodniałe psy Bobola przynosiły z lasu rozszarpaną sarnę, Bobol nie pozwalał im jej zjeść. Jego załzawione alkoholem oczy zasnuwała nieoczekiwana czułość i wtedy kazał Bronkowi zakopywać sarnę. Bronek mógłby zostać grabarzem martwych zwierząt. Ale trudno jest pochować ciało sarny; trzeba kopać głęboki dół, bo sarna ma nogi długie i sztywne, które nie mieszczą się w żadnym grobie. I żeby psy nie wyszarpały jej z ziemi na powrót, trzeba szpadlem połamać smukłe sarnie pęciny. Tak też Bronek robił i mimo że sarna była niewątpliwie martwa, to łamanie nóg było okropne.

Myślał o tym, kiedy po raz pierwszy jechał do Kłodzka autobusem oddać krew. Przyszło mu to do głowy samo, nagle, jakiejś nocy, gdy bolał sam siebie tak dotkliwie, że chciało mu się wyć. Może lokalne radio podsunęło mu ten pomysł. Mówiło się przecież o honorowym krwiodawstwie, może strzęp gazety wpadł mu w ręce. Był już tak bardzo Bronkiem, że nie zastanawiał się głębiej nad tym pomysłem. Zrobiło mu się jakoś słodko i sprawiedliwie tak oddać komuś krew, to, co się ma w środku, co nie widzi świata, nie zna promieni słońca, a co sprawia, że się żyje. Upuścić z siebie

te wewnętrzne czerwone rzeki, obrzydliwie ciepłe i gęste, i wierzyć, że ktoś je zechce przyjąć z całą ich pamięcią nieostrych, białych północnych pejzaży, kwaśne od przerażenia, nadpsute z bezsilności.

Kobieta o białych rękach najpierw masowała mu żyłę na ręku, a potem nakłuła ją igłą i plastikowa pijawka rurki spijała krew Bronka, żeby ją rozdać innym. Wszystko, co odczuł potem Bronek, to była ulga. Dostał kawę i czekoladę Goplana. Zjadł ją od razu, nie czując nawet słodkości. Potem zrobiło mu się trochę słabo, gdy wsiadał do wysokiego autobusu, który zawiózł go z powrotem do podnóża gór.

Odtąd oddawał krew częściej, niż powinien: dwa, trzy razy w miesiącu. Oszukiwał; punkt honorowego krwiodawstwa miał bałagan w papierach, zmieniały się białopalce pielęgniarki, a głowy miały zajęte czym innym. Nie mógł się nawet doczekać, kiedy wybierze się znowu – odda rękę pod igłę i wypuści z siebie strumyczek krwi. I cieszył się tymi zawrotami głowy; były jedyną dostępną mu rozkoszą. Musiał się położyć i odpoczywać chwilę. Tak wyobrażał sobie miłość z kobietą. Nauczył się zliczać pielęgniarskie miarki, sto gramów, dwieście gramów krwi, czerwonego soku, który uparcie produkowało jego ciało. Jednej nocy, słuchając wrzasków pijanych sąsiadów, policzył, że oddał dwa wiadra krwi. I wciąż nie umierał.

Grzyby

Sierpień zaczął się grzybami, czyli było tak, jak powinno. Świeciło słońce i suszyło ziemię, ale nasza łąka wciąż była pełna wody; rosła na niej trawa bujna, oślepiająco zielona.

Pierwszy grzyb znalazłam przez przypadek, rósł tuż przy ścieżce do domu Marty. Mały czerwony kozak, wyglądał jak zapałka, a nad nim niebo jak draska. Mógł być zapowiedzią pożarów, które spalą trawy, rozgrzeją niebo, aż stanie się pomarańczowe.

Rano nie myślałam o niczym innym, tylko o grzybach. Nocą wydawało mi się, że słyszę, jak rosną. Las trzeszczał i był to dźwięk ledwie słyszalny, może nawet bardziej wyczuwalny niż słyszalny. Dlatego nie mogłam spać.

Pierwszego roku ilość grzybów w Czarnym Lesie onieśmieliła mnie. Przynosiłam całe kosze, rozkładałam je na gazetach i patrzyłam na ten zbiór najdłużej jak mogłam, aż wreszcie przychodziła ta chwila, gdy trzeba wziąć do ręki nóż i ciąć ich miękkie, dziecinne ciała, odcinać im kapelusze i nabijać je na ostrza tarniny, żeby schły. Kolczaste gałązki z ukrzyżowanymi na nich kapeluszami całą jesień podpierały nasz dom. Jego mury nasiąkały zapachem suszonych podgrzybków i kozaków. Tak było w pierwszym roku; wtedy wszystkiego było dużo, i jabłek, i śliwek, i nawet stara czereśnia oszalała i skarmiała sobą wszystkie szpaki w okolicy. Potem wszystkiego było coraz mniej. Tego roku znalazłam tylko kilka jabłek. Policzyłam je, pilnowałam ich, byłabym gotowa poszczuć suki na złodzieja.

Pomimo wilgoci nie było na łąkach kani, a przecież nadszedł już ich czas. Każdy sierpień, gdy przychodzi, zaczyna się od białych kapeluszy na skraju lasów.

Kania jest grzybem, który nie zna młodości. Jest stara już wtedy, gdy wychodzi z ziemi w postaci białego kołpaczka. Ma leciwe ciało, ciało staruszki; przypomina mi Martę. Chuda żylasta noga trzyma nad ziemią delikatny kapelusz, który przy dotknięciu wydaje się zawsze trochę ciepły. Trzeba uklęknąć i powąchać ją, zanim z trzaskiem złamie się tę kruchą nogę i zabierze do domu. Wszyscy wiedzą, jak przyrządza się kanię – trzeba namoczyć ją w mleku, a potem obtaczać w jajku i tartej bułce i smażyć, aż stanie się podobna do kotleta. I wtedy trzeba ją zjeść. Tak samo można przyrządzić muchomor szyszkowaty, który pachnie orzechami. Ale ludzie nie zbierają muchomorów. Dzielą grzyby na trujące i jadalne, przewodniki roztrząsają cechy, które pozwalają odróżnić jedne od drugich. Grzyby dobre i grzyby złe. Żadna książka o grzybach nie dzieli ich na piękne i brzydkie, na pachnące i cuchnące, na miłe w dotyku i niemiłe, na skłaniające do grzechu i na te, które rozgrzeszają. Ludzie widzą to, co chcą widzieć, iw końcu mają to, czego chcieli. Jasne, lecz fałszywe podziały. Tymczasem w świecie grzybów nic nie jest na pewno.

Od sierpnia prawie codziennie skacowani mężczyźni błądzili o świcie po brzozowych zagajnikach, a potem przynosili mi na schody torby grzybów.

Chcieli je zamienić na butelkę swojskiego wina. „Proszę bardzo”, mówiłam najczęściej, lecz byłam rozczarowana – oni zbierali tylko kozaki

i prawdziwki.

A ja jadłam wszystkie grzyby. Gdy znalazłam coś, czego nie znałam, ułamywałam kawałek i kładłam na język. Nawilżałam śliną, rozcierałam językiem o podniebienie, smakowałam i połykałam. I nigdy nie umarłam, nigdy nie zdarzyło mi się umierać od grzyba. Może z powodu innych rzeczy tak, ale nie od grzyba. Tak nauczyłam się jeść gołąbki grynszpanowe, których nikt nie zbiera i od których w lesie robi się w sierpniu żółto. Tak nauczyłam się jeść piestrzycę, o kształtach wystarczająco egzotycznych, że mogłaby służyć architektom jako przykład konstrukcji doskonałej. I muchomory, cudne amanity – smażyłam ich kapelusze i posypywałam pietruszką. Były zbyt smaczne, żeby mogły być trujące. Czekałam całą noc, nawet dwie, trzy noce, bo objawy zatrucia mogły nastąpić bardzo późno. Nad ranem patrzyłam w jaśniejszą plamę okna z krzyżem pośrodku. Na stole leżał kluczyk od samochodu. Grzyb nie chciał mnie zabić. R. mówił spokojnie, że gdyby pojawiły się objawy zatrucia, byłoby już z pewnością za późno. Na darmo płukaliby mi żołądek, dawali kroplówki – jad byłby i tak już we krwi.

– Dlaczego coś miałoby chcieć mojej śmierci? – pytałam go. – Czy jestem aż tak ważna, żeby cokolwiek chciało mnie zabić?

Gdy byłam mała, najadłam się młodych purchawek. Wydały mi się tak piękne, tak doskonałe w chaosie traw. Łykałam je wzruszona, wciąż pamiętam ich pudrowy smak. Przyniosłam ich trochę do domu i mama kazała mi je wyrzucić. Nie powiedziałam, że noszę je w brzuchu. Odtąd jadam je podsmażone na maśle i posypane cukrem.

Pierwsze znalezione purchawki zaniosłam Marcie. Zrobiłyśmy z nich od razu słodki deser i zjadłyśmy je wszystkie.

Słodki deser z purchawek

młode białe purchawki
masło do smażenia

cukier puder

Pokroić purchawki w plasterki grubości monety. Nie trzeba grzybów obierać ze skórki, wystarczyć zetrzeć z nich ostre brodawki. Na patelni rozgrzać masło i smażyć purchawki na złoty kolor. Podawać do herbaty, posypane cukrem pudrem.

Kto napisał historię świętej i skąd to wszystko wiedział

Noszenie sukienki przypominało noszenie habitu. Sukienka różniła się od habitu dopasowaniem w talii, na początku nawet trochę nieprzyjemnym, bo ciasnym, i dekoltem, który trzeba było czymś zakrywać. Katka znalazła wełnianą, spraną chustkę i zawiązała ją na szczupłych ramionach Paschalisa.

Nie wychodził z tej izby kilka dni. Katka przynosiła mu jedzenie, głównie chleb i mleko. Mówiła: „Pij mleko, to ci urosną piersi". I on pił. Rano, a właściwie gdzieś koło południa, gdy wstali, robiła mu misterne fryzury, uplatała warkocze na czubku głowy, kręciła na palcu loki. Za zarobione pieniądze kupiła mu karminową wstążkę. Mówiła do niego mową pełną czeskich słów, nie zawsze wszystko rozumiał. Znikała na całe popołudnie i wieczór, a on wyciągał z torby pisma świętej i czytał uważnie, słowo po słowie, szukając tego, co przeoczył.

Kummernis pisała rzeczy sprzeczne ze sobą i to najbardziej zniechęcało Paschalisa. „Bóg to ogromne zwierzę, które jest czystym oddychaniem, czystym trawieniem, czystym starzeniem się i czystym umieraniem. Wszystko znajduje się w Bogu, ale zwielokrotnione, natężone, dlatego doskonałe i ułomne zarazem". Albo: „Bóg jest doskonałą ciemnością". Albo: „Bóg jest kobietą, która nieustannie rodzi. Istnienia wysypują się z niej bez przerwy. Nie ma odpoczynku w tym nieskończonym rodzeniu. To jest istota Boga".

„No to kim w końcu jest Bóg?”, pytała Katka sennie, gdy jej to czytał.

Właściwie nie umiał jej odpowiedzieć.

„Czy zastanawiałaś się kiedyś, że w środku twojego ciała jest całkiem ciemno”, zapytał ją kiedyś, gdy leżeli przytuleni na materacu. „Przez skórę nie prześwieca żadne światło. Tam, gdzie wchodzą w ciebie mężczyźni, też musi być ciemno. Twoje serce pracuje w ciemnościach, tak samo jak wszystkie twoje narządy”.

To miało być zwykłe pytanie, ale przerazili się oboje.

„Ciemność przerasta nasze ciała. Jesteśmy zbudowani z ciemności, przychodzimy z nią na świat, a przez całe życie ona rośnie z nami i z nami umiera. Kiedy rozpadają się nasze ciała, ona wsiąka w ciemność podziemną”, pisała Kummernis.

Katka przytuliła się do niego jeszcze mocniej.

„Chciałbym być mądry i uczony. Chciałbym wiedzieć wszystko, wtedy nie musielibyśmy tu leżeć i bać się. Szkoda, że nie wiemy nic o ludziach, którzy żyli przed nami i będą żyli potem. Może wszystko się jakoś powtarza”.

Kończyło się lato i nastały ciepłorude przedsionki jesieni. Paschalis zaczął się niepokoić, tęsknić za przestrzenią nie ograniczoną ścianami ulic. Zrozumiał, że jest w Glatzu na darmo, że nic już nie wskóra ani dla świętej, ani dla siebie, ani dla Katki, ani dla Boga. Że niczego go ta podróż nie nauczyła, niczego nie widzi jaśniej. Tęsknił do swojego klasztoru, ale chciał, żeby to był klasztor jakiś większy, tak wielki jak góry, z połoninami zamiast dziedzińca, żeby mieściło się w nim wszystko. Matka Aniela byłaby jego matką, on byłby kimś innym, kimś podobnym może do Kummernis albo do Katki. Albo kimś takim, kogo nie mógł sobie nawet wyobrazić. Zrozumiał, że musi jeszcze raz stworzyć siebie, tym razem z niczego, to bowiem, czym był do tej pory, opierało się na jednym wielkim przeczuciu, że nie został stworzony we właściwy sposób. Albo nawet że został stworzony tak prowizorycznie, żeby musiał się sam zniszczyć i powstać na nowo.

Nie wiedział, co miałby teraz robić, od czego zacząć niszczenie i stwarzanie. Któregoś popołudnia, gdy Katka już wyszła, spakował swoje rzeczy i opuścił miasto.

Brat-Siostra Ogień – tak nazwali Paschalisa nożownicy, gdy do nich trafił. Zacinał deszcz, wydeptane ścieżki spływały czerwoną wodą, a on chciał schronić się przed wilgocią.

Nie dziwili się wcale jego ubraniu ani utrefionym włosom. Dali mu spanie w jednym z maleńkich domków i w nim Paschalis poczuł się jak w swojej dawnej celi. Dalej tęsknił. Leżał prawie nagi na posłaniu, jego rzeczy schły w kamiennym domu przy ogniu, nic nie widział – tak było ciemno, i wydawało mu się, że wszystkie tamte dni były jaśniejsze i dłuższe, noce cieplejsze, deszcz padał inaczej, dużymi kroplami, dostojnie, chłodził rozgrzaną skórę; mleko miało delikatniejszy smak, miasta z daleka wydawały się fascynujące, drogi do Rzymu proste i wygodne.

Pozwalali mu tak leżeć całymi dniami. Sami pracowali; mężczyźni szli do kuźni, skąd słychać było cały dzień, do wieczoru, rytmiczny dźwięk młota i syk wody, która hartowała rozpalone żelazo. Kobiety znikały we wspólnej izbie; może to tam oprawiały noże w trzonki albo piekły placki. Ich dzieci bawiły się milcząco. Smutne, umorusane. Pod wieczór były zaganiane do domu jak drób. Nad ranem słyszał, że nożownicy zawodzili płaczliwie. Te ich śpiewy zniekształcały słowa. Cokolwiek śpiewali – było to pełne żalu i smutku. Cóż to za ponure miejsce, myślał i czekał, aż przestanie padać, żeby ruszyć przez góry dokądkolwiek.

Potem, kiedyś, nastały dwa dni jasnej pogody z powietrzem ostrym jak noże i ze wzgórza widać było pół świata. Daleko na południu zobaczył swój klasztor.

„Bóg nie ma żadnych cech, żadnej postaci", mówił mu któryś z ponurych mężczyzn, gdy Paschalis pomagał mu ciąć na małe kawałki pień wiśni. „Przejawia się jak chce i kiedy chce. Nawet to, że czasem nie przejawia się wcale, kiedy wydaje się nam, że powinien – to też jest jego przejawem". Umilkł na dobrą chwilę i obaj przyglądali się leżącej kłodzie. Potem dodał:

„Jest wewnątrz nas, ale my jesteśmy na zewnątrz jego. Działa na oślep, ale wie, co robi. Jest jak chleb – każdy dostaje swoją kromkę i poznaje go na swój sposób, lecz żadna kromka nie zawiera całego chleba".

Dali mu chleb na drogę. Właśnie spadł pierwszy śnieg, lecz szybko topniał, bo ziemia wciąż była jeszcze ciepła. Gdy zszedł w dolinę

i przekroczył strumień, który znał od dziecka, myślał o tym, co mu mówił ten stary, skórzasty nożownik. Jeżeli Bóg chce od nas naszego spokoju, chce od nas wycofania ze świata, wzniesienia duszy do spraw duchowych, nie materialnych, jeżeli chce od nas powrotu do siebie i zaopatrzył nas w appetitus naturalis, wrodzoną tęsknotę do Niego, jeżeli nas przywołuje, jeżeli otwiera przed nami bramy wiecznego życia, a w tym doczesnym pozwala na zło, jeżeli pozwolił umrzeć swojemu Synowi i znalazł w tym sens, i jeżeli śmierć jest najdoskonalszym spokojem, to właśnie ona jest najbardziej boska ze wszystkich rzeczy stworzonych przez Boga. I jeżeli tak jest, to człowiek nic milszego Bogu ofiarować nie może nad swą śmierć.

Każda rzecz jest znakiem, a niektórych z nich nie można zignorować. Dlatego istnieją rzeczy ostre, myślał Paschalis, dlatego lasy są pełne trujących grzybów, dlatego pożary traw zamieniają w grudki sadzy miliony ciał owadów, dlatego powodzie wypłukują z dolin życie, dlatego są wojny, pioruny, katastrofy i choroby, dlatego istnieje starość, dlatego u nożowników wiszą u pował tysiące ostrzy, a oni sami sprzyjają śmierci.

Bóg tak stworzył świat, żeby ten nam podpowiadał, co mamy robić.

Koniec

Istnieją dwie wersje zakończenia historii Paschalisa. Jedna znajduje się, zapewne przypadkowo, z powodu samobójczej śmierci, w Über den selbstmorderischen Tod des Bruders im Kloster der regulierten Chorherren Augustiner in Rosenthal i brzmi następująco:

„W porze porannego oficjum prepozyt zauważył nieobecność brata Paschalisa, który nie zwykł nigdy spóźniać się na modlitwę. Po pierwszych dwóch psalmach wiedziony przeczuciem udał się do celi, żeby go zbudzić, gdyż jak przypuszczał, brat zaspał. Otworzywszy drzwi, ujrzał ciało brata Paschalisa powieszone na lasce służącej do zawieszania ubrań. Pomimo szybkiego odcięcia i prób ratowania, brat Paschalis nie wrócił do siebie i jakiś czas potem odszedł na zawsze”.

Druga jest dość niejasna, rozmyta i nie ma w niej żadnej puenty. Podobno wędrował po Europie, może i po świecie, głosząc słowa swojej świętej zmieszane ze smutkiem nożowników. Pewnie poruszał się w przestrzeni tak samo, jakby poruszał się w czasie – to znaczy, że każde nowe miejsce otwierało w nim inne możliwości. Tę wersję znają ci, których dzieło i samo istnienie brata Paschalisa poruszyło, którzy słyszeli o nim z ust obcych, przypadkowych, nieuważnych, wśród plotek, cytatów, pomówień, cudzych przypomnień, właściwie to nie wiadomo skąd. Albo przeciwnie, jak profesor von Goetzen, którzy odkryli go, idąc tropem Kummernis, znajdując Żywot w bibliotece uniwersyteckiej i czytali go z przerwami na papierosa, zapijając kawą z termosu, obgryzając skórki przy paznokciach. W tej wersji nic nie ma o śmierci narratora Żywotu, jakże zresztą mogłoby być? Ten, kto opowiada, zawsze jest żywy, poniekąd nieśmiertelny.

Aloes

Podejrzewałam, że jest jakoś nieśmiertelny. Zawsze stał na parapetach i dawał się rozmnażać przez delikatne uszczypywanie jednej z dziesiątek swoich odnóg. W końcu zapomniałam, która roślina była matką, a która dzieckiem. Rozdawałam go znajomym z miasta i Marcie, Agnieszce, pani Krysi, wręczałam im go w glinianych doniczkach, pudełkach po jogurcie i śmietanie, więc dzięki mnie poruszał się, wędrował. Nie wiedziałam, jak określić jego wiek; czy liczyć lata tym rozsadzonym odnogom, czy czas trwania zielonej, mięsistej substancji. Odnogi miały swój czas i przestrzeń, którą zarastały, drapieżnie przekłuwając ją swoimi ostrymi krawędziami; miały doniczki, gdzie od biedy dałoby się przykleić etykietkę z napisem „Osobnik Y" albo „Osobnik 2439" i w ten sposób śledzić jego wcielenia. Ale sama zielona substancja wypełniająca po brzegi liście, substancja soczysta i pachnąca, którą przykładało się na oparzony palec, a ona wciągała w siebie wszelkie gorąco, wszelki ból, ta substancja była nieśmiertelna. Była ta sama w innych roślinach, na różnych parapetach i w wielokształtnych doniczkach. Była tą samą mięsistością, która lata temu tkwiła w oknie domu moich rodziców, a przedtem podobno w witrynie sklepu z meblami, całkiem pustej w owych czasach, a jeszcze przedtem, kto to wie… Musiała podróżować, to jasne, aloesy nie rosną dziko w naszym klimacie. Zapewne istniał statek płynący przy wschodnim wybrzeżu Afryki, pchający się przez Kanał Sueski, pełen nasion kakao, egzotycznych owoców, klatek z małpami i rozwibrowanymi papugami. Donice roślin na dolnym pokładzie, śpiące aloesy, obojętne na chorobę morską, niezdecydowani zdobywcy nowych ziem, mimowolni wrogowie wszelkich mirtów, pelargonii, ruty i wrzosu, mieszkańcy parapetów, łapacze północnego, histerycznego słońca.

Wiem, że rzeczy, obojętnie, żywe czy martwe, zapisują w sobie obrazy, więc i ten aloes miałby w sobie jeszcze tamte słońca i niewiarygodnie oślepiające nieba, i krople ogromnego deszczu, który bezszelestnie

rozmywa niskie nadbrzeżne horyzonty. I każda część rośliny szczyci się tą świetlistą obecnością w sobie i powiela obraz słonecznej kuli, boga roślin, i sławi go po cichu na parapetach mojego domu.

Wieczorem, gdy niosłam Marcie taką młodą-starą roślinę, pomyślałam, że nudno jest tak trwać i trwać. Że jedynym uczuciem właściwym roślinom może być tylko nuda. Marta zgodziła się ze mną i stawiając aloes na oknie, powiedziała:

– Gdyby śmierć była tylko zła, ludzie całkiem przestaliby umierać.

Ognisko

Wieczorem przyszli chłopi z sąsiedniego Pietna ubić z nami interes. Będzie ognisko. Trzymali za pazuchami butelki wódki, jakby to były białe czarodziejskie króliki, których sam widok sprawi radość światu. Stawiali je na prowizorycznym stole z tryumfem w oczach. Kroiłyśmy z Martą chleb i wyciągałyśmy ze słojów małosolne ogórki. R. nosił szklanki.

Pan Bobol, któremu włosy od zeszłego roku urosły do ramion, powiedział:

– Dla kobiet będą drynki, kobiety nie piją czystej wódki.

Nie protestowałyśmy. Martwiłam się, żeby pokrojonych w ćwiartki pomidorów nie oblazły szczypawice, pełno ich pod każdym liściem.

Gości było trzech – pan Bobol, pan Żeżula, jego sąsiad, i pan Bronek, o którym wszyscy mówią „parobek". Usiedliśmy na kłodzie drzewa przy ogniu; wódka polała się w ciszy ze ściśniętego gardła butelki. Mężczyźni wychylili pół szklanki, a my sączyłyśmy drynka, który smakował sokiem porzeczkowym Marty. Mówili o Człowieku z Piłą, że go zwinęła policja za kradzież drewna z lasu. Przypomniała mi się wczesna wiosna i śnieg, i ciemności pobłyskujące latarkami. Złowrogi zgrzyt piły, grzmot padającego świerka. Nigdy nie zaczepiaj złodziei drewna, udawaj, że ich nie słyszysz i nie widzisz. Wszystkie drzewa są przeznaczone na ścięcie.

Każdy, kto o tym nie wie, może dostać siekierą w łeb. Więc ile chcemy kubików na podłogę w pokoju? To jeszcze po jednym.

Tylko ten pan Bronek nie pił. W ciszy, która zapadła na jedną chwilkę, usłyszeliśmy jego poważny głos:

– A wiecie, ile ja oddałem krwi?

Nikt nie wiedział.

– No niech panie powiedzą.

– Dziesięć litrów? – odezwałam się z nieprzewidzianą odwagą.

Wszystkie twarze zwróciły się do pana Bronka. On uśmiechnął się, poruszył wargami, jakby cmokał.

– No ile, Bronek? – poganiał go Bobol.

– Szesnaście wiader krwi.

Pan Żeżula powiedział coś o kaszance i zapalił papierosa. Ile mogłoby być kaszanki z takiej ilości krwi.

Ale pan Bronek, o którym wszyscy mówili „parobek", choć przecież takie słowo nic już nie znaczy, nieśmiałym chrząknięciem domagał się podziwu. Lecz tylko Marta, miłosierna Marta, rozgarnęła patykiem żar i powiedziała:

– To bardzo wiele. To morze krwi.

Bobol zrobił nam następnego drynka. Wtedy dopiero zobaczyłam, że to prawie pełna szklanka wódki, kropla wody i trochę Marcinego porzeczkowego soku. Nie mogłam wstać.

Panu Bogu – Polacy

Najbardziej zdumiało ich to, że wszystko było źle zorganizowane, ale czego można się było spodziewać: ledwie skończyła się wojna, jeszcze dymiły niektóre gruzy, gdy je mijali pociągiem, jadąc przez dwa miesiące krajem spustoszonym wojną. Pociąg stał całe tygodnie na zarośniętych trawą rampach. Między torami pasły się krowy. Rozpalali wtedy ogniska, a kobiety gotowały ziemniaczaną zupę. Nikt nie wiedział, dokąd jadą. Był

wprawdzie kierownik pociągu, ale on zjawiał się rzadko i z tajemniczą miną powtarzał: „jutro ruszamy". Kiedy jednak przychodziło jutro, pociąg stał dalej i nie wiedzieli, czy wyciągać spakowane pospiesznie garnki, znowu rozpalać ten ogień i obierać ziemniaki na kartoflaną zupę. Albo mówił, że czekają tam na nich całe wsie, puste murowane domy ze sprzętami, o jakich nie marzyli, że można tam mieć wszystko – wchodzisz i wszystko twoje. Więc młode kobiety, karmiąc dzieci piersią, rozmarzały się o szafach pełnych jedwabnych sukienek, o skórkowych butach na obcasie, torebkach z pozłacanym zameczkiem, koronkowych serwetach i śnieżnych obrusach. I tak zasypiały z tym obrazem ludzkich dóbr pod powiekami, a kiedy się rano budziły, było zimno i mokro od rosy, bo wagony nie miały dachów, tylko deski, które ich mężowie przemyślnie zamienili w stropy.

Czasem znienacka pociąg ruszał i ci, co się zagapili, gonili go, biegnąc po torach i podciągając spuszczone spodnie. Kochankowie zostawali w stogach siana, zagapieni staruszkowie, odwróceni twarzą do obcych horyzontów, gubili się na tłocznych peronach, dzieci płakały po psach, które znaczyły nadaremno pobliskie drzewka. Trzeba było krzyczeć do maszynisty, żeby się zatrzymał. Bywało, że nie słyszał albo mu było po prostu spieszno, i potem trzeba się było szukać, nadganiać, prosić żołnierzy o podwiezienie, wypytywać w tymczasowych urzędach, zostawiać wiadomości na ścianach dworców. A najgorsze, że te pociągi nie miały punktów docelowych, żadnego przeznaczenia. Jedno było pewne – jechały na zachód. Skręcały na rozjazdach w jakieś lewo i w jakieś prawo, ale w sumie wychodziło na to, że sunęły za słońcem, ścigały się z nim.

Nikt nad tym nie panował: nie było żadnego państwa, władza dopiero śniła się sobie i pojawiała się nagle w nocy na peronach miasteczka, gdzie kazano im wysiadać.

Władza – był to człowiek w oficerkach, do którego wszyscy mówili „szefie". Palił papierosy, jednego za drugim, jego wargi wydawały się rozmiękłe od dymu. Kazał im czekać, trwało to kilka godzin, aż usłyszeli stukot furmanek. Wynurzyły się z ciemności: konie były zaspane i smutne. Po ciemku załadowali się na te furmanki i ruszyli pustymi, wąskimi uliczkami w dół miasta. Hałas drewnianych kół był jak grzmot lecących samolotów, drżały od niego szyldy na sklepach. W ciemność osunęła się

jakaś szyba i spadła na kamienie. Wszyscy drgnęli, a kobiety złapały się za serce. Wtedy stary Bobol uświadomił sobie, że wciąż się boi, że boi się bez przerwy od kilku lat. Ale to nic. Wojskowy gazik prowadził tę karawanę na przedmieścia, a potem wyjechali z miasta i sunęli brukowaną drogą w jakiejś dolinie – zaczęło świtać, więc wszystko widzieli. Po obu stronach rosły wzgórza, wysokie i cieniste. A pod nimi stały domy i stodoły, ale wszystkie nie jak we wsi, tylko jak folwarki – wielkie, ceglane. Oczy starego Bobola nie były przyzwyczajone do takich przestrzeni ani do takich domów, więc modlił się po cichu, żeby to nie było tutaj.

Skręcili pod górkę, przez most nad kamienistą, wściekłą rzeczką i wdrapali się na pofałdowany płaskowyż. Po ich prawej stronie wschodziło słońce. Dopiero stąd było je widać, nie z dolin. Oświetlało dalekie góry i zapleśniałe poranną mgłą niebo. A wszystko poruszało się, falowało. Tym słabszym, jak kobietom i starcom, zrobiło się niedobrze, brało ich na wymioty, zwłaszcza że wszędzie było pusto i tak obco, aż komuś wyrwał się nawet szloch i przeleciało im przez głowy wspomnienie tamtych złotych, zielonych równin, które opuścili. Bezpiecznych i bożych. Nawet psy, które biegły przy kołach wozów, trzymały się blisko i nie zapuszczały w trawy i krzaki. Węszyły niespokojnie, ogony miały podkulone, sierść nastroszoną, brudną i wynędzniałą od podróży.

Wreszcie z góry zobaczyli kilka domków rozrzuconych po dolinie, daleko od siebie. Gazik zatrzymał się i wyszedł z niego władza z papierosem w ustach. Z listy czytał nazwiska i pokazywał ręką: Chrobak tu, Wangeluk tu, Bobol – tam. Nikt się nie kłócił, nie protestował; władza i jego papieros byli jak palec boży – stanowili porządek i jakikolwiek miałby być ten porządek, z pewnością będzie lepszy od nieporządku.

Podjechali pod chałupę. Wyglądała solidnie. Stodoła była do niej doczepiona, nie stała osobno, tak jak powinna. Małe podwórko wybrukowano szerokimi, płaskimi kamieniami. Kwitł bez. Siedzieli na furmance i nikt nie śmiał zejść pierwszy. Bobol splunął na ziemię i patrzył w okna domu. Szukał niespokojnie studni, ale nigdzie jej nie widział, może stała za domem. W końcu zjawił się gazik i zahamował tuż przy nich.

„No już", powiedział człowiek z papierosem. „Chodźcie, to już wasze".

Ruszył śmiało do drzwi, ale przed nimi jakby się lekko zawahał. Spojrzał na nich i zapukał, zakołatał. Po chwili drzwi się otwarły i wszedł do środka.

Czekali, aż pojawił się znowu. Ponaglił ich niecierpliwie.

„Co jest?"

Zaczęli wyciągać z wozu pierzyny i garnki. Bobol pierwszy wszedł do sieni. Była ciemna, półokrągło sklepiona, pachniała swojsko, krowami. Stamtąd, szurając w ciszy, poszli do izby i stanęli naprzeciwko okien, tak że przez chwilę nic nie widzieli, bo światło ich oślepiło. Władza zapalił papierosa i powiedział coś po niemiecku. Wtedy zobaczyli dwie kobiety, jedną starszą, siwą, drugą młodszą, z dzieckiem na ręku, i jeszcze jedno dziecko przytulone do tej starszej.

„Wy tu, one tam. Potem po nie przyjadą", odezwał się jeszcze władza, a potem wyminął ich i zniknął. Usłyszeli warkot gazika.

Do południa znosili swoje rzeczy z furmanki. Nie było ich dużo – trochę ubrań, świętych obrazów, pierzyny, fotografie w drewnianych ramkach. Bobolka rozpaliła pod dziwaczną kuchnią, bo chciała nastawić zupę. Nie mogła jednak znaleźć wody. Chodziła z garnkiem wokół domu, aż pomyślała, że biorą wodę ze strumienia. W końcu zebrała się na odwagę i zajrzała do izby, gdzie były kobiety. Młodsza poderwała się na jej widok.

„Woda", powiedziała Bobolka i pokazała na garnek.

Młodsza ruszyła do kuchni, ale starsza warknęła na nią. Niemka zatrzymała się na chwilkę, na moment, jakby się zawahała. Niechętnie pokazała Bobolce wajchę w ścianie przy piecu, na której Bobol powiesił już spodnie. Podstawiła pod nią garnek i poruszyła wajchą w górę i w dół. Poleciała woda.

„Gotuj sobie. Już się pali", powiedziała Bobolka do kobiety.

Kiedy tamta przyniosła gar pełen kartofli i postawiła na blasze, Bobolka wyjaśniła jej, że ma wbite w dokumentach „ewakuacja tymczasowa", co znaczy, że nie zabawią tu długo, że wszyscy i tak mówią o następnej wojnie. A tamta rozpłakała się, tak zupełnie bezgłośnie, połykając szloch z powrotem do brzucha, z którego wychodził, i nawet nie było jak jej pocieszyć, więc Bobolka zagryzła wargi i wyszła.

I tak żyli razem przez całe lato. Mężczyźni skręcili zaraz aparat do bimbru i odtąd alkohol lał się cienkim strumyczkiem do baniek i konwi. Zaczynali pić wczesnym popołudniem, kiedy upał robił się nieznośny i nie było co ze sobą począć. Kobiety gotowały razem w milczeniu obiad,

wymieniały ze sobą pojedyncze słowa i niechętnie, mimowolnie uczyły się nienawistnych języków. Podpatrywały swoje zwyczaje. Jak dziwnie jedli ci Niemcy: na śniadanie taka milch-zupa, na obiad ziemniaki w mundurkach, trochę sera do tego i trochę masła, a w niedzielę bili królika albo gołębie i na tym robili krupnik. Na drugie były kluski i koniecznie kompot ze słoików. Mężczyźni chodzili do stodół oglądać te ich maszyny, ale nie wiedzieli, jak one miałyby działać i do czego są. Kucali przy domu, rozprawiali o tych maszynach i wypijali po szklance bimbru – tak już było do wieczoru. W końcu ktoś przynosił harmonię, schodziły się kobiety i zaczynały się tańce. Pierwsze lato zamienili w nie kończące się polskie święto. Byli też tacy, co nie trzeźwieli. Jedyne, co można było robić, to cieszyć się, że się przeżyło i dotarło gdzieś na miejsce, jakiekolwiek miejsce. Nie myśleć o żadnej przyszłości, bo ona była niepewna. Śpiewać na dwa głosy, tańczyć, iść w krzaki i kochać się nieprzytomnie, nie patrzeć w twarze tym Niemcom, co zostali, bo to wszystko z ich winy, to oni wojnę rozpętali i to z ich winy świat się kończył, jak było w przepowiedniach królowej Saby. Czasem ich ponosiło – chwiejnym krokiem szli do domu, ściągali te ich niemieckie święte obrazy i wrzucali za szafy, aż pękało na nich szkło. Na gwoździach wieszali swoje, bardzo podobne, może nawet takie same Chrystusy, Matki Boskie Zbolałe z sercem krwawiącym.

Jesienią, zmęczeni świętowaniem, rozczarowani, że władza o nich całkiem zapomniała, zmówili się, zbili krzyż i postawili go na rozwidleniu dróg. Napisali na nim: „Panu Bogu – Polacy".

Przez to lato nie pracowali. Nie musieli pracować, dopóki byli Niemcy. Oddawali Niemcom to, co się im należało, w końcu nie z własnej winy tu się znaleźli, nie z własnego pomysłu zostawili swoje rozległe pola na wschodzie i tłukli się tutaj dwa miesiące. Wcale nie prosili się o te obce, kamienne domy. Niemki doiły krowy i wyrzucały gnój, a potem szły na pole albo sprzątały, wystraszone, przygięte do ziemi, milczące. Tylko w niedzielę dawali im spokój, a one ubierały się odświętnie, wkładały nawet białe rękawiczki i szły do kościoła, żeby zbawić swoją niemiecką, grzeszną duszę.

Jesienią przyjechała władza, tym razem do Niemek, i powiedziała im, żeby się zbierały do wyjazdu. Młoda, podniecona, zaczęła zbierać swoje rzeczy w tobołki, starsza siedziała na łóżku i nie odzywała się. Następnego

ranka stały przed domem i czekały. Bobolka dała im na drogę słoniny i cieszyła się, że mają teraz dodatkowy pokój. Wreszcie przyszedł jakiś człowiek i po niemiecku kazał im ruszać w stronę miasteczka. Młoda pociągnęła wózek i dołączyła do karawany innych Niemców, którzy przystanęli na mostku, ale stara nie chciała pójść. Wróciła do kuchni i chwyciła porcelanową miskę, a Bobol, już podpity, próbował wyrwać jej naczynie. Szarpali się chwilę, aż starej rozburzyły się siwe włosy i nagle, po raz pierwszy od miesięcy, zaczęła coś wykrzykiwać. Wybiegła przed dom i krzyczała z pięścią uniesioną do nieba.

„Co ona powiedziała, co ona wrzeszczy?", dopytywał się Bobol, ale władza nie chciał mu powiedzieć.

Dopiero gdy Niemcy znikli za wzgórzami, władza wrócił, żeby im oznajmić, że ich wieś nie nazywa się już Einsiedler, tylko Pietno. Bobol dowiedział się też, że stara Niemka go przeklęła.

„Przeklęła cię, powiedziała na ciebie stek głupot, żeby ziemia ci nie rodziła, żebyś został sam, żeby nie ominęły cię żadne choroby, żeby padały ci zwierzęta, żeby drzewa nie miały owoców, żeby łąki palił ci ogień, a pola zalewała woda. Tak krzyczała", powiedział władza i zapalił jednego papierosa od drugiego. „Ale przecież tylko głupek by się tym przejął".

Cynowy talerz

Marta miała wiele rzeczy ułomnych: pojedyncze filiżanki, spodki ze startym szlaczkiem, w którym można się było jeszcze domyślić pozłacanych meandrów liści, blaszane kubki z dorobionym niedbale drucianym uchem, nitowane garnki z rdzawymi śladami po odpadniętej emalii. Miała jeden wielki widelec ze swastyką i noże o ostrzach tak odchudzonych po tysiącach ostrzeń, że przypominały szpikulce. Podejrzewałam, że wykopywała je każdej wiosny w czasie prac w ogródku, że wyciągała je z ziemi, a potem myła, polerowała popiołem i wrzucała do szuflad. Gdyby tak było, znaczyłoby to, że Marta mogła być samowystarczalna. A przecież i nam ziemia rodziła te pokraczne

przedmioty. Myśmy ich nie szanowali, woleliśmy, jak wszyscy, mieć rzeczy nowe, błyszczące, ze śladami kleju po cenie, z gwarancją długowieczności, jaką daje śmiały odblask światła, nieposzlakowana gładkość powierzchni. Pozostałości metalicznego zapachu dalekich fabryk.

Nie pożądałam rzeczy Marty, ani jej ciężkich poduszek, w których pierze bezwładnie wędrowało z rogu w róg w czasie nocnych zapasów z ciałem człowieka, ani spranych makatek, haftowanych po niemiecku w hasła niosące otuchę: „Wo Mutters Hände liebend walten, da bleibt das Glück im Haus erhalten" albo: „Eigner Herd ist Goldes wert".

Tylko jeden przedmiot budził moją czułość – cynowy talerz, ciężki i toporny, z krawędzią ozdobioną wypukłym geometrycznym wzorem, wytartym od dotyku palców, wzorem, który w wielu miejscach zamierał i roztapiał się w tle, tak że jego dotykanie niosło przyjemność odczytywania tych znaków bez potrzeby patrzenia. Ornament był jakby grecki albo wzięty z art déco; powtarzały się w nim na przemian koła i kwadraty łączone krzyżami, które, jak znaki plusa, dodawały je do siebie, pozostawiając jednak składniki tych działań nietknięte. W wielu miejscach złaziła z niego matowa pozłota i odsłaniała wyszczerzony szary metal.

Latem Marta rozkładała na nim owoce, a jesienią orzechy. Talerz królował na samym środku jej pokrytego ceratą stołu. Pośród tego całego upośledzonego przybytku Marty jedynie on mógł przyciągnąć uwagę. Reszta budziła tylko współczucie.

Niania

Miałam nianię Niemkę. Nazywała się Gertruda Nietsche. Była drobna i ruchliwa jak gryzoń, nosiła mocne okulary, w których po kilkakroć odbijały się wszystkie źródła światła, od żarówek po słońce. Po polsku znała tylko kilka słów i używała ich głównie w rozmowach z moją mamą, do mnie mówiła tak, jak myślała, czyli po niemiecku. Pamiętam dobrze jej twarz, jej czule-szorstkie ruchy, dotyk jej swetrów, kakaowy zapach. Ale nie pamiętam jej słów. Nie miałam jeszcze wtedy żadnego języka na

podorędziu, byłam dziewicza w języku, nie potrzebowałam żadnych słów: ani polskich, ani niemieckich, ani jakichkolwiek. Ona miała swój język, który wszystkim naokoło wydawał się obcy, a nawet nienawistny (w końcu było dopiero dwadzieścia lat po wojnie). Mówiła tym językiem do mnie, śpiewała i karciła. Wkładała mnie w drewniany wózek i jechała przez groble na stawach do swoich krewnych, jedynych autochtonów, Kampów, i tam, w ich pełnym ozdóbek domu, brałyśmy razem udział w nie kończących się rozmowach. Ja oczywiście w milczeniu.

Podczas tych rozmów siedziałam na zasłanym kapą łóżku, podparta poduszkami, a Gertruda przy stole z Kampową dzyń, dzyń filiżankami. Potem brała mnie na ręce i musiałam na pewno odbijać się w szkłach jej okularów. Ale tego nie pamiętam – nie było mnie jeszcze we własnych odbiciach, nie istniałam jeszcze dla luster.

Z powodu Gertrudy wciąż mam nadzieję, że znam niemiecki, że leży we mnie ukryty, przysypany kurzem wszelkich moich rozmów po polsku, stertami książek, które przeczytałam, elementarzem z Alą i Asem, a nawet jeżeli nie cały język, to przynajmniej wiele najważniejszych słów, wystarczająco wiele, by dać sobie radę. Czekam na taki moment, kiedy ten język ujawni się we mnie, bez pomocy podręczników i nudnych lekcji. Nagle, ni stąd, ni zowąd, zacznę rozumieć i może nawet, choć z trudnością, bo ani wargi, ani język nie nawykły do układania się inaczej, zacznę mówić. I jestem pewna, że rozumiałabym niemiecki, gdyby ktoś – jak Gertruda – pochylał się nade mną, pieścił mnie i karmił. Gdyby przez okno pokazywał mi park i zadawał te niemądre pytania, jakie dorośli zadają dzieciom: „A co to? Kto to idzie? Gdzie mama?". Gdyby z czułością pozwalał mi rękami błądzić po swojej twarzy i odkrywać jej jedyność. Gdyby stawał się ostatnim obrazem widzianym przed zaśnięciem i pierwszym po przebudzeniu.

U Kampów po raz pierwszy zobaczyłam i zapamiętałam siebie. Mogłam mieć wtedy około roku, bo już siedziałam. Musiał przyjść ten sam wędrowny fotograf, który kilka lat potem robił mi zdjęcie w pierwszej klasie. Musiał zachęcić Gertrudę, rozbawić ją, przegadać, bo rozebrała mnie i posadziła na białym futerku, które skwapliwie podrzucił jej zapewne pan Kampa. Pewnie protestowałam krzykiem, bo dano mi do zabawy pokrywkę od garnka. I właśnie dotyk tej pokrywki w nagą skórę

brzucha i światło jasnej lampy na stojaku, i wycelowane we mnie oko aparatu, ta cała na mnie skupiona uwaga, sprawiły, że po raz pierwszy w życiu, jeszcze nieudolnie, chwiejnie, niepewnie stanęłam na zewnątrz siebie i spojrzałam na siebie okiem tego obiektywu, wzrokiem jakimś innym, nie do końca swoim, wzrokiem chłodnym, odległym, obojętnym, który potem równie beznamiętnie będzie notował ruchy mojej ręki, drżenie powieki, duchotę w pokoju, i myśli – wszystkie, nawet te nie dokończone, byle jakie. Ten wzrok, miejsce na zewnątrz mnie, z którego patrzę, będzie się pojawiało odtąd coraz częściej, aż w końcu zacznie zmieniać mnie samą, bo stracę pewność, kim jestem, gdzie jest mój środek, punkt, wokół którego porządkuje się wszystko inne. Te same rzeczy będę widziała za każdym razem inaczej. Najpierw pogubię się w tym, przerażę się. Będę rozpaczliwie szukać stałości. W końcu uznam, że stałość wprawdzie istnieje, ale jest daleko poza mną, a ja jestem strumieniem, tą rzeczką w Nowej Rudzie, która raz po raz zmienia kolory, i jedyne, co mogę o sobie powiedzieć, to że przydarzam się sobie, przepływam przez miejsce w przestrzeni i czasie, i jestem sumą właściwości tego miejsca i czasu, niczym więcej.

Jedyna korzyść, jaka z tego wynika, jest taka, że światy widziane z różnych punktów są różnymi światami. Więc mogę żyć w tylu światach, ile z nich jestem w stanie zobaczyć.

Psalm nożowników

Daremność na całej ziemi
błogosławione puste łona
uświęcona wszelka jałowość
święty rozkład upragniony upadek
cudowna bezowocność zimy
puste łupiny orzechów
spopielone polana, które zachowują kształt drzewa

nasiona, które spadły na kamień
potępione noże
wyschnięte strumienie
zwierzę, które zjada potomstwo innego
ptak, który żywi się jajami innego ptaka
wojna, od której zawsze zaczyna się pokój
głód, który jest początkiem nasycenia

Święta starości, brzasku śmierci,
czasie uchwycony w ciele,
śmierci nagła, niespodziana,
śmierci wydeptana jak ścieżka wśród trawy
Czynić, a nie mieć rezultatów
działać, a nic nie poruszać
starać się, a nic nie zmieniać
wyruszać, a nigdzie nie dochodzić
mówić, a nie wydawać głosu

Skarby

Z czasem domy chętniej oddawały to, co miały w sobie. Garnki, talerze, kubki z uchem, pościel, nawet ubrania, prawie nowe, niektóre całkiem eleganckie. Czasem znajdowali proste drewniane zabawki, które zaraz dawali swoim dzieciom – po latach wojny był to skarb. Piwnice pełne były słoików z dżemami, z przecierami, z jabłkowym winem. Albo: jagody zasypane cukrem w soku gęstym jak atrament, plamiącym nieostrożne palce; żółte kawałki dyni w occie, to im nie smakowało; marynowane grzyby z kulkami ziela angielskiego. Stary Bobol, coraz bardziej ponury, znalazł w piwnicy nową, ledwie skończoną trumnę.

Niemcy zostawili w kredensach przyprawy, solniczki, resztki oleju na dnie butelek, porcelitowe pojemniki z kaszą, cukrem i zbożową kawą. Zostawili firanki w oknach, żelazka na blasze kuchni, obrazki na ścianach. W szufladach poniewierały się stare rachunki, umowy najmu i kupna, zdjęcia z chrzcin i listy. W niektórych domach zostały książki, ale straciły dar przekonywania – świat przeszedł na inny język.

Na strychu stały dziecinne wózki, leżały sterty pożółkłych gazet, spękane walizki z bombkami na choinkę. W kuchniach, sypialniach wciąż tkwił obcy zapach. Dobywał się zwłaszcza z szaf i szuflad bieliźniarek. Kobiety otwierały je nieśmiało i wyciągały sztuki bielizny, jedna po drugiej, dziwiąc się, bo była to bielizna obca, śmieszna, dziwaczna. W końcu odważały się przymierzyć sukienki i żakiety. Często nie znały nawet nazw materiałów, z których były uszyte. Stojąc w nich przed lustrem, odruchowo wsadzały dłonie w kieszenie i zaskoczone znajdowały tam zgniecione chustki do nosa, papierki od cukierków, unieważnione już monety. Kobiety mają szczególny talent odkrywania nie zauważonych schowków, przeoczonych szuflad, zakamuflowanych pudełek po butach, z których wysypywały się nagle mleczne zęby dzieci albo obcięte kosmyki włosów. Wodziły potem palcem po wzorach na talerzach i dziwiły się ich odmiennemu, niebieskiemu porządkowi. Nie wiedziały, do czego służy wiszące na ścianie urządzenie z korbką ani co znaczą napisy na fajansowych szufladkach w kredensie.

Czasami zdarzało się, że ktoś, porządkując piwnice czy kopiąc ogródek, znajdował coś szczególnego. Drewnianą skrzynię pełną porcelany albo słój jakichś monet, albo zawinięty w ceratę komplet posrebrzanych sztućców. Wiadomość migiem rozchodziła się po wsi, a nawet całej okolicy i wkrótce każdy już marzył, że znajdzie skarb zostawiony przez Niemców. I było w tym szukaniu skarbów coś sennego, jakby tropienie w ziemi zawiązków obcej, niebezpiecznej rośliny, która mogłaby jeszcze kiedyś wyrosnąć i zabrać im to, co mają, i znów wygnać ich na poniewierkę.

Jedni byli obdarowywani znienacka, choć pewnie nie przez przypadek. Zawsze można było wierzyć, że kiedyś przy obkopywaniu domu ostrze łopaty zadźwięczy nagle na metalowej skrzyni. Ale można też było wziąć łopatę, kilof i ruszyć w pole, kopać pod wielkimi drzewami, w pobliżu

samotnych kapliczek, przekładać kamienie w ruinach, penetrować stare studnie.

Dlatego pierwszego roku żaden mężczyzna w Pietnie nie zasiał swojego pola – wszyscy ruszyli na poszukiwanie skarbów. Tylko kobiety uprawiały ogródki z kapustą i rzodkwią.

Więc było tak, że rano, gdy ledwie szarzało, mężczyźni wyruszali na wyprawę. Wyglądało, jakby szli do pracy – mieli łopaty, kilofy i zwoje liny przewieszone przez ramię. Czasem łączyli się w pary albo w małe zespoły i spuszczali do studni. Mogły być tam różne rzeczy. Po tym, jak któryś z nich znalazł w ścianie studni metalową skrzynię z setką noży, właściwie ostrzy samych, bo drewniane trzonki rozłaziły się w wilgotną maź, spenetrowali wszystkie możliwe dziury w ziemi. Już wtedy najbardziej przewidujący zaczynali uczyć swoich synów szukać skarbów, bo był to dobry, najlepszy fach.

Lata potem ich wnukowie też szukali skarbów; kupowali na targu wykrywacze metali od Ruskich i sunęli przez trawy po pas, jakby badali ziemię przez wielkie lupy. Popołudniami kucali przed sklepem z butelką ciepłego piwa w ręku i opowiadali, że znowu niemiecki autokar zatrzymał się na drodze i jacyś Niemcy łazili po krzakach za kościołem. Widział ich ktoś – świecili latarkami i nawoływali się cicho, tajemniczym, podnieconym szeptem. Rano została w tym miejscu świeżo wykopana dziura.

Największym poszukiwaczem skarbów był stary Popłoch. Szukał skarbów jak inni grzybów, a do tych obu spraw trzeba mieć nosa.

W domu Popłochów wszystko było ze skarbów – mosiężne garnki, talerze, porcelana, w tym serwis z maleńkimi filiżankami, z których nie wiadomo było, co pić, takie były filigranowe. Wszystkie twarde rzeczy były ze skarbów; te podlegające gniciu i psuciu trzeba było niestety dokupić.

Popłoch przechadzał się niby nieuważnie po polach i zagajnikach, wydawało się: patrzy w niebo i wietrzy pogodę na jutro. A on nagle podchodził do kamieni, które leżały na miedzy, obchodził je wkoło, macał jak ciężarne owce i szybko wracał po kilof i łopatę. Potem pod takimi kamieniami znajdował walizkę ze sztućcami albo garnek pełen hitlerowskich odznak wojskowych. Dwa lub trzy razy w swoim życiu Popłoch znalazł broń. Przywiózł ją do domu, wyczyścił, przykazał żonie

i córce zamknąć mordy na kłódkę i schował ją na strychu. Z bronią nad głową czuł się bezpieczniejszy. Miał skrzynię z filatelistycznymi klaserami i czasem jeździł do Wałbrzycha sprzedać trochę niemieckich znaczków. W jednym antykwariacie sprzedawał starocie, wydawałoby się, nikomu niepotrzebne – na przykład druciane okulary.

Jednak gdy Popłoch znalazł prawdziwy skarb, nigdy się o tym nie dowiedział. Co bowiem można myśleć o zawartości drewnianej, okutej żelazem skrzyni, którą był komplet naczyń z jasnego metalu w dużej części zaśniedziałego i poszarzałego: dwadzieścia cztery razy wszystko. Talerze takie i siakie, kubki, widelce, noże, łyżki i maleńkie łyżeczki, do tego rondle i garnki z drewnianymi rączkami. Popłochowa gotowała w nich mleko – były naprawdę porządne, nie przypalały się. Wszystko to poustawiali w pokojowym kredensie i stało tak w ciszy i milczeniu długie lata, do stanu wojennego, kiedy to przejezdny handlarz starymi meblami przyuważył ów rondel z mlekiem. Szukał na denku jakiegoś znaku, ale nie wiedzieli, czy znalazł. Gdy Popłoch pokazał mu cały kredens wypełniony resztą serwisu, handlarz umilkł na moment, a potem zaoferował im ogromną sumę, sam z siebie. Więc się nie targowali, tylko ich córce żal było rozstać się z tą srebrzystą poświatą naczyń, która jak blask telewizora wieczorami wypełniała pokój. Ale w końcu za tę cenę kupiła sobie segment pokojowy w Nowej Rudzie i jeszcze starczyło na pracowniczą trzydniową wycieczkę do Rzymu. Krysia Popłoch marzyła bowiem, żeby zobaczyć papieża, zanim umrze. Nie powiedziała tylko, zanim kto umrze – ona czy papież.

Gdyby mieć w oczach rentgen i prześwietlić ziemię jak ludzkie ciało, co by się tam ujrzało? Kamienne kości, gliniane osady wewnętrznych ziemskich organów, granitowe wątroby, serca z piaskowca, jelita podziemnych rzek. I skarby schowane w ziemi, jak obce ciała, jak implanty albo odłamki pocisków.

Dalie, georginie

Marta siedziała w daliach. Widziałam jej głowę. Pomachałam do niej ręką, ale ona nie zauważyła mnie. Grzebała w liściach kwiatów, może je przywiązywała, może strącała z nich ślimaki. Wysadziła kłącza wiosną i dbała o nie prawie tak samo jak o rabarbar. W sierpniu zakwitły. Chciałoby się policzyć ich równe płatki. Skąd w nich taka symetria i porządek. Marta mówiła, że dalie zawsze bardziej podobają się dzieciom niż dorosłym. Dlaczego? Tego nikt nie wie. „Dorośli wolą róże", mówiła Marta. Są zawsze nieprzewidywalne.

Chciałabym być już stara jak Marta. Starość wszędzie wygląda podobnie – długie poranki, słodkie uczestnictwo w rozciągliwych popołudniach z kleistym znieruchomiałym słońcem nad dachami domów, leniwy serial w telewizji, zasłonięte zasłony. Wyprawa do sklepu – wielkie wydarzenie komentowane jeszcze przy obiedzie. Starannie zmywane talerze, okruszki zbierane ze stołu do nylonowych toreb, żeby potem dwa razy w tygodniu pójść do parku i rozrzucić je pod nogi gołębiom. Liść krotonu, który opadł w nocy – przyglądanie się ranie na łodydze. Strząśnięcie dwóch mszyc z welurowych liści lipki, poprawianie serwetki. Podziwianie buraka w ogródku, że wyrósł taki duży na końcu grządki, słuchanie radia ze spokojnymi dłońmi, planowanie na jutro segregowania guzików. Martwienie się rachunkiem za prąd; przyszedł wczoraj. Śledzenie wzrokiem zygzakowatych tras listonosza. Patrzenie w niebo z kuchennego okna i świadomość każdego kroku wędrówki słońca. Nieuważne otwieranie lodówki, żeby upewniać się wciąż, że nie jest pusta. Ostrożne wyrywanie kartek z kalendarza i składanie ich w szufladzie. Muzea starych gazet. Przekładanie naftaliną zbrązowiałych ze starości sukienek, zbyt wąskich lub, przeciwnie, za dużych.

Potem pomyślałam, że może to jednak nie chodzi o starość, że to nie tęsknota do wieku, ale do stanu. Może taki stan przydarza się tylko na starość. Nie działać, a jeżeli już, to powoli, jakby nie o wynik działania chodziło, ale o sam ruch, sam rytm i melodię ruchu. Sunąć powoli, przyglądając się falowaniu czasu, nie odważać się więcej płynąć na nim z prądem ani rzucać się pod prąd. Ignorować czas, jakby był tylko naiwną reklamą czegoś innego, czego pożąda się naprawdę. Nic nie robić. Liczyć

uderzenia zegara w pokoju, uderzenia łapek gołębi o parapet, uderzenia serca. I zaraz o wszystkim zapominać. Nie tęsknić, nie pragnąć. Najwyżej czekać na święta, w końcu od tego są. Przełykać ślinę i czuć, jak spływa przełykiem w jakieś „w głąb". Opuszką palca dotykać skóry na dłoni i czuć, że staje się gładka jak lodowiec. Z zębów wydłubywać językiem strzępek sałaty i przeżuwać go jeszcze raz, jakby się znowu jadło posiłek. Przytulić się do własnych kolan. Wspominać pedantycznie, od początku do końca, aż z nudów umysł zapadnie w drzemkę.

Siwy jeżyk na głowie Marty zasrebrzył się między głowami kwiatów. Nie poruszył się, może Marta sądziła, że bezruchem można pokonać ostatnie upały. Może liczyła płatki kwiatów. Może ich piękno zaparło jej dech. Nagle przez krótki moment wiedziałam, co ona myśli. Ta myśl zjawiła się w mojej głowie, rozpychała się wśród moich, eksplodowała i znikła. Zaskoczona, znieruchomiałam z ręką podniesioną do oczu.

Marta pomyślała: „Najpiękniejsze są te wyszczerbione przez ślimaki. Najpiękniejsze są te najmniej doskonałe".

Powtórzenia, odkrycia

Gdy nadchodziła burza, źdźbła traw stawały się nagle ostre, siano w kopkach robiło się szorstkie, kolce róż i jeżyn darły podmuchy wiatru na cienkie pasemka. Ostre stawały się krawędzie czerwonych kamieni na miedzach, a nad stawem świszczały sztylety trzcin. Świat ciemniał, a wszelka jasność cofała się pospiesznie, a potem nagle ostatkiem sił skupiała się w błyskawice i waliła w ciemność od środka. Wtedy zęby grabi robiły się złowrogie i szpikulce wideł powieszonych na deskach przekłuwały powietrze. Ze stołu spadał nóż.

Żyłam w świecie, który już skądś znałam. Z dnia na dzień rozpoznawałam coraz więcej obrazów, gestów, sekwencji ruchów, kolorów powietrza, zapachów. Wszystko to już znałam, jakbym na zawsze straciła dar spotykania nowego, jakbym przestała się uczyć. To wrażenie wyraźnie się umacniało, najpierw były tylko przeczucia, drobne przebłyski, o tak,

teraz stanie się to, potem tamto, wiedziałam to, chociaż nie rozumiałam dlaczego.

Świat stawał się przez to bliski, jakby był przyklejony do skóry; wydawało mi się, że czuje pulsowanie mojej krwi i naśladuje ten ruch kołysaniem mniejszych gałązek na wietrze. Był moją skórą, a ja robiłam wszystko, żeby o tym zapomnieć.

Przesiadywaliśmy na tarasie, grzejąc się w ostatnich ciepłych promieniach słońca, czyjaś ręka dotykała brzoskwini i nagle przez taras płynęła fala – wszystkie ręce przez chwilę, lecz w różnych momentach, znajdowały się na owocach, krótki ułamek chwili, prawie nie do zauważenia. Potem następowała dalsza część tej sekwencji – jakiś liść spadał na niedojrzałą śliwkę w trawie, ale tylko ją muskał i płynął dalej. W rozmowie, leniwie i mimowolnie, kilka razy pojawiało się słowo „muskać", ale nikt tego nie zauważał, nie słyszał, nie pojmował.

Pomyślałam wtedy, że oto zbliżam się do jakiegoś końca. Że wybiła jakaś dwunasta i zaczyna się nocna część dnia. Że już zaczęłam umierać i zanim to się stanie, będę widziała wszystko w ten sam szokujący sposób – od spodu, od strony geometrii wydarzeń, gdzie świat ma swój początek w nieodgadnionej symetrii. Lecz i ta wiedza nie będzie mi już do niczego potrzebna, nic nie będę mogła z nią zrobić, w żaden sposób jej wykorzystać. Jedyne, co mi pozostanie, to dziwić się, że do tej pory nie widziałam porządku tak oczywistego, który na dodatek nie tkwi tam, gdzie sądziłam – w myślach, ideach, wzorach matematycznych, rachunku prawdopodobieństwa – ale w samych wydarzeniach. Osią świata są powtarzalne konfiguracje chwil, ruchów i gestów. Nie wydarza się nic nowego.

Tort z muchomora

3 duże świeże kapelusze muchomora

5 dkg suszonego muchomora

2 bułki
szklanka mleka
garść rodzynek
1 cebula
nać pietruszki
całe jajko
żółtko jajka
bułka tarta
sól, pieprz do smaku

Namoczyć bułki w mleku. Cebulę podsmażyć na tłuszczu, dodać namoczone i drobno pokrojone suszone grzyby, wbić żółtko, dodać posiekaną natkę, przyprawić nadzienie do smaku. Panierowane w jajku i bułce tartej kapelusze usmażyć na złoty kolor. Przekładać nadzieniem i zapiec w piekarniku.

On i ona

Zjawili się tam zaraz po wojnie. Zakochali się w sobie – puste domy, puste ulice, puste serca sprzyjały wszelkiej miłości. Nic jeszcze nie istniało, dopiero zaczynało zbierać się do istnienia, pociągi chodziły jak chciały, czasem ktoś jeszcze w nocy strzelał i trudno było pojąć, co znaczą szyldy nad powybijanymi wystawami.

Jej smukłe wypielęgnowane ręce, których nie zniszczyła nawet wojna, znalazły zajęcie wśród buteleczek lekarstw w aptece ozdobionej wężem Eskulapa. W ciągu kilku pierwszych miesięcy zaklejała niemieckie etykiety i wypisywała polskie nazwy. Ludzie mówili do niej „pani magister". On, w lśniących oficerkach, przywracał życie kopalni. Wzięli ślub po dwóch miesiącach znajomości, dostali przydział na dom i teraz znosili do niego meble z opuszczonych mieszkań przy rynku – mahoniowy kredens z wieżyczkami, wielkie martwe natury w ciężkich ramach, biurko pełne papierów i fotografii, którymi ona rozpalała w piecu, skórzane fotele o wyślizganych poręczach. Byli dumni z tego domu, oboje zawsze o takim marzyli; ta wąska klatka schodowa oświetlona barwnym witrażem w wejściowych drzwiach, solidne schody z poręczą, przedpokój pełen luster zbyt potężnych, żeby się je dało wyszabrować, pokój z werandą i rozsuwanymi drzwiami, duża chłodna kuchnia ze ścianami wyłożonymi kaflami. Kafle przedstawiały wiejskie widoki – wiatrak w kreskowym kobaltowym pejzażu, wieś rozłożona nad stawem, góry posiekane dróżkami. Motyw powtarza się co kilka kafli, wraca w inne miejsce, porządkuje przestrzeń. Każda rzecz musiała mieć swoje specjalne miejsce, nawet marmurowy przycisk do papieru w kształcie skorpiona. Inaczej ludzie by odeszli. W inny sposób nie można było tu żyć.

I odtąd zawsze już pociągały ich rzeczy miłe dla oka: piękne mieszkania, nowe modne stroje, które zwracały uwagę – takie były eleganckie, takie ciche i grzeczne w swoim pięknie, przeciwieństwo mundurów, wojennych szmat, parcianych plecaków przewieszonych przez ramię. I jeszcze coś –

popołudniami chodzili do zarośniętych ogrodów i wykopywali kwiaty, dla których nie mieli nazw. Obsadzili nimi swój dom jak twierdzę. Teraz pachniało, gdy wieczorami grali w garibaldkę, a potem, w połowie rozdania, szli do łóżka, w miłość.

On szybko awansował, z kopalni przeszedł do Blachobytu, największego przedsiębiorstwa w mieście. Ona została kierowniczką apteki. Jeździli na zakupy do Świdnicy i Wrocławia. Często wychodzili na spacery, żeby pokazać się miastu i żeby miasto pokazało się im.

Sunęli w tych swoich jasnych, modnych, czystych ubraniach, które rozjaśniały im jakoś niebiańsko twarze, chciało się aż przeżegnać na ich widok i uklęknąć na chodniku przed tą zamkniętą w sobie parą ludzką, doskonale wklejoną w fotografię, jaką jest świat.

Najpierw nie chcieli mieć dzieci. Uważali, zabezpieczali się i czuli się nawet jacyś lepsi od tych wszystkich małżeństw, które zapomniały się w miłości i zaraz wpadały. To wydawało im się banalne – tak żyć, potem wydać na świat dziecko i patrzeć, jak wszystko się zmienia i powszednieje. Kuchnia cuchnie mlekiem i sikami, w łazience suszą się pieluchy, a w pokoju pojawia się na stałe nowy mebel – deska do prasowania z jej nieznośną drucianą architekturą. Trzeba stać w kolejkach po cielęcinę, chodzić do lekarza, martwić się ząbkami, czy się już wyrżnęły. „Jest nam tak dobrze" – szeptał jej do ucha, a ona dodawała, tuląc się do jego mocnej piersi z bliznami, o które nigdy nie pytała: „Jak mogłabym się dzielić miłością do ciebie?". „Bylibyśmy rozdarci, musielibyśmy kochać jeszcze kogoś innego poza sobą; taka miłość zabierałaby nam czas, uwagę i serce". Więc koło ich łóżka poniewierały się złotka od prezerwatyw, a w łazience na półeczce stał irygator – trywialne dowody tego, że mają kontrolę nad życiem. Byli za to wolni, naprawdę wolni. Mieli samochód, chyba jedni z pierwszych w mieście. Jeździli nim do Kłodzka i nawet do Wrocławia; do teatru, na przymiarki do krawca, gdy trzeba było sobie uszyć nowy garnitur albo garsonkę, a potem piękną kobiecą sukienkę na pianie z halek. A gdy inne, boleśnie starzejące się pary, pytały ich o dzieci, odpowiadali zgodnie: „Po co rodzić dzieci w czasach tak niepewnych, na ziemiach wciąż jeszcze niczyich, po tym wszystkim, co stało się w czasie wojny, po tym, co nam pokazali w kinie na temat obozów. Po co rodzić dzieci?".

Ale tak to już jest. Zawiązki dzieci powstawały w nich i tak, bo ich ciała miały gdzieś takie pytania i wojnę. Co miesiąc rodziły się w jej jajnikach, niepełne, połowiczne istoty; i w jego podbrzuszu produkowały się miliony istnień. I czasem zdarzało się, że te zawiązki łączyły się w jej macicy, ale ona nie chciała ich nosić ani karmić, ani pielęgnować, więc tajemniczo obumierały i zmywały je wodospady krwi. A ona święcie wierzyła, że świat jest poddany jej woli, że gdy się czegoś nie chce, to to się nie stanie, a gdy się zechce – to to będzie.

Więc choć sami o tym nie wiedzieli, tworzyli istoty bezcielesne, niepełne, nie dokończone, bez korzeni w ziemi, jak nasiona dmuchawca. A przez to, że owe byty nie mogły zapuścić korzeni w ciele, nie zamieszkał w nich żaden Bóg. Były puste. Krążyły wokół ich domu, pałętały się po powietrznych przestrzeniach bajecznego ogrodu, zaglądały przez szyby, mościły się w szklankach, które oni podnosili do ust, i spływały do wnętrza ich ciał, uporczywie poszukując miejsca, by zasiać się samemu i wzrosnąć. Było ich mnóstwo i towarzyszyły im wszędzie, gdziekolwiek szli, jak rozedrgane, niespokojne aureole.

Czas wtedy miał ruchliwą naturę rtęci. Codziennie przyjeżdżali do miasta obcy i zaraz kierowano ich do opuszczonych mieszkań. Miasto nie mogło istnieć nie zamieszkane. Praca czekała na każdego, kto tylko chciał pracować. Szkoły potrzebowały nauczycieli, sklepy – ekspedientów, kopalnie błagały o górników, ratusz o urzędników. Powstał Blachobyt, przedsiębiorstwo pełne hal magazynowych, bocznic kolejowych, budynków, domów przy rynku, fabryk części do maszyn i tkalni lnu. Więc codziennie pociąg wypuszczał z siebie wymiętych podróżą osadników, którzy zapełniali poczekalnie w urzędzie, potem z papierami w ręku szli na kwatery. Trudno się było w nich rozeznać, zwłaszcza że mówili różnymi odmianami polskiego – albo z poznańskim pochyłym zaśpiewem, albo z góralskim przydechem, który jej wydawał się taki wulgarny, albo z zabużańską melodią, która jemu na zawsze już kojarzyła się z dzieciństwem.

Kiedyś, na samym początku, dokwaterowano im („na razie”, powiedzieli w urzędzie, gdy oburzony zadzwonił z pretensjami) dwie kobiety. Przyjechały z Zachodu, prosto z obozu, gdzieś pogubiły rodzinę. Wiedzieli, że były w obozie i że wróciły do Polski, żeby żyć normalnie, więc podjęli je

kolacją z winem i z twarzami poważnymi. Ona włożyła ciemną sukienkę, żeby niczym zdecydowanym lub nie daj Boże krzykliwym nie urazić ich uczuć.

Ale one, te siostry, bliźniaczki, jak się okazało, wyglądały całkiem dobrze. Może te włosy obcięte krótko mogły się kojarzyć niedobrze i zęby byle jakie, jak u starych ludzi, i jeszcze szczupłość ich ciał. Obie miały garsonki przerobione z pasiaków – obcisłe spódniczki tuż za kolano i do tego żakiet z baskinką przewiązany skórzanym paskiem. Oficerki były wyglansowane tak, że odbijały słońce. I te krótkie, odrastające włosy, zaczesane z brylantyną na przedziałek, jakby były cyrkówkami, które chodzą po linie w obcisłych trykotach. Były identyczne.

Patrzyła na nie z góry, gdy z tekturową walizką wchodziły do domu i podziwiała ich szyk. Jedna miała na imię Lili, a druga jakoś podobnie. Wieczorem siedzieli i myśleli, że będą musieli słuchać tych wszystkich okropieństw, ale one wcale nie wyglądały na przerażone czy chociażby przybite. Żartowały cały czas, a na ich pociemniałych twarzach czerwono błyskała szminka. Ona z niesmakiem skonstatowała, że zachowują się kokieteryjnie, jakby wróciły z wycieczki. Z bliska zobaczyła, że na pasiakach zrobiły ręcznie francuskie zaszewki, które z chudości ich ciał czyniły elegancję.

Kiedyś potem, gdy pozwoliła im skorzystać ze swojego singera, w przypływie wdzięczności czy chęci zbliżenia, rozpięły guziki bluzek i pokazały jej skórę – ich ciało było całe w bliznach.

„Eksperymenty", powiedziała jedna z nich. „Robili na nas eksperymenty".

„Myśleli, że mamy jedną wspólną duszę", dodała druga i obie się roześmiały.

Poczuła się zażenowana i nie wiedziała, co odpowiedzieć.

Mieszkały u nich miesiąc, zaokrągliły się, niemal rozkwitły. Chodziły do urzędu i załatwiały sobie pracę. Słyszeli wieczorami strzępki ich pospiesznych, telegraficznych, jak to u bliźniaczek bywa, rozmów. Któraś z nich krzyczała przez sen, a może obie, bo głosy miały nierozróżnialne. W końcu jednak ruszyły do Warszawy szukać tej swojej rodziny przez ogłoszenia na murach i Czerwony Krzyż.

Znowu więc mieli swój dom dla siebie. Dokupili poniemieckie pianino dobrej marki, którego nie trzeba było nawet stroić. Jeden klawisz, jedno d, było głuche, dlatego każda melodia musiała być ułomna, łamała się na tym pustym dźwięku, co jego denerwowało. Ona jednak grała i tak, żeby pozwolić na odpoczynek wymęczonym od naklejania etykiet palcom.

Było pięknie. Trzeba było tylko uważać, żeby nie powiedzieć czegoś za głośno, za wiele. Nie komentować, nie oceniać, nie słyszeć zbyt wiele, nie patrzeć. To nie było trudne, kiedy się miało siebie nawzajem i ten dom, i pianino, i kwiaty w ogrodzie.

Potem, któregoś dnia, zrobiło się jakoś dziwnie. Bez ostrzeżenia. Pewnego dnia rano wszystko odrealniło się, pociemniało. Trwało to w sumie kilkanaście godzin – jeden cały dzień i dwie noce płytkich snów. Może spadło ciśnienie, może był jakiś wybuch na słońcu, o którym wiedzieli tylko astronomowie i ludzie u władzy.

Od tego czasu oboje zaczęli zapominać, co robili cały dzień. Dni wydawały się im podobne jeden do drugiego, bliźniacze, jak Lili i jej identyczna siostra. Przepływ czasu widać było tylko po rosnących kupkach brudnej bielizny w łazience. Praca wymagała poświęcenia, trzeba było zapomnieć o wszystkim innym. On musiał teraz jeździć na delegacje do ministerstwa albo na Górny Śląsk załatwiać jakieś maszyny, technologie przerobu antracytu, na jakieś nie kończące się konferencje, szkolenia polityczne. Ona zaczęła studia farmaceutyczne, żeby już do końca naprawić to, co popsuła wojna, i umieć nadać każdemu lekarstwu nowe, polskie imię.

A potem wykryto jej na jajniku guz wielkości śliwki. Powiedzieli jej: „Musi się pani naświetlać kobaltem, a potem może i iść na operację. Zobaczymy". Taka się poczuła marna z tym guzem, taka upośledzona, że pomyślała o dziecku. Że jednak chciałaby mieć dziecko. Pakowała mężowi garnitur, gdy miał wyjeżdżać, prasowała koszule i przygryzała wargi. Nic nie zauważał. Sama tłukła się do Wrocławia, potem zmęczona wracała. W domu było wiecznie zimno, jakby w pokojach wciąż padał śnieg, choć mówiło się, że po śmierci Stalina nastała odwilż.

Siedziała kiedyś na odkrytej werandzie i paląc papierosa, grzała się w słońcu. Wtedy zobaczyła tego chłopca idącego ulicą. Wyglądał jak nie z tego świata – miał włosy długie do ramion, skórzaną kurtkę przed kolana

i wojskowy plecak. Musiał poczuć na sobie jej wzrok, bo przystanął przy murku. Patrzyli tak na siebie przez chwilę i on ruszył dalej. Zaciągnęła się papierosem. Za kilka minut chłopiec znów był przy murku i podszedł do furtki.

„Mógłbym pani skopać ogródek", powiedział.

Podniosła się niespokojnie.

„Słucham?"

„Mógłbym pani skopać ogródek", powtórzył i uśmiechnął się. Wyglądał jak dziewczyna. Mógł mieć z osiemnaście lat.

Zgodziła się. Pokazała mu, gdzie jest rydel, i patrzyła, jak zdejmuje kurtkę i podwija rękawy swetra. Kopał systematycznie; odwracał skiby i czerwona ziemia tłusto błyszczała wsłońcu.

Wróciła do kuchni i zrobiła sobie herbatę. Przerzuciła kilka kartek w kalendarzu. Podeszła do okna – chłopiec siedział na murku i palił. Zobaczył ją w oknie i pomachał ręką. Cofnęła się w mrok kuchni.

Gdy skończył, zaprosiła go na zupę. Oparła się o kredens i patrzyła, jak je. Jego twarz była gładka, jakby nie musiał się jeszcze golić. „Podobno otworzyli granicę do Czechosłowacji", powiedział. „Idę do Austrii, potem do Rzymu".

Zamrugała powiekami, zaskoczona.

„Skąd jesteś?"

Roześmiał się i pchnął palcem talerz.

„Czy mógłbym jeszcze dostać dokładkę? Nigdy mi jeszcze tak nie smakowała żadna zupa".

Zdała sobie sprawę, że się zaczerwieniła. Dolała mu zupy i usiadła przy stole.

„No więc?"

„Wojna pomieszała mi biografię", powiedział. „Nie mam rodziców. Uciekłem z domu dziecka i chcę się dostać do wolnego świata. Słyszałem, że otworzyli granicę. To wszystko".

„Jak masz na imię?"

Miała wrażenie, że chwilę się zastanawiał, więc była pewna, że skłamie.

„Agni".

„Dziwne imię”.

„Ja też jestem dziwny”.

„Ile ci jestem winna?”

„Może mnie pani przenocować”.

Popatrzyła na swoje pomalowane paznokcie i zgodziła się. Otworzyła mu pokój na dole, ten sam, w którym przez miesiąc mieszkały bliźniaczki.

„Dobranoc”, powiedziała.

Musiała się zawsze ciepło ubierać, gdy spała sama. Na flanelową koszulę wkładała cienki sweterek, a na nogi wełniane skarpety, ale i tak musiała leżeć w zimnym łóżku z godzinę, żeby się rozgrzać. Do brzucha, w którym zamieszkał guz, tuliła gorący termofor. Zastanawiała się, czy chłopiec już usnął. Miała ochotę zejść tam po cichu i wsadzić rękę do kieszeni tej jego kurtki. Co znalazłaby? Może pistolet, może zwitek dolarów, może pluszowego misia, może nasiona kwiatów, może modlitewnik, może nagą, gładką skórę… Myśli zaczęły się rozchodzić w różne strony, mętniały, zanikały. Wtedy usłyszała jakiś szelest i usiadła na łóżku. W rozmytej plamie otwartych drzwi zobaczyła postać.

„To ja, Agni”, usłyszała.

„Czego chcesz? Wyjdź stąd”.

Postać wypłynęła z plamy drzwi i stanęła przy łóżku. Kobieta w panice zapaliła nocną lampkę. Chłopiec miał na sobie skórzaną kurtkę i plecak na ramieniu.

„Przyszedłem się pożegnać. Najlepiej przejść granicę w nocy”.

„Zastrzelą cię”.

Usiadł przy niej i grzbietem ręki przesunął po jej szyi.

„Gdzie jest twój mąż?”

„W Warszawie”.

„Kiedy wróci?”

„W poniedziałek”.

W butach, w ubraniu i z plecakiem wsunął się jej pod kołdrę. Mówiła: „Nie, nie, nie mogę, nie mogę”.

Kiedy się do niej dostał, powtarzała sobie: „To sen, to mi się wszystko śni”.

Rano zobaczyła go przez okno sypialni. Kopał ogródek. Zrobiło jej się słabo. Zapaliła papierosa i nalała sobie wody do wanny. Leżała w wodzie i zbierała myśli. Zastała go potem w kuchni, gdy parzył kawę.

„Idę do pracy, a ty masz stąd zniknąć".

Pocałował ją w szyję.

„Wcale tego nie chcesz. Chcesz, żebym tu został do poniedziałku".

„Tak", powiedziała i przytuliła się do niego.

I został. Kiedy wróciła z pracy, zjedli resztkę zupy i poszli do pokoju bliźniaczek. Kochali się cały wieczór. Potem wypili butelkę wina i zasnęli. Rano zapytała go:

„Kim ty, do cholery, jesteś? Skąd się wziąłeś? Czego chcesz?"

Ale nie odpowiedział. Poszedł sobie dopiero w niedzielę wieczorem, a ona nie spała do rana, tak tęskniła. Miała wrażenie, że zna go całe lata, od dzieciństwa albo, jeżeliby to było możliwe, jeszcze przed urodzeniem. Gdyby nie obiecał, że wróci – umarłaby. Położyłaby się w pokoju bliźniaczek i umarła.

W poniedziałek było już po staremu. Jej mąż, jak w filmie, wrócił porannym pociągiem i siedział teraz na kanapie z nogami wyciągniętymi na wyleniały dywan. Spod spodni wystawał mu kawałek nagiej skóry ściśniętej podwiązką. Szare skarpetki w wężowe wzorki ukrywały kształt stopy. Pił herbatę w szklance z metalowym uchwytem i odpoczywał po podróży. Ona usiadła przy nim i nagle usta się jej wykrzywiły, i zaczęła płakać. Spojrzał na nią zaskoczony, a potem przytulił do rozpiętych klap marynarki, która pachniała pociągiem i bezsennością. Powiedziała mu, chlipiąc, że znowu musi jechać do Wrocławia, jakby się tłumaczyła z tego płaczu. Głaskał ją po włosach i miał wrażenie, że zrobiły się rzadsze. Pod palcami wyczuwał kształt czaszki. Pomyślał sobie nawet: „czaszka", i przeraził się.

Nagle zapragnął ją pocieszyć. Wstał ostrożnie iz walizki wyciągnął szarą papierową torbę, w której był prezent urodzinowy. Po co trzymać jeszcze miesiąc?

„Zobacz, moja śliczna, co kupiłem. To miało być na urodziny, ale niech dzisiaj będą twoje urodziny".

Zaszeleścił papier i wyjęła z torby kremowe pantofle, a do nich torebkę z tej samej, doskonale gładkiej skórki. Jej oczy schły, gdy patrzyła na rzeczy. Włożyła nagą stopę w pantofel. Był doskonały. Wysoki, lekko wygięty obcas podkreślał szczupłość kostki. Pocałowała męża w policzek pokryty podróżnym zarostem.

„Włożysz je do kina. Pójdziemy obojętnie na co, bylebyś mogła włożyć te buty".

Gdy szli spać, powiedziała mu, że ma okres. W nocy wydawało jej się, że czuje w brzuchu ten guz wielkości śliwki.

Milczenie

Nie odzywaliśmy się do siebie całymi dniami. R. wyjeżdżał i wracał. Robił zakupy, załatwiał interesy. Czasami nie było go dzień albo dwa. Suki odprowadzały jego samochód do mostku i wracały zmęczone. Mrużyły oczy. Niskie, zimne słońce mogło już tylko oślepiać, nie grzać.

O czym mielibyśmy mówić. Ludzie rozmawiają tylko o tym, co nie dzieje się naprawdę.

Czasami w ciągu dnia padało tylko jedno zdanie: „Zawołaj psy". Nawet nie przywiązywaliśmy wagi do tego, kto z nas je powiedział. Nie było potrzeby mówić, wszystko wydawało się oczywiste i powiedziane raz na zawsze już dawno. Kiedy nikt nie przyjeżdżał, każdy dzień wyglądał tak samo; po co jeszcze mówić i robić zamieszanie, burzyć ten porządek.

Mówienie szkodziło, siało zamęt i rozwadniało oczywistości. Z mówieniem pojawiał się we mnie jakiś dygot. Nie sądzę, żebym w życiu powiedziała coś naprawdę ważnego. Na najważniejsze rzeczy i tak brakuje słów. (Lista brakujących słów. Najbardziej brakowało mi czasownika, którego znaczenie mieściłoby się gdzieś pomiędzy „przeczuwam" a „widzę").

Milczeliśmy do tego stopnia, że gdy przyjeżdżali do nas jacyś goście, zdobywaliśmy się tylko na lakoniczne grzeczności, jakieś „cześć" czy

„witaj”, ale nawet i te zwroty skracaliśmy, na ile to było możliwe, i mówiliśmy: „U ciebie?”. Bez „co”, bo to byłoby już za dużo. „Herbaty?”, pytaliśmy bez budowania alternatyw, dając im tylko jedną możliwość wyboru.

Siadaliśmy potem po drugiej stronie stołu, w cieniu, z twarzą ku lasowi. Milczeliśmy przez całą rozmowę. Nawet gdy wypuszczaliśmy z ust strzępki słów, milczeliśmy. Milczenie R. jest gładkie jak jego skóra. Jest naturalne, niewinne. Moje jest bardziej ponure, dochodzi z głębi brzucha, wciąga mnie, zapadam się w nim i ginę tam bezpowrotnie. Milczeliśmy do gości, do siebie, do wszystkiego wokół.

Gdy kochaliśmy się, to też w milczeniu. Nie padało żadne słowo, żadne westchnienie, nic.

Ona i on

Kiedy przychodziła seria naświetlań, musiała przenieść się na kilka dni do szpitala, więc on zostawał sam. Wtedy myślał, że przydałaby się im gospodyni. Najlepiej starsza pani, która robiłaby pasztet z zająca i całe gary pierogów. Która mówiłaby po lwowsku, z ciepłym akcentem, jak jego matka. Paliłaby w piecach i ścierała kurz z pianina. Obiecywał sobie, że to załatwi. Wtedy nie musieliby jeść odgrzewanych ziemniaków i odsmażanych kotletów.

W środę, gdy wrócił z pracy, na schodach siedziała dziewczyna. Miała włosy do ramion i zdecydowaną twarz. Nawet ładną, jak od razu zauważył. Dziwacznie wyglądała w roboczych spodniach, jakie kobiety nosiły w fabrykach. Stanął przed nią zdziwiony. Podniosła na niego oczy. Były zielone, kolorowe.

„Pana żona prosiła, żebym przyszła posprzątać i napalić w piecu. Jutro proszę mi zostawić klucze”.

Wpuścił ją przed sobą do sieni. Dziewczyna poszła do kuchni i zadzwoniła węglarką. Widocznie znała już mieszkanie. Trudno mu się było z tym oswoić, więc usiadł w pokoju przy stole i zapalił papierosa.

„Jak masz na imię?”, zapytał, żeby cokolwiek powiedzieć.

„Agni”, odpowiedziała.

„Pewnie od Agnieszki”.

Nie zaprzeczyła, tylko uśmiechnęła się szeroko. Miała piękne, równe zęby nastolatki. Słyszał, jak krzątała się po domu, w którym robiło się cieplej i przyjemniej. Gdy była w łazience, nalał sobie kieliszek wódki i wychylił ją jednym haustem. Potem udawał, że porządkuje papiery na biurku. Przyniosła mu odgrzany bigos i herbatę.

„Jutro, jak pan chce, mogę przyjść wcześniej i coś ugotuję. Umiem robić gołąbki”, uśmiechnęła się i usiadła przy nim, gdy wziął się do jedzenia.

„Jak ona cię wynalazła? Skąd się tu wzięłaś?”, zapytał z ustami pełnymi jedzenia.

„Ach, to zbieg okoliczności. Skomplikowane”.

Zauważył, że miała gładką, dziecinną cerę, bez śladu zmarszczek czy piegów. W głowie rozbłysnął mu na sekundę jaskrawy obraz jej nagiego szczupłego ciała rozciągniętego na łóżku i przeraził się. Powiedział, że jest zmęczony i zaraz idzie spać. Przypomniała mu o kluczu i znikła w kuchni. Słyszał, jak zmywa wczorajsze naczynia. Poczuł się niespokojny; podniósł słuchawkę czarnego telefonu i zakręcił korbką. Kazał się połączyć ze szpitalem we Wrocławiu, ale tam nikt już nie odpowiadał. „Zadzwonię jutro z pracy, zadzwonię jutro z pracy”, powtarzał sobie. Usłyszał, jak na dole trzasnęły drzwi wyjściowe, zatrzymał się na schodach i nagle wszystko z niego opadło. Westchnął i wrócił do jadalni. Włączył radio i nalał sobie wódki. Leciało jakieś słuchowisko.

„Przyjaciółmi nie będziemy”, powiedział męski głos w radiu. „Pani sama o tym wie. A czy będziemy najszczęśliwszymi, czy też najnieszczęśliwszymi z ludzi – to jest w pani mocy. Tylko o jedno przecie proszę: proszę, by pani nie odbierała mi nadziei i pozwoliła dalej tak cierpieć jak dotąd. Jeśli i to jest niemożliwe, niech mi pani każe zniknąć, a zniknę”.

„Ja nie chcę pana nigdzie wypędzać”, odezwał się emfatyczny kobiecy głos i wydawało mu się, że to musi być Nina Andrycz.

„Niech pani tylko nic nie zmienia. Niech wszystko zostanie tak, jak było dotychczas. A oto i mąż pani…”

Wyłączył radio i poszedł spać. Pierwszy raz od lat miał erotyczny sen. Śniła mu się ta dziewczyna. Znów była wojna. Chowali się przed Niemcami w jakichś fabrykach. Woda leciała na nich z popsutych pryszniców. Byli nadzy. Tuliła się do niego, jej włosy pachniały wodą. Chyba się kochali, ale to było jakieś dziwne, nie czuł tego w ciele, tylko wiedział, że to jest miłość.

Rano zadzwonił do szpitala. Rozmawiał z żoną, ale jej głos brzmiał bezbarwnie i metalicznie. Powiedziała, żeby przyjechał po nią w piątek. Szybko policzył, że to za trzy dni. Powiedziała mu też coś o operacji, ale nie zrozumiał dokładnie, nie chciał o tym myśleć. Wrócił do domu wcześniej i wykąpał się, potem w czystej koszuli czekał nie wiadomo na co.

Wszystko działo się tak, jakby było zaplanowane. Ona weszła, miała te same spodnie co wczoraj i trzymała w ręku wielką głowę kapusty. Chodził za nią niezręcznie, gdy paliła w piecach. Czuł się śmieszny. Coś tam mówił, ale bardziej przyglądał się jej włosom i nagim stopom w tenisówkach. Nie mógł od niej odejść. Było jak w tym śnie – ukrywali się przed wrogim światem. Kto był tym światem, nie wiedział. Powiedziała, żeby podał jej nóż, i on z tym nożem w ręku podszedł do niej i po prostu przywarł nagle do jej chudego ciała, a ona się wcale nie broniła. Była miękka, delikatna, powolna jak szmaciana lalka. Położył sobie jej ręce na ramionach i całował ją po twarzy. Spodziewał się oporu, jakiegoś „nie", ale tylko słyszał jej oddech, który pachniał świeżymi ogórkami, czymś zielonym, świeżym, czymś, do czego zawsze tęsknił. Położył ją po prostu na kanapie, ściągnął jej te śmieszne spodnie i tak zupełnie zwyczajnie kochał się z nią i nawet pamiętał, żeby nie zrobić jej dziecka.

Takie rzeczy zdarzają się ludziom, powtarzała sobie, gdy wysadzała na rabaty flance aksamitek. Człowiek się zmienia, wyrasta ze starych sytuacji jak dziecko z ubrań. Czas płynie i zmienia wszystko. Są duże i małe wojny. Te duże zmieniają świat, te małe człowieka. Tak to już jest. Nie robię nic złego. Nie krzywdzę nikogo, najwyżej siebie, gdy tak czekam i czekam.

Nikt nie jest nic nikomu winien. Czyny zmazują się wzajemnie i przestają być groźne dla wszelkiej przyszłości. Nic się nie dzieje.

Ale świat wyglądał tak, jakby się przebudził. Przynajmniej dla niej. Jego centrum przeniosło się teraz z domu i nawet z ogrodu gdzieś na zewnątrz,

nie w konkretne miejsce w mieście, ale po prostu gdzieś poza. Dlatego sadząc aksamitki, poczuła się nagle uwięziona. Podniosła się i otrzepała pobrudzone ziemią ręce. Nie chciało jej się już czekać na to powolne wzrastanie. Kwiaty stały się dla niej nagle za powolne, tępe jak przedmioty. Poszła więc do domu, usiadła przy okrągłym stole w pokoju i zaczęła przeglądać „Przekroje" w poszukiwaniu swojej ulubionej strony z modą. I znajdowała, ale nie robiło to już na niej żadnego wrażenia, nie wywoływało tego dreszczu przyjemności, że widzi się coś pięknego i ulotnego, co przeminie z następnym sezonem. Oglądanie mody zawsze wiązało się z jakimś niepokojem i nagłym pośpiechem – bywało, że natychmiast wychodziła na rynek do sklepu z materiałami i kupowała najbardziej podobny do tego, jaki widziała w gazecie. Potem szła od razu do krawcowej, zamawiała i nawet płaciła z góry, żeby mieć pewność, że tę rzecz będzie miała, bo inaczej wypadnie z nurtu czasu, obsunie się z „teraz" i spadnie we „wtedy", a tam zawsze panuje mrok i przemijanie.

Zobaczyła tylko rysunki i biało-czarne zdjęcia nowych sukienek dopasowanych w talii i szerokich dołem. Były jej obojętne. Odsunęła magazyny i poszła się wykąpać. Patrzyła na swoje ciało i zrobiło jej się go żal. Kruchy, miękki przedmiot wydany na żer jakimś wewnętrznym i zewnętrznym potęgom, które przewalają się po nim jak nawałnice, jak ciężkie deszczowe chmury. Jedyne, co można zrobić, to czekać.

Czekała niespokojnie od rana, z filiżanką kawy w ręku, w szlafroku, chodząc od okna do okna, przeglądając puste przestrzenie między tralkami ogrodzenia. Raz Agni zjawiał się, innym razem nie. Nie było reguły. Próbowała go wypytywać, co robi, gdzie śpi, ale on tylko uśmiechał się jakoś tak drapieżnie, że jej robiło się naprawdę słabo. Opierała się o drzwi i przymykała oczy. Wcale nie chodziło o fizyczną miłość, o pospieszne stosunki i tysiąc wyobrażeń, że właśnie w tym momencie, jak w komedii, zjawia się mąż z teczką i stoi w drzwiach. Czuła, że Agni ją leczy, jego miękkie dotknięcia są chłodne jak okład z mięty, jego pocałunki gorące jak grog; dzięki nim jej ciało zbiera się w sobie, tężeje, bierze się w kupę i nie pozwala na rozpad. To było widać. Agni śmiał się, że się zaokrągliła i zaraz szedł do kuchni i wyjadał jej coś z garnków, a potem znikał, znikał. Nie wiedziała nawet, gdzie mieszka; może to dobrze, bo

prędzej czy później poszłaby tam. I miał takie wyczucie, że zawsze wiedział, kiedy wrócić, jakby znał rozkład jej życia, rozkład pracy jej męża i jej własne myśli, bo gdy o nim pomyślała, a była w domu sama, on pojawiał się i migał najpierw przez ogrodzenie, potem szybko wbiegał po schodach, a ona już na niego czekała. „Czy ty czytasz w moich myślach?" – pytała go. „Tak", odpowiadał. „I mogę cię tego nauczyć". Nie wierzyła mu oczywiście. „Musisz wyobrazić sobie twarz ukochanej osoby tak mocno, tak potężnie, żeby aż mieć wrażenie, że to ty nosisz tę twarz, że to twoja twarz. Wtedy wszystkie jej myśli staną się twoje". „I ty tak robisz?" Przytaknął i popatrzył jej w oczy. Poczuła jego wzrok wewnątrz całego ciała. „Ty nie jesteś tym, kim jesteś", mówiła.

Jakie to dziwne – tak żyć w dwóch światach, w dwóch częściach czasu, ze zbuntowaną częścią siebie we własnym jajniku, w oczekiwaniu na operację, która okaleczy na zawsze, w nie swoim domu, w mieście, którego się nigdy do końca nie pozna, w świecie, który zmiecie z powierzchni ziemi trzecia wojna światowa. Z dwoma mężczyznami na przemian. Kwitną piwonie, ich płatki obsypują się miękko na ziemię. Jaśmin pachnie jeszcze rozpaczliwie, ale wiadomo już, że to koniec. Na kilka dni przed wyjazdem do szpitala ona idzie do kościoła, ale nie śmie wejść w tę ciemną, chłodną, gotycką przestrzeń, bo jej nie wypada, więc idzie na cmentarz, upewnia się, że nikt jej nie widzi, klęka przed krzyżem i modli się niepewnie, bez przekonania. Wieczorem tuli się do męża i jego ciało wydaje jej się skórzaste, zbyt miękkie, przesiąknięte zapachem dymu z papierosów i smaru do maszyn. On się chce kochać, ale ona mówi „nie", bo czuje, że już zaczęła umierać.

Agni jest dla niej stały i twardy. Zaskakuje ją zdecydowanie jego ciała. To ciało wie, czego chce, idzie prosto do celu, jakby przez nią, ale nie czyni jej krzywdy. To jest przyjemne i dobre. Jego ciało ją poznaje i teraz ona zdaje sobie sprawę, że zawsze chciała być tak poznawana, że urodziła się po to, żeby dać się poznać komuś takiemu jak Agni. Jego dotyk ją zniewala; nie znajduje słów, żeby to nazwać; nie istnieje żadne „nie". Jej mąż potrafi być bardziej czuły, potrafi na nią czekać, zagląda jej w oczy, spija z twarzy przyjemność. Agni jest zajęty sobą, a przez to najprawdziwszy. Ona staje się dla niego okrętem, który niesie go przez gwałtowne morza. Ona mu daje siebie, a on bierze. Jest szczupły, żylasty, szorstki. Jego opalona skóra

skwierczy pod jej palcami. Kiedy potem dotyka ciała swojego męża (które tak kiedyś kochała), nie może nadziwić się jego miękkości i delikatności. Puchowy jasiek, miękka juchtowa torebka, przejrzałość brzoskwini, jej własny wiotczejący brzuch. Jej mąż jest nią samą; z ich dotknięcia nie rodzi się żadna iskra, nie można ani rozgrzać się, ani zmarznąć. Jedyne słowo, jakie może narodzić się z tego podobieństwa, to „nie".

Odprowadziła go jeszcze przez szpitalny park do bramy i tam się zatrzymała, jakby była zaczarowana i nie mogła już przekroczyć tej niewidzialnej linii między ceglanymi słupami.

„Lepiej nie przyjeżdżaj tu do mnie", powiedziała. „Poproś panią Eugenię o sprzątanie, a w stołówce gotują lepiej niż ja".

Nagle poczuła się zmęczona. Dlaczego miałaby się martwić jego sprzątaniem i jego obiadami. Sam ją rozgrzeszył:

„Nie martw się mną".

Już kolejny raz miał ochotę zapytać ją o Agni. Wspomnienie dziewczyny posiało w jego ciele niepokój.

„Idź już".

Pocałował ją w policzek i w dłoń. Odwróciła od niego wzrok.

„Powinno być sprawiedliwie. Powinni ci obciąć jaja", powiedziała.

Poczuł się tak, jakby go uderzyła. Poruszył wargami, ale nie udało mu się wypowiedzieć żadnego słowa, więc poszedł. Patrzyła za nim, na jego barczyste, wysokie ciało, schowane bezpiecznie w eleganckim letnim garniturze. Musiał czuć ten jej wzrok, bo poprawił niezdarnie kapelusz i zniknął za rogiem.

Dom był cichy, chłodny, ciemny. Biuro jasne, zawsze przegrzane i pełne ludzi. On w biurze tryskał energią, mówił szybko i głośno, chodził sprężystym krokiem i wiedział, czego chce. W domu czas spowalniał, a więc wszystko razem z nim. W domu brzuch mu opadał, stopy marzły, a głos zamierał: nie było z kim rozmawiać, wydawać poleceń, stare meble znały całą prawdę. Granica między domem a biurem biegła gdzieś na rynku, po liniach między kamiennymi płytami, i codziennie musiał ją przekraczać dwa razy. To codzienne przekraczanie granicy stało się jakieś bolesne, więc ostatnio oddalał ten moment i szedł do restauracji na wódkę.

Najpierw chciał wejść do „Lido”, ta knajpa była mu bardziej po drodze, ale uznał, że nie byłby w porządku wobec samego siebie, gdyby siadł przy laminowanym, wiecznie wilgotnym blacie, wśród nie domytych mężczyzn z przedmieść, i wdychał wyziewy piwa i tanich papierosów. Zachodził więc do „Basztowej”, zwykle jeszcze pustej o tej porze, gdzie znała go podstarzała kelnerka i bez zamawiania stawiała mu kieliszek wódki i śledzia w śmietanie. Tam siedział i patrzył przez oszkloną witrynę na ospałą, małomiasteczkową ulicę. Nie było się co oszukiwać – wśród przechodniów szukał Agni. Wtedy zastanawiał się, co też ona robi, kiedy nie jest z nim. Czy w ogóle istnieje, czy ma jakieś swoje łóżko, szafę mieszczącą te jej śmieszne spodnie, łazienkę, w której mieszka jej szczoteczka do zębów. Nawet nie wiedział, jak się nazywa. Mógłby to sprawdzić, mógłby się dopytać, w końcu miasto nie było duże i raczej wszyscy się tu znali.

„Kim ty jesteś? Skąd się tu wzięłaś? Czy masz rodziców?”, pytał ją wieczorem, gdy tuliła się do niego sucha i gładka jak jaszczurka.

Cokolwiek odpowiedziała, wiedział, że kręci. Była całkowicie obca, jakby ulepiono ją z innej gliny, i ta jej obcość pociągała go do obłędu.

„A kim ty jesteś?”, odpowiadała pytaniem. „Skąd się tu wziąłeś? Gdzie są twoi rodzice?”

Opowiadał jej o sobie chętniej niż komukolwiek. Z tych opowieści wyłaniał się sam dla siebie i z zaskoczeniem stwierdzał, że zawsze był ofiarą jakichś zbiegów okoliczności, przypadkowych spotkań, chaotycznych ruchów. Potem zastanawiał się nad tym w restauracji „Basztowa”, gdy pił swoją pojedynczą wódkę. Te rozmowy w łóżku, gdy leżeli wymęczeni seksem, były jakąś inną odmianą miłości, powiedziałby nawet – doskonalszą. Nie potrzebowała żadnej kokieterii, podchodów, umizgów. Wystarczało tylko otworzyć w sobie jakieś śluzy, groble, zapory i pozwolić płynąć słowom. A one już wiedziały, co robić, w jakie układać się zdania, jakie historie tworzyć. Był jej za to wdzięczny, że tak leżała i słuchała. A może wcale nie słuchała? W takim razie potrzebna mu była jej sama obecność: jej chłopięce ciało zatopione w poduszkach, równy gorący oddech i zapach świeżo zerwanych ogórków. Kiedyś zmierzył jej dłońmi talię i następnym razem, gdy był we Wrocławiu u żony, kupił jej w pedecie modną marszczoną spódnicę z szerokim paskiem. Widać się ucieszyła, bo

długo oglądała spódnicę, każdy szczegół jej prostego kroju, jakby po raz pierwszy coś takiego widziała. Gdy ją przymierzyła, podniósł jej włosy na czubek głowy i zrobił z nich koński ogon. Tak ją właśnie widział potem zza witryny restauracji. Biegła wzdłuż ulicy, szara spódnica żyła wokół jej długich nóg. Zanim zdążył zapłacić i wyszedł, znikła. Ale przecież wiedział, że wróci wieczorem, jak codziennie.

Żonę zobaczył dzień po operacji. Poraziła go jej poszarzała bladość i w głowie zjawiła mu się myśl, że ona umrze. Nie byłoby w porządku umrzeć teraz, w tym pogmatwaniu i milczeniu. Naprawdę wystraszył się, że to zrobi i zostawi go w momencie najniebezpieczniejszym – kiedy jedna skóra już odpadła, ale nie ma jeszcze nowej. Trzymał ją za rękę i wołał po imieniu, aż otworzyła oczy. Uśmiechnęła się słabo, a jego tak wzruszył ten widok, że zachciało mu się płakać. I byłby sobie pozwolił na łzy, gdyby byli sami, ale obok, metr dalej stały łóżka, a na każdym ciało kobiety, popsuty, miękki, nietrwały mechanizm, wymyślony do przenoszenia pokoleń poprzez czas, krucha łódź, która płynie z jednego brzegu nocy na drugi i wysypują się z niej ludzie. Więc tylko zagryzł wargi i obraz zamglił mu się na chwilę od łez.

„Jak sobie radzisz?", zapytała.

Kiwnął uspokajająco głową.

„Zdaje się, że wycięli mi wszystko".

Mimowolnie spojrzał w to miejsce, gdzie pod kołdrą był jej brzuch. Nie wiadomo dlaczego spodziewał się zagłębienia. Pocałował jej białą długopalcą dłoń. Siedział tak jeszcze chwilę, a potem był obchód, więc kazano mu wyjść. Powiedział, że przyjedzie pojutrze.

To właśnie tego dnia kupił tę spódnicę dla Agni.

Nie było sposobu, żeby zatrzymać rojące się wgłowie myśli o przyszłości. Wyobrażał sobie, że ona umrze, a on z Agni zostawią ten spalony już dom i pojadą może na Górny Śląsk albo do Warszawy. On znajdzie tam bez kłopotu pracę, a Agni pójdzie na studia, na architekturę na przykład. Będzie jej kupował piękne ubrania i w niedzielę będą się przechadzać po Nowym Świecie, a młodzi mężczyźni będą się za nimi oglądać.

A nawet jeżeli ona nie umrze, to on w końcu od niej odejdzie. Po prostu odejdzie.

I – jakie to dziwne – pomimo oddalenia, marzenia mieli takie same. Ona też chciała umrzeć. Miała taką nadzieję; to byłoby najlepsze rozwiązanie. Myśl, że musi wrócić do wielkiego chłodnego domu, wstawać rano do apteki, potem robić po drodze zakupy, przesadzać kwiaty, brzdąkać na pianinie i w nieskończoność przerzucać kartki magazynów fizycznie ją bolała. Tęskniła tylko do Agni. Czy odważy się powiedzieć mu o tym, co jej zrobili, że jest pusta w środku jak łupina, i czy on wtedy odważy się zanurzyć w pustkę, która teraz w niej jest? Rana w brzuchu bolała, szwy nie chciały się goić, pewnie dlatego że w jej myślach kwitła śmierć. Bo on też mógłby umrzeć, jego służbowy samochód mógłby wpaść na drzewo albo mógł się zdarzyć wypadek w Blachobycie. Nie czuła się winna, gdy tak myślała. Jej sumienie było teraz po jej stronie. Potem którejś nocy przyśniły się jej bliźniaczki w obozowych pasiakach. Pokazywały jej wielkie blizny na brzuchu. „Robili na nas eksperymenty", powiedziały, „wycięli nam wszystko, serce, wątrobę, płuca, ale nam to wcale nie przeszkadza". Od tego snu zaczęła wracać do zdrowia.

Gdy była jeszcze w szpitalu, on wynajął na przedmieściu mały wilgotny pokój z osobnym wejściem od zapaskudzonego przez kury podwórka. Jego ściany były zielone i pomalowane wałkiem w nierówny biały wzór. Stało tam żelazne łóżko z poplamionym materacem, nagi stolik i dwa krzesła. Na ścianie wisiał Jezus nauczający z łodzi. Tam umówił się z Agni, ale nie mógł się z nią kochać. Nie wiedział dlaczego. Ogarnęła go rozpacz, że sobie z tym wszystkim nie poradzi, że znalazł się oto w tej rzadkiej sytuacji, z której naprawdę nie ma wyjścia. Przytulił się do drobnych piersi dziewczyny i płakał. „Chciałbym, żeby umarła", powiedział nagle głośno i przeraził się swojego głosu. Agni odsunęła jego głowę tak, żeby zobaczyć twarz. Jej czyste, młode oczy wydały mu się jakieś drapieżne. Znał skądś to spojrzenie. „Co powiedziałeś? Powtórz to". „Chciałbym, żeby ona umarła", powtórzył posłusznie.

Jej ciało było nieprawdopodobnie giętkie, przypominało mu jedwabny szal, którym można się owinąć. Mógłby się owinąć w cudną Agnieszkę, w morelowe ciało Agni. Była jak woda, zawsze umiałaby mu się wymknąć, gdyby tylko chciała. Nie potrafiłby jej dogonić, złapać, przytrzymać. Więc to był cud, gdy zatrzymywała się i spływała na niego. Pił ją, aż się zachłystywał.

Nie porównywał jej z nikim, nie dałoby się z niczym jej porównać, ale czasem, gdy głęboko usnął, a potem budził się nagle – zdawało mu się, że leży przy swojej żonie. W panice szukał jej imienia, które zapomniał na śmierć. I z ulgą odkrywał, że jest z Agni, i znowu nie mógł się nadziwić jej ulotności. Jego żona była twardym naczyniem, glinianą amforą. W miłości musiał ją przekręcać i ustawiać, musiał nią dysponować. Była chuda jak gałąź, miała drzazgi. Jej ciało dawało mu ten rodzaj przyjemności, która zawsze gdzieś na samym dnie była bolesna i mechaniczna. Wtedy nie wiedział o tym; myślał, że tak musi być, bo nie znał Agni.

Agni była cudem.

Chciał ją zatrzymać, gdyby tylko mógł. Wciąż jej dotykał, kiedy spali. Kiedy siedzieli przy stole, raz po raz muskał wskazującym palcem jej rękę, jakby jej pokazywał: tu bądź, nie ruszaj się, tu zostań. Lubił słuchać, gdy robiła coś w mizernej kuchence garsoniery – brzęk szkła, szuranie czajnika po kuchennym blacie, jej kroki. Lubił mieć te dźwięki gdzieś za sobą, bo one były jak wsparcie, jak mur, który go podpiera, jak bezpieczna granica świata. Ale ona robiła wokół siebie zbyt mało takiego bezpiecznego, zwyczajnego hałasu. Była lekka i drobna, jej bose stopy poruszały się po drewnianej podłodze zawsze bezszelestnie. „Krzycz", mówił do niej, gdy się kochali. „Krzycz". Ale nawet jego nasienie nie napełniało jej tak, jak powinno napełniać. Wydawało mu się, że przepływa tylko przez jej ciało i wsiąka w pościel.

Gdy jego żona wróciła z tego szpitala, Agni nie pojawiła się więcej. On szalał. Wymykał się z domu i błądził po miasteczku, ale nie śmiał wypytywać ludzi. Przychodziło mu do głowy, że coś jej się stało, że ma kłopoty, może miała wypadek. Czytał codziennie lokalną gazetę, ale nic w niej nie było o Agni. Przesiadywał w „Basztowej", tuż przy wystawowej szybie, i pijąc wódkę za wódką, przyglądał się wszystkim młodym dziewczynom. Raz nawet zdawało mu się, że ją dojrzał. Wybiegł, ale był zbyt pijany, żeby podjąć jakąkolwiek decyzję. W łazience płakał. Jeszcze przez rok trzymał to wynajęte mieszkanie i zostawiał jej kartki na drzwiach, ale one żółkły tylko na słońcu i pismo blakło. Wydawało mu się, że tego nie przeżyje, że umrze od środka, że to koniec. Umrze cały jego dom, razem z żoną, tym smutnym ruchomym przedmiotem, umrze czas.

„Wiem, stałam się zgryźliwą jędzą", mówiła jego żona, „a to dlatego, że nie mogłam mieć dzieci". Ale wiedziała, że było inaczej. Nie mogła mieć dzieci z nim. Mogłaby mieć z Agni, gdyby wrócił. Ale Agni zniknął. Po powrocie ze szpitala z pustym brzuchem wkładała futro i kłamiąc, że idzie do krawcowej, chodziła pustymi, zziębniętymi ulicami miasteczka, zaglądała w okna ludziom, do wnętrz restauracji. Śledziła wzrokiem każdą postać mężczyzny. Czasem w jakiejś rozpaczy wychodziła na przedmieścia, tam gdzie nie świeciły już żadne lampy, było ciemno i mokro, płynęła cuchnąca rzeczka. Opierała się czołem o jakiś parkan, jakieś drzewo i mówiła „Agni, Agni, Agni", jakby codziennie musiała wypowiedzieć ileś tam razy to imię, jakby było czymś do oddychania. Mówiła „Agni, Agni, Agni" i czekała potem, wierząc, że takie powtarzanie jest magiczne i pokonuje przestrzeń, może nawet i czas, i w końcu sprowadzi Agni do niej. Wyobrażała sobie, jak to imię wylatuje z jej ust, pędzi ponad horyzontem, furkocząc, i spada gdzieś na ukochaną głowę, plącze się we włosach i sprowadza tego chłopca tutaj, do niej. Czasem mijali ją jacyś spóźnieni przechodnie. Musieli myśleć, że jest pijana i bełkocze. Ktoś ją czasem zaczepił, więc kryła twarz w kołnierzu – w końcu wszyscy ją znali. Narazić się na śmieszność z powodu miłości do chłopca-przybłędy, młodego mężczyzny nie strzyżonego od roku. Narazić się na śmieszność z powodu miłości. Narazić się na śmieszność. Być śmieszną, bo opętaną uczuciem, które ma sens tylko wtedy, gdy widzi się je od środka, z dna tego grobu, jakim jest każdy człowiek. Być śmieszną, bo z zewnątrz nie zrozumianą. Być śmieszną, bo budzić zdziwienie przemieszane ze współczuciem. Pogodzić się z własną śmiesznością. Dawać ogłoszenia do gazety. Zaczepiać ludzi na ulicy, szarpać ich za rękaw i pytać: „Nie widział pan..." Wystawać na przystankach autobusowych, przed liceum, pod internatami. Błagać milicjanta o ponurej twarzy, żeby sprawdził te swoje tajemnicze dane o wszystkich ludziach. Stale odwiedzać kostnice. Rozdzielać całujące się w parku pary i mylić się zawsze, przepraszać. Smarować piersi i brzuch oliwką dla dzieci. Dotykać się czule własną dłonią i oszukiwać, że to jest jego dłoń. Płakać w kuchni przy myciu naczyń, przy krojeniu chleba, przy modnym szlagierze, banalnym, dla

prostych ludzi: „Odszedłeś potem nagle, liść powiewem wiatru padł mi do nóg…”.

Spała, a gdy się budziła, myślała, jak się zabić. W swoich tunelach smutku obmyśliła wszystkie sposoby – od rzucenia się pod pociąg po zagazowanie się w kuchennym piekarniku. Ale nigdy nawet nie spróbowała. Kiedyś z rąk wypadł jej pęk noży, które myła i układała w szufladzie. Kucnęła, żeby przyglądnąć się ich ostrzom – wszystkie krzyżowały się ze sobą. Skoro jest tak, że każda, nawet najmniejsza rzecz jest częścią rzeczy większej, a rzeczy większe są elementem tych wielkich, potężnych procesów, to każda najmniejsza rzecz musi mieć znaczenie, które ma udział w ogólnym sensie. Czy nie tak? Co więc znaczą skrzyżowane ostrza kuchennych noży leżące na posadzce? I dlaczego się skrzyżowały, dlaczego nie upadły z daleka od siebie, w łagodnych równoległościach, w kojącym oddaleniu od siebie?

Odtąd codziennie rzucała pęk noży na ziemię, wymyśliła wróżbę. Ostrza zawsze ciągnęły do siebie, w swoim niezrozumiałym dla ludzi nożowym świecie chciały się do siebie tulić albo z sobą walczyć, jakby nie istniało inne rozwiązanie.

Po jakimś czasie wróciła do pracy w aptece, skończyło się zwolnienie, i gdy tylko miała wolną chwilę, przyglądała się półkom z truciznami. Kilka lat potem, będąc na rencie, wróciła do przeglądania żurnali i zamawiała u krawcowej stalowe garsonki, wszystkie do siebie podobne, jak mundurki.

Jak wygląda świat, kiedy życie staje się tęsknotą? Wygląda papierowo, kruszy się w palcach, rozpada. Każdy ruch przygląda się sobie, każda myśl przygląda się sobie, każde uczucie zaczyna się i nie kończy, i w końcu sam przedmiot tęsknoty robi się papierowy i nierzeczywisty. Tylko tęsknienie jest prawdziwe, uzależnia. Być tam, gdzie się nie jest, mieć to, czego się nie posiada, dotykać kogoś, kto nie istnieje. Ten stan ma naturę falującą i sprzeczną w sobie. Jest kwintesencją życia i jest przeciwko życiu. Przenika przez skórę do mięśni i kości, które zaczynają odtąd istnieć boleśnie. Nie boleć. Istnieć boleśnie – to znaczy, że podstawą ich istnienia był ból. Toteż nie ma od takiej tęsknoty ucieczki. Trzeba by było uciec poza własne ciało, a nawet poza siebie. Upijać się? Spać całe tygodnie? Zapamiętywać się w aktywności aż do amoku? Modlić się nieustannie?

Wszystko to robili oboje, ale każde osobno. Na zewnątrz wyglądało to, jakby byli normalnymi ludźmi i żyli jak inni. Może zresztą wszyscy tak żyją. Lata zmieniają wszystko oprócz tej tęsknoty. Włosy wypadają, żółknie papier, budują się domy na peryferiach miast, zmieniają się ustroje, bogaci stają się biednymi, biedni bogatymi, umierają stare, samotne sąsiadki, buciki dzieci robią się za małe.

Tak bardzo byli teraz innymi ludźmi, że mogliby zmienić nazwiska i imiona; pójść do urzędu i napisać podanie: „Nie jesteśmy już tymi, kim byliśmy. Wnosimy o zmianę danych personalnych", albo coś w tym rodzaju. Co na to ewidencje ludności, gdy ludzie przeobrażają się i zmieniają? Dlaczego dziecko nosi to samo imię co dorosły? Dlaczego kochana kobieta nazywa się tak samo, gdy zostanie zdradzona i porzucona? Dlaczego mężczyźni noszą wciąż to samo nazwisko, gdy wrócą z wojny, albo bity przez ojca chłopiec wciąż ma tak samo idiotycznie na imię, gdy zaczyna bić swoje dzieci?

A jednak z zewnątrz wyglądało to tak, jakby się nic nie zmieniło, ani między nimi, ani poza nimi, jakby świat usnął i tylko od czasu do czasu wzdrygał się od przelotnego koszmaru. Jakiś czas bali się jeszcze telefonu dzwoniącego zbyt wcześnie rano albo zbyt późno wieczorem i listów przynoszonych przez zmiennych jak pogoda listonoszy. Pewnie gdzieś tam na granicach jawy myśleli, że Agni jeszcze się odezwie, nagle, znienacka, jak grzmot pioruna. Czas nie śmie ruszyć tak świętych obrazów jak Agni.

Nigdy już potem nie powiedzieli sobie „kocham cię". Bo miłość stała się ukrytym kalectwem. Nie powiedzieli sobie o niczym, co wykroczyłoby poza zakupy, życzenia na kolejne Wigilie. Późno przychodzili z pracy, po południu on szedł na brydża, ona do kościoła, a czasem jeszcze przytulili się do siebie w nocy, nie z czułości, ale z zimna, bo dom był stary i trudno dawał się ogrzać. Za to w ich języku pojawił się niepostrzeżenie nowy zwrot, zwłaszcza gdy przychodziły jakieś kłopoty – „trzymajmy się razem". „Trzymajmy się razem", tak sobie powtarzali i brzmiało to jak zaklęcie.

I co się z nimi stało, zapytał R. tuż przed zaćmieniem księżyca

Powpadali w nałóg życia, w te słabe poranne herbatki, rytualne wyjścia po gazety, puste modlitwy, popołudniowe wyglądania przez okno, polowania na przeceny, wyprawy na rynek po sałatę tańszą choćby o kilka groszy, w to wieczorne nakręcanie budzika, gnębienie niewinnego mechanizmu do odmierzania czasu, jakby miał ich zbudzić do czegoś naprawdę ważnego. Tak uzależnili się od życia, że nie byli w stanie umrzeć, choć powinni byli zrobić to już dawno.

W końcu po latach to ona ocknęła się pierwsza i zachorowała. Najpierw złamała rękę, i to prawą, więc nie mogła już ani gotować, ani prać, ani nawet zgarniać z serwety okruszków. On przejął jej obowiązki i było tak, jakby je ukradł. Siedziała w fotelu odwróconym do okna, z ręką na temblaku, wyglądało, że się obraziła na cały świat. Mogła chodzić – nie chodziła. Mogła mówić – nie mówiła. Postękiwała, a te jęki doprowadzały go do szału. Gdy przy okrągłym stoliku stawiał pasjansa, widział nad oparciem fotela siwy czubek jej głowy i słyszał to piskliwe „ach, ach". Chyba jej nienawidził.

Jeszcze oglądała swój ulubiony serial, ale on wynalazł już teleturniej na innym programie. Codziennie jej to przypominał:

„Na drugim jest teleturniej".

A ona ze złością odpowiadała:

„Ale tu jest moja Marianna".

On milkł i schodził do kuchni, i łomotał czajnikiem albo patelnią, bo zachciewało mu się słodkości, a umiał robić tylko bliny.

Któregoś dnia powtórzył: „Na drugim jest teleturniej", i ona mu nagle odpowiedziała: „To przełącz".

Zrobił to ostrożnie, z niedowierzaniem, lecz w końcu nie oglądał rywalizujących rodzin, tylko ukradkiem rzucał okiem na nią. Patrzyła w kolorowy ekran tak, jak się wygląda przez okno – bezmyślnie i nieuważnie.

Potem kazała się wysadzać na sedes i on to robił. Jedną ręką podtrzymywał ją, drugą opuszczał jej rajstopy i majtki do kolan i trzymał za ramiona. Musiał ją też podetrzeć. Nigdy nie popatrzyła na niego, nie podziękowała, jakby się to jej należało.

Wciąż spali na tych samych zsuniętych małżeńskich łóżkach, ale teraz już nie szukali się w pościeli. Nawet przeciwnie – odsuwali się od siebie, bo ich ciała grzały się własnym ciepłem i nie potrzebowały ciepła cudzego. Czasem w nocy jęczała, że jej zimno, ale gdy chciał jej włożyć sweter, protestowała. Ręka w gipsie wypychała w starym materacu dołek. Jakże miał jej pomóc, skoro nie chciała się ruszyć? Kiedyś w półśnie wziął rolkę ligniny, darł ją na małe kawałki i przykrywał jej dekolt i ramiona białymi płatkami. Nie wiedział, dlaczego to zrobił. Rano musiał je wybierać z pościeli – zmięte, przepocone, postrzępione niespokojnym, bolesnym snem.

Ale najważniejsze działo się samo, pod spodem tego życia we dwoje. Zaczęło jej się plątać coś w głowie. Zapominała słowa, imiona, zdarzenia. Plątał jej się czas. Zapytała go na przykład ni stąd, ni zowąd: „Czy zrobiłam już obiad?". Odpowiedział, że sam teraz gotuje. „Ach tak", powtarzała ze smutkiem. „Bo w lodówce są te zwierzątka na krótkich nóżkach". Poszedł do kuchni i chichotał z przerażeniem pomieszanym z satysfakcją, że tak jej się porobiło; była jak dziecko. Otworzył zamrażalnik, w którym tkwiły ściśnięte, bezkrwiste ciała kurczaków. Albo zdrową ręką wskazała nagle na telewizor i stwierdziła: „O, ten młody człowiek był dzisiaj w szopie". „W jakiej szopie?", pytał. Lecz to odkrycie już obumarło i nie miało żadnych konsekwencji dla niej, dla niego i dla świata.

W zeszłym roku obydwoje umarli, najzwyczajniej na świecie, jedno po drugim. Nic nie dało się już dla nich zrobić.

Zaćmienie

Koniec września – to był czas psychodeliczny z powodu porannych przezroczystych mgieł i wydłużonych cieni wieczorem. Dojrzała już trawa,

którą sialiśmy w maju. Za dużo się jednak działo, bo przegapiliśmy najlepszy moment i trawa-mężczyzna rozsiał swoje pyłki po poletku i sprawił, że trawy-kobiety stały się brzemienne. Teraz trzeba było wyciągać pęsetą nasiona z wysuszonych czubków. Cała moc trawy poszła w te nasiona. Trzeba było ją palić długo, całe fajki. Dopiero wtedy czuło się, jak kawałkuje myśli, rozbija je na dygresje, szatkuje w sensy, których jest tak wiele, że ich obfitość rodzi strach.

Na zaćmienie księżyca przyjechali do nas goście. Samochody tak samo jak latem zapełniły łąkę. Dzieci biegały. Brzdąkały szklanki i kieliszki. Szurały wynoszone na taras krzesła. Dzieci pacyfikował w końcu komputer – szemrał im świetlisto jakąś milczącą opowieść.

Księżyc wschodził teraz nad domem Marty, co znaczyło, że jest już jesień. Na chwilę zakryła go chmura, a gdy odpłynęła, nie był już ten sam co przedtem – na jego talerzowatej twarzy widać było okrągły cień, najpierw wąski, potem coraz większy. Wszystko działo się za szybko, ledwie skręt zdążył przejść jedną kolejkę. Potem księżyc zniknął, została po nim brunatna dziura wycięta w niebie, wypalone kółko. Zapadło jakieś pełne niedowierzania milczenie, trwało krótko, kilka sekund, kilkanaście, tyle ile sama ciemność na twarzy księżyca. W tym krótkim momencie rozbłysły gwiazdy; niebo było ich pełne. Nigdy nie wydawały się nam takie jaskrawe. Stały ułożone w sensowne figury, w cyfry, symbole, figury geometryczne, a nawet znaki drogowe. Można je było czytać jak się chciało. Można było w nich zobaczyć komiksowe historie, te, do których przyzwyczaiło się myślenie: Prometeusz uwalnia Andromedę, powiewa warkocz Bereniki, Lutnia Apollina szybuje w przestrzeni, dźwięcząc z tęsknoty do ludzkich palców. Można je było wziąć za kawałek tekstu napisany brajlem, za nieskończone szeregi zerojedynkowego kodu albo za ekran komputera z wieloznacznymi ikonami. Gdybyśmy tylko mieli wielką myszkę, supermysz, żeby kliknąć na jednej z tych ikon, a wtedy otworzyłyby się inne nieba, o zupełnie niespodziewanym przeznaczeniu, zadziwiające, wciągające w siebie jak ta gra dzieci z komputera. Moglibyśmy wtedy w nie zagrać, wciągnęłyby nas i zabrały nam sen. Bylibyśmy w nich innymi ludźmi, przydarzałyby się nam historie niewiarygodne i całkiem zwyczajne. Umieralibyśmy, jak to w grze, setki razy i wciąż mielibyśmy

w zapasie nowe życia, rozwieszone w przestrzeni i czasie mapy wędrówek między ciemnością a światłem.

Wtedy księżyc zabłysł na nowo. Najpierw pojawił się świecący skrawek, obrzynek niebieskiego paznokcia. Zadźwięczały kieliszki i na nowo rozjarzył się ognik skręta. Zaczęliśmy klaskać.

Potem przez wilgotne trawy poszłam do Marty. Kucała przed kuchnią i podkładała do ognia. Przy niej dreptał ten jej kogut, nieświadomy bliskiego wyroku śmierci. Popatrzył na mnie podejrzliwie swoim purpurowym okiem. Wydał mi się dziwnym, milczącym człowiekiem przebranym w pióra.

– Nie śpisz jeszcze? – zapytałam.

– Gdy się śpi całą zimę, ma się dość snu – powiedziała albo, jak z mówieniem Marty bywa, wydawało mi się, że to usłyszałam.

Zaczęła kroić chleb, kilka kromek, pół bochenka. Zdałam sobie sprawę, że utyła od wiosny. Smarowała ten chleb masłem i soliła. Podała mi kromkę. Nagle poczułam się głodna tak bardzo, że mogłabym jeść całą noc, nie czując smaku; ten straszny głód po paleniu trawy może nasycić tylko sen.

– Jesteś jakaś dziwna – powiedziała nagle Marta i wstała. – Idź spać.

– Nie. Pokaż mi swoją piwnicę.

– Jest taka sama jak twoja.

– To nic. Chcę ją zobaczyć.

Myślałam, że się nie zgodzi, że zacznie kręcić, że zmieni temat. Ale ona wzięła z półki latarkę, którą ode mnie dostała, i otworzyła drzwi do piwnicy.

Było rzeczywiście jak u nas – kamienne nierówne schody leciutko powleczone warstwą błyszczącej wilgoci. Na dole wielki płaski kamień, który udawał próg. Dalej ubita ziemia, glina, łagodniejsza niż kamienie, cieplejsza. Nad głowami wisiał niski półokrągły strop, ktoś wyższy musiałby się schylić. Ściany z czerwonych głazów, perfekcyjnie ustawionych jedne na drugich, kości domu. Marta oświetliła przeciwległą ścianę i zobaczyłam tam zapchane słomą maleńkie okienko. Pod nim stało

legowisko, bo nawet nie łóżko. Była to drewniana otwarta skrzynia długości człowieka, położona na czterech kamieniach i w ten sposób izolowana od ziemi. Marta wymościła ją siennikami, baranimi skórkami od Jaśka Bobola zapewne. W nogach porządnie złożony leżał stos kap, narzut i koców. Światło latarki przeniosło się w kąt i odkryło stertę ziemniaków.

– Ziemniaki na wiosnę – powiedziała.

Ludzie zwykle mówią „ziemniaki na zimę". Marta powiedziała „na wiosnę".

To właśnie potem śniło mi się, że Marta miała na plecach zawiązki błoniastych skrzydeł. Zsunęła bluzkę z ramion i pokazała mi je. Były małe, przyrośnięte jeszcze do skóry, pomięte jak skrzydła motyla; delikatnie pulsowały. „Więc to tak", powiedziałam, bo byłam przekonana, że te skrzydła wszystko wyjaśniają.

Ten sen przypomniał mi się, gdy pojechałyśmy obie do lumpeksu w Nowej Rudzie i Marta mierzyła sweter, dokładnie taki sam, jaki już miała – szary, rozpinany z przodu, z powyciąganymi dziurkami od guzików. Stała przed lustrem, a ja chciałam coś poprawić i dotknęłam jej ramienia. Ten dotyk otworzył sen. Cały sen mieścił się w jednym dotknięciu, przeleciał przeze mnie, zawibrował. Marta wciągnęła swoje i tak zapadłe policzki i krygowała się przed lustrem, miała teraz w sobie coś z dziewczynki, z nastolatki. Patrzyłam w łagodną krzywiznę jej pleców.

Byłam poruszona, jakbym odkryła nagle wielką tajemnicę, jakby z tym muśnięciem palcami szarego swetra Marty przeszło przeze mnie jakieś obce światło, ostre i bezwzględne jak światło lasera. Poruszona powiesiłam sweter na miejsce (– Po co mi taki sweter? Miałam już chyba wszystkie swetry na świecie – uśmiechnęła się Marta), pomogłam jej wsiąść na przednie siedzenie i zapiąć pasy.

Jechałyśmy serpentynami na zboczach gór, przez wilgotne wsie i słoneczne nieużytki, pełne tych ogromnych, łodygastych i pachnących roślin, o których w Nowej Rudzie mówią „kosmiczny koperek". Ich potężne liście poruszały się na wietrze jak skrzydła.

– Jedyne rośliny, które na zimę odlatują do ciepłych krajów – powiedziała Marta i roześmiała się.

Przebudzenie Marty

Mogłam się domyślać, skąd wzięła się Marta. Dlaczego nie istniała dla nas zimą, a pojawiała się wczesną wiosną, gdy zaraz po przyjeździe przekręcaliśmy klucz w podrdzewiałym od wilgoci zamku.

Mogło być tak, że budziła się w marcu. Leżała najpierw bez ruchu i nawet nie wiedziała, czy ma otwarte oczy – i tak wszędzie było ciemno. Nie próbowała nawet się poruszyć, bo wiedziała, że obudziła się tylko myślą, nie ciałem. Ciało jeszcze spało i wystarczyła chwila nieuwagi, żeby znowu zsunąć się w jego senne władze i przejść w tamte pokrętne labirynty doznań tak samo realnych jak to leżenie tutaj w ciemnościach albo nawet realniejszych, o niebo realniejszych, kolorowych i zmysłowych. Jednak Marta wiedziała skądś, że się obudziła, że jest gdzie indziej, niż była przedtem.

Najpierw poczuła zapach piwnicy – wilgotny i bezpieczny, zapach grzybów i mokrego siana. Ten zapach przypominał lato.

Ciało wracało ze snu długo, aż w końcu odkryła, że ma otwarte oczy, bo ciemność objawiła się im odcieniami i natężeniem. Ślizgała się teraz wzrokiem po tych bogactwach czerni, w przód i w tył, w dół iw górę. Dopiero potem, długo potem w jaśniejącej plamie domyśliła się światła dnia na zewnątrz. Przeświytywało, zamglone i rozmazane w jej oczach, przez szpary słomianego czopa w piwnicznym oknie. Światło zgasło i pojawiło się znowu i wtedy przyszło jej do głowy, że musiał minąć jakiś dzień.

Dopiero wtedy poczuła chłód – pochodził gdzieś z daleka, z peryferii ciała. Wyszła mu na spotkanie – poruszyła palcami u stóp, a przynajmniej wydawało jej się, że nimi porusza. Po chwili stopy odpowiedziały – było im zimno. I tak po kolei, częściami, budziła całe ciało, powoływała je znowu do

życia, jakby to był jakiś apel poległych i jej ciało, po kolei, częściami odpowiadało jej: jestem, jestem, jestem.

Dwa razy próbowała się podnieść, ale dwa razy ciało uciekało jej i opadało z powrotem na deski, a jej wydawało się, że siedzi, chociaż nie siedziała. Za trzecim razem przytrzymała ciało czy też ona przytrzymała się ciała i odtąd była w nim w miarę bezpiecznie. Krok po kroku dotarła do drzwi idługo mocowała się z żelazną klamką. Jej palce były słabe jak wiosenne pędy ziemniaków. Kamienne mokre schody prowadziły ją powoli do sieni, a stamtąd zobaczyła przez szpary w drzwiach prawdziwe światło. Musiała zasłonić oczy ręką.

Ściany domu przeżarł mróz, pociły się teraz jak chory człowiek. Na podłodze leżał kurz pokropkowany mysimi kupami. Usiadła na jedynym krześle w kuchni, które jak wszystko wokół tajało, oddawało jej ciału zimno. Marta wstała więc z wysiłkiem i z szuflady w kredensie wyciągnęła grzałkę. Napompowała trochę wody i odkręciła kran – poleciała ciecz mętna, czerwonawa jak rozwodniona krew. Umyła nią twarz i nalała do kubka. Za chwilę miała kubek z wrzątkiem, którym rozgrzewała ręce. Piła tę wodę łyk po łyku, jak lekarstwo na śmierć, i czuła, że powoli zaczyna tajać od środka, że jej ciało wraca do życia.

Tego dnia Marta wyszła także przed dom. Drzwi wejściowe wciąż były wilgotne od przeszłego mrozu. Cuchnęły grzybem i wodą. Jak wszystko. W jej ogródku leżały jeszcze placki brudnego śniegu. Słońce ogryzało te nadpsute śnieżne omlety ze wszystkich stron. Wyłaziła spod nich mokra, przegniła trawa i to, co kiedyś było nasturcjami, marcinkami i maciejką.

Z niepokojem popatrzyła na niebo – było zasnute niskimi, szybko pędzącymi chmurami, przez które nad lasem przeświecało słońce. I jak co roku Marta zdziwiła się, że słońce mogło przywędrować aż nad las i rzucać teraz długie cienie, które dawały schronienie śniegowi. Wróciła do sieni i włożyła gumowce – były wilgotne i zimne. Ruszyła za dom, przez ogródek i ogrom zniszczenia, jakie zrobiła w nim zima i ciemność. Schylała się nad kapuścianymi głowami, które jesienią były takie piękne i twarde, a teraz zmieniły się w oślizłe, przegniłe kupki. Nic nie zostało ze słoneczników, a latem wydawało się jej, jak zwykle, że nic nie jest w stanie zmóc ich potężnych łodyg i ich lwich głów z pociemniałymi od słońca twarzami. Płotek, przy którym rosły, pochylił się, przesiąknięty wszechobecną wodą.

Potem spojrzała na swój sad pełen starych jabłoni i śliw. Na najsłodszej czereśni ułamała się wielka gałąź. Sad bujny, porosły wysoką trawą, przykryty poduchami zieleni, taki, jaki zapamiętała, teraz nie istniał. Przypominał cmentarz. Nagie drzewa udawały krzyże, a łany leżącej trawy – groby. Tak to wyglądało. I wszystko przesiąknięte było wodą, wilgocią, smrodem grzyba. Marta nienawidziła wilgoci tak samo jak zimy i ciemności. Woda była nieuczciwa. Marta czuła, że mogłaby stanąć z nią twarzą w twarz, ale tylko wtedy, gdyby woda była sobą, gdyby nie udawała. Wtedy gdy płynęła przezroczysta w strumieniu, można ją było wziąć i nieść do twarzy, a nawet pić ją prosto z ziemi. Ale woda częściej udawała coś innego, wnikała w przedmioty, rośliny, tak że stawała się niewidoczna. Osiadała wtedy na twarzy, swetrze, pokrywała wszystko warstewką mrozu, zabijała. Albo wisiała w chmurach jak kara za wieczny grzech.

Marta weszła do domu, bo znowu wróciło zimno do jej ciała. Stanęła jeszcze na schodach, żeby zobaczyć resztę doliny.

Góry wyglądały monotonnie – zgniłozielono i czarno – one też miały kolor wody. Tam gdzie ziemia była z jakichś powodów chłodniejsza, leżał jeszcze śnieg. Ze wszystkich czterech kominów dymił tylko komin Takiego-a-Takiego. Przed domem Frostów stał niebieski samochód i dwoje ludzi rozmawiało na drewnianym tarasie. Marta wzdrygnęła się, wróciła do kuchni i wzięła się do rozpalania w piecu.

Strychy, porządki

Cały dzień robiłam porządek na strychu. Znosiłam do pudeł letnie rzeczy, przekładałam warstwy ubrań naftaliną, buty wypychałam gazetami i ładowałam w papierowe worki. Okazało się, że wielu sukienek w ogóle nie nosiłam, nie było okazji. Wisiały na drągu w szafie, a mimo to starzały się przez te czerwce, lipce i sierpnie. Widziałam, jak się zużywają, przecierają w szwach, miękną, starzeją się, same z siebie, bez mojego udziału. I był to jakiś rodzaj piękna, odwrotność dojrzewania, piękna, które dzieje się samo, bez niczyjej pomocy, które jest najbardziej fotogeniczną twarzą

czasu. Wyprawiona skóra sandałów czernieje, mięknie i rozciąga się, przecierają się rzemienie, rdzewieją zapinki, blaknie kolor ulubionej bluzki albo rękawy koszuli strzępią się przy mankietach. Widziałam, co z czasem przydarzało się papierowi – sztywniał, żółkł, jakby sechł, jakby się starzał zupełnie po ludzku i stawał się szorstki i nieelastyczny. Widziałam, jak wypisują się długopisy, skracają ołówki, aż potem kiedyś w małym obrzynku rozpoznaje się ze zdziwieniem tamten długi ołówek sprzed roku. Widziałam, jak matowieje szkło – to prześwietlone lustro w szafie, które ślepło z roku na rok.

Z jakichś względów ludzie upodobali sobie tylko jedną część przemian. Ukochali wzrost i stawanie się, a nie kurczenie się i rozpad. Dojrzewanie zawsze było im milsze niż gnicie. Podoba im się to, co coraz młodsze, coraz bardziej soczyste, świeże i niedojrzałe. To, co jeszcze nie wyrobione, nieco kanciaste, poruszane od środka potężną sprężyną potencji, co się może jeszcze zdarzyć, zawsze moment przed, nigdy po. Młode kobiety, nowe domy ze świeżym tynkiem, nowe książki pachnące farbą drukarską, nowe samochody, ich zaskakujące wciąż kształty, które – dla wtajemniczonego – są przecież tylko wariacjami na temat tego, co już było. Nowocześniejsze maszyny, błysk świeżo polerowanego metalu, przed chwilą zakupione przedmioty niesione do domów w odświętnym opakowaniu, szelest gładkiego celofanu, słodkie naprężenie dziewiczego sznurka. Nowiutkie banknoty, nawet gdy nie mieszczą się w portfelu; czyste, dalekie od pożółknięcia powierzchnie plastiku, wyszlifowane blaty bez śladów plam, puste przestrzenie do zagospodarowania, gładkie policzki, wyrażenie „wszystko-się-może-zdarzyć” (kto jeszcze używa słowa „daremnie”?), zielony groszek wyłuskiwany siłą ze strąków, karakuły, kwiaty w pąkach, niewinne szczenięta, małe kózki, jeszcze żywe deski, które wciąż pamiętają kształt drzewa, jasna zieleń traw bez żadnej wiedzy o kłosach. Tylko to, co jest nowe, czego jeszcze nie było. Nowe. Nowe.

Nowa Ruda

Miasto fryzjerów, sklepów z używaną odzieżą, mężczyzn o powiekach wymalowanych węglowym pyłem. Miasto w dolinach, na zboczach i na szczytach. Miasto mostków przerzuconych niedbale nad rzeczką, która zjawia się i znika, zawsze w innym, coraz modniejszym kolorze; miasto świętych Nepomucenów, oszukanych perfum, barów mlecznych, tandetnych towarów z pieczołowitością wystawianych na sklepowe półki; miasto śladów wilgoci na tynkach domów, okien, z których widać tylko nogi przechodniów, podwórek-labiryntów, miasto docelowe i miasto-przesiadka-w-podróży; miasto pielgrzymujących psów, tajemnych przejść, ślepych ulic, tajemniczych symboli nad drzwiami wejściowymi domów; miasto budynków z czerwonej cegły, eliptycznych rond, krzywych skrzyżowań, objazdów, które prowadzą do centrum, rynków, które są na peryferiach, schodów, których początek i koniec tkwią na tym samym poziomie, zakrętów prostujących drogi, rozwidleń, z których lewy wiedzie na prawo, a prawy na lewo. Miasto najkrótszego lata, śniegu, który nigdy nie stopi się do końca. Miasto wieczorów, które nagle nadciągają zza gór i opadają na domy jak monstrualna siatka na motyle. Miasto wodnistych lodów, sklepików, gdzie sprzedaje się krowie kości, urzędniczek z jaskrawym makijażem. Miasto śniące, że leży w Pirenejach, że nie zachodzi nad nim nigdy słońce, że ci wszyscy, którzy wyjechali, jeszcze kiedyś wrócą, że podziemne, poniemieckie tunele prowadzą do Pragi, Wrocławia i Drezna. Miasto-okruch. Miasto śląskie, pruskie, czeskie, austro-węgierskie i polskie. Miasto-peryferie. Miasto ludzi, którzy myślą wzajemnie o sobie po imieniu, ale zwracają się do siebie „pan” i „pani”. Miasto opustoszałych sobót i niedziel. Miasto dryfowania czasu, spóźnionych wieści, mylących nazw. Nie ma w nim nic nowego, a gdyby tylko się pojawiło, zaraz ściemnieje, pokryje się nalotem, zbutwieje i stanie bez ruchu na granicy istnienia.

Założyciel

Założycielem miasta był Tunczil, który zajmował się robieniem noży, dlatego mówiono na niego Messerschmied. Robił noże do zabijania, do ścinania włosów, do wyprawiania skór, do krojenia kapusty, do wykrawania rzemieni ze skóry, do znaczenia drzew do ścięcia, a nawet do rzezania w drewnie figurek i ozdób. To był dobry fach i wszyscy szanowali Tunczila Messerschmieda. Ale w osadzie, gdzie mieszkał, było ich dwóch. Jeszcze jeden nożownik umiał robić to samo co Tunczil. Ponieważ Tunczil był młodszy, kupił konia i zapakował cały swój dobytek na wóz. Były tam jego narzędzia, kamienne koło do ostrzenia, skrzynia z ubraniami, trochę garnków, skór i wełnianych derek do spania, oraz jego kobieta z brzuchem pod brodę.

Po drugiej stronie gór leżały żyzne doliny, bogate lasy pełne świerków tak wielkich, że rysowały od spodu gładź nieba. Między te lasy wciskały się wsie. A w niektórych na pewno brakowało nożowników, więc Tunczil skierował się swoim wozem wprost ku południowemu słońcu. Wędrowali kilka dni leśnymi drogami, aż na jakimś postoju nad strumieniem kobieta Tunczila zaczęła rodzić. Swoim najlepszym nożem Tunczil obciął pępowinę dziecku, lecz nad ranem żona umarła bez słowa, a zaraz potem i dziecko. Tunczil kopał w rozpaczy pnie drzew i wrzeszczał z wściekłości i żalu. Po co, głupi, wyruszyłem? Po co pchałem się w jakiś obcy świat? Gdzież teraz pochowam żonę? W lesie, jak zwierzę? Wyprzęgnięty koń patrzył na niego z opuszczoną głową. Krzyki Tunczila sprowadziły drwali, którzy ścinali nieopodal drzewo, i oni pomogli mu pochować zmarłych.

Tunczil uparł się, że zostanie przy grobie. Zbudował sobie drewniany szałas i teraz czekał, aż przyjdzie jakiś anioł i powie mu, co ma dalej zrobić. Tymczasem co kilka dni przychodzili do niego tylko drwale i podziwiali jego noże. Czasem przynosili mu coś do jedzenia. Wymienił z nimi nóż na siekierę i sam wyrąbywał drzewa wokół swojego domku, koniem wyszarpywał z ziemi korzenie i ogrodził powstały kawałek pola drewnianym płotem. W nocy słyszał wycie wilków, kiedy stadami przeprawiały się przez góry, ale się nie bał. Przed nadejściem zimy wybrał się do swojej dawnej osady i odwiedził rodzinę. Powiedział im: „tak i tak". Powiedział też: „Potrzebuję psa i nowej kobiety". Ale pierwszą zimę

przetrwał sam, choć kosztowało go to wiele. Cały czas rąbał drzewo, żeby nie zamarznąć, a potem zastawiał sidła na chude zające i sarny. Na wiosnę krewniacy przyprowadzili mu to, o co prosił. Kobieta miała na imię Dorota, była chuda, drobna i milkliwa. Tunczil wystraszył się, że nigdy nie zdoła jej polubić, ale z czasem stali się sobie bliscy. Pies za to wyrósł na wspaniałego towarzysza. Był szybki i silny, potrafił sam polować i Tunczil czuł się przy nim całkowicie bezpieczny, kiedy szedł w las.

Patrzcie, jak to się wszystko zaczyna od jednego człowieka. Tunczilowi co roku rodziły się dzieci, więc wybudował z pomocą drwali nową chatę. Oboje z żoną zamienili całe zbocze w żyzne pole. Nad strumieniem siali grykę i owies. Drwale pobudowali swoje chaty nieopodal, sprowadzili do nich kobiety. Kiedy Tunczil był stary, dolina strumienia zamieniła się w małą osadę, którą nazwali Nowy Wyrąb.

W czasie tych wszystkich lat Tunczilowi raz zdarzyło się coś dziwnego. Wśród świeżego wyrębu po drugiej stronie strumienia zobaczył jedyne drzewo, o którym chyba musiały zapomnieć siekiery. Zaciekawiony podszedł bliżej. To był świerk, dorodny, wysoki i prosty; taki jakich używa się do budowy domów. Obszedł go wkoło i zobaczył, że w korę był wrośnięty żelazny, wydawało się, przedmiot, który lśnił jak wypolerowane ostrze. Najpierw macał go palcem, potem próbował podważyć paznokciem, a potem kijem i wreszcie jednym ze swoich noży. Ale to nic nie dało. Twarde ciało drzewa mocno trzymało przedmiot w sobie. Wydawało się, że metal i drzewo wrosły w siebie; w żaden sposób nie dawało się ich oddzielić. Tunczil pomyślał, że oto jest znak, że wprawdzie nie przyszedł żaden anioł i nie wskazał miejsca świetlistym palcem, ale i tak już wiadomo, gdzie zbudować kościół. Poszedł po sąsiadów i wspólnie ścięli wielki świerk. W nocy Tunczilowi udało się wydostać z drzewa tajemniczy przedmiot. To był nóż, lecz nie taki, jakie robił Tunczil. Inny. Jego ostrze było nieporównanie gładsze, prawie tak gładkie jak lustro – odbijało w sobie nocne niebo. Wyryty na nim maleńki szlaczek znaków nie potrafił jednak przemówić do Tunczila – Tunczil nie znał innych wzorów niż tropy wilków, zajęcy i zadziwiające kształty płatków śniegu. Jednak to nie drzewo było ważne, nawet nie ten nóż, ale miejsce, które się samo w ten sposób objawiło. Wszyscy więc zgodnie wyznaczyli na ziemi prostokąt i uznali, że zbudują tu kościół.

Długo potem, bardzo długo, gdy był już tak stary, że mu się wszystko plątało, Tunczil zastanawiał się, czy to drzewo rosło właśnie tam, a może widział takie drzewo z wbitym w nie nożem, kiedy był mały, zupełnie gdzie indziej, albo że mu się to śniło, bo sny miał zawsze wyraźne i jaskrawe jak ostrze noża. Kazał się pochować z tym swoim znaleziskiem, którego stal, w przeciwieństwie do Tunczila, nie starzała się. A jeszcze przed śmiercią jakiś litościwy piśmienny odczytał mu maleńki rząd znaczków i było tam napisane SOLINGEN. Ta nazwa nikomu nic nie mówiła.

Wiele setek lat potem pewien profesor noworudzkiego gimnazjum złożył do Rady Miejskiej pismo z propozycją postawienia pomnika Założycielowi, ale ponieważ cała ta historia, jak i spora część historii miasta działa się w innym języku, petycja została zignorowana i wszystko rozeszło się po kościach.

Maszyna Zbawienia

Nożownicy mieli tylko jedną kosmologiczną wizję. Była to wizja Maszyny Zbawienia. Rysowali ją na ścianach swoich domów, rzeźbili na trzonkach noży, ich nieliczne dzieci przenosiły ją z opowieści dorosłych patykiem na piasek. Śpiewali o niej swoje płaczliwe psalmy, które były tak dziwaczne i smutne, że tylko oni sami mogli ich słuchać.

Kosmicznym instrumentem zbawienia jest ruch obrotowy; i ten wielki, który porusza po orbitach dalekie gwiazdy, zodiak i cały wszechświat, ale też i ten mały, obecny w wytworach ludzi, kołach młyńskich, korbach, zegarach, kołach u wozu, w ucieraniu maku, w lepieniu garnków. Oraz ten najmniejszy, który podobno drga we wszystkich najmniejszych cząsteczkach, z których składa się świat.

Opisałabym to tak, że słońce, wprawione na początku czasu w ruch obrotowy, jest gigantycznym odkurzaczem – wyciąga światło z materii, podaje je na orbity planet i na ogromne wodne koła Zodiaku. A z nich ów ruch podaje światło wyżej, do granic całego świata, skąd światło pochodzi.

Światło żyje w duszach ludzi i zwierząt, tam mieszka w ukryciu, zahibernowane, zamknięte w puszce. Księżyc zaś jest statkiem transportowym – przewozi dusze zmarłych ludzi z ziemi na słońce. Przez każdą pierwszą połowę miesiąca zbiera je i staje się coraz bardziej świetlisty; idzie do pełni. W drugiej połowie miesiąca oddaje je słońcu, więc w nowiu znowu jest pusty, rozładowany. Stoi między ziemią a słońcem wypróżniony, gotowy do swojej dalszej pracy. Srebrzysty tankowiec.

Słońce będzie trwać tak długo, śpiewają psalmy nożowników, aż wyssie wszystkie cząstki światła i odda je Właścicielowi. Potem przepadnie, zgaśnie, rozkruszy się, a z nim księżyc, i potem połamią się harmonie zodiaku. Cała wielka skomplikowana maszyna kosmiczna zazgrzyta, stanie i w końcu rozpadnie się z trzaskiem. Niepotrzebne okażą się galaktyki. Obrzeża świata znajdą się w jego centrum.

Jedziemy, powiedziałam, jutro Wszystkich Świętych

Marta siedziała przy stole i tarła zaczerwienione oczy. W jej kuchni było nieprawdopodobnie czysto; wszystkie garnki pochowane, cerata wyszorowana, drewniana podłoga lśniła od pasty. Nawet okna wymyła i pościągała z nich te wszystkie letnie pajęczyny, które latem łapały słońce. Kamienne parapety bez truchełek ciem wyglądały grobowo. Przyniosłam jej resztki ciasta, a ona zjadła je łakomie. Potem wstała i poczłapała do pokoju; przez otwarte drzwi zobaczyłam perfekcyjnie zaścielone łóżko, gotowe do zimy.

Przyniosła stamtąd perukę, ciemną, prawie czarną, o włosach splecionych w warkoczyki. Dokładnie taką, jak chciałam. Założyłam ją. Marta uśmiechnęła się. Na wargach miała okruszki makowca.

– Cudnie – powiedziała i pokazała mi lustro.

Wyłoniłam się z niego zamazana i obca; miałam ciemną twarz. Nie poznałam siebie.

Będę nosić całą tę perukę zamiast czapki, będę ją wkładać zaraz po przebudzeniu, żeby przez wyziębione pokoje dotrzeć bez szwanku do łazienki, może nawet będę w niej spać. Będę w niej pracować i planować letnie remonty. Pojadę w niej w świat.

Podeszłam do Marty i przytuliłam ją. Sięgała mi brody, była krucha i delikatna jak kania. Jej krótkie siwe włosy pachniały wilgocią.

Po południu poszłam się z nią pożegnać i przypomnieć, żeby zapaliła od nas znicz dziecku Frostów.

Weszłam do jej domu, ale był pusty. Na stole leżała nawleczona igła i stał ten wielki cynowy talerz, najbardziej namacalna rzecz w domu Marty. Usiadłam przy stole i czekałam na nią, może godzinę, może dwie. Pobielone ściany odbijały mój oddech. Wodziłam palcem po skomplikowanym metalowym wzorze. Nie brzęczały muchy, spod blachy nie trzaskał ogień. Było tak cicho, że słyszałam moje własne ciało – żyło.

Wiedziałam o drzwiach do piwnicy, miałam je za plecami. Były przymknięte, ale kłódki wisiały w skoblu otwarte, gotowe do ruchu. Mogłabym wstać, otworzyć te drzwi i zejść na dół. Mogłabym się koło niej położyć w ciemności i wilgoci, wśród stert ziemniaków, które czekają do wiosny. Tak myślałam, ale trudno jest myśleć o czymkolwiek w domu Marty; jest jak gąbka, która wchłania myśl, zanim ta powstanie. W zamian nie daje nic, nie obiecuje, nie zwodzi, nie ma w nim przyszłości, a przeszłość zamienia w przedmioty. Dom Marty jest do niej podobny – tak jak ona nie zna niczego, ani Boga, ani jego stworzeń, ani nawet siebie samego, nie chce niczego wiedzieć o świecie. Jest w nim tylko jedna chwila, tylko teraz, ale ogromne, rozciągnięte we wszystkie strony, przytłaczające, nie dla człowieka.

Potem nagle zapadł zmierzch, nie zauważyłam nawet, kiedy zrobiło się ciemno. I byłabym tak siedziała, hipnotyzując się własnym oddechem. Nie obudziłabym się, gdyby nie ten stary cynowy talerz – świecił potężną, chłodną poświatą, zalewał nią całą kuchnię, rozświetlał swoim blaskiem moje ręce, doczepiał rzeczom cienie. Odbijał w sobie wszystkie przeszłe i przyszłe księżycowe pełnie, wszystkie jasne, rozgwieżdżone nieba, wszystkie płomienie świec i światła żarówek, i zimne strumienie wszelkich jarzeniowych lamp.

Wróżenie z nieba

R. opowiadał, że kiedy był mały, czytał z chmur, przynajmniej tak to teraz pamięta.

Chmury układały się dla niego w przejrzyste wzory – postaci zwierząt, okręty i łodzie z żaglami, stada białych owieczek, które dołem pogania ciemniejszy i szybszy owczarek, samochody, nawet strażackie, albo potwory – węże, smoki, przepastne paszcze na krótkich nogach, skrzydlate, powiewne szkielety. Gdy poszedł do szkoły, zaczął widzieć litery i znaki. Czasem na jego oczach spełniały się działania matematyczne – rozmyte Dwa dodawało się do brzuchatej Trójki i na koniec wiatr przywiewał wężowy kształt, który był Piątką. Z czasem pojawiały się także bardziej skomplikowane działania. W drugiej klasie w ten sposób nauczył się tabliczki mnożenia. Ze swego okna, które wychodziło na tory kolejowe, mógł zobaczyć kawał nieba. Z jednej strony chmury zawsze było lekko czerwonawe lub pomarańczowe, ponieważ podświetlał je płomień z koksowni. Na tej ogromnej tablicy widział całą niebieską algebrę. Z tabliczki mnożenia szczególnie zapamiętał Siedem razy Osiem, ponieważ były to najgorsze działania, których najtrudniej się nauczyć. Siedem przypominało wykrzywiony rogalik, Osiem dwa złączone obłoczki. Za nimi szedł wynik – Pięć, trochę rozmazany hak, i zadziwiająco wyraźna Szóstka, być może zakręcone spaliny jakiegoś odrzutowca. Godzinami siedział w oknie i patrzył w niebo. W siódmej klasie, gdy się zakochał, był świadkiem serc i czterolistnych koniczyn. Później widywał inne znaki – pacyfka wielka na pół nieba, która powoli przemieszczała się nad miastem z zachodu na wschód, wielkie tao ujrzane na jakiejś wycieczce studenckiej nad zamkiem w Bolkowie. W końcu przyszedł czas zajmowania się ważniejszymi rzeczami niż patrzenie w niebo. Niedawno R. uznał, że dopiero teraz, między trzydziestką a czterdziestką, będzie się widziało najlepiej. Dlatego niedawno kupił od Ruskich statyw i zaraz wiosną ustawi aparat fotograficzny na wschodnim tarasie. Obiektyw wyceluje w niebo, nad czubkami dwóch bliźniaczych świerków, i tak to będzie stało do jesieni. Codziennie będzie robić jedno zdjęcie, nawet wtedy gdy niebo zasnuje się równo niezróżnicowaną szarością. R. jest pewny, że coś nam z tego wyjdzie i że jesienią będziemy mieli na kliszy sensowną sekwencję

nieba, która na pewno będzie coś znaczyła. Można będzie złożyć wszystkie zdjęcia jak puzzle. Albo nałożyć je jedno na drugie w komputerze. Albo z pomocą jakiegoś programu wypreparować z nich wszystkich jedno niebo. I wtedy będziemy wiedzieli.